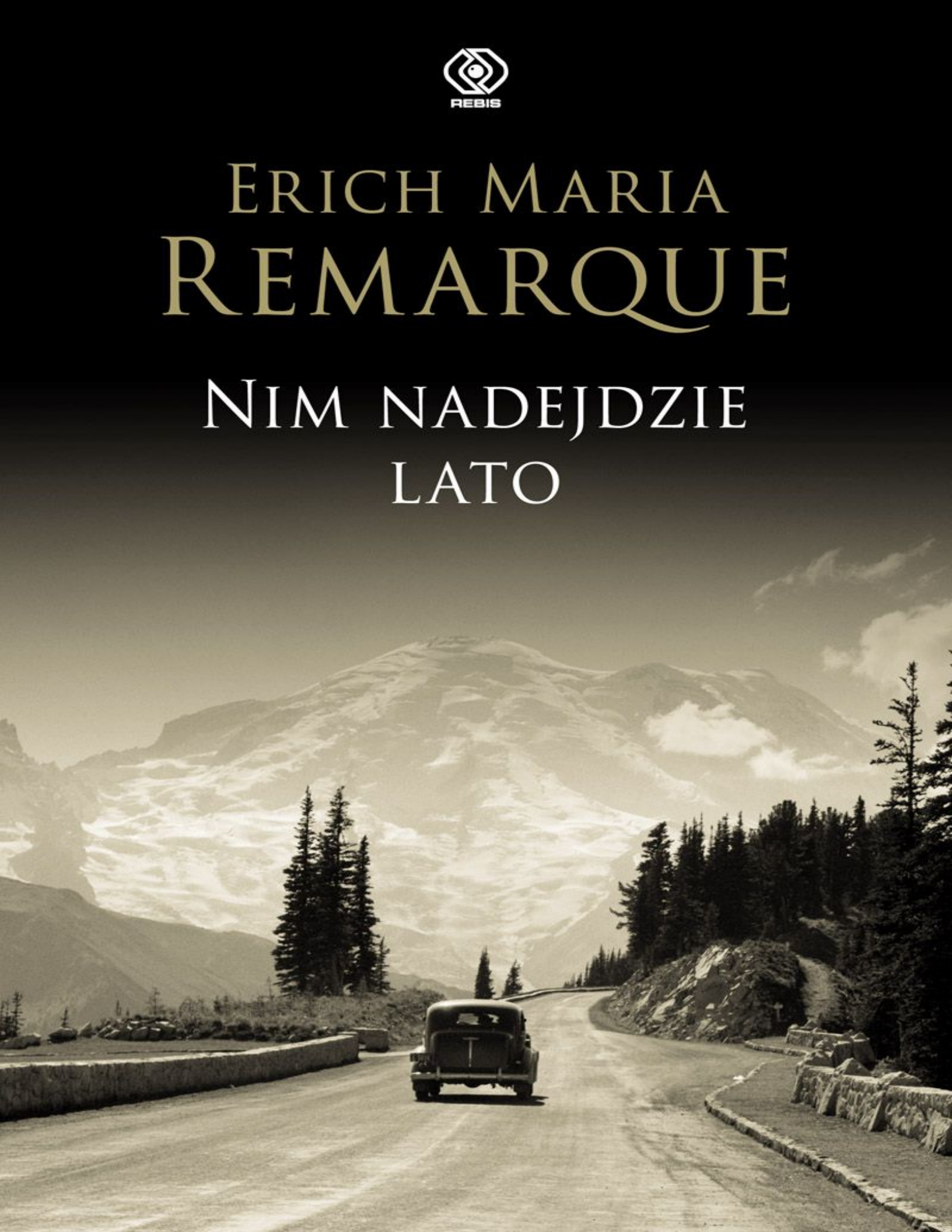
REBIS

Erich Maria Remarque

Nim nadejdzie lato



Erich Maria Remarque

Nim nadejdzie lato

Przełożył
Ryszard Wojnakowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Dom Wydawniczy REBIS opublikował następujące książki Ericha Marii Remarque'a:

CIENIE W RAJU
CZARNY OBELISK
CZAS ŻYCIA I CZAS ŚMIERCI
DOM MARZEŃ
GAM
HYMN NA CZEŚĆ KOKTAJLU
ISKRA ŻYCIA
ŁUK TRIUMFALNY
NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN
NIM NADEJDZIE LATO
NOC W LIZBONIE
PRZYSTANEK NA HORYZONCIE
TRZEJ TOWARZYSZE

1

Clerfayt zatrzymał wóz przy stacji benzynowej, sprzed której odgarnięto śnieg, i zatrąbił. Wrony krążące wokół słupów telefonicznych podnosiły głośny wrzask, a w małym warsztacie za stacją ktoś klepał młotkiem blachę. Odgłosy kucia umilkły i z budynku wyszedł szesnastoletni chłopak w czerwonym swetrze i okularach w drucianej oprawce.

– Do pełna – powiedział Clerfayt i wysiadł.

– Co? Super?

– Tak. Można jeszcze gdzieś tutaj dostać coś do jedzenia?

Chłopiec pokazał kciukiem na drugą stronę szosy.

– Naprzeciwko. Dziś na obiad specjalnością zakładu był półmisek berneński. Zdjąć łańcuchy?

– Dlaczego?

– Wyżej szosa jest oblodzona jeszcze bardziej niż tutaj.

– Do samej przełęczy?

– Przez przełęcz pan nie przejedzie. Od wczoraj znowu jest zamknięta. Takim niskim sportowym wozem nie ma pan najmniejszych szans.

– Nie? – powiedział Clerfayt. – Zaczynasz mnie intrygować.

– Pan mnie też – odparł chłopiec.

Gospoda była niewietrzona, poczuł zapach starego piwa i długiej zimy. Clerfayt zamówił peklowany udziec wołowy, chleb, ser i karafkę aigle. Poprosił kelnerkę, żeby mu przyniosła jedzenie na taras. Na zewnątrz było niezbyt zimno. Rozległe niebo miało barwę gencjany.

– Wziąć szlauch i opryskać trochę wózek? – spytał przez drogę chłopiec ze stacji benzynowej. – Cholernie by mu się to przydało.

– Nie trzeba. Przetrzyj tylko przednią szybę.

Samochód długo nie był myty i to było widać. Nawałnica za Aix zamieniła czerwony kurz nadbrzeżny z St. Raphael na pokrywie chłodnicy i błotnikach w batikową mozaikę; do tego doszły wapienne odpryski z kałuż na szosach środkowej Francji oraz błoto, którym ochlapywały karoserię tylne koła niezliczonych ciężarówek, kiedy je wyprzedzał. Po co właściwie przyjechałem tutaj? – rozmyślał Clerfayt. Na narty i tak jest już prawie za późno. Współczucie? Współczucie jest kiepskim towarzyszem podróży – i jeszcze gorszym jej celem. Dlaczego nie jadę do Monachium? Albo do Mediolanu? Ale co bym robił w Monachium? Albo w Mediolanie? Albo gdziekolwiek indziej? Jestem zmęczony, pomyślał. Zmęczony siedzeniem w jednym miejscu i zmęczony pożegnaniami. A może jestem tylko zmęczony koniecznością podejmowania decyzji? Ale na co właściwie miałbym się decydować? Dopił wino i wrócił do gospody.

Dziewczyna za kontuarem myła kieliszki. Wypchany łeb kozicy spoglądał nieruchomo szklanymi oczami ponad jej głową i Clerfaytem na reklamę jakiegoś zuryskiego browaru na

przeciwległej ścianie. Clerfayt wyciągnął z kieszeni płaską butelkę w skórzanym futerale.

– Czy może mi ją pani napełnić koniakiem?

– Courvoisier, rémy-martin, martell?

– Martell.

Dziewczyna zaczęła kieliszkiem odmierzać koniak. Do izby wkroczył kot i łasił się do nóg Clerfayta. Ten kazał sobie jeszcze podać dwie paczki papierosów i uregulował rachunek.

– Czy to kilometry? – spytał na zewnątrz chłopiec w czerwonym swetrze, wskazując prędkościomierz.

– Nie, mile.

Chłopiec zagwizdał z uznaniem.

– Więc co pan robi tu, w Alpach? Dlaczego, mając taki wózek, nie jest pan na autostradzie?

Clerfayt spojrzał na niego. Połyskujące szkła okularów, zadarty nos, pryszcze, odstające uszy – istota, która zamieniła akurat melancholię dzieciństwa na wszelkie błędy półdorosłości.

– Nie zawsze robi się to, co jest słuszne, mój synu – powiedział. – Nawet kiedy się o tym wie. Na tym może czasami polegać urok życia. Kapujesz?

– Nie – odparł chłopiec i pociągnął nosem. – Ale telefony pomocy drogowej znajdzie pan na całej długości przełęczy. Jeśli pan utknie, wystarczy zadzwonić. Ściągniemy pana. Tutaj jest nasz numer.

– Nie macie już bernardynów z buteleczkami gorzałki na szyi?

– Nie. Koniak jest za drogi, a psy zrobiły się zbyt cwane. Same wypijały alkohol. Do tego celu mamy teraz woły. Zdrowe woły do holowania pojazdów.

Chłopiec, błyskając szkłami okularów, wytrzymał spojrzenie Clerfayta, który rzekł w końcu:

– Ciebie tylko mi dzisiaj brakowało. Alpejski mądrala na wysokości tysiąca dwustu metrów! Może w dodatku nazywasz się Pestalozzi albo Lavater?

– Nie. Göring.

– Co?

– Göring. – Chłopiec pokazał uzębienie, w którym brakowało jednego siekacza. – Ale na imię mam Hubert.

– Jesteś spokrewniony z tym...

– Nie – przerwał mu Hubert. – My wywodzimy się z Göringów bazylejskich. Gdybym należał do tamtych, nie musiałbym tutaj tankować benzyny. Dostawalibyśmy grubą rentę.

Clerfayt milczał przez chwilę.

– Dziwny dzień – rzekł w końcu. – Kto by się tego spodziewał? Wszystkiego najlepszego, mój synu, w twoim dalszym życiu. Byłeś dla mnie niespodzianką.

– Pan dla mnie nie. Jest pan kierowcą wyścigowym, prawda?

– Dlaczego tak sądzisz?

Hubert Göring wskazał niemal zupełnie zmyty numer pod warstwą błota na pokrywie chłodnicy.

– Na dodatek jesteś detektywem! – Clerfayt wsiadł do samochodu. – Może jednak czym prędzej powinno się ciebie wsadzić za kratki, żeby uchronić ludzkość przed nowym nieszczęściem. Kiedy zostaniesz premierem, będzie już za późno.

Włączył silnik.

– Zapomniał pan zapłacić – oświadczył Hubert. – Czterdzieści dwa franusie.

Clerfayt podał mu pieniądze.

– Powiadasz, Hubert, że franusie! – powtórzył. – To mnie uspokaja. W kraju, gdzie pieniądze mają pieszczotliwe imię, nigdy nie będzie dyktatury.

W godzinę później samochód utknął na dobre. Kilka nawisów śnieżnych na zboczu oberwało się i zasypało jezdnię. Clerfayt mógł zawrócić i zjechać z powrotem w dolinę, ale nie miał ochoty na tak prędkie ponowne spotkanie z rybimi oczyma Huberta Göringa. Poza tym nie lubił zawracać. Tak więc cierpliwie siedział dalej w swoim aucie, palił papierosy, pił koniak, nasłuchiwał krakania wron i czekał na Boga.

Bóg zjawił się po pewnym czasie w postaci małego pługu śnieżnego. Clerfayt podzielił się z kierowcą resztką koniaku. Następnie ten ruszył przodem i zaczął wzbijać swą maszyną w górę tumany śniegu i odrzucać je na bok. Wyglądało to tak, jakby przy przepiłowywaniu ogromnego białego powalonego drzewa powstawało promieniste koło wiórów, które w świecącym ukośnie słońcu mieniły się wszystkimi barwami tęczy.

Dwieście metrów dalej szosa znów była czysta. Pług śnieżny zjechał na bok i samochód Clerfayta prześlizgnął się obok niego. Kierowca pługu pomachał mu na pożegnanie. Podobnie jak Hubert, nosił czerwony sweter i okulary. Dlatego Clerfayt, rozmawiając z nim wcześniej, trzymał się bezpiecznych tematów, jak śnieg i alkohol; dwóch Göringów w ciągu jednego dnia byłoby jednak trochę za wiele.

Hubert plótł bzdury; przełęcz nie była zamknięta. Samochód wspinał się teraz w szybkim tempie pod górę i nagle Clerfayt ujrzał daleko przed sobą dolinę, siną i łagodną o wczesnym

zmierzchu, a w niej wioskę z rozsypanymi niczym klocki domami o białych dachach, krzywą wieżą kościelną, lodowiskami, kilkoma hotelami i pierwszymi światłami w oknach. Następnie zjechał powoli zakrętami w dół. Gdzieś w dolinie, w jednym z sanatoriów, powinien mieszkać Hollmann, jego zmiennik, który przed rokiem zachorował. Lekarz stwierdził gruźlicę, lecz Hollmann śmiał się z tej diagnozy – czegoś takiego w epoce antybiotyków i penicyliny po prostu już nie było, a jeśli jeszcze było, to człowiek dostawał garść tabletek, parę zastrzyków i znów był zdrowy. Ale owe cudowne środki okazywały się niezupełnie takie wspaniałe i niezawodne, jak je wychwalano, zwłaszcza w przypadku ludzi, którzy dorastali w latach wojny i byli niedożywieni. Podczas Wyścigu Tysiąca Mil we Włoszech Hollmann tuż przed Rzymem dostał krwotoku i Clerfayt musiał go wysadzić w punkcie kontroli czasu. Lekarz obstawał przy tym, żeby wysłać go na parę miesięcy w góry. Hollmann się wściekał, ale w końcu ustąpił; tyle że z kilku miesięcy zrobił się tymczasem rok.

Nagle silnik zaczął się dławić. Świece, pomyślał Clerfayt, znowu świece! Tak się właśnie działo, kiedy podczas jazdy człowiek nie myślał o jeździe! Ostatni odcinek pochyłości przejechał z wyłączonym silnikiem, dopóki wóz nie zatrzymał się na równej drodze, i dopiero wtedy otworzył pokrywę silnika.

Chodziło, jak zawsze, o zaolejone świece drugiego i czwartego cylindra. Wykręcił je, przeczyścił, po czym wsadził na dawne miejsce i włączył rozrusznik. Teraz silnik funkcjonował i Clerfayt nacisnął parę razy ręką pedał gazu, żeby usunąć z cylindrów zbędny olej. Kiedy się wyprostował, ujrzał, że niespodziewany ryk silnika spłoszył konie przy saniach nadjeżdżających z drugiej

strony. Konie stanęły dęba i szarpiąc saniami, rwały w poprzek drogi w stronę auta. Wybiegł im naprzeciw, chwycił lewego konia za uzdę i przez chwilę pozwolił się wlec.

Po kilku skokach zwierzęta zatrzymały się. Dygotały na całym ciele, a łby otaczała chmura parującego oddechu. Ich wystraszony, błędny wzrok sprawiał wrażenie, jakby oczy należały do jakichś prehistorycznych stworzeń. Clerfayt ostrożnie puścił rzemienie. Konie stały dalej, parskając i pobrzękując dzwonkami. Spostrzegł, że nie są to zwykłe szkapy używane do ciągnięcia sań.

W saniach podniósł się wysoki mężczyzna w czarnej futrzanej czapce bez daszka i zaczął uspokajać zwierzęta. Obok niego siedziała młoda kobieta, która trzymała się kurczowo oparcia siedzenia. Miała opaloną twarz i bardzo jasne oczy.

– Bardzo mi przykro, że państwa przestraszyłem – powiedział Clerfayt. – Nie pomyślałem o tym, że konie tutaj nie są przyzwyczajone do aut.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę zajmował się końmi, po czym puścił cugle i obrócił się do niego bokiem.

– Nie są przyzwyczajone do aut, które robią taki hałas – oświadczył opryskliwie. – W każdym razie sanie potrafiłbym sam zatrzymać. Mimo to dziękuję, że chciał nas pan ratować.

Clerfayt podniósł wzrok. Ujrzał butną twarz, w której tlił się jeszcze ślad drwiny, jakby tamten uprzejmie naigrawał się z niego, że niepotrzebnie chciał się bawić w bohatera. Już dawno nikt mu tak nie podpadł od pierwszego wejrzenia.

– Nie zamierzałem ratować pana – odparł sucho – tylko własny samochód przed płozami pańskich sań.

– Mam nadzieję, że przy tej okazji nie ubrudził się pan bez potrzeby.

Mężczyzna zajął się na powrót końmi. Clerfayt przyjrzał się kobiecie. Pewnie dlatego, pomyślał. Sam chce pozostać bohaterem.

– Nie, nie ubrudziłem się – odrzekł powoli. – Do tego trzeba jednak czegoś więcej.

Sanatorium Bella Vista położone było na wzniesieniu powyżej wioski. Clerfayt zaparkował samochód na płaskim placu obok wejścia, gdzie stało już kilka sań. Wyłączył silnik i przykrył kocem maskę, żeby za bardzo nie ostygł.

– Clerfayt! – zawołał ktoś od strony wejścia.

Odwróciwszy się, ujrzał ku swojemu zdumieniu Hollmanna, który zbliżał się do niego. Sądził, że zastanie go w łóżku.

– Clerfayt! – zawołał Hollmann. – Czy to naprawdę ty?

– Najprawdziwszy, jak to tylko możliwe. A ty? Na nogach? Myślałem, że leżysz w łóżku.

Hollmann roześmiał się.

– Leżenie jest tutaj staroświeckie. – Poklepał Clerfayta po plecach i wlepił wzrok w samochód. – Wydawało mi się, że słyszę z dołu ryk Giuseppe, myślałem już, że to halucynacja. A potem zobaczyłem, jak się wspinacie pod górę. Co za niespodzianka! Skąd jedziesz?

– Z Monte Carlo.

– Coś takiego! – Hollmann nie mógł się uspokoić. – I w dodatku razem z Giuseppe, tym starym lwem! Myślałem już, że zapomnieliście o mnie!

Pogłaskał karoserię wozu. Jechał nim w ładnych paru wyścigach. W nim także miał swój pierwszy ciężki krwotok.

– To jeszcze Giuseppe, nieprawdaż? Nie jego młodszy brat?

– To Giuseppe. Ale już nie bierze udziału w wyścigach. Odkupiłem go od fabryki. Jest teraz na emeryturze.

– Tak jak ja.

Clerfayt podniósł wzrok.

– Ty nie jesteś na emeryturze, tylko na urlopie.

– Cały rok! To już nie jest urlop. Ale wejdźmy do środka. Musimy uczcić to spotkanie! Co pijesz? W dalszym ciągu wódkę?

Clerfayt skinął głową.

– A macie tu aby wódkę?

– Dla gości jest wszystko. To nowoczesne sanatorium.

– Takie też odniosłem wrażenie. Wygląda na hotel.

– Na tym między innymi polega leczenie. Nowoczesna terapia. Nie jesteśmy już pacjentami, tylko kuracjuszami. Słowa takie jak „choroba" i „śmierć" są tabu. Po prostu się je ignoruje. Psychologia stosowana. Bardzo praktyczna dla morale, lecz ludzie mimo to umierają. Co porabiałeś w Monte Carlo? Jechałeś w rajdzie?

– Owszem. Nie czytasz już wiadomości sportowych?

Hollmann zmieszał się na chwilę.

– Z początku nawet czytałem. Potem przestałem. Idiotyczne, prawda?

– Przeciwnie, bardzo rozsądne. Zaczniesz czytać, kiedy znów będziesz jeździł.

– Tak – powiedział Hollmann. – Kiedy znów będę jeździł. I kiedy wygram wielki los na loterii. Z kim jechałeś w rajdzie?

– Z Torrianim.

Ruszyli w stronę wejścia. Zbocza były czerwone od zachodzącego słońca. Narciarze śmigali przez ten blask niczym czarne

przecinki.

– Ładnie tutaj – zauważył Clerfayt.

– Owszem, ładne więzienie.

Clerfayt nie odpowiedział. Znał inne więzienia.

– Zawsze teraz jeździsz z Torrianim? – spytał Hollmann.

– Nie. Raz z jednym, raz z drugim. Czekam na ciebie. – Nie powiedział prawdy. Od pół roku Clerfayt jeździł z Torrianim we wszystkich wyścigach samochodów sportowych. Ale ponieważ Hollmann nie czytał wiadomości sportowych, było to wygodne kłamstwo.

Podziałało zresztą na Hollmanna jak wino. Na jego czole pojawiła się nagle cienka strużka kropel potu.

– Zwojowałeś coś w rajdzie? – zapytał.

– Nic. Spóźniliśmy się.

– Skąd jechaliście?

– Z Wiednia. To był poroniony pomysł. Każdy sowiecki patrol zatrzymywał nas po drodze. Wszyscy myśleli, że chcemy porwać Stalina albo że podłożyliśmy gdzieś dynamit. Wcale zresztą nie chciałem wygrać, tylko wypróbować nowy wóz. Ależ oni tam mają drogi w tej strefie rosyjskiej. Jakby z epoki lodowcowej.

Hollmann roześmiał się.

– To była zemsta Giuseppe! A gdzie jeździłeś przedtem?

Clerfayt uniósł rękę.

– Napijmy się czegoś. I wyświadcz mi pewną przysługę: przez pierwsze dni rozmawiajmy o wszystkim, tylko nie o wyścigach i automobilach!

– Ależ Clerfayt! O czym więc będziemy rozmawiać?

– Tylko przez parę dni.

– Co jest grane? Czy coś się stało?

– Nie, nic. Po prostu jestem zmęczony. Chciałbym odpocząć i przez parę dni nie słyszeć o tej cholernej idiotycznej zabawie, kiedy ludzie ścigają się w kółko na zbyt szybkich maszynach. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Naturalnie – powiedział Hollmann. – Ale co jest grane? Co się stało?

– Nic – odparł zniecierpliwiony Clerfayt. – Po prostu jestem przesądny, jak każdy inny. Mój kontrakt się kończy i nie został jeszcze odnowiony. Nie chcę wywoływać wilka z lasu. To wszystko.

– Clerfayt, kto się rozbił?

– Ferrer. W dziecinnie łatwym, gównianym wyścigu na wybrzeżu.

– Trup?

– Jeszcze nie. Ale amputowano mu nogę. A ta zwariowana baba, która włóczyła się z nim od wyścigu do wyścigu, fałszywa baronowa, nie chce go teraz widzieć. Siedzi w kasynie i beczy. Nie chce kaleki. A teraz chodź, postawisz mi wódkę. Resztka mojego koniaku zniknęła w paszczy kierowcy pługu śnieżnego, który ma więcej rozumu niż my; jego wóz nie przekracza nigdy pięciu kilometrów na godzinę.

Siedzieli w holu przy małym stoliku obok okna. Clerfayt rozglądał się dookoła.

– Czy to wszystko chorzy?

– Nie. Są również zdrowi odwiedzający chorych.

– Naturalnie! Tylko ci o bladych twarzach to chorzy?

Hollmann roześmiał się.

– To są akurat zdrowi. A są bladzi, bo przyjechali całkiem niedawno. Natomiast ci opaleni jak sportowcy to chorzy, którzy przebywają tutaj już od dawna.

Kelnerka przyniosła szklankę soku pomarańczowego dla Hollmanna i małą karafkę wódki dla Clerfayta.

– Jak długo zamierzasz zostać? – spytał Hollmann.

– Kilka dni. Gdzie mógłbym zamieszkać?

– Najlepiej w Palace Hotel. Mają tam dobry bar.

Clerfayt spojrzał na sok pomarańczowy.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Chodzimy tam, kiedy od czasu do czasu udaje nam się stąd urwać.

– Urwać?

– Tak, czasem nocą, kiedy chcemy się czuć zdrowi. To wprawdzie zabronione, ale lepiej już mieć kaca, niż prowadzić bezskuteczne dyskusje z Bogiem, dlaczego człowiek jest chory. – Hollmann wyciągnął z kieszeni na piersi płaską butelkę i dolał do swojej szklanki odrobinę alkoholu. – To gin – wyjaśnił. – Też pomaga.

– Nie wolno wam pić? – spytał Clerfayt.

– Nie ma całkowitego zakazu, ale tak jest prościej. – Hollmann schował z powrotem butelkę do kieszeni. – Tu na górze trochę się dziecinnieje.

Przed wejściem zatrzymały się sanie. Clerfayt spostrzegł, że to te same, które spotkał na szosie. Wysiadł z nich mężczyzna w czarnej futrzanej czapce.

– Wiesz, kto to jest? – spytał Clerfayt.

– Ta kobieta?

– Nie, mężczyzna.

– Pewien Rosjanin. Nazywa się Borys Wołkow.

– Biały Rosjanin?

– Tak. Ale dla urozmaicenia nie jest to żaden wcześniejszy wielki książę ani nie jest biedny. Jego ojciec podobno we właściwym czasie otworzył konto w Londynie i w niewłaściwym czasie był w Moskwie; został rozstrzelany. Żonie i synowi udało się wydostać. Ona miała podobno wszyte w gorsecie szmaragdy wielkości orzechów. W 1917 roku noszono jeszcze gorsety.

Clerfayt roześmiał się.

– Jesteś prawdziwym biurem detektywistycznym! Skąd wiesz to wszystko?

– Tu ludzie prędko wiedzą o sobie wszystko – odparł Hollmann z odcieniem goryczy w głosie. – Za dwa tygodnie, kiedy skończy się sezon narciarski, wioska znów będzie przez resztę roku zwykłym plotkarskim grajdołkiem.

Za nimi przeciskała się między stolikami grupa ubranych na czarno ludzi niewielkiego wzrostu, którzy żywo rozmawiali ze sobą po hiszpańsku.

– Jak na małą wioskę towarzystwo wydaje się dosyć międzynarodowe – zauważył Clerfayt.

– Bo takie jest. Śmierć w dalszym ciągu nie jest szowinistką.

– Tego nie byłbym już taki pewny. – Clerfayt rzucił okiem w kierunku drzwi. – Czy to żona tego Rosjanina?

Hollmann obejrzał się za siebie.

– Nie.

Rosjanin i kobieta weszli do środka.

– Czyżby ci dwoje też byli chorymi? – spytał Clerfayt.

– Owszem. A nie wyglądają na takich, prawda?

– Nie.

– Często tak jest. Przez jakiś czas człowiek wygląda kwitnąco. Potem już nie, ale wtedy przestaje też pokazywać się publicznie.

Rosjanin i kobieta zatrzymali się przy drzwiach. Mężczyzna usilnie coś perswadował. Wysłuchała go, po czym gwałtownie potrząsnęła głową i prędko przeszła do położonej w głębi części holu. Mężczyzna patrzył za nią i odczekał chwilę, a następnie wyszedł i wsiadł do sań.

– Chyba się pokłócili – stwierdził Clerfayt nie bez satysfakcji.

– Takie sceny zdarzają się tutaj co chwila. Po pewnym czasie każdy trochę wariuje. Psychoza obozu jenieckiego. Proporcje przesuwają się; drobnostki nabierają wagi, a rzeczy ważne stają się drugorzędne.

Clerfayt przyjrzał się Hollmannowi z uwagą.

– U ciebie też?

– U mnie też. Nie można ciągle gapić się w jeden punkt.

– Tych dwoje też mieszka tutaj?

– Kobieta; mężczyzna mieszka poza sanatorium.

Clerfayt wstał od stolika.

– Pojadę teraz do hotelu. Gdzie moglibyśmy razem zjeść kolację?

– Tutaj. Mamy jadalnię, w której wolno podejmować gości.

– Dobrze. O której?

– O siódmej. O dziewiątej muszę być w łóżku. Jak w internacie.

– Jak w wojsku – rzekł Clerfayt. – Albo przed wyścigiem. Pamiętasz, jak w Mediolanie kierownik naszej ekipy zapędzał nas do hotelu jak kury na grzędę.

Twarz Hollmanna rozjaśniła się.

– Gabrielli? Jest jeszcze w interesie?

– Naturalnie. Co takiemu może się przytrafić? Kierownicy ekip umierają w łóżku – jak generałowie.

Wróciła kobieta, która weszła z Rosjaninem. Przy wyjściu zatrzymała ją jakaś siwowłosa niewiasta, która cicho rzekła coś do niej ostrym tonem. Kobieta nie odpowiedziała i odwróciła się. Przez chwilę stała niezdecydowana, w końcu zobaczyła Hollmanna i podeszła do niego.

– Krokodyl nie chce mnie już wypuścić. Twierdzi, że nikt mi nie zezwolił na wyjazd. I że będzie musiał donieść na mnie Dalajlamie, jeżeli jeszcze raz spróbuję...

Nagle urwała.

– Lillian, to jest Clerfayt – rzekł Hollmann. – Opowiadałem pani o nim. Przyjechał niespodziewanie.

Kobieta skinęła głową. Zdawała się nie rozpoznawać Clerfayta i zwróciła się ponownie do Hollmanna.

– Ona twierdzi, że powinnam położyć się do łóżka – powiedziała ze złością. – Tylko dlatego, że parę dni temu miałam trochę gorączki. Ale ja nie dam się zamknąć. Nie dziś wieczór! Zostajecie, panowie, na górze?

– Tak. Zjemy kolacje w Przedpieklu.

– Ja też przyjdę.

Skinęła głową Clerfaytowi i Hollmannowi i ruszyła z powrotem w głąb holu.

– Wszystko to wydaje ci się pewnie w tybetańskim stylu – rzekł Hollmann. – Przedpieklem nazywa się tutaj pomieszczenie, w którym wolno przebywać gościom. Dalajlama to naturalnie profesor, Krokodyl to siostra przełożona...

– A ta kobieta?

– Nazywa się Lillian Dunkerque. Belgijka z matki Rosjanki. Rodzice nie żyją.

– Dlaczego tak się denerwuje z powodu byle głupstwa?

Hollmann wzruszył ramionami. Nagle wydawał się zmęczony.

– Już ci mówiłem, że wszyscy tutaj trochę wariują. Zwłaszcza kiedy ktoś umiera.

– Czy ktoś ostatnio umarł?

– Tak, jej przyjaciółka. Wczoraj, tu w sanatorium. Ludzi to właściwie nie obchodzi, ale zawsze razem z nieboszczykiem coś umiera. Prawdopodobnie trochę nadziei.

– Owszem – zgodził się Clerfayt. – Ale tak jest wszędzie.

Hollmann skinął głową.

– Tutaj zaczynają umierać, kiedy się robi wiosna. Częściej niż w zimie. Ciekawe, nieprawdaż?

2

Górne kondygnacje sanatorium nie wyglądały już na hotel; były szpitalem. Lillian Dunkerque zatrzymała się przed drzwiami pokoju, w którym zmarła Agnes Somerville. Usłyszawszy ze środka jakieś dźwięki i głosy, otworzyła drzwi.

Trumna została już wyniesiona. Okna były otwarte, a dwie sprzątaczki szorowały właśnie pokój. Woda z plaśnięciem uderzała o podłogę, pomieszczenie wypełniał zapach lizolu i mydła, meble były poodwracane, a jaskrawe światło elektryczne wciskało się w każdy kąt.

Lillian sądziła nawet przez chwilę, że trafiła do niewłaściwego pokoju. Potem jednak zobaczyła rzuconego na szafę małego pluszowego misia, który był maskotką zmarłej.

– Już ją zabrano? – zapytała.

Jedna ze sprzątaczek podniosła głowę

– Przeniesiono ją do numeru siódmego. Musimy tutaj posprzątać. Jutro rano przyjedzie już jakaś nowa.

– Dziękuję.

Lillian zamknęła drzwi. Znała numer siódmy; był to mały pokój obok windy bagażowej. Przenoszono do niego zmarłych, bo

stamtąd łatwo można ich było zwieźć w nocy windą na dół. Jak walizki, pomyślała Lillian. A ostatnie ślady po nich zmywano mydłem i lizolem.

W pokoju numer siedem nie paliło się światło. Zabrano także świece. Trumna była już zamknięta. Nasadzono wieko, zakrywając szczupłą twarz i błyszczące rude włosy, a następnie przymocowano pokrywę śrubami. Wszystko było gotowe do transportu. Kwiaty zdjęto z trumny; leżały na stoliku obok, zawinięte w kawałek ceraty. W ceracie były metalowe kółka z przewleczonymi przez nie sznurkami, dzięki czemu kwiaty dawało się nieść w jednej ręce. Obok leżały wieńce, powkładane jeden w drugi jak kapelusze w sklepie kapeluszniczym. Zasłony były niezasunięte, okna otwarte na oścież. W pokoju panował ostry chłód. Do środka zaglądał księżyc.

Lillian przyszła tutaj, żeby raz jeszcze zobaczyć zmarłą. Okazało się, że przyszła za późno. Nikt nigdy już nie zobaczy bladej twarzy i błyszczących włosów, które były kiedyś Agnes Somerville. Tej nocy po kryjomu zwiozą trumnę na dół i przetransportują ją saniami do krematorium. Tam w nagłym strumieniu ognia zacznie się palić, rude włosy raz jeszcze zatrzeszczą i sypną iskrami, sztywne ciało w płomieniach raz jeszcze się podniesie, jakby na powrót ożyło – a potem wszystko opadnie, zamieniając się w popiół i niebyt, i kilka bladych wspomnień.

Lillian spojrzała na trumnę. Gdybyż to jeszcze żyła! – pomyślała nagle. Czy nie mogłoby się zdarzyć, żeby raz jeszcze wróciła do siebie w tej koszmarnej skrzyni? Czy czasami już tak nie bywało? Kto zresztą wiedział, jak często się to zdarzało?

Znane były nieliczne przypadki, kiedy ratowano ludzi z letargu, ale wiadomo to, ilu takich, co udusili się bez słowa, nigdy nie odkryto? Czy to niemożliwe, żeby Agnes Somerville próbowała teraz, właśnie teraz, krzyczeć w ciasnej ciemności szeleszczącego jedwabiu, z zaschniętym gardłem, nie będąc w stanie wydać żadnego dźwięku? Chyba zwariowałam, pomyślała Lillian; co za myśli przychodzą mi do głowy? Nie powinnam była tu przychodzić! Dlaczego to zrobiłam? Z jakiegoś sentymentalnego porywu? Z powodu zamętu w mojej głowie? Czy z tej przerażającej ciekawości, żeby raz jeszcze wpatrzeć się w czyjąś martwą twarz niczym w jakąś przepaść, z której mimo wszystko może uda się jeszcze wydrzeć odpowiedź? Światło, pomyślała, muszę zapalić światło!

Wróciła do drzwi; nagle jednak zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Wydało jej się, że usłyszała jakiś szelest, bardzo cichy, ale wyraźny, jakby paznokcie drapały jedwab. Szybko przekręciła kontakt. Ostre światło nieosłoniętej żarówki pod sufitem w jednej chwili odpędziło noc, księżyc i przerażenie! Słyszę duchy, pomyślała. To była moja własna sukienka! Moje własne paznokcie. A nie zmęczona, dogasająca resztka życia, która drgnęła w martwym ciele.

Ponownie wlepiła wzrok w trumnę, stojącą teraz w jaskrawym świetle żarówki. Nie – w tej czarnej polerowanej skrzyni z uchwytami z brązu nie było już życia. Przeciwnie – zamknięta w niej była najmroczniejsza groźba, jaką zna ludzkość. Nie leżała już w niej nieruchomo, z zastygłą krwią i rozdętymi płucami jej przyjaciółka Agnes Somerville, nie było to także woskowe odbicie człowieka, w którym zamknięte soki zaczynały powoli rozkładać

ciało – nie, w tej skrzyni czyhała jedynie absolutna pustka, cień pozbawiony cienia, niepojęta pustka z wiecznym głodem innej pustki, która mieszkała i rosła w każdym stworzeniu, która przychodziła na świat wraz z każdym człowiekiem, która była także w niej, Lillian Dunkerque, i rosła w milczeniu, dzień po dniu wyżerała z niej życie, aż w końcu zostanie ona, a powłokę życia podobnie jak tę tutaj zapakuje się do czarnego pudła niczym odpadki przeznaczone na śmietnik.

Sięgnęła ręką za siebie, szukając klamki. W chwili, kiedy jej dotknęła, klamka w jej dłoni gwałtownie się przekręciła. Wydała stłumiony okrzyk. Drzwi otworzyły się. Przed Lillian stanął zaskoczony posługacz i wytrzeszczył oczy.

– Co się dzieje? – wyjąkał. – Skąd się tu pani wzięła? – Popatrzył mimo niej w głąb pokoju, gdzie zasłony trzepotały w przeciągu. – Przecież było zamknięte! Jak weszła pani do środka? Gdzie jest klucz?

– Nie było zamknięte.

– W takim razie ktoś musiał... – Posługacz spojrzał na drzwi. – A, jest w zamku! – Przetarł ręką czoło. – Wie pani, przez chwilę myślałem... – Wskazał trumnę. – Myślałem, że to pani i że...

– To przecież ja – szepnęła Lillian.

– Co?

– Nic.

Mężczyzna postąpił krok w głąb pokoju.

– Nie rozumie mnie pani. Myślałem, że pani jest tą zmarłą! Coś takiego! A przeszedłem już w życiu niejedno! – Zaśmiał się. – To się nazywa strach nocną porą! Co pani tutaj właściwie robi? Numer osiemnaście dawno już został zakręcony.

– Kto?

– Numer osiemnaście. Nazwiska nie znam. Nie jest zresztą potrzebne. Kiedy przyjdzie na kogoś kryska, nie pomoże mu najładniejsze imię. – Posługacz wyłączył światło i zamknął drzwi. – Proszę się cieszyć, panienko, że to nie pani – powiedział dobrodusznie.

Lillian wygrzebała z torebki monetę.

– To mała rekompensata za strach, którego panu napędziłam.

Posługacz zasalutował i potarł dłonią szczeciniasty zarost.

– Serdeczne dzięki! Podzielę się z kolegą. Po takim smutnym zajęciu piwo z żytkiem zawsze smakuje nad podziw. Proszę sobie nie brać tego zbytnio do serca, panienko. Kiedyś wszyscy będziemy musieli w to uwierzyć.

– Tak – odparła Lillian. – Jest w tym pewna pociecha. Naprawdę cudowna pociecha, nieprawdaż?

Stała w swoim pokoju. Centralne ogrzewanie brzęczało. Paliły się wszystkie lampy. Jestem wariatką, pomyślała. Boję się nocy. Boję się samej siebie. Co mam robić? Mogę wziąć środek nasenny i zostawić światło zapalone. Mogę zadzwonić do Borysa i z nim porozmawiać. Wyciągnęła rękę w kierunku telefonu, ale nie podnosiła słuchawki. Wiedziała, co by jej powiedział. Wiedziała też, że Borys ma rację. Człowiek posiada tę odrobinę rozumu, by uświadamiać sobie, że nie może żyć wyłącznie według jego zasad. Żyje się uczuciami – a wówczas żadne racje nie zdają się na nic.

Przycupnęła na fotelu przy oknie. Mam dwadzieścia cztery lata, pomyślała, tyle samo, co Agnes. Jestem tu na górze od czterech lat. Wcześniej przez prawie sześć lat była wojna. Co ja poznałam z życia? Zniszczenia, ucieczkę z Belgii, łzy, strach, śmierć

rodziców, głód, a potem chorobę spowodowaną przez głód i ucieczkę. Wcześniej byłam dzieckiem. Ledwo pamiętam, jak musiały wyglądać miasta nocą w czasach pokoju. Tysiące świateł i promienny świat na ulicach – co ja z tego jeszcze pamiętam? Znam tylko zaciemnienia i deszcz bomb z nieba, na którym nie było żadnych świateł, a potem okupację i strach, i kryjówki, i chłód. Szczęście? Jakże skurczyło się to nieskończone słowo, które tak błyszczało kiedyś w marzeniach! Szczęściem był już nieogrzewany pokój, bochenek chleba, piwnica, miejsce, które nie znajdowało się pod obstrzałem. Później przyszło sanatorium. Nieruchomym wzrokiem patrzyła przez okno. Na dole, obok wejścia dla dostawców i służby, stały sanie. Może przyjechały już po Agnes Somerville. Przed rokiem weszła roześmiana z futrami i bukietem kwiatów głównym wejściem do sanatorium; teraz opuszczała budynek ukradkiem, wejściem dla służby, jakby nie zapłaciła rachunku. Sześć tygodni temu układała jeszcze z Lillian plany wyjazdu. Wyjazdu-widma, wyjazdu-fatamorgany, który nigdy nie doszedł do skutku.

Zadzwonił telefon. Wahała się chwilę, lecz podniosła słuchawkę.

– Tak, Borysie. – Słuchała uważnie. – Tak, Borys. Tak, jestem rozsądna... tak, wiem, że dużo więcej ludzi umiera na zawał serca i raka... czytałam statystyki, tak, Borysie... wiem, że tak nam się tylko wydaje, bo żyjemy tu, na górze, tak blisko ze sobą... tak, wielu zostaje wyleczonych, tak, tak... nowe środki, tak, Borysie, jestem rozsądna, z pewnością... nie, nie przyjeżdżaj... tak, kocham cię, Borysie, naturalnie...

Odłożyła słuchawkę.

– Rozsądna – szepnęła do siebie, wpatrując się w lustro, z którego wpatrywała się w nią jej twarz, obca, obcymi oczyma – ...rozsądna!

Mój Boże, pomyślała, o wiele za długo byłam rozsądna! I po co? Żeby zostać numerem dwudziestym albo trzydziestym w pokoju numer siedem obok windy bagażowej. Czymś zamkniętym w czarnej skrzyni, przed czym człowiekowi włos jeży się na głowie?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Przed nią była ciemna, niekończąca się noc, pełna paniki i nudy, owej przerażającej mieszanki będącej znakiem rozpoznawczym wszystkich sanatoriów – paniki przed chorobą i nudy reglamentowanej egzystencji, które razem stawały się nie do zniesienia, ponieważ ów kontrast prowadził jedynie do intensywnego uczucia zupełnej bezradności.

Lillian wstała. Teraz byle tylko nie zostawać sam na sam ze sobą! Na dole powinno być jeszcze parę osób – przynajmniej Hollmann i jego gość.

W jadalni oprócz Hollmanna i Clerfayta siedziało jeszcze troje Latynosów, dwóch mężczyzn i dosyć tęga, niewysoka kobieta. Wszyscy troje ubrani byli na czarno; wszyscy troje milczeli. Przypominali małe czarne pagórki, siedząc pośrodku pomieszczenia pod jasną lampą.

– Przyjechali z Bogoty – wyjaśnił Hollmann. – Zatelegrafowano po nich. Córka mężczyzny w rogowych okularach była umierająca. Ale odkąd oni są tutaj, dziewczynie nagle się polepszyło. Teraz nie wiedzą, co robić: wracać czy zostać tutaj.

– Przecież matka mogłaby zostać, a tamci wrócić?

– Ta gruba kobieta nie jest matką, tylko macochą. To ona ma pieniądze, za które żyje tutaj Manuela. Właściwie żadne nie chce zostać, nawet jej ojciec. W Ameryce prawie zapomnieli o dziewczynie. Regularnie przysyłali czeki, sami żyli w Bogocie, a Manuela tutaj – od pięciu lat – i raz na miesiąc pisała do nich list. Ojciec i macocha od dawna mają dzieci, których Manuela nie zna. Wszystko było dobrze – dopóki nie zachciało jej się umierać. Wtedy oczywiście musieli przylecieć, choćby z uwagi na reputację. Żona nie chciała puścić męża samego. Jest starsza od niego i zazdrosna i wie, że jest za gruba. Żeby się czuć pewniej, wzięła ze sobą brata. W Bogocie i bez tego opowiadano o niej, że wypchnęła Manuelę z domu; teraz chce pokazać, że ją kocha. A więc nie jest to tylko kwestia zazdrości, ale i prestiżu. Gdyby wróciła sama, znów dostałaby się na ludzkie języki. Dlatego siedzą tutaj i czekają.

– A Manuela?

– Ojciec i macocha zaraz po przyjeździe bardzo ją kochali, bo miała przecież umrzeć lada godzina. Biedna Manuela, która nigdy nie zaznała miłości, tak była tym uszczęśliwiona, że zaczęła wracać do sił. Teraz jednak rodzice tracą już cierpliwość. Poza tym z każdym dniem robią się coraz grubsi, bo trapi ich jakiś nerwowy głód i wciąż opychają się słynnymi miejscowymi słodyczami. Za tydzień będą już Manueli nienawidzić, bo nie śpieszy jej się na tamten świat.

– Albo przyzwyczają się do wioski, kupią cukiernię i osiedlą się tutaj – rzekł Clerfayt.

Hollmann roześmiał się.

– Masz makabryczną wyobraźnię.

– Przeciwnie. Mam tylko makabryczne doświadczenia. Ale skąd ty to wszystko wiesz?

– Już ci mówiłem, że tutaj nikt nie ma tajemnic. Siostra Cornelia Wehrli mówi po hiszpańsku i jest powiernicą macochy.

Trzy czarne postacie podniosły się od stolika. Nie zamieniły ze sobą słowa. Uroczyście, z godnością kroczyły jedna za drugą do drzwi.

Zderzyły się niemal z Lillian Dunkerque, która wpadła do jadalni z takim impetem, że gruba kobieta przestraszyła się i z wysokim ptasim piskiem usunęła się na bok. Lillian podeszła spiesznym krokiem do stolika Hollmanna i Clerfayta i dopiero wtedy obejrzała się za kobietą.

– Dlaczego ona wrzeszczy? – szepnęła. – Przecież nie jestem duchem! A może jednak już jestem? – Zaczęła szukać lusterka. – Dziś wieczór, jak się zdaje, potrafię każdego przestraszyć.

– Kogo jeszcze? – spytał Hollmann.

– Posługacza.

– Co? Józefa?

– Nie, tego drugiego, który pomaga Józefowi. Wie pan, tego...

Hollmann przytaknął.

– Nas pani nie przestraszy, Lillian.

Schowała lusterko do torebki.

– Był już tutaj Krokodyl?

– Nie, ale lada chwila powinien nadejść i nas wyrzucić. Jest punktualny jak pruski feldfebel.

– Józef ma służbę przy drzwiach dzisiaj w nocy. Zasięgnęłam informacji. Możemy się wymknąć. Pójdzie pan?

– Dokąd? Do Palace Bar?

– Gdzieżby indziej?

– W Palace Bar nic się nie dzieje – wtrącił Clerfayt. – Właśnie stamtąd przyszedłem.

– Dla nas dzieje się zawsze wystarczająco wiele – zaśmiał się Hollmann. – Nawet jeśli nie ma tam żywej duszy. Ledwo wyściubimy nos poza sanatorium, wszystko jest dla nas podniecające. Tutaj ludzie robią się skromni.

– Teraz możemy się prześlizgnąć – powiedziała Lillian Dunkerque. – Oprócz Józefa nikt nie pilnuje wyjścia. Drugi posługacz jest na razie zajęty.

Hollmann wzruszył ramionami

– Mam lekką gorączkę, Lillian. Niespodziewanie, dzisiaj wieczór – diabli wiedzą, skąd się wzięła! Może dlatego, że zobaczyłem znowu brudny sportowy wóz Clerfayta.

Do sali weszła sprzątaczka i zaczęła wstawiać krzesełka na stoły, żeby wytrzeć podłogę.

– Czasami urywaliśmy się też z gorączką – zauważyła Lillian.

Hollmann spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Wiem. Ale dzisiaj nie, Lillian.

– Także z powodu brudnego sportowego wozu?

– Być może. A co z Borysem? Nie przyłączy się?

– Borys sądzi, że śpię. Dziś po południu raz już go zmusiłam, żeby mnie wziął na przejażdżkę. Drugi raz tego nie zrobi.

Sprzątaczka rozsunęła zasłony. Przed oknem stanął nagle potężny i wrogi krajobraz – zalane księżycem zbocza, czarny las, śnieg. W porównaniu z nim troje ludzi sprawiało wrażenie zagubionych. Sprzątaczka zaczęła gasić kinkiety. Z każdym

gaszonym światłem krajobraz zdawał się przybliżać o krok do ludzi w jadalni.

– A oto i Krokodyl – rzekł Hollmann.

W drzwiach stała siostra przełożona. Uśmiechnęła się silnymi zębami i zimnymi oczyma.

– Nocne marki, jak zwykle! Kończymy, proszę państwa! – Nie skomentowała nawet słowem faktu, że Lillian Dunkerque jest jeszcze na nogach. – Kończymy – powtórzyła. – Do łóżek! Do łóżek! Jutro też będzie dzień!

Lillian wstała.

– Jest pani tego taka pewna?

– Całkowicie pewna – odparła siostra przełożona deprymująco pogodnym tonem. – Środek nasenny dla pani leży na nocnym stoliku, miss Dunkerque. Będzie pani spoczywać niczym w objęciach Morfeusza!

– Niczym w objęciach Morfeusza! – powtórzył Hollmann z odrazą, kiedy odeszła. – Krokodyl jest królową oklepanych powiedzonek. Dziś wieczór była jeszcze łaskawa. Dlaczego te policjantki stojące na straży zdrowia muszą traktować każdego, kto trafi do szpitala, z taką potworną wyrozumiałą wyższością, jakby był dzieckiem albo kretynem?

– To zemsta za to, czym muszą się zajmować zawodowo – odparła złośliwie Lillian. – Gdyby nie to, kelnerzy i pielęgniarki umieraliby na kompleks niższości.

Stali w holu naprzeciwko windy.

– Dokąd się pan teraz wybiera? – spytała Lillian Clerfayta.

Spojrzał na nią.

– Do Palace Bar.

– Zabierze mnie pan ze sobą?

Zawahał się chwilę. Miał pewne doświadczenia z ekscentrycznymi Rosjankami. Również z półkrwi Rosjankami. Ale potem przypomniał sobie scenę z saniami i wyniosłą minę Wołkowa.

– Czemu nie – powiedział.

Uśmiechnęła się bezradnie.

– Czy to nie smutne? Prosi się o odrobinę wolności niczym jakiś pijaczyna nieprzystępnego barmana o ostatni kieliszek. Czy to nie żałosne?

Clerfayt pokręcił głową.

– Wystarczająco często sam to robiłem.

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz.

– Pan? – spytała. – Dlaczego akurat pan?

– Każdy ma swoje powody. Nawet kamień. Gdzie mam na panią czekać? Chyba że od razu pójdzie pani ze mną?

– Nie. Musi pan wyjść przez główne wejście, którego pilnuje Krokodyl. Proszę potem zejść pierwszą serpentyną, wziąć tam sanie i podjechać z prawej strony na tyły sanatorium pod wejście dla dostawców i służby. Tamtędy wyjdę z budynku.

– Dobrze.

Lillian wsiadła do windy. Hollmann zwrócił się do Clerfayta:

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że nie pojadę z wami dziś wieczór?

– Oczywiście, że nie. Jutro przecież jeszcze nie wyjeżdżam.

Hollmann spojrzał na niego badawczo.

– A Lillian? Wolałbyś zostać sam?

– W żadnym wypadku. Kto by zresztą chciał zostawać sam?

Clerfayt przeciął pusty hol i wyszedł na zewnątrz. Przy drzwiach paliło się jeszcze tylko małe światło. Przez duże okna padał na podłogę w postaci szerokich rombów blask księżyca. Obok drzwi stał Krokodyl.

– Dobranoc – rzekł Clerfayt.

– *Good night* – odpowiedziała, nie wiedzieć czemu przechodząc nagle na angielski.

Ruszył serpentynami w dół, aż w końcu znalazł sanie.

– Mógłby pan podnieść budę? – spytał woźnicę.

– Dziś wieczór? Przecież nie jest już wcale tak zimno!

Clerfayt nie chciał sadzać Lillian w odkrytych saniach, ale nie miał też ochoty wynajdywać jakichś argumentów.

– Dla pana może nie, ale dla mnie jest. Przyjechałem właśnie z Afryki – odparł. – Może więc pan zasłonić sanie?

– To co innego. – Woźnica zgramolił się z kozła i zaciągnął budę. – Może być tak?

– Bardzo dobrze. A teraz proszę podjechać pod sanatorium Bella Vista – pod wejście od tyłu.

Lillian Dunkerque czekała. Narzuciła na siebie cienkie czarne brajtszwance. Clerfayt nie zdziwiłby się, gdyby przyszła w samej sukni wieczorowej bez płaszcza.

– Wszystko poszło jak z płatka – szepnęła. – Mam klucz Józefa. Dostanie za to butelkę wiśniówki.

Clerfayt pomógł jej wsiąść do sań.

– Gdzie pański samochód? – zapytała.

– W myjni.

Kiedy sanie przejeżdżały obok głównego wejścia do sanatorium, odchyliła się do tyłu, w głąb ciemnej budy.

– Dziś wieczór nie przyjechał pan na górę swoim wozem ze względu na Hollmanna? – zapytała po chwili.

Spojrzał na nią.

– Dlaczego ze względu na Hollmanna?

– Żeby go nie widział. Żeby oszczędzać przyjaciela.

Tak rzeczywiście było. Clerfayt zauważył, że widok Giuseppe wprawił Hollmanna w zbyt silne podniecenie.

– Nie – odpowiedział. – Po prostu wóz musiał być jak najprędzej umyty.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Proszę mnie też poczęstować – powiedziała Lillian.

– Wolno pani palić?

– Oczywiście – odparła tak ostrym tonem, że natychmiast domyślił się, że to nieprawda.

– Mam tylko gauloise'y. Czarny mocny tytoń Legii Cudzoziemskiej.

– Znam ten gatunek. Paliliśmy je w czasie okupacji.

– W Paryżu?

– W pewnej piwnicy w Paryżu.

Podał jej ogień.

– Skąd pan przyjechał? – zapytała. – Z Monte Carlo?

– Nie, z Vienne.

– Vienne? W Austrii?

– Vienne niedaleko Lyonu. Na pewno go pani nie zna. To zaspane miasteczko, które jest sławne tylko dlatego, że posiada jedną z najlepszych restauracji we Francji – w Hôtel de Pyramide.

– Przyjechał pan przez Paryż?

– Wtedy nadłożyłbym za dużo drogi. Paryż leży o wiele dalej na północ.

– Więc którędy pan jechał?

Clerfayt zdziwił się, dlaczego chciała to wiedzieć tak dokładnie.

– Zwykłą trasą – powiedział. – Przez Belfort i Bazyleę. W Bazylei miałem coś jeszcze do załatwienia.

Lillian milczała przez chwilę.

– I jak było? – zapytała w końcu.

– Co? Podróż? Nudy. Szare niebo i płasko, dopóki nie wjedzie się w Alpy.

Usłyszał, jak oddycha w ciemności. A potem w świetle sklepu z zegarkami prześlizgującym się po saniach ujrzał jej twarz. Malował się na niej osobliwy wyraz zdziwienia, drwiny i bólu.

– Nudy? – powtórzyła. – Płasko? Mój Boże, ileż bym dała za to, żeby nie musieć już patrzeć na góry.

Nagle zrozumiał, dlaczego wypytywała go tak szczegółowo. Dla chorych tutaj góry były murami, które ograniczyły ich wolność. Góry dawały im lekki oddech i nadzieję, ale nie mogli ich opuścić. Ich świat ograniczał się do tej położonej wysoko doliny i dlatego każda wiadomość z dołu była wiadomością z utraconego raju.

– Jak długo już pani tu jest? – zapytał.

– Cztery lata.

– A kiedy będzie pani mogła wrócić na dół?

– Proszę zapytać Dalajlamę – odpowiedziała z goryczą. – Obiecuje mi to co parę miesięcy – tak jak zbankrutowane rządy obiecują jeden plan kwartalny po drugim.

Sanie zatrzymały się przed wjazdem na główną szosę. Minęła ich hałaśliwa grupa turystów w kombinezonach narciarskich. Kobieta o bardzo jasnych włosach, ubrana w niebieski pulower, objęła konia za szyję. Koń zaczął parskać.

– *Come*, Daisy, *darling* – zawołał któryś z turystów.

Lillian gwałtownym ruchem wyrzuciła papierosa w śnieg.

– Ci ludzie płacą mnóstwo forsy, żeby przyjechać tutaj w góry – czyż nie można skonać ze śmiechu?

– Nie – odparł spokojnie Clerfayt.

Sanie ruszyły znowu.

– Proszę mnie poczęstować jeszcze jednym papierosem – rzekła Lillian.

Clerfayt podsunął jej paczkę.

– Z pewnością nie rozumie pan tego wszystkiego – mruknęła. – Że można się tutaj czuć jak w obozie jenieckim. Nie jak w więzieniu; tam przynajmniej wiadomo, kiedy się wyjdzie. Jak w obozie, gdzie nikt nie ma żadnego wyroku.

– Rozumiem to – rzekł Clerfayt. – Sam w takim byłem.

– Pan? W sanatorium?

– W obozie jenieckim. Podczas wojny. Ale u nas było akurat odwrotnie. Zamknięto nas na nizinnych mokradłach, a szwajcarskie góry oznaczały dla nas wymarzoną wolność. Widzieliśmy je z obozu. Jeden z nas, który pochodził z tych okolic, swoimi opowieściami doprowadzał nas niemal do szaleństwa. Gdyby zaproponowano nam wtedy zwolnienie w zamian za to, że zobowiązalibyśmy się żyć potem przez kilka lat w tych górach, sądzę, że wielu by się zgodziło. Też można skonać ze śmiechu, prawda?

– Nie. Czy pan też by się zgodził?

– Ja miałem plan ucieczki.

– Kto by go nie miał? I uciekł pan?

– Tak...

Lillian wychyliła się do przodu.

– Udało się panu zbiec? Czy złapali pana znowu?

– Udało mi się zbiec. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Trzeciego wyjścia nie miałem.

– A ten drugi człowiek? – zapytała po chwili. – Ten, który ciągle opowiadał o górach?

– Zmarł w obozie na tyfus. Tydzień przed wyzwoleniem.

Sanie zatrzymały się przed hotelem. Clerfayt spostrzegł, że Lillian nie ma śniegowców. Wziął ją zatem na ręce, przeniósł przez śnieg i postawił na ziemi przed wejściem.

– Para jedwabnych pantofelków uratowana – powiedział. – Naprawdę chce pani pójść do baru?

– Tak. Muszę się czegoś napić.

W barze narciarskie towarzystwo w ciężkich butach tupało na parkiecie. Kelner przesunął na miejsce stolik w kącie sali.

– Wódka? – zapytał Clerfayta.

– Nie. Coś gorącego. Grzane wino albo grog. – Clerfayt spojrzał na Lillian. – Co pani woli?

– Wódka. Czy i pan przedtem nie pił wódki?

– Owszem, ale to było przed jedzeniem. Zgódźmy się na coś, co Francuzi nazywają Panem Bogiem w aksamitnych spodenkach. Na bordeaux.

Widział, że lustruje go nieufnym spojrzeniem. Przypuszczalnie sądziła, że chce ją traktować jak chorą i oszczędzać.

– Nie kiwam pani – powiedział. – Gdybym był teraz sam, też bym zamówił wino. Wódki możemy pić, ile pani zechce, jutro przed kolacją. Przemycimy butelkę do sanatorium.

– Dobrze. W takim razie może być wino, które wczoraj wieczorem pił pan na dole we Francji – w Hôtel de Pyramide w Vienne.

Clerfayt był zaskoczony, że zapamiętała nazwę miejscowości. Trzeba się przy niej mieć na baczności, pomyślał; kto ma taką pamięć do nazw, zwraca też uwagę na inne rzeczy.

– To było bordeaux – powiedział – Lafite Rothschild.

Nie było to zgodne z prawdą. W Vienne pił miejscowe lekkie wino, nieznane za granicą; ale nie było potrzeby tego wyjaśniać.

– Proszę nam przynieść château Lafite rocznik 1937, jeśli je macie – rzekł do kelnera. – I proszę go nie ogrzewać gorącą serwetą. Najlepiej proszę je przynieść takie, jak leży w piwnicy.

– Mamy je też w temperaturze pokojowej, proszę pana.

– Szczęśliwie się składa!

Kelner podszedł do bufetu i za chwilę wrócił.

– Telefon do pana, panie Clerfayt.

– Od kogo?

– Tego nie wiem, proszę pana. Mam zapytać?

– To z sanatorium! – wtrąciła nerwowo Lillian. – Krokodyl!

– Zaraz się przekonamy. – Clerfayt wstał. – Gdzie jest kabina?

– W holu, po prawej stronie, obok drzwi do baru.

– Tymczasem proszę przynieść wino i otworzyć butelkę. Niech trochę pooddycha.

– Czy to był Krokodyl? – spytała Lillian, kiedy wrócił.

– Nie. To był telefon z Monte Carlo. – Clerfayt zawahał się chwilę, ale gdy zobaczył błysk zaciekawienia na jej twarzy, pomyślał, że może jej nie zaszkodzi, jeśli się dowie, że gdzie indziej też umierają ludzie. – Ze szpitala w Monte Carlo – dodał. – Pewien mój znajomy umarł.

– Musi pan wracać?

– Nie. Zresztą nic więcej nie da się już zrobić. Myślę nawet, że to szczęście dla niego.

– Szczęście?

– Tak. Miał wypadek w czasie wyścigu i zostałby kaleką do końca życia.

Lillian wytrzeszczyła na niego oczy. Miała wrażenie, że się przesłyszała. Co za barbarzyńskie bzdury wygaduje tutaj ten zdrowy intruz?

– Nie sądzi pan, że i kalecy czasem chcą żyć? – zapytała bardzo cicho głosem nabrzmiałym nagle nienawiścią.

Clerfayt nie odpowiedział od razu. W uszach miał jeszcze twardy, metaliczny, zrozpaczony głos kobiety, która do niego dzwoniła: Co ja pocznę? Ferrer niczego po sobie nie zostawił! Ani grosza! Proszę przyjechać! Proszę mi pomóc! Nie wiem, co dalej! To pan jest winny! Wszyscy jesteście winni! Wy z waszymi przeklętymi wyścigami!

Strząsnął wspomnienie tej rozmowy.

– To zależy – powiedział do Lillian. – Ten mężczyzna był nieprzytomnie zakochany w pewnej kobiecie, która zdradzała go z każdym mechanikiem. A on był zapalonym kierowcą wyścigowym, który nigdy jednak nie wybiłby się ponad przeciętność. Wszystko, czego chciał od życia, to były zwycięstwa

w wielkich wyścigach i ta kobieta. Zmarł, zanim poznał prawdę o jednym i drugim – i zmarł także, nie wiedząc, że ta kobieta nie chciała go więcej widzieć, bo miał amputowaną nogę. To właśnie mam na myśli, mówiąc tutaj o szczęściu.

– A może mimo to chciał jeszcze żyć?

– Tego nie wiem – odparł Clerfayt, nagle rozdrażnionym tonem. – Ale widziałem, jak ludzie umierali w żałośniejszy sposób. Pani pewnie też?

– Owszem – przyznała Lillian, trwając jednak w swoim uporze. – Ale wszyscy chcieli jeszcze żyć.

Clerfayt milczał. O czym ja tutaj gadam? I po co? Ale czyż nie mówię po to, żeby samemu przekonać się o czymś, w co nie wierzę? Ten twardy, metaliczny głos przyjaciółki Ferrera w słuchawce!

– Nikomu nie udaje się uciec – powiedział w końcu niecierpliwym tonem. – I nikt nie wie, kiedy i jak go to dopadnie. Kto by tam zresztą wykłócał się o czas? Bo czym właściwie jest długie życie? Długą przeszłością. A przyszłość zawsze sięga tylko do następnego oddechu. Albo do następnego wyścigu. Co dalej, nie wiadomo. – Uniósł kieliszek. – Wypijemy za to?

– Za co?

– Za nic. Może za odrobinę odwagi.

– Mam już odwagi po dziurki w nosie – powiedziała Lillian. – I pociechy też. Proszę mi lepiej opowiedzieć, jak wygląda na dole. Po drugiej stronie gór.

– Smutno. Nic, tylko deszcz. Już od tygodni.

Powoli odstawiła kieliszek na stół.

– Deszcz nie padał tutaj od października. Tylko śnieg. Prawie już zapomniałam, jak wygląda deszcz...

Kiedy wychodzili, padał śnieg. Clerfayt przywołał gwizdnięciem sanie. Jechali serpentynami pod górę. Dzwoniły dzwonki przy końskiej uprzęży. Szosa była cicha pośród wirującej ciemności. Po chwili usłyszeli z naprzeciwka zbliżające się dzwonki. Woźnica zatrzymał się na mijance pod latarnią, żeby zrobić miejsce koledze jadącemu z góry. Koń niecierpliwie parskał i bił kopytami o ziemię. W zadymce śnieżnej drugie sanie przemknęły obok niemal bezszelestnie. Były to niskie sanie przeznaczone do transportu, stała na nich długa skrzynia owinięta w czarną ceratę. Obok skrzyni widać było plandekę, spod której wyglądały kwiaty, i drugą płachtę narzuconą na stos wieńców.

Woźnica przeżegnał się i popędził konia do dalszej jazdy. W milczeniu przebyli ostatnie zakręty i zatrzymali się przed bocznym wejściem do sanatorium. Elektryczna żarówka pod porcelanowym kloszem rzucała na śnieg krąg żółtego światła, w którym leżało parę oderwanych zielonych listków. Lillian wysiadła z sań.

– Wszystko na nic – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Na chwilę można zapomnieć, ale ujść przed tym nie sposób. – Otworzyła drzwi. – Dziękuję – mruknęła. – I przepraszam, nie byłam dobrym towarzystwem. Ale nie mogłam być sama dziś wieczór.

– Ja też.

– Pan też? Dlaczego?

– Z tego samego powodu co pani. Już pani opowiadałem. Telefon z Monte Carlo.

– Ale mówił pan przecież, że to szczęście.

– Są różne rodzaje szczęścia. A poza tym mówi się to i owo. – Clerfayt sięgnął do kieszeni płaszcza. – To wiśniówka, którą obiecała pani posługaczowi. A to butelka wódki dla pani. Dobranoc.

3

Kiedy Clerfayt obudził się nazajutrz, ujrzał zachmurzone niebo i usłyszał, jak wiatr łomocze okiennicami.

– Fen – wyjaśnił kelner. – Ciepły wiatr, który wywołuje zmęczenie. Zawsze czuje się go najpierw w kościach. Bóle w miejscach złamania.

– Jeździ pan na nartach?

– Nie, w moim przypadku to rany odniesione na wojnie.

– Przez Szwajcara?

– Jestem Austriakiem – powiedział kelner. – Jeżdżenie na nartach dla mnie się skończyło. Została mi tylko jedna noga. Ale nie uwierzy pan, jak ta amputowana noga boli mnie w taką pogodę.

– Jaki jest dzisiaj śnieg?

– Między nami mówiąc: lepki jak miód. Według hotelowego biuletynu: dobry, a w wyższych partiach sypki.

Clerfayt postanowił odłożyć narty na później. I bez tego był jeszcze zmęczony; co się tyczy wiatru, kelner miał chyba rację. Bolała go także głowa. To przez koniak wczoraj w nocy, pomyślał. Dlaczego pił dalej, kiedy odwiózł do sanatorium tę tajemniczą

dziewczynę łączącą w sobie ból świata i żądzę życia? Dziwni ludzie przebywali tutaj w górach – ludzie o bardzo cienkiej skórze. Ja też kiedyś byłem taki, pomyślał. Całe wieki temu. Ale zmieniłem się, i to bardzo. Musiałem. I co pozostało? Co, oprócz cynizmu, ironii i fałszywego poczucia wyższości? A co doszło? Jak długo mógł jeszcze jeździć w wyścigach? Czy nie był już za stary? A co potem? Co jeszcze go czekało? Stanowisko przedstawiciela fabryki samochodów w jakimś prowincjonalnym mieście – i powoli nadciągająca starość z niekończącymi się wieczorami, stopniowym ubytkiem sił, bolesnymi wspomnieniami, z przygnębiającą rezygnacją, z rutyną, z widmem egzystencji, która dobiega końca w mdłych powtórzeniach?

Ból świata jest zaraźliwy, pomyślał i wstał. Środek życia, bez celu i bez żadnego oparcia. Włożywszy płaszcz, odkrył w nim czarną aksamitną rękawiczkę. Znalazł ją wczoraj na stole, kiedy sam wrócił od baru. Musiała jej zapomnieć Lillian Dunkerque. Wsadził rękawiczkę do kieszeni, żeby ją oddać później w sanatorium.

Szedł już godzinę po śniegu, kiedy nieopodal szosy, w pobliżu lasu, odkrył mały kwadratowy budynek zwieńczony okrągłą kopułą, z której sączył się czarny dym. Przystanął. Nasunęło mu się obrzydliwe wspomnienie czegoś, o czym chciał zapomnieć, i szukając zapomnienia, zmarnował bez sensu parę lat życia.

– Co to za budynek? – zapytał chłopca, który odgarniał łopatą śnieg sprzed sklepu.

– Ten po drugiej stronie ulicy? To krematorium, proszę pana.

Clerfayt przełknął ślinę. A więc nie mylił się.

– Tutaj? – spytał. – Po co wam tutaj krematorium?

– Oczywiście dla szpitalników. Znaczy się: dla zmarłych.

– I do tego potrzebne wam krematorium. Aż tylu umiera?

Chłopak oparł się na łopacie.

– Teraz już nie tylu co dawniej, proszę pana. Ale wcześniej – przed wojną, mam na myśli pierwszą wojnę, a i później też – o, wtedy to dużo umierało. Mamy tutaj długie zimy, a zimą trudno rozkopać ziemię, bo jest zmarznięta na kamień, i to głęboko. Krematorium jest o wiele bardziej praktyczne. To nasze tutaj ma już prawie trzydzieści lat.

– Trzydzieści? W takim razie mieliście już krematorium, zanim naprawdę stały się modne, nieprawdaż? Na długo przed ich rozpowszechnieniem w skali masowej?

Chłopak nie zrozumiał, co Clerfayt miał na myśli.

– Jeśli chodzi o rzeczy praktyczne, zawsze byliśmy tutaj pierwsi, proszę pana. Tak zresztą jest taniej. Ludzie nie chcą już teraz wywalać tyle pieniędzy na transport zwłok. Dawniej było inaczej. Wtedy wiele rodzin sprowadzało swoich zmarłych do kraju w zapieczętowanych cynkowych trumnach. To były piękniejsze czasy niż dzisiaj!

– Też tak sądzę.

– Nie ma porównania! Musi pan kiedyś posłuchać mojego ojca, jak opowiada o tych czasach. W ten sposób zobaczył cały świat.

– To znaczy: w jaki?

– Jako konwojent zwłok – rzekł chłopiec, zdziwiony taką nieznajomością rzeczy. – Wtedy ludzie traktowali jeszcze swoich zmarłych z pietyzmem. Nie puszczali ich samych w podróż. Zwłaszcza do krajów zamorskich. Mój ojciec zna na przykład Amerykę Południową jak własną kieszeń. Ludzie byli tam bogaci

i zawsze chcieli, żeby im przywożono zmarłych do kraju. To było w czasach, zanim samoloty stały się popularne. Transport odbywał się koleją, a potem na parowcach, z godnością, jak się należy. Trwało to naturalnie całe tygodnie. I to jedzenie, proszę pana, które tam podawano konwojentowi zwłok! Mój ojciec zbierał karty potraw i kazał je potem oprawić. Podczas jednej podróży – z pewną wytworną chilijską damą – przytył kiedyś przeszło trzydzieści funtów. Wszystko było gratis, także piwo, a oprócz tego, kiedy odstawił trumnę na miejsce, dostał piękny prezent. A potem... – chłopak spojrzał nieprzyjaźnie na mały kwadratowy budynek po drugiej stronie ulicy, nad którym unosiła się już tylko drobna smużka dymu – a potem postawiono krematorium. Z początku było jedynie dla ludzi, którzy nie wyznawali żadnej religii, ale teraz stało się powszechnie modne.

– Faktycznie – potwierdził Clerfayt. – Nie tylko tutaj tak jest.

Chłopiec pokiwał głową.

– Ludzie nie mają już żadnego szacunku dla śmierci, powiada mój ojciec. To wina dwóch wojen światowych; zbyt wielu ludzi straciło wtedy życie. I to od razu miliony. Mój ojciec mówi, że przez to upadł jego zawód. Teraz nawet rodziny z krajów zamorskich każą palić zwłoki swoich zmarłych, a urny z popiołami przesyłane są do Ameryki Południowej drogą powietrzną.

– Bez konwojentów?

– Bez konwojentów, proszę pana.

Dym z krematorium przestał się sączyć. Clerfayt wyciągnął paczkę papierosów i podsunął rozmownemu wyrostkowi.

– Trzeba było panu widzieć cygara, jakie przywoził mój ojciec – powiedział, wyjmując papierosa i przyglądając się. – Hawany,

proszę pana, najlepsze w świecie. Całe skrzynki! Szkoda mu ich było dla siebie, po prostu żeby wypalić samemu, i zawsze sprzedawał je tutejszym hotelarzom.

– Czym się zajmuje teraz pański ojciec?

– Teraz mamy tutaj kwiaciarnię. – Chłopiec wskazał sklep, przed którym stali. – Jeśli pan czegoś potrzebuje, proszę pana, to jesteśmy tańsi niż ci zdziercy w wiosce. I miewamy czasem wspaniałe rzeczy. Akurat dziś rano przyszła świeża przesyłka. Niczego pan nie potrzebuje?

Clerfayt zastanowił się chwilę. Kwiaty? Czemu nie? Mógłby je przesłać do sanatorium buntowniczej młodej Belgijce z matki Rosjanki. To by ją podniosło na duchu. A jeśli dowie się o tym jej przyjaciel, ten wyniosły Rosjanin, to nawet jeszcze lepiej. Wszedł do sklepu.

Rozległ się cienki, przenikliwy dźwięk dzwonka. Zza kotary wyłonił się mężczyzna, który mógł być skrzyżowaniem kelnera z zakrystianem. Miał na sobie ciemny garnitur i był zaskakująco niskiego wzrostu. Clerfayt przyglądał mu się z ciekawością. Wyobrażał go sobie jako bardziej muskularnego; zaraz jednak przyszło mu do głowy, że nie musiał przecież sam dźwigać trumien.

Sklep wyglądał nędznie, a i kwiaty były przeciętne, z wyjątkiem kilku bardzo pięknych i w ogóle nie pasujących do całego pomieszczenia. Clerfayt wypatrzył wazon z białym bzem i długą gałązkę białych płaskich orchidei.

– Świeżuteńka! – powiedział mały mężczyzna. – Przywieziona dzisiaj. Ta orchidea to wyjątkowy okaz. Utrzyma się co najmniej trzy tygodnie. To bardzo rzadka odmiana.

– Zna się pan na orchideach?

– Tak, proszę pana. Widziałem wiele gatunków. Również za granicą.

W Ameryce Południowej, pomyślał Clerfayt. Może po odstawieniu trumien na miejsce uczestniczył od czasu do czasu w małej ekspedycji w głąb dżungli, by mieć później co opowiadać dzieciom i wnukom słuchającym go z rozdziawionymi ustami.

– Proszę ją zapakować – powiedział i wyciągnął z kieszeni czarną aksamitną rękawiczkę Lillian. – I proszę dołożyć to. Czy ma pan kopertę i kartkę papieru?

Wrócił piechotą do wioski. Po drodze wydawało mu się, jakby w dalszym ciągu czuł obrzydliwie słodkawy dym z krematorium. Wiedział, że to niemożliwe; fen co prawda przydusił dym do ziemi, ale Clerfayt był już przecież o wiele za daleko, by czuć jeszcze cokolwiek. Pozostało tylko wspomnienie pieców, w których ogień palił się dzień i noc – pieców niedaleko obozu jenieckiego, gdzie był więziony. Pieców, o których chciał zapomnieć.

Wstąpił do przydrożnej gospody.

– Podwójną wiśniówkę proszę.

– Niech pan lepiej weźmie śliwowicę – poradził oberżysta. – Mamy wyśmienitą. Wiśniówka jest za bardzo chrzczona.

– A śliwowica nie?

– Jest mniej znana i nie eksportuje się jej. Niech pan skosztuje.

– Dobrze. Proszę podwójną.

Oberżysta napełnił kieliszek po brzegi. Clerfayt wypił duszkiem.

– Ma pan dobry przechył – oświadczył oberżysta. – Ale czy w ten sposób czuje pan w ogóle smak?

– Nie chciałem niczego smakować; chciałem spłukać pewien smak. Proszę mi nalać jeszcze jedną; tym razem skosztuję smaku.

– Podwójną?

– Podwójną.

– W takim razie sobie też naleję – powiedział oberżysta. – Picie to zaraźliwa choroba.

– Także u oberżystów?

– Oberżystą jestem tylko w połowie; w połowie jestem artystą. To jedna z nielicznych rzeczy, za które w dzisiejszych czasach można wypić bez specjalnego ryzyka. Krajobrazy nie strzelają. Salut!

Poszedł do garażu, żeby zajrzeć do Giuseppe. Samochód stał dość daleko w głębi dużego mrocznego pomieszczenia, chłodnicą do ściany.

Clerfayt zatrzymał się przy wejściu. W półmroku dostrzegł kogoś za kierownicą.

– Czy pańscy terminatorzy bawią się tu w kierowców wyścigowych? – spytał właściciela garażu, który mu towarzyszył.

– To nie jest żaden terminator. Mówi, że jest pańskim przyjacielem.

Clerfayt przyjrzał się baczniej i rozpoznał Hollmanna.

– Czy to nieprawda? – spytał właściciel.

– Przeciwnie, to najczystsza prawda. Jak długo jest już tutaj?

– Niedługo. Może pięć minut.

– Pierwszy raz jest tutaj?

– Nie, był już dziś rano – ale wpadł tylko na chwilę.

Hollmann siedział za kierownicą Giuseppe plecami do Clerfayta. Nie ulegało wątpliwości, że w swojej wyobraźni bierze udział w wyścigu. Przy zmianie biegów słychać było cichy klekot. Clerfayt zastanowił się chwilę, następnie skinął na właściciela garażu i wyszedł.

– Niech się pan nie wygada, że go tu widziałem – powiedział.

Mężczyzna przytaknął ruchem głowy bez żadnego zaciekawienia.

– Niech mu pan pozwoli robić z wozem, co chce. Proszę... – Clerfayt wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu. – Niech mu pan da kluczyki, jeśli o nie zapyta. A jeśli nie zapyta, niech pan je wsadzi do stacyjki, kiedy sobie pójdzie. Żeby były na następny raz. Naturalnie nie włączając stacyjki. Rozumie pan?

– Mam mu pozwolić robić, co chce. Z kluczykami też?

– Też. I z samochodem – rzekł Clerfayt.

Z Hollmannem spotkał się na obiedzie w sanatorium. Hollmann wyglądał na zmęczonego.

– Fen – powiedział. – W taką pogodę każdy czuje się podle. Źle spałem, ciężkim snem, i śniły mi się zwariowane rzeczy. A ty?

– Normalny kac. Za dużo wypiłem.

– Z Lillian?

– Potem. Tu w górach człowiek nie czuje tego, kiedy pije – ale za to następnego ranka.

Clerfayt rozejrzał się po jadalni. Ludzi było niewielu. Latynosi siedzieli w swoim kąciku. Brakowało Lillian.

– W taką pogodę większość nie rusza się z łóżka – wyjaśnił Hollmann.

– Byłeś już na zewnątrz?

– Nie. Wiesz coś nowego o Ferrerze?

– Nie żyje.

Milczeli przez chwilę. Nie można było do tego nic dodać.

– Co robisz dziś po południu? – zapytał w końcu Hollmann.

– Zamierzam pospać i pokręcić się trochę. Nie martw się o mnie. Cieszę się, że jestem w miejscu, gdzie poza Giuseppe prawie nie ma samochodów.

Drzwi otworzyły się. Do środka zajrzał Borys Wołkow i skinął głową Hollmannowi. Clerfayta zignorował. Nie wszedł do jadalni, tylko natychmiast zamknął drzwi z powrotem.

– Szuka Lillian – rzekł Hollmann. – Bóg wie, gdzie ona jest! Powinna być w swoim pokoju.

Clerfayt wstał.

– Pójdę spać. Tutejsze powietrze rzeczywiście wywołuje zmęczenie, masz rację. Będziesz mógł dziś wieczorem zostać dłużej? Tu, na kolacji?

– Naturalnie. Dzisiaj nie mam gorączki, a tej, którą miałem wczoraj wieczór, po prostu nie wpisałem do karty choroby. Pielęgniarka tak mi ufa, że sam mogę sobie mierzyć temperaturę. Też osiągnięcie, nieprawdaż? Och, jak ja nienawidzę termometrów!

– A więc do ósmej.

– Siódmej. Ale czy nie chciałbyś raz zjeść gdzieś indziej? Te kolacje tutaj muszą cię przecież nudzić.

– Nie pleć głupstw. Miałem w życiu o wiele za mało okazji, żeby dobrze, solidnie się wynudzić w przedwojennym stylu. Coś takiego stało się obecnie w naszych czasach wielką, rzadką przygodą, zastrzeżoną tylko dla Szwajcarów, a poza tym dla nikogo

w Europie. Nawet nie dla Szwedów; ich waluta bądź co bądź też zeszła na psy, kiedy ze wszystkich stron ratowano ludzkość. Przeszmuglować dla ciebie coś z wioski?

– Nie. Mam wszystko. Dziś wieczorem będzie wielka biba u pewnej Włoszki, Marii Savini. Naturalnie po kryjomu.

– Wybierasz się?

Hollmann pokręcił głową.

– Nie mam ochoty. Tego rodzaju prywatki urządza się zawsze, kiedy ktoś odjechał. Odjechał znaczy umarł. Ludzie piją wtedy i na nowo dodają sobie odwagi.

– A więc swego rodzaju stypa?

– Tak, mniej więcej. – Hollmann ziewnął. – Pora na regulaminową sjestę. Werandowanie z zakazem mówienia. Dla mnie też. Do wieczora, Clerfayt.

Kaszel ustał. Lillian Dunkerque wyczerpana położyła się z powrotem. Poranna ofiara została złożona; to była zapłata za dzień. I za poprzedni wieczór też. Czekała, aż przyjdzie po nią pielęgniarka. Dziś wypadało akurat cotygodniowe prześwietlenie. Znała ten rytuał aż do obrzydzenia; pomimo to za każdym razem wywoływał w niej rozdrażnienie.

Nienawidziła intymności gabinetu rentgenowskiego. Nienawidziła stać z obnażoną klatką piersiową i czuć na sobie wzrok lekarza pomocniczego. Dalajlama jej nie przeszkadzał. Dla niego była przypadkiem – dla jego asystenta kobietą. Nie tak bardzo irytowało ją to, że jest naga, irytowało ją, że stając przed ekranem, jest więcej niż naga. Wówczas była naga również pod skórą, naga na wskroś aż po kości i poruszające się, pulsujące organy wewnętrzne. Dla błyskających w czerwonawej ciemności

okularów była bardziej naga, niż kiedykolwiek widziała i mogła widzieć samą siebie.

Przez jakiś czas chodziła na prześwietlenia razem z Agnes Somerville. Widziała wtedy, jak Agnes nagle z pięknej młodej dziewczyny przemienia się w żywy szkielet, w którym płuca i żołądek niczym blade zwierzątka siedziały i rozciągały się, jakby wyżerały życie. Widziała, jak szkielet się porusza, na boki i do przodu, jak oddycha i mówi, i wiedziała, że u niej musi to wyglądać tak samo. Poniekąd wydawało jej się rzeczą osobliwie obsceniczną, że asystent może ją oglądać taką, kiedy słyszała w ciemności jego oddech.

Przyszła pielęgniarka.

– Kto jest przede mną? – spytała Lillian.

– Panna Savini.

Lillian włożyła szlafrok i ruszyła za siostrą do windy. Zobaczyła przez okno, że dzień jest szary.

– Zimno dzisiaj? – zapytała.

– Nie. Cztery stopnie.

Wkrótce przyjdzie wiosna, pomyślała. Chory wiatr, fen, mokro, chlapa, ciężkie powietrze, omal się nie udusiła dziś rano. Z gabinetu rentgenowskiego wyszła Maria Savini. Potrząsając głową, poprawiła swoje czarne włosy.

– Jak było? – spytała Lillian.

– Nic nie mówi. Jest w złym humorze. Jak ci się podoba mój nowy szlafrok?

– Cudowny jedwab.

– Naprawdę? To od Lisia z Florencji. – Maria wykrzywiła swą zniszczoną twarz i roześmiała się. – Co innego nam pozostaje?

Kiedy nie możemy wyjść wieczorem, musimy się popisywać tutaj swoimi *dressing-gowns*. Przyjdziesz wieczorem do mnie?

– Jeszcze nie wiem.

– Panno Dunkerque, profesor czeka – przypomniała siostra, stojąc już w drzwiach.

– Przyjdź! – powiedziała Maria. – Inni też przyjdą! Mam nowe płyty z Ameryki. Fantastyczne!

Lillian weszła do gabinetu, który spoczywał w półmroku.

– Wreszcie! – rzekł Dalajlama. – Chciałbym, żeby przynajmniej raz była pani punktualna.

– Przykro mi.

– Już dobrze! Wykres temperatury.

Pielęgniarka podała mu kartę. Zaczął ją studiować, wymieniając szeptem uwagi ze swoim asystentem. Lillian próbowała zrozumieć, o czym mówi, ale nie udało się jej.

– Zgasić światło! – polecił w końcu Dalajlama. – Proszę w prawo... w lewo... jeszcze raz...

Fosforyzujący odblask ekranu odbijał się na jego łysej czaszce i w okularach asystenta. Lillian za każdym razem robiło się trochę niedobrze, kiedy musiała tak oddychać i wstrzymywać oddech – przypominało to moment poprzedzający utratę przytomności.

Badanie trwało dłużej niż zwykle.

– Proszę mi jeszcze raz pokazać kartę choroby – powiedział Dalajlama.

Siostra włączyła światło. Lillian stała obok ekranu i czekała.

– Miała pani dwa zapalenia opłucnej? – spytał Dalajlama. – Z czego jedno przez własną nieostrożność?

Lillian nie odpowiedziała od razu. Po co pytał? Wszystko było przecież napisane w karcie choroby. Chyba że Krokodyl chlapnął ozorem, a on chce teraz odgrzać te stare historie, żeby zrobić jej nową awanturę.

– Czy to prawda, panno Dunkerque? – powtórzył profesor.

– Tak.

– Miała pani szczęście. Prawie żadnych zrostów. Skąd jednak, do diabła...

Dalajlama podniósł wzrok.

– Może pani przejść do pokoju obok. Proszę się przygotować do napełniania pneumografu.

Lillian poszła za pielęgniarką.

– Co to jest? – szepnęła. – Jakiś płyn?

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

– Może wahania temperatury...

– Ale to przecież nie ma nic wspólnego z moimi płucami! To tylko podniecenie! Odjazd miss Somerville! Fen! Jestem przecież negatywna! Nie jestem pozytywna! A może jednak?

– Nie, nie. Proszę, niech się pani położy! Musi być pani gotowa, kiedy przyjdzie profesor.

Pielęgniarka przysunęła aparat. Wszystko na nic, pomyślała Lillian. Przez całe tygodnie robiłam wszystko, co chcieli, i zamiast się polepszyć, pewnie mi się znowu pogorszyło. To, że urwałam się wczoraj, nie może być powodem; dziś przecież nie mam gorączki – może nawet bym ją miała, gdybym nie wychodziła z sanatorium, nigdy nie wiadomo. Co on chce teraz ze mną zrobić? Będzie mnie borował i nakłuwał, czy tylko znowu mnie napełni niczym sflaczały balon?

Do pomieszczenia wszedł profesor.

– Nie mam gorączki! – powiedziała prędko Lillian. – To tylko lekkie podenerwowanie. Już od tygodnia nie mam gorączki, a i przedtem miałam ją tylko wtedy, gdy byłam podenerwowana. To nie na tle organicznym...

Dalajlama usiadł obok niej i przesunął dłoń po jej ciele, szukając miejsca, gdzie mógłby zrobić zastrzyk.

– Przez następnych kilka dni proszę pozostać w swoim pokoju.

– Nie mogę ciągle leżeć w łóżku. Właśnie od tego dostaję gorączki. Doprowadza mnie to do szaleństwa.

– Wystarczy, że zostanie pani w swoim pokoju. A dzisiaj w łóżku; jodynę, siostro, tutaj.

Przebierając się w swoim pokoju, Lillian przyglądała się brązowej plamie po jodynie. Następnie wyciągnęła spod bielizny butelkę wódki i nasłuchując odgłosów z korytarza, nalała sobie kieliszek. Lada chwila powinna przyjść pielęgniarka z kolacją, a dzisiaj nie chciała być przyłapana na piciu.

Nie jestem jeszcze zbyt chuda, pomyślała, stojąc przed lustrem. Przytyłam pół funta. Wielki wyczyn. Z ironicznym uśmiechem przepiła do siebie samej i ukryła z powrotem butelkę. Z zewnątrz usłyszała wózek z kolacją. Sięgnęła po jakąś sukienkę.

– Ubiera się pani? – zapytała pielęgniarka. – Przecież nie wolno pani wychodzić.

– Ubieram się, bo wtedy lepiej się czuję.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Dlaczego nie położy się pani do łóżka? Chciałabym, żeby mi kiedyś podano jedzenie do łóżka!

– Proszę więc poleżeć w śniegu, aż dostanie pani zapalenia płuc – powiedziała Lillian. – Wtedy będą pani podawać jedzenie do łóżka.

– Jeśli o mnie chodzi, to nic z tego. Najwyżej bym się przeziębiła i dostała lekkiego kataru. Jest tu jakaś paczuszka dla pani. Wygląda na to, że kwiaty.

Borys, pomyślała Lillian, biorąc białe tekturowe pudełko.

– Nie otworzy pani? – spytała zaciekawiona pielęgniarka.

– Później.

Lillian przez chwilę pogrzebała widelcem w talerzu, po czym kazała zabrać jedzenie. Tymczasem siostra poprawiła jej łóżko.

– Nie nastawi pani radia? – zapytała. – Można się trochę rozerwać!

– Jeśli chce pani posłuchać, proszę je nastawić.

Pielęgniarka zaczęła kręcić gałkami. Pojawił się Zurych z audycją o Conradzie Ferdinandzie Meyerze i Lozanna z wiadomościami. Kręciła dalej, i nagle pojawił się Paryż. Jakiś pianista grał Debussy'ego. Lillian podeszła do okna i czekała, aż siostra skończy i opuści pokój. Wpatrywała się w wieczorną mgłę i słuchała muzyki z Paryża, ale nie mogła jej znieść.

– Zna pani Paryż? – spytała pielęgniarka.

– Tak.

– Ja nie. Musi być chyba cudowny!

– Kiedy tam byłam, był zimny i ciemny, i ponury, i okupowany przez Niemców.

Pielęgniarka roześmiała się.

– To przecież dawno minęło. Już parę lat temu. Teraz pewnie wszystko jest takie jak przed wojną. Nie chciałaby pani tam

jeszcze pojechać?

– Nie – odparła Lillian surowo. – Kto by jeździł do Paryża zimą? Skończyła pani?

– Tak, tak, zaraz. Do czego pani tak spieszno? Przecież w sanatorium nie ma już nic do roboty.

Wreszcie pielęgniarka sobie poszła. Lillian wyłączyła radio. Rzeczywiście, pomyślała, tutaj nie ma już nic do roboty. Można tylko czekać. Czekać, ale na co? Na to, że życie dalej będzie się składać tylko z czekania?

Otworzyła pudełko przewiązane niebieską jedwabną wstążeczką. Borys pogodził się z tym, że zostanie tu na górze, pomyślała – lub przynajmniej tak mówi. A ja?

Rozwinęła cienki papier, który okrywał kwiaty, i w tej samej chwili wypuściła pudełko na ziemię, jakby w środku zobaczyła węża.

Wlepiała wzrok w orchidee na podłodze. Znała te kwiaty. Przypadek, pomyślała, obrzydliwy przypadek, to inne kwiaty, nie te same, inne, podobne! Jednocześnie wiedziała jednak, że takie przypadki się nie zdarzają, a w wiosce nikt nie miał zapasów tego rodzaju orchidei. Sama takich szukała i nie znalazłszy ich, kazała sprowadzić z Zurychu. Policzyła kwiaty na gałązce. Liczba się zgadzała. Potem zaś dostrzegła, że przy najniższym kwiecie brakuje liścia, i przypomniała sobie, że zauważyła to, kiedy przyszła przesyłka z Zurychu. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości – kwiaty leżące przed nią na dywanie były tymi samymi kwiatami, które położyła na trumnie Agnes Somerville.

Robię się histeryczką, pomyślała. Wszystko to musi się wyjaśnić; nie objawiły się jej przecież jakieś kwiaty-widma, ktoś

musiał sobie z niej zażartować w bardzo brzydki sposób, ale dlaczego? I jak? Jak te orchidee znalazły się z powrotem tutaj? I co miała oznaczać ta rękawiczka obok, wyglądająca jak martwa poczerniała ręka groźnie wystająca z ziemi, jakby była symbolem jakiejś mafii duchów?

Krążyła wokół gałązki, jakby ta rzeczywiście była wężem. Kwiaty nie wydawały się jej już kwiatami; zetknąwszy się ze śmiercią, sprawiały teraz niesamowite wrażenie, a ich biel była bielsza niż wszystko, co do tej pory widziała. Prędko otworzyła drzwi na balkon, chwyciła ostrożnie papier, a przez papier gałązkę i wyrzuciła wszystko na dwór. W ślad za kwiatami wyrzuciła pudełko.

Na chwilę wytężyła słuch. Przez mgłę przebijały się odległe głosy i dźwięki dzwonków u sań. Wróciwszy do pokoju, ujrzała na podłodze rękawiczkę. Rozpoznała ją teraz i przypomniała sobie, że ją miała, kiedy była z Clerfaytem w Palace Bar. Clerfayt, pomyślała, co on ma z tym wspólnego? Musiała się tego dowiedzieć! Natychmiast!

Upłynęło kilka chwil, nim podszedł do telefonu.

– To pan odesłał mi rękawiczkę? – zapytała.

– Tak. Zostawiła ją pani w barze.

– Czy kwiaty też są od pana? Te orchidee?

– Tak. Nie dostała pani mojej kartki?

– Pańskiej kartki?

– Nie znalazła jej pani?

– Nie! – Lillian przełknęła ślinę. – Jeszcze nie. Skąd pan wziął te kwiaty?

– Z pewnej kwiaciarni – odparł Clerfayt, nie kryjąc zdumienia. – Dlaczego pani pyta?

– W wiosce?

– Tak, ale dlaczego? Czyżby zostały skradzione?

– Nie. A może jednak tak. Nie wiem... – Lillian zamilkła.

– Mam przyjechać? – spytał Clerfayt.

– Tak.

– Kiedy?

– Za godzinę; wtedy jest tutaj spokój.

– Dobrze, za godzinę. Przy wejściu dla służby?

– Tak.

Lillian, odetchnęła z ulgą i odłożyła słuchawkę. Bogu dzięki, pomyślała, to był ktoś, komu nie musiała niczego wyjaśniać. Ktoś, komu była obojętna i kto nie troszczył się o nią tak jak Borys.

Clerfayt stał przy bocznych drzwiach.

– Nie znosi pani orchidei? – zapytał i wskazał na śnieg. Kwiaty i pudełko jeszcze tam leżały.

– Skąd pan je wziął? – zapytała Lillian.

– Z małej kwiaciarenki na dole – trochę za wioską. Dlaczego pani pyta? Są zaczarowane?

– Te kwiaty... te same kwiaty – powiedziała Lillian z wysiłkiem – położyłam wczoraj na trumnie mojej przyjaciółki. Widziałam je, jeszcze na krótko przed zabraniem trumny. W sanatorium nie zatrzymują żadnych kwiatów. Wszystko zostało zabrane. Właśnie pytałam posługacza. Wszystko odesłano do krematorium. Nie wiem, w jaki sposób...

– Do krematorium? – spytał Clerfayt.

– Tak.

– Dobry Boże! Sklep, w którym kupiłem kwiaty, położony jest niedaleko krematorium. Taki nędzny sklepik, i nawet się zdziwiłem, skąd wzięły się w nim te kwiaty. To wszystko wyjaśnia!

– Co?

– Jakiś pracownik krematorium, zamiast kwiaty spalić, musiał je zabrać i odsprzedać sklepowi.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Czemu nie? Kwiaty to kwiaty i na ogół niewiele różnią się między sobą. Szansa odkrycia szwindlu jest znikoma. Ewentualność, że rzadka orchidea może trafić z powrotem w te same ręce, które ją wysłały, jest tak nieprawdopodobna, że nikt nie musi się z nią liczyć.

Clerfayt wziął Lillian pod ramię.

– I co zrobimy? Dostaniemy szoku czy będziemy się śmiać z niespożytego zmysłu handlowego ludzkości? Proponuję, żebyśmy się pośmiali – bo gdybyśmy tego nie robili od czasu do czasu, gotowiśmy jeszcze utonąć w łzach naszego wspaniałego dwudziestego wieku.

Lillian spojrzała na kwiaty.

– To obrzydliwe – wyszeptała. – Ukraść zmarłej.

– Nie mniej i nie bardziej obrzydliwe niż wiele innych rzeczy – odparł Clerfayt. – Ja też nigdy nie sądziłem, że będę kiedykolwiek obszukiwał zwłoki, by zdobyć chleb i papierosy, a przecież to robiłem. Podczas wojny. Z początku to jest okropne, ale potem człowiek się przyzwyczaja, zwłaszcza kiedy jest bardzo głodny i długo nie palił. Ale dość wspomnień, chodźmy się czegoś napić.

W dalszym ciągu patrzyła na kwiaty.

– Mają tu tak zostać?

– Oczywiście. Nie mają już nic wspólnego ani z panią, ani ze zmarłą, ani ze mną. Jutro przyślę pani nowe. Z innego sklepu.

Clerfayt otworzył drzwiczki sań. Przy okazji zwrócił uwagę na twarz woźnicy, którego oczy spokojnie, lecz z zainteresowaniem spoczywały na orchideach, i wiedział, że po zawiezieniu ich do hotelu wróci tutaj i pozbiera kwiaty. Bóg raczy wiedzieć, co stanie się z nimi później. Przez chwilę Clerfayt zastanawiał się, czy ich nie rozdeptać – ale po co sam miałby udawać Boga? Takie zabawy nigdy nikomu specjalnie nie służyły.

Sanie zatrzymały się. Przed wejściem do hotelu na mokrym śniegu leżały deski. Lillian wysiadła. Nagle w jakiś dziwny sposób wydała się Clerfaytowi egzotyczną istotą, kiedy taka szczupła i nieco pochylona do przodu, przytrzymując na piersi cienki płaszczyk, przechodziła w swych wieczorowych pantoflach między stąpającymi ciężko narciarzami, owiana mroczną fascynacją swej choroby pośród kipiącego dookoła zdrowia.

Szedł za nią. W co ja się wplątuję, pomyślał. I z kim? W każdym razie było to coś innego niż Lydia Morelli, która przed godziną zadzwoniła do niego z Rzymu. Lydia Morelli, która znała każdy trik i nie zapomniała żadnego.

Dogonił Lillian przy drzwiach.

– Dziś wieczorem – powiedział – będziemy rozmawiać tylko o najbłahszych rzeczach pod słońcem.

Godzinę później bar był nabity. Lillian spojrzała ku drzwiom.

– Przyszedł Borys – powiedziała. – Powinnam się była domyślić.

Clerfayt zauważył Rosjanina już wcześniej. Wołkow przeciskał się powoli między ludźmi, którzy niczym winogrona wisieli przy bufecie. Zupełnie zignorował Clerfayta.

– Twoje sanie czekają na zewnątrz, Lillian – powiedział.

– Odeślij sanie, Borysie – odparła. – Nie potrzebuję ich. To jest pan Clerfayt. Raz już go spotkałeś.

Clerfayt podniósł się z miejsca odrobinę zbyt nonszalancko.

– Doprawdy? – rzekł Wołkow. – Ach, rzeczywiście! Proszę wybaczyć! – Spojrzał w kierunku Clerfayta, lecz omijając go wzrokiem. – W sportowym samochodzie, który spłoszył konie, nieprawdaż?

Clerfayt poczuł ukryte szyderstwo. Nie odpowiedział mu, tylko stał dalej.

– Prawdopodobnie zapomniałaś, że jutro zdjęcia rentgenowskie mają być powtórzone – rzekł Wołkow do Lillian.

– Nie zapomniałam.

– Musisz być wypoczęta i wyspana.

– Wiem o tym. Mam jeszcze czas.

Mówiła powoli, tak jak mówi się do dziecka, które nie bardzo rozumie. Clerfayt stwierdził, że dla niej to jedyna szansa pohamowania swojej złości o to, że jest kontrolowana. Było mu niemal żal Rosjanina: znajdował się w beznadziejnej sytuacji.

– Nie usiądzie pan? – zapytał nie całkiem bezinteresownie.

– Dziękuję – odparł Wołkow chłodnym tonem, jakby odpowiadał kelnerowi, który go zapytał, czy zechce coś zamówić. Podobnie jak Clerfayt przed chwilą, również on poczuł szyderstwo. – Muszę jeszcze na kogoś poczekać – rzekł do Lillian. – Gdybyś zechciała tymczasem wsiąść...

– Nie, Borysie! Chcę jeszcze zostać.

Clerfayt miał już tego dosyć.

– Miss Dunkerque przyszła tutaj w moim towarzystwie – powiedział spokojnie. – I uważam, że jestem w stanie odprowadzić ją z powrotem na miejsce.

Wołkow obrzucił go prędkim spojrzeniem. Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili. Uśmiechnął się.

– Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. Ale wyjaśnianie tego nie miałoby żadnego sensu.

Skłonił głowę przed Lillian, i przez chwilę wydawało się, jakby maska wyniosłości zamierzała się rozpaść; zaraz jednak się opanował i podszedł do bufetu. Clerfayt usiadł. Nie był z siebie zadowolony. Co ja tu robię? – pomyślał. Przecież nie mam już dwudziestu lat!

– Dlaczego nie wraca pani razem z nim? – zapytał rozdrażniony.

– Chce się pan mnie pozbyć?

Spojrzał na nią. Wydawała się bezradna, lecz wiedział, że właśnie bezradność jest w kobietach najgroźniejsza – gdyż żadna kobieta nie jest tak naprawdę bezradna.

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Zostańmy więc!

Popatrzyła w stronę baru.

– Nie wychodzi – szepnęła. – Pilnuje mnie. Sądzi, że ustąpię.

Clerfayt wziął butelkę i napełnił kieliszki.

– Dobrze. Spróbujemy zatem, kto pierwszy się zmęczy.

– Nie rozumie go pan – powiedziała Lillian ostrym tonem. – On nie jest zazdrosny.

– Nie?

– Nie. Jest nieszczęśliwy i chory, i troszczy się o mnie. Łatwo wygrywać, kiedy jest się zdrowym.

Clerfayt odstawił butelkę. Co za lojalna mała bestia! Ledwo została uratowana, już dziobie rękę wybawcy.

– Możliwe – rzekł obojętnym tonem. – Ale czy być zdrowym to przestępstwo?

Obróciła się do niego.

– Oczywiście, że nie – mruknęła. – Nie wiem, co mówię. Lepiej już sobie pójdę.

Sięgnęła po torebkę, ale nie wstała.

Clerfayt też miał jej już dosyć na dzisiaj, ale za nic w świecie nie pozwoliłby jej odejść, dopóki Wołkow stoi jeszcze przy bufecie i czeka na nią – taki stary to jednak nie jestem, pomyślał.

– Nie musi pani obchodzić się ze mną jak z jajkiem – powiedział. – Nie jestem szczególnie wrażliwy.

– Tutaj każdy jest wrażliwy.

– Ja nie jestem stąd.

– Rzeczywiście. – Lillian uśmiechnęła się nagle. – To chyba to.

– Co?

– To, co nas irytuje. Nie rozumie pan tego? Nawet Hollmanna, swojego przyjaciela?

– To całkiem możliwe – odparł Clerfayt zaskoczony. – Prawdopodobnie nie powinienem był przyjeżdżać. Czy Wołkowa też irytuję?

– Nie zauważył pan tego?

– Możliwe. Dlaczego więc zadaje sobie tyle trudu, żeby dać mi to odczuć?

– Wychodzi – powiedziała Lillian.

Clerfayt także to widział.

– A pani? – spytał. – Czy pani też nie powinna być raczej w sanatorium?

– Któż to wie? Dalajlama? Ja? Krokodyl? Bóg? – Podniosła swój kieliszek. – A kto jest odpowiedzialny? Kto? Ja? Bóg? I kto za kogo? Chodźmy zatańczyć!

Clerfayt nie ruszył się z miejsca. Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Pan też boi się za mnie? Czy uważa pan, że powinnam...

– Ja nic nie uważam – rzekł Clerfayt. – Po prostu nie umiem tańczyć, ale jeśli pani chce, możemy spróbować.

Poszli na parkiet.

– Agnes Somerville zawsze robiła wszystko, co jej zalecił Dalajlama – powiedziała Lillian, kiedy otoczył ich hałas tupiących głośno turystów. – Wszystko...

4

W sanatorium panowała cisza. Chorzy odbywali werandowanie. Leżeli w milczeniu na łóżkach i leżakach, wyciągnięci niczym ofiary, w których zmęczone powietrze toczyło bezgłośną walkę z wrogiem obżerającym się w ciepłej ciemności płuc.

Lillian Dunkerque siedziała w jasnoniebieskich spodniach na swoim balkonie. Noc dawno minęła i została puszczona w niepamięć. Tu, na górze, zawsze tak było – kiedy się dotrwało do rana, nocna panika znikała niczym cień na horyzoncie i wydawała się prawie niepojęta. Lillian przeciągnęła się w słońcu późnego przedpołudnia. Miękka lśniąca zasłona zakrywała wczoraj i czyniła nierealnym dzień jutrzejszy. Przed nią w śniegu, którego wiatr nawiał w nocy na balkon, stała butelka wódki podarowana jej przez Clerfayta.

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Tak, Borysie... nie, oczywiście, że nie... do czego byśmy doszli, gdybyśmy tak robili?... Nie mówmy o tym... oczywiście, że możesz przyjechać... tak, jestem sama, kto miałby być u mnie...?

Wróciła na balkon. Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna ukryć butelkę, ale w końcu przyniosła sobie kieliszek i otworzyła

ją. Wódka była bardzo zimna i bardzo dobra.

– Dzień dobry, Borysie – powiedziała, usłyszawszy odgłos zamykanych drzwi. – Piję właśnie wódkę. Też się napijesz? W takim razie przynieś sobie kieliszek.

Wyciągnęła się na leżaku i czekała. Na balkon wszedł Wołkow z kieliszkiem w ręku. Lillian odetchnęła z ulgą; dzięki Bogu, żadnych kazań, pomyślała. Nalał sobie wódki. Podstawiła mu swój kieliszek. Nalał do pełna.

– Dlaczego, Duszo? – zapytał. – Strach przed rentgenem?

Potrząsnęła głową.

– Gorączka?

– Też nie. Prędzej obniżona temperatura.

– Czy Dalajlama mówił już coś na temat twoich zdjęć?

– Nie. A co miałby mówić? Zresztą i tak nie chcę tego wiedzieć.

– Dobrze – odparł Wołkow. – I za to wypijemy.

Wypił swoją wódkę jednym haustem i odstawił butelkę.

– Daj mi jeszcze jeden kieliszek – powiedziała Lillian.

– Ile tylko zechcesz.

Obserwowała go. Wiedziała, że nienawidzi, kiedy ona pije; ale wiedziała też, że teraz nie będzie próbował odwieść jej od dalszego picia. Był na to zbyt mądry; znał jej nastroje. Zamiast tego zapytał:

– Jeszcze jeden? Kieliszki są małe.

– Nie. – Postawiła obok siebie nie wypity kieliszek. – Wiesz, Borysie – powiedziała, podciągając nogi na leżak – my rozumiemy się zbyt dobrze.

– Naprawdę?

– Tak. Ty rozumiesz mnie zbyt dobrze, a ja ciebie, i na tym polega nasze nieszczęście.

Wołkow roześmiał się.

– Zwłaszcza gdy wieje fen.

– Nie tylko wtedy.

– Albo gdy przyjedzie ktoś obcy.

– Widzisz – powiedziała. – Ty znasz już powód. Potrafisz wszystko wyjaśnić. Ja nie. Z góry wiesz o mnie wszystko. To takie męczące! Czy to także fen?

– Fen i wiosna.

Lillian zamknęła oczy. Czuła napierające niespokojne powietrze.

– Dlaczego nie jesteś zazdrosny? – spytała.

– Ależ jestem zazdrosny. Zawsze.

Otworzyła oczy.

– O kogo? O Clerfayta?

Pokręcił głową.

– Tak właśnie myślałam. A więc o co?

Wołkow nie odpowiedział. Po co pytała? I co ona właściwie o tym wie? Zazdrość nie zaczyna się od jakiegoś człowieka i nie kończy na nim. Zaczyna się od powietrza, którym oddycha ukochany człowiek, i nie kończy się nigdy. Nawet w momencie śmierci tego drugiego.

– O co, Borysie? – spytała Lillian. – Chyba jednak o Clerfayta?

– Nie wiem. Może o to, co pojawiło się tutaj wraz z nim.

– A co takiego pojawiło się tutaj? – Lillian wyciągnęła się wygodnie i na powrót zamknęła oczy. – Nie musisz być zazdrosny. Za parę dni Clerfayt wróci na dół i zapomni o nas, a my o nim.

Przez jakiś czas leżała nieruchomo na leżaku. Wołkow siedział za nią i czytał. Słońce przesunęło się do przodu i brzeg jego wędrującego świetlnego czworokąta dotarł do jej oczu, które pod powiekami natychmiast wypełniły się ciepłym, pomarańczowym i złotym światłem.

– Wiesz, Borysie, czasami chciałabym zrobić coś zupełnie niedorzecznego – powiedziała. – Coś, co by rozerwało ten szklany pierścień tutaj. Rzucić się – gdziekolwiek.

– Każdy by chciał.

– Ty też?

– Ja też.

– Czemu więc tego nie robimy?

– Niczego by to nie zmieniło. Tym mocniej czulibyśmy tylko ten pierścień. Albo go rozbili, pokaleczyli się na jego ostrych brzegach i wykrwawili.

– Ty też?

Borys spojrzał na leżącą przed nim szczupłą postać. Jak niewiele o nim wiedziała, choć sądziła, że go rozumie!

– Zaakceptowałem go – rzekł, wiedząc, że to nieprawda. – Tak jest prościej, Duszo. Zanim człowiek wyczerpie wszystkie siły, bezsensownie nienawidząc czegoś, powinien spróbować, czy nie da się z tym żyć.

Lillian poczuła nadciągającą falę zmęczenia. To były te rozmowy, w które się wplątywali niczym w pajęcze sieci. Wszystko się zgadzało, ale co z tego?

– Zaakceptować znaczy zrezygnować – mruknęła po chwili. – Na to nie jestem jeszcze dość stara.

Dlaczego sobie nie pójdzie? – pomyślała. I dlaczego go obrażam, mimo że tego nie chcę? Po co wyrzucam mu, że jest tutaj dłużej ode mnie i że ma to szczęście, iż myśli o tym inaczej niż ja? Czemu mnie tak irytuje, że on przypomina człowieka w więzieniu, który dziękuje Bogu, że go nie zabito – a ja kogoś, kto nienawidzi Boga za to, że nie jest wolny.

– Nie słuchaj mnie, Borysie – powiedziała. – Tak tylko mówię. Jest południe, wypiłam trochę wódki, wieje fen. A może to jednak także strach przed rentgenem – tylko że nie chcę się do tego przyznać. Brak wiadomości tu, na górze, to zła wiadomość.

Dzwony kościoła w wiosce zaczęły dzwonić. Wołkow wstał i spuścił zasłonę przeciwsłoneczną jeszcze niżej.

– Ewa Moser wychodzi jutro – powiedział. – Zdrowa.

– Wiem. Wychodziła już dwa razy.

– Tym razem naprawdę jest zdrowa. Krokodyl mi to potwierdził.

Nagle poprzez cichnący dźwięk dzwonów Lillian usłyszała warkot Giuseppe. Samochód w szybkim tempie wspinał się serpentynami pod górę i zatrzymał się. Zdziwiła się, po co Clerfayt przyjechał nim do sanatorium, pierwszy raz od swojego przybycia. Wołkow wstał i popatrzył przez balkon na dół.

– Miejmy nadzieję, że nie zamierza samochodem uprawiać narciarstwa – rzekł kąśliwie.

– Z pewnością. A dlaczego miałby?

– Zaparkował na zboczu za jodłami. Obok oślej łączki, nie przed sanatorium.

– Już on pewnie wie, dlaczego. A właściwie czemu go nie znosisz?

– Diabli wiedzą! Może dlatego, że kiedyś byłem taki sam jak on.

– Ty! – powiedziała Lillian sennym głosem. – Musiało to być dawno temu.

– Owszem – potwierdził Wołkow z goryczą. – To było bardzo dawno temu.

Pół godziny później Lillian usłyszała, jak samochód Clerfayta odjeżdża. Borys wyszedł już wcześniej. Leżała jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami i patrzyła na kołyszącą się jasność pod powiekami. Następnie wstała i zeszła na dół.

Ku swemu zdziwieniu zobaczyła Clerfayta siedzącego na ławce przed sanatorium.

– Wydawało mi się, że przed chwilą zjechał pan właśnie na dół – powiedziała, siadając obok niego. – Mam już halucynacje?

– Bynajmniej. – Zamrugał powiekami, patrząc pod ostre światło. – To był Hollmann.

– Hollmann?

– Tak. Wysłałem go do wioski, żeby kupił butelkę wódki.

– Samochodem?

– Owszem – potwierdził Clerfayt. – Samochodem. Był już najwyższy czas, żeby usiadł wreszcie za kółkiem.

Ponownie dał się słyszeć warkot silnika. Clerfayt wstał i zaczął nasłuchiwać.

– A teraz zobaczymy, co zrobi – czy grzecznie i posłusznie wróci na górę, czy zwieje.

– Zwieje? Dokąd?

– Dokąd zechce. W baku jest dość benzyny. Może na niej dojechać prawie do Zurychu.

– Co? – zapytała Lillian. – Co pan mówi?

Clerfayt ponownie zaczął nasłuchiwać.

– Nie wraca. Jedzie przez wioskę w stronę jeziora i szosy. Proszę spojrzeć, gdzie już jest – za Palace Hotel. Bogu dzięki!

Lillian zerwała się z ławki.

– Bogu dzięki? Czy pan zwariował? Wysyła go pan w drogę w otwartym sportowym samochodzie? Do Zurychu, jeśli zechce? Nie wie pan, że jest chory?

– Właśnie dlatego. Sądził, że zapomniał już, jak się jeździ.

– A jeśli się przeziębi?

Clerfayt roześmiał się.

– Ubrał się ciepło. A samochody są dla kierowców wyścigowych tym samym, czym dla kobiet suknie wieczorowe – jeśli sprawiają im przyjemność, nigdy się w nich nie przeziębią.

Lillian patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– A jeśli mimo to się przeziębi! Wie pan, co to oznacza tu, na górze? Woda w płucach, zrosty, ciężkie nawroty! Tutaj z powodu przeziębienia można się przenieść na tamten świat!

Clerfayt przyjrzał się jej. Taka podobała mu się znacznie bardziej niż poprzedniego wieczoru.

– Powinna pani o tym pamiętać, kiedy wieczorem, zamiast leżeć w łóżku, wymyka się pani do Palace Bar – powiedział. – W cieniutkiej sukience i jedwabnych pantofelkach.

– To nie ma nic wspólnego z Hollmannem!

– Z pewnością. A ja wierzę w terapię zakazanego owocu. Do tej pory myślałem, że pani też!

Lillian zmieszała się na chwilę.

– Ale nie dla innych – powiedziała w końcu.

– Dobrze. Większość ludzi wierzy w jej skuteczność zawsze tylko dla innych. – Clerfayt spojrzał w dół, w stronę jeziora. – Tam jest! Widzi go pani? Proszę tylko posłuchać, jak bierze zakręty! Nie zapomniał jeszcze, jak się przełącza biegi. Dziś wieczorem będzie innym człowiekiem.

– Gdzie? W Zurychu?

– Wszędzie. Także tutaj.

– Dziś wieczorem będzie leżał w łóżku z gorączką.

– Nie sądzę. A jeśli nawet! Lepiej, żeby miał trochę gorączki, niż żeby ze spuszczonymi uszami bał się podejść do samochodu i myślał, że jest kaleką.

Lillian odwróciła się gwałtownie. Kaleka, pomyślała. Dlatego, że jest chory? Na co sobie pozwala ten nieświadomy niczego, zdrowy gbur obok niej? Może ją też uważa za kalekę? Przypomniała sobie wieczór w Palace Bar, kiedy rozmawiał przez telefon z Monte Carlo. Czy i wtedy nie mówił o kalece?

– Trochę gorączki może się tutaj szybko zmienić w śmiertelne zapalenie płuc – powiedziała nieprzyjaźnie. – Ale to pewnie pana nie martwi! Wtedy może pan po prostu powiedzieć, że Hollmann też miał szczęście, że umarł, lecz wcześniej usiadł raz jeszcze za kierownicą sportowego wozu, wierząc, że zostanie wielkim kierowcą wyścigowym.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Nie rozumiała, dlaczego nagle tak się uniosła.

– Ma pani dobrą pamięć – rzekł z rozbawieniem Clerfayt. – Zauważyłem to już wcześniej. Ale proszę się uspokoić; wóz nie jest wcale tak szybki, jak można sądzić po odgłosach. Z łańcuchami na oponach nie da się raczej jeździć w tempie wyścigowym.

Otoczył jej plecy ramieniem. Milczała i nie ruszała się. Patrzyła, jak Giuseppe, mały i czarny, wyłania się zza lasu nad jeziorem. Masywny niczym huczący trzmiel przemykał poprzez biały blask, jaki kładł się w słońcu na śniegu. Słyszała łoskot silnika i echo odbijające się o góry. Samochód zbliżał się do szosy, która prowadziła przez przełęcz na drugą stronę, i nagle uświadomiła sobie, że właśnie z tego powodu jest taka podniecona. Zobaczyła, jak samochód zniknął za zakrętem. Teraz był już tylko silnik, szaleńczy werbel, który wzywał na wyprawę w nieznane i który był w jej uszach czymś więcej niż zwykłym hałasem.

– Miejmy nadzieję, że w rzeczywistości jednak nie ucieknie – rzekł Clerfayt.

Lillian nie odpowiedziała od razu. Wargi miała suche.

– Dlaczego miałby uciekać? – wykrztusiła w końcu z wysiłkiem. – Przecież jest już prawie wyleczony. Dlaczego miałby teraz wszystko ryzykować?

– Czasem ryzykuje się akurat wtedy.

– A pan na jego miejscu by zaryzykował?

– Nie wiem.

Lillian zaczerpnęła powietrza.

– A zrobiłby pan to, wiedząc, że nigdy nie będzie pan zdrowy? – zapytała.

– Zamiast zostać tutaj?

– Zamiast wegetować tutaj parę miesięcy dłużej?

Clerfayt uśmiechnął się. Znał inne rodzaje wegetacji.

– Zależy, co się przez to rozumie – powiedział.

– Ostrożne życie – odparła prędko.

Roześmiał się.

– O to nie musi pani pytać akurat kierowcy wyścigowego.

– Zrobiłby pan to?

– Nie mam pojęcia. Czegoś takiego nigdy się nie wie z góry. Może tak, żeby jeszcze raz wziąć w swoje ręce coś, co się nazywa życiem – albo też prowadziłbym regularny tryb życia i odmawiał sobie wszystkiego, żeby przeżyć jeszcze dzień, jeszcze godzinę. Tego naprawdę nigdy się nie wie. Pod tym względem życie sprawiło mi niejedną dziwną niespodziankę.

Lillian wysunęła się spod ramienia Clerfayta.

– Czy nie musi pan uporać się z tym na własną rękę przed każdym wyścigiem?

– Coś takiego wygląda bardziej dramatycznie, niż jest w istocie. Nie jeżdżę, kierując się jakimś romantycznym impulsem. Jeżdżę dla pieniędzy i dlatego, że nie potrafię nic innego – a nie powodowany żądzą przygód. Przygód w naszych cholernych czasach miałem pod dostatkiem, wcale tego nie chcąc. Pani prawdopodobnie też.

– Owszem – odparła Lillian. – Ale nie tych, co trzeba.

Nagle usłyszeli znowu silnik.

– Jednak wraca – rzekł Clerfayt.

– Owszem – powtórzyła i odetchnęła głęboko. – Jednak wraca. Jest pan zawiedziony?

– Nie. Chciałem tylko, żeby się znowu przejechał samochodem. Ostatnim razem, kiedy w nim siedział, miał swój pierwszy krwotok.

Lillian ujrzała Giuseppe, jak błyskawicznie zbliża się szosą. Nagle pomyślała, że nie zniesie widoku rozpromienionej twarzy

Hollmanna.

– Muszę wrócić do budynku – powiedziała spiesznie. – Krokodyl mnie już szuka. – Odwróciła się w stronę wejścia. – A kiedy wybiera się pan przez przełęcz? – zapytała.

– Kiedy pani zechce – odparł Clerfayt.

Była niedziela, a niedziele w sanatorium zawsze były trudniejsze do zniesienia niż dni powszednie. Charakteryzował je złudny spokój pozbawiony rutyny dni powszednich. Lekarze przychodzili do pokoi tylko wtedy, kiedy to było konieczne, tak iż pacjentom mogło się wydawać, że są zdrowi. Z tego powodu jednak bywali w niedziele tym bardziej niespokojni, i pielęgniarka często musiała zbierać wieczorem obłożnie chorych z pokoi, gdzie nie powinni się znaleźć.

Lillian mimo zakazu zeszła na kolację do jadalni; w niedziele Krokodyl zwykle nie kontrolował. Wypiła dwa kieliszki wódki, żeby uciec przed melancholią nadciągającego zmroku, ale się jej nie udało. Potem włożyła swą najlepszą suknię – stroje pomagały niekiedy bardziej niż wszelkiego rodzaju pociecha moralna – ale tym razem również to nic nie dało. Pozostał kac, nagły ból świata oraz spór z Bogiem, którego tu, na górze, każdy znał i który przychodził i odchodził bez żadnego widocznego powodu. Nastrój ten sfrunął na nią niczym ciemny motyl.

Dopiero kiedy weszła do jadalni, uświadomiła sobie, skąd się wziął. Pomieszczenie było prawie pełne, a przy stole na środku sali siedziała Ewa Moser w otoczeniu garstki przyjaciół, przed nią stała butelka szampana oraz tort i leżały prezenty zawinięte w kolorowy papier. To był jej ostatni wieczór. Nazajutrz rano miała wyjechać.

Lillian w pierwszej chwili chciała zawrócić, ale potem zobaczyła Hollmanna. Siedział sam obok stolika zajmowanego przez troje ubranych na czarno Latynosów, którzy czekali na śmierć Manueli, i pomachał do niej.

– Przejechałem się dzisiaj Giuseppe – powiedział. – Widziała mnie pani?

– Owszem. A czy poza mną ktoś jeszcze pana widział?

– Kto?

– Na przykład Krokodyl? Albo Dalajlama?

– Nikt. Samochód był zaparkowany obok oślej łączki. Tam go nie widać. A jeśli nawet! Jestem szczęśliwy. Myślałem już, że nie potrafię prowadzić tego cholernego wózka.

– Dziś wieczorem każdy wydaje się szczęśliwy – odparła Lillian z goryczą. – Proszę popatrzeć!

Wskazała stolik, przy którym siedziała Ewa Moser w gronie swoich współczujących i zazdrosnych przyjaciół. Przypominała kogoś, kto wygrał wielki los na loterii i nagle nie wie, skąd to niespodziewane współczucie.

– A pan? – spytała Lillian Hollmanna. – Zmierzył pan sobie temperaturę?

Hollmann roześmiał się.

– Mam na to czas do jutra. Dziś nie chcę o tym myśleć.

– Nie sądzi pan, że ma pan gorączkę?

– Wszystko mi jedno. A poza tym nie sądzę, żebym miał.

Po co ja go wypytuję o takie rzeczy, pomyślała Lillian. Czyżbym mu zazdrościła, tak jak wszyscy zazdroszczą Ewie Moser?

– Clerfayt dziś wieczór nie przyjdzie? – zapytała.

– Nie. Po południu ktoś przyjechał do niego w odwiedziny. Po co zresztą miałby ciągle przychodzić? Dla niego musi być tutaj nudno.

– Dlaczego więc nie wyjedzie? – spytała Lillian ze złością.

– Wyjedzie, ale dopiero za kilka dni. W środę albo w czwartek.

– W tym tygodniu?

– Tak. Przypuszczam, że wyjedzie razem ze swym gościem.

Lillian nie odpowiedziała; nie była pewna, czy Hollmann mówi jej o tym umyślnie, a ponieważ nie była tego pewna, założyła, że robi to umyślnie, i dlatego nie dopytywała się dalej.

– Ma pan przy sobie coś do picia? – zapytała.

– Nawet kropli. Dziś po południu podarowałem resztę swojego ginu Charlesowi Neyowi.

– Czy nie przywiózł pan butelki wódki w południe?

– Wódkę dałem z kolei Dolores Palmer.

– Dlaczego? Czyżby chciał pan nagle zostać wzorowym pacjentem?

– Mniej więcej – odparł Hollmann nieco zmieszany.

– Dziś w południe był pan jego przeciwieństwem.

– Właśnie dlatego – rzekł Hollmann. – Chcę znowu jeździć.

Lillian odsunęła swój talerz.

– I z kim ja się odtąd będę urywać wieczorami?

– Mężczyzn przecież nie brakuje. I Clerfayt w końcu też jeszcze jest.

– Tak. A potem?

– Borys dziś wieczorem nie przyjdzie?

– Nie, nie przyjdzie. Poza tym z Borysem nie można się urwać. Powiedziałam mu, że mnie boli głowa.

– Naprawdę boli panią?

– Tak. – Lillian wstała. – Dziś wieczorem uszczęśliwię nawet Krokodyla, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Pójdę spać. W objęciach Morfeusza. Dobranoc, Hollmann.

– Coś się stało, Lillian?

– Nic oprócz tego, co zwykle. Nuda. Oznaka dobrego samopoczucia, powiedziałby Dalajlama. A jeśli komuś rzeczywiście zrobi się gorzej, panika podobno nie wchodzi w rachubę. Człowiek będzie po prostu zbyt osłabiony. Bóg jest bardzo łaskawy, prawda?

Siostra z nocnego dyżuru skończyła wieczorny obchód. Lillian siedziała na łóżku i próbowała czytać. Po chwili odłożyła książkę na bok. Znów była przed nią noc, czekanie na sen, sen, a potem nagłe zerwanie się ze snu i ów moment nieważkości, kiedy nie rozpoznaje się niczego, ani pokoju, ani samego siebie, kiedy się wisi w szumiącej ciemności i jest tylko strach, mglisty strach przed śmiercią, sekundy ciągnące się w nieskończoność – aż w końcu okno powoli nabiera znów znajomych kształtów i w obcym chaosie nie ma już cienia krzyża, tylko znowu okno, i pokój jest pokojem, a kłębek odwiecznego lęku i bezgłośnego krzyku znowu staje się nią, przez krótki czas pobytu na ziemi nazywaną Lillian Dunkerque.

Rozległo się pukanie. Za drzwiami stał Charles Ney w czerwonym szlafroku i domowych pantoflach.

– Wszystko gotowe – szepnął. – Chodź do Dolores! Pożegnalne przyjęcie na cześć Ewy Moser.

– Po co? Dlaczego nie wyjeżdża? Po co jej jeszcze uroczystość pożegnalna?

– To nie ona chce, tylko my.

– Przecież mieliście już pożegnanie w jadalni.

– Tylko dla pozoru, żeby zmylić siostrę. Chodź, nie bądź wierzbą płaczącą!

– Nie mam ochoty.

Charles Ney przyklęknął przy jej łóżku.

– Chodź, Lillian, tajemnico utkana z księżyca, srebra i dymiącego ognia! Jeśli zostaniesz tutaj, będziesz się złościć, że jesteś sama – jeśli dołączysz do nas, będziesz się złościć, że poszłaś. Skutek będzie ten sam – dlatego chodź! – Posłuchał odgłosów z korytarza i otworzył drzwi. Dało się słyszeć stąpanie kogoś idącego o kulach. Przed drzwiami przekuśtykała chuda starsza kobieta. – Wszyscy przyjdą! Jest już Lilly-Streptomycyna. A oto nadchodzi właśnie Schirmer z André.

Obok nich przejechał siwobrody starzec w wózku inwalidzkim, popychanym przez młodego człowieka posuwającego się w rytmie charlestona.

– Sama widzisz, nawet zmarli wstają z grobów, żeby powiedzieć pannie Moser: *Ave Caesar*, *morituri te salutant* – oświadczył Charles Ney. – Zapomnij na jeden wieczór o swoim rosyjskim dziedzictwie i przypomnij sobie swego pogodnego walońskiego ojca. Ubierz się i chodź!

– Nie ubiorę się. Pójdę w pidżamie!

– Możesz być w pidżamie, ale chodź!

Dolores Palmer mieszkała piętro niżej od Lillian. Od trzech lat zajmowała tam apartament składający się z sypialni, pokoju mieszkalnego i łazienki. Płaciła najwyższy czynsz w sanatorium

i bez skrupułów wykorzystywała względy, jakie jej z tego tytułu przysługiwały.

– Mamy dla ciebie dwie butelki wódki w łazience – powiedziała do Lillian. – Gdzie chcesz siedzieć? Obok debiutantki, która wędruje do zdrowego życia, czy w hektycznym gronie pozostających? Wybierz sobie jakieś miejsce.

Lillian rozejrzała się dokoła. Znała już ten obrazek: lampy były zasłonięte chustami, siwobrody obsługiwał gramofon, którego głośnik został zatkany bielizną, żeby zbytnio nie hałasował, a Lilly-Streptomycyna siedziała w kącie na podłodze, ponieważ jej zmysł równowagi zachwiany był przez narkotyki i łatwo się przewracała. Inni porozsiadali się w sztucznych, wymuszonych pozach bohemy niczym udające dorosłych dzieci, które po kryjomu siedzą w nocy dłużej niż zwykle. Dolores Palmer ubrana była w chiński kostium: długą suknię rozciętą u dołu. Miała w sobie coś z tragicznej piękności, z czego sama nie zdawała sobie jednak sprawy. Jej adoratorów zwodziło to tak samo jak podróżnych na pustyni fatamorgana. Silili się na ekstrawagancje, gdy tymczasem Dolores nie pragnęła w zasadzie nic więcej prócz zwykłego życia, drobnomieszczańskiego życia z wszelkimi luksusami. Wielkie uczucia nudziły ją, lecz sama je inspirowała i musiała z nimi walczyć.

Ewa Moser siedziała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Jej radosny nastrój nagle się odmienił.

– Teraz beczy – powiedziała Maria Savini do Lillian. – I co ty na to?

– Dlaczego beczy?

– Sama ją zapytaj; nie uwierzysz. Uważa sanatorium za swój dom.

– To jest mój dom – powiedziała Ewa Moser. – Tutaj byłam szczęśliwa. Tu mam przyjaciół. Na dole nie znam nikogo.

Na chwilę wszyscy umilkli.

– Przecież może pani tu zostać – rzekł w końcu Charles Ney. – Nie ma takiej osoby, która by pani w tym przeszkodziła.

– Właśnie że jest! Mój ojciec. Gdybym została tutaj, za dużo by go to kosztowało. Chce, żebym się nauczyła jakiegoś zawodu. Ale jakiego zawodu? Niczego przecież nie umiem! A tych niewiele rzeczy, które umiałam, zapomniałam tutaj.

– Tutaj można wszystko zapomnieć – oświadczyła spokojnie ze swojego kąta Lilly-Streptomycyna. – Wystarczy, że człowiek pobędzie tutaj parę lat, a nie nadaje się już do życia na dole.

Lilly była od lat królikiem doświadczalnym Dalajlamy w zakresie nowych terapii. Obecnie wypróbowywał na niej streptomycynę. Źle ją znosiła, ale gdyby nawet Dalajlama zrezygnował z tej kuracji i ją zwolnił, nie mogło jej się zdarzyć coś takiego jak Ewie Moser. Była jedynym pacjentem sanatorium urodzonym w wiosce i bez trudu mogła wszędzie znaleźć posadę. Była wyśmienitą kucharką.

– Kim mam zostać? – lamentowała Ewa Moser zupełnie już spanikowana. – Sekretarką? Kto mnie weźmie? Ledwo potrafię pisać na maszynie. Poza tym wielu ludzi woli unikać sekretarek z sanatoryjną przeszłością.

– Proszę więc zostać sekretarką u kogoś chorego na płuca – zaskrzeczał siwobrody.

Lillian przyglądała się Ewie, jakby była prehistorycznym zwierzęciem, które nagle wypełzło z jakiejś szczeliny w ziemi. Wcześniej widywała już pacjentów, którzy przy zwolnieniu twierdzili, że woleliby zostać – lecz mówili tak jedynie przez wzgląd na tych, co musieli zostać, aby złagodzić dziwne uczucie dezercji towarzyszące zwolnieniu. Ale Ewa Moser była innym przypadkiem; naprawdę myślała to, co mówiła. Była szczerze zrozpaczona. Przyzwyczaiła się do sanatorium. Bała się życia, jakie czekało ją na dole.

Dolores Palmer podsunęła Lillian kieliszek wódki.

– Ta osoba! – powiedziała, patrząc z odrazą na Ewę. – Zupełny brak manier! Jak ona się zachowuje! Wprost nieprzyzwoicie, nie uważasz?

– Pójdę sobie – oświadczyła Lillian. – Nie mogę tego wytrzymać.

– Nie odchodź! – poprosił Charles Ney, pochylając się ku niej. – Piękne światło migoczące na niepewnym szlaku, zostań jeszcze! Noc pełna jest cieni i frazesów, a my potrzebujemy ciebie i Dolores w charakterze figur galionowych przed naszymi postrzępionymi żaglami, żeby nie rozdeptały nas straszliwe platfusy Ewy Moser. Zaśpiewaj coś, Lillian!

– Tego by tylko brakowało! A co? Może kołysankę dla dzieci, które nigdy się nie narodzą?

– Nie bój się: Ewa będzie miała dzieci! I to dużo! Nie, zaśpiewaj tę piosenkę o chmurach, które nigdy nie wrócą, i o śniegu, który zasypie serce. Piosenkę o wygnańcach gór. Zaśpiewaj ją dla nas! Nie dla tej meduzy kuchennej, Ewy. Potrzebujemy dziś w nocy ciemnego wina samouwielbienia, uwierz mi. Nieznający hamulców sentymentalizm jest jeszcze lepszy niż łzy.

– Charles zdobył gdzieś pół butelki koniaku – stwierdziła rzeczowo Dolores i stąpając na swych długich nogach, podeszła do gramofonu.

– Puść nowe amerykańskie płyty, Schirmer!

– Co za potwór! – westchnął Charles Ney, oglądając się za nią. – Wygląda jak cała poezja tego świata, a mózg ma jak statystyka. Kocham ją, jak kocha się dżunglę, a ona odpowiada jak ogródek warzywny. Co należy robić w takiej sytuacji?

– Cierpieć i być szczęśliwym.

Lillian podniosła się z miejsca. W tej samej chwili otwarły się drzwi i stanął w nich Krokodyl.

– Tak właśnie myślałam! Papierosy! Alkohol w pokoju! Orgia! Nawet pani tutaj, panno Ruesch! – syknęła do Lilly-Streptomycyny. – O kulach! I pan Schirmer, pan też! Powinien pan być w łóżku!

– Powinienem już dawno być martwy – odparł wesoło siwobrody. – Teoretycznie zresztą jestem. – Wyłączył gramofon, wyciągnął z głośnika jedwabną bieliznę i wymachiwał nią nad głową. – Żyję na kredyt! A w takim życiu obowiązują inne prawa niż w tym, w którym się człowiek urodził.

– Tak? A jakie to prawa, jeśli wolno zapytać?

– Tylko jedno: brać z życia tyle, ile się da. Jak to osiągnąć – to już indywidualna sprawa każdego człowieka.

– Zmuszona jestem poprosić pana o natychmiastowe udanie się do łóżka. Kto pana tutaj przywiózł?

– Mój własny rozum.

Siwobrody wgramolił się na swój wózek. André nie mógł się zdecydować, czy zabrać się do pchania. Lillian wystąpiła naprzód.

– Odwiozę pana – powiedziała i ruszyła z wózkiem do drzwi.

– A więc to pani! – rzekł Krokodyl. – Powinnam się była tego domyślić.

Lillian wyprowadziła wózek na korytarz. Charles Ney i pozostali poszli w jej ślady. Chichotali niczym dzieci przyłapane na jakiejś psocie.

– Chwileczkę! – powiedział Schirmer i obrócił wózek ponownie w stronę drzwi, przed którymi stał Krokodyl z dumnie podniesioną głową. – Z tego, co zaniedbała pani w swoim życiu – oświadczył – troje chorych mogłoby zbudować sobie szczęśliwą egzystencję. Spokojnej nocy z sumieniem z lanego żelaza.

Skierował wózek z powrotem w głąb korytarza. Dalej popychał go Charles Ney.

– Po co tyle moralnego wzburzenia, Schirmer? – zapytał. – Grzeczne zwierzątko spełnia przecież tylko swój obowiązek.

– Wiem. Tyle że robi to cholernie arogancko. Ale ja ją jeszcze przeżyję! Przeżyłem już jej poprzedniczkę – miała zaledwie czterdzieści cztery lata i zmarła nagle w cztery tygodnie na raka – i przeżyję też tę bestię – ile lat właściwie ma Krokodyl? Na pewno przeszło sześćdziesiąt. A może prawie siedemdziesiąt! Ją też przeżyję!

– Piękny cel! Szlachetni z nas ludzie! – uśmiechnął się Charles.

– Nie – odparł siwobrody z gorzką satysfakcją. – Jesteśmy skazani na śmierć. Ale nie tylko my. Inni też! Wszyscy! Wszyscy! Tyle że my o tym wiemy, a inni nie.

Pół godziny później do pokoju Lillian przyszła Ewa Moser.

– Czy moje łóżko jest tutaj? – zapytała.

– Pani łóżko?

– Tak. Mój pokój jest opróżniony. Również moje ubrania zniknęły. Przecież muszę jeszcze gdzieś się przespać. Ciekawe, gdzie są moje rzeczy. – Kiedy kogoś zwalniano z sanatorium, jednym ze zwyczajowych żartów było chowanie jego rzeczy w ostatnią noc. Ewa Moser była zrozpaczona. – Kazałam już wszystko wyprasować. Jeszcze mi teraz pobrudzą! Teraz, kiedy wychodzę, muszę się liczyć z pieniędzmi.

– A pani ojciec na dole nie będzie się o panią troszczył?

– On chce się mnie pozbyć. Sądzę, że zamierza się ponownie ożenić.

Lillian ogarnęło nagłe uczucie, że nie zniesie tej dziewczyny ani minuty dłużej.

– Proszę wejść do windy – powiedziała – i ukryć się tam, dopóki Charles Ney nie wyjdzie ze swego pokoju. Charles przyjdzie do mnie. Wtedy proszę wejść do jego pokoju; na pewno nie zamknie go na klucz. Stamtąd proszę do mnie zadzwonić i powiedzieć, że wrzuci pani jego smoking do gorącej wody i obleje jego bieliznę atramentem, jeśli pani rzeczy i łóżko nie zostaną natychmiast odniesione na miejsce. Jasne?

– Tak, ale...

– Schowano je tylko. Nie wiem kto. Ale zdziwiłabym się, gdyby Charles nic o tym nie wiedział.

Lillian podniosła słuchawkę.

– Charles?

Dała znak Ewie Moser, żeby wyszła.

– Charles – powiedziała – możesz zajrzeć do mnie na chwilę? Tak? Świetnie.

Przyszedł w kilka minut później.

– Jak się skończyła historia z Krokodylem? – spytała Lillian.

– Wszystko w porządku. Dolores robi to po mistrzowsku. To się nazywa maskowanie! Po prostu powiedziała jej prawdę – że chcieliśmy zagłuszyć swoją rozpacz, bo musimy zostać tutaj. Znakomity pomysł. Wydaje mi się, że Krokodyl, odchodząc, miał niemal łzę w oku.

Zadzwonił telefon. Głos Ewy Moser był tak donośny, że Charles mógł zrozumieć jej słowa.

– Jest w twojej łazience – powiedziała Lillian. – Napuściła do wanny gorącej wody. W lewej ręce trzyma twój nowy wieczorowy garnitur, w prawej twój turkusowy atrament do wiecznych piór. Nie próbuj jej zaskakiwać. W chwili, kiedy otworzysz drzwi, spełni swoją groźbę. Masz, porozmawiaj z nią.

Podała mu słuchawkę i podeszła do okna. Palace Hotel w wiosce był jeszcze oświetlony. Za dwa albo trzy tygodnie zabraknie także tego widoku. Turyści odfruną jak przelotne ptaki i długi, monotonny rok dalej się będzie wlókł przez wiosnę, lato i jesień do następnej zimy.

Usłyszała za plecami szczęk odkładanej słuchawki.

– A to kanalia! – rzekł z niedowierzaniem Charles Ney. – W jej głowie to się nie wylęgło! Po co mnie wezwałaś?

– Chciałam wiedzieć, co powiedział Krokodyl.

– Zwykle tak ci się nie śpieszy! – Charles wykrzywił usta w uśmiechu. – Jutro jeszcze o tym pogadamy. Teraz muszę ratować swój garnitur. Ta idiotka zdolna jest go ugotować! Dobranoc. To był wspaniały wieczór!

Zamknął za sobą drzwi. Lillian usłyszała szybkie człapanie jego pantofli w korytarzu. Jego garnitur wieczorowy, pomyślała,

symbol nadziei na wyzdrowienie, na wolność, na noce w miastach na dole, jego maskotka, tak jak dla niej dwie suknie wieczorowe, które tu, na górze, były bezużyteczne, lecz mimo to gdyby się ich wyrzekła, wyrzekłaby się nadziei. Podeszła z powrotem do okna i patrzyła na światła w dole. Wspaniały wieczór! Znała wiele takich ponurych, wspaniałych wieczorów!

Zasunęła zasłony. Panika pojawiła się znowu! Zaczęła szukać tabletek nasennych, które sama przed sobą ukryła. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy z zewnątrz silnik samochodu Clerfayta. Spojrzała na zegarek. On mógłby ją uratować od długiej nocy, ale nie mogła do niego zadzwonić. Czyż Hollmann nie mówił, że ktoś do niego przyjechał? Kto? Jakaś zdrowa panienka z Paryża, Mediolanu albo z Monte Carlo! Do diabła z nim, i tak wyjedzie za kilka dni! Połknęła tabletki. Powinnam się poddać, pomyślała, powinnam robić, co mówi Borys, powinnam z tym żyć, a nie walczyć, powinnam się poddać, ale jeśli się poddam, będę zgubiona!

Usiadła przy stole i wyciągnęła papier listowy. „Kochany – pisała – Ty o niewyraźnej twarzy, nieznajomy, zawsze oczekiwany, nigdy nie widziany, czy nie czujesz, że czas upływa...?" – po czym przerwała pisanie i zrzuciła ze stołu kasetkę, w której leżało już wiele nie wysłanych listów, listów, dla których nie znała adresu, a następnie spojrzała na białe łóżko przed sobą i pomyślała: Dlaczego płaczę? Przecież płacz niczego nie zmieni...

5

Stary człowiek leżący pod kołdrą wydawał się płaski, jakby nie miał już ciała. Jego twarz była wychudzona, oczy zapadnięte, ale intensywnie niebieskie, grube żyły rysowały się pod skórą, która wyglądała jak pomięty pergamin. Leżał w wąskim łóżku umieszczonym w wąskim pokoju. Obok łóżka na nocnym stoliku stała szachownica.

Chory nazywał się Richter. Miał osiemdziesiąt lat i żył od dwudziestu lat w sanatorium. Z początku mieszkał w dwuosobowym pokoju na pierwszym piętrze; potem na drugim piętrze w jednoosobowym pokoju z balkonem; następnie w pokoju bez balkonu na piętrze trzecim – a teraz, od kiedy nie miał pieniędzy, leżał w tym wąskim pomieszczeniu. Był egzemplarzem pokazowym całego sanatorium. Dalajlama wciąż wskazywał na jego przykład, kiedy miał pacjentów upadających na duchu, a Richter w zamian okazywał mu wdzięczność. Po prostu nie umierał.

Lillian siedziała przy jego łóżku.

– Proszę spojrzeć na to! – rzekł Richter, pokazując na szachownicę. – Facet gra jak nocny stróż. Przez ten ruch

skoczkiem dostanie przecież mata w następnych dziesięciu posunięciach. Co się dzieje z Régnierem? Wcześniej grał dobrze. Była już pani tutaj podczas wojny?

– Nie – odpowiedziała.

– Przyjechał tu podczas wojny, chyba w 1944. To było dla mnie wybawienie. Bo przedtem, moja droga panienko, przedtem musiałem przez rok grać z pewnym klubem szachowym z Zurychu. Tu, na górze, nie mieliśmy nikogo. Było okropnie nudno.

Szachy były jedyną namiętnością Richtera. Podczas wojny partnerzy, jakich miał w sanatorium, wyjechali lub zmarli, a nikt nowy nie doszedł. Dwaj przyjaciele z Niemiec, z którymi grał korespondencyjnie, zginęli w Rosji; inny dostał się do niewoli pod Stalingradem. Przez kilka miesięcy Richter nie miał żadnego partnera; czuł się zmęczony życiem i stracił na wadze. Potem naczelny lekarz umożliwił mu rozgrywanie partii z członkami klubu szachowego z Zurychu. Większość z nich nie była jednak dla niego dość silna; z kilkoma innymi gra stała się zbyt żmudna. Na początku niecierpliwy Richter przekazywał swoje ruchy przez telefon, lecz okazało się to zbyt kosztowne, więc zdany był na wędrujące tam i z powrotem listy, tak iż praktycznie mógł wykonywać ruch jedynie co drugi dzień, ponieważ tak długo trwała wymiana korespondencji. Z czasem nawet i ta forma gry zamarła i Richter znów zdany był na studiowanie starych partii i książek szachowych.

Wtedy pojawił się Régnier. Zagrał z Richterem partię i Richter był szczęśliwy, że znalazł nareszcie godnego przeciwnika; jednak Régnier, Francuz, wyzwolony z niemieckiego obozu jenieckiego,

odmówił dalszej gry, kiedy dowiedział się, że Richter jest Niemcem. Animozje na tle narodowościowym bynajmniej nie kończyły się w bramie sanatorium. Richter znowu zaczął marnieć; także Régnier obłożnie zachorował. Obaj nudzili się, ale żaden nie chciał ustąpić. Pewien Murzyn z Jamajki, który przeszedł na wiarę chrześcijańską, znalazł w końcu rozwiązanie. Również on był obłożnie chory. W dwóch osobnych listach zaprosił Richtera i Régniera, by rozegrali z nim partię szachów, nie ruszając się z łóżka, przez telefon. Obydwaj niezmiernie się ucieszyli. Jedyna trudność polegała na tym, że Murzyn nie miał pojęcia o szachach, lecz rozwiązał ten problem w prosty sposób. Przeciwko Richterowi grał białymi, a przeciwko Régnierowi czarnymi. Ponieważ do białych należał pierwszy ruch, Régnier wykonał go na szachownicy stojącej obok jego łóżka, a następnie przetelefonował Murzynowi. Ten przetelefonował posunięcie Richterowi, z którym grał białymi. Potem zaczekał na odpowiedź Richtera i przetelefonował ją Régnierowi. Drugi ruch Régniera przekazał znowu Richterowi, a odpowiedź Richtera Régnierowi. Sam nie posiadał nawet szachownicy: jego rola sprowadzała się tylko do tego, że umożliwiał tym dwóm, Régnierowi oraz Richterowi, bez ich wiedzy, grę w szachy. Jego trik polegał na tym, że jedną partię grał białymi, a drugą czarnymi – gdyby obydwie grał białymi albo obydwie czarnymi, nie mógłby przekazywać ruchów, tylko sam musiałby je wykonywać.

Wkrótce po zakończeniu wojny Murzyn umarł. Régnier i Richter musieli tymczasem zmienić pokoje na mniejsze, jako że obaj zubożeli – jeden leżał teraz na trzecim, drugi na drugim piętrze. Ażeby gra mogła toczyć się dalej, rolę Murzyna przejął

Krokodyl, a pielęgniarki przekazywały ruchy przeciwników, wierzących w dalszym ciągu, że grają z Murzynem, o którym im powiedziano, że z powodu zaawansowanej gruźlicy gardła nie może już mówić. Wszystko układało się dobrze, dopóki Régnier nie wstał z łóżka. Pierwsze kroki chciał skierować do pokoju Murzyna, żeby go odwiedzić, i tym sposobem cała sprawa się wydała.

Tymczasem animozje na tle narodowościowym nieco opadły, a kiedy Régnier dowiedział się, że rodzina Richtera w Niemczech straciła życie podczas nalotów bombowych, zawarł z nim pokój i odtąd zgodnie grali ze sobą. Z czasem również Régniera choroba przykuła na powrót do łóżka, a ponieważ obaj nie mieli już w pokojach telefonów, funkcje posłańca pełniło kilku pacjentów. Między innymi Lillian. A przed trzema tygodniami Régnier zmarł. Richter w tym okresie był tak słaby, że spodziewano się również jego śmierci i nikt nie chciał mu powiedzieć, że Régnier nie żyje. Żeby utrzymywać go dalej w nieświadomości, na miejsce partnera wskoczył Krokodyl – pielęgniarka tymczasem sama nauczyła się grać w szachy, ale nie była naturalnie przeciwnikiem dla Richtera. I dlatego właśnie Richter, który w dalszym ciągu wierzył, że ma do czynienia z Régnierem, nie mógł się nadziwić, jak taki dobry gracz stał się nagle zupełnym ignorantem.

– Nie chciałaby się pani nauczyć grać w szachy? – zapytał Lillian, która przyniosła mu ostatni ruch Krokodyla. – Szybko mogę panią nauczyć.

Lillian ujrzała strach w niebieskich oczach. Starzec sądził, że Régnier wkrótce umrze, ponieważ gra tak źle, i bał się, że znowu zostanie bez partnera. Pytał więc każdego, kto go odwiedzał.

– Można się prędko nauczyć. Pokażę pani wszystkie triki. Grałem z samym Laskerem.

– Nie mam do tego talentu. Ani cierpliwości.

– Każdy ma talent. A cierpliwość też trzeba mieć, kiedy nie można w nocy zasnąć. No bo co innego robić? Modlić się? To nie pomaga. Jestem ateistą. Filozofia też nie pomaga. Powieści detektywistyczne tylko na krótką metę. Próbowałem wszystkiego, proszę pani. Jedynie dwie rzeczy pomagają. Jedna to ta, że jest obok ktoś drugi; dlatego się ożeniłem. Ale moja żona od dawna nie żyje...

– A ta druga rzecz?

– Rozwiązywanie zadań szachowych. To takie odległe od wszystkiego, co ludzkie – od niepewności i strachu – takie abstrakcyjne, że uspokaja. To świat nieznający paniki ani śmierci. I to pomaga! Przynajmniej na jedną noc – a więcej przecież nie chcemy, nieprawdaż? Jedynie przetrwać do następnego ranka...

– Tak. Więcej się tutaj nie chce.

W oknie pokoju położonego na najwyższej kondygnacji nie widać było nic oprócz chmur i ośnieżonego stoku. Chmury tego wczesnego popołudnia były żółte i złote, i niespokojne.

– Mam panią nauczyć? – zapytał Richter. – Możemy zacząć od razu.

Wyraziste oczy w czaszce żywego trupa rozbłysły. Łaknie towarzystwa, pomyślała Lillian – nie problemów szachowych. Łaknie kogoś, kto będzie przy nim, kiedy drzwi nagle się otworzą i nie wejdzie nikt oprócz bezgłośnego wiatru, pod którego tchnieniem krew buchnie z gardła i wypełni płuca, powodując uduszenie.

– Jak długo już jest pan tutaj? – zapytała.

– Dwadzieścia lat. Całe życie, prawda?

– Tak, całe życie.

Całe życie, pomyślała, ale co za życie! Każdy dzień był taki sam jak drugi, skostniały w nie kończącej się rutynie, dzień po dniu, a na koniec roku dni zlewały się ze sobą, jakby były jednym dniem, tak bardzo były podobne do siebie, i tak samo zlewały się ze sobą lata, jakby były tylko jednym rokiem, bo i one zdawały się niczym od siebie nie różnić. Nie, pomyślała Lillian, tylko nie tak! Nie chcę tak skończyć! Nie tak!

– Zaczniemy dzisiaj? – spytał Richter.

Lillian pokręciła głową.

– Nie ma sensu. Nie zostanę już tutaj długo.

– Jedzie pani na dół? – zaskrzeczał Richter.

– Tak. Za kilka dni.

Co ja wygaduję? – pomyślała zaskoczona. To przecież nieprawda! Ale słowa odbijały się echem w jej głowie, jakby nie chciały dać się już zapomnieć. Zmieszana podniosła się z krzesła.

– Jest pani wyleczona?

W ochrypłym głosie zabrzmiała taka pretensja, jakby Lillian nadużyła kredytu zaufania.

– Nie wyjeżdżam na długo – dodała spiesznie. – Tylko na krótki czas. Wrócę.

– Wszyscy wracają – zaskrzeczał Richter uspokojony tym zapewnieniem. – Wszyscy.

– Mam przekazać pański ruch Régnierowi?

– Nie ma sensu. – Richter poprzewracał figury na szachownicy stojącej obok łóżka. – To już właściwie jest mat. Proszę mu

powiedzieć, że musimy zacząć nową partię.

– Tak jest. Zacząć nową partię. Tak.

Niepokój jej nie opuszczał. Po południu udało jej się przekonać młodą asystentkę w pokoju zabiegowym, żeby jej pokazała ostatnie zdjęcia rentgenowskie, jakie jej zrobiono. Pielęgniarka sądziła, że Lillian się na tym nie zna, i przyniosła jej klisze.

– Mogę je zatrzymać na chwilę? – spytała Lillian.

Pielęgniarka zawahała się.

– To wbrew przepisom. Już to, że w ogóle je pani pokazuję, jest nie w porządku.

– Profesor prawie zawsze sam mi je pokazuje i objaśnia. Tym razem zapomniał. – Lillian podeszła do szafy i wyciągnęła z niej sukienkę. – To jest sukienka, którą pani niedawno obiecałam. Teraz może ją pani zabrać.

Pielęgniarka zarumieniła się.

– Żółta sukienka? Naprawdę mówiła to pani serio?

– Czemu nie? Na mnie już nie pasuje. Zrobiłam się za chuda, żeby ją nosić.

– Może ją pani kazać zwęzić.

Lillian potrząsnęła głową.

– Proszę ją wziąć.

Pielęgniarka wzięła sukienkę, jakby była ze szkła, i przyłożyła do ciała.

– Myślę, że nawet pasuje – szepnęła, patrząc w lustro, po czym przewiesiła sukienkę przez oparcie krzesła. – Zostawię ją jeszcze na parę minut tutaj. Zdjęcia też. Potem wszystko zabiorę. Muszę jeszcze zajrzeć do numeru dwudziestego szóstego. Właśnie odjechał.

– Odjechał?

– Tak. Godzinę temu.

– Kto to jest numer dwudziesty szósty?

– Ta mała Latynoska z Bogoty.

– Ta z trojgiem krewnych? Manuela?

– Tak. Wszystko odbyło się szybko, ale można się było tego spodziewać.

– Przestańmy owijać w bawełnę – powiedziała Lillian zirytowana nie nazywającym rzeczy po imieniu żargonem, którym posługiwano się w sanatorium. – Ona wcale nie odjechała, tylko nie żyje, umarła, nie ma jej już!

– Naturalnie – odparła onieśmielona pielęgniarka, spoglądając ukradkiem na sukienkę, która wisiała na krześle niczym żółta flaga na statku, sygnalizująca kwarantannę.

Lillian zauważyła to.

– Niech pani już idzie – powiedziała spokojniej. – Ma pani rację; kiedy pani wróci, może pani od razu zabrać wszystko.

– Dobrze.

Lillian wyciągnęła szybko z koperty ciemne, gładkie klisze i podeszła z nimi do okna. Tak naprawdę nie umiała ich czytać. Dalajlama często pokazywał jej tylko cienie i przebarwienia, które były istotne. Od paru miesięcy już tego nie robił.

Spojrzała na błyszczące szare i czarne kształty, które decydowały o jej życiu. To były jej kości barku, jej kręgosłup, jej żebra, to był jej szkielet – a w środku to niesamowite, mroczne coś, co oznaczało zdrowie lub chorobę. Przypomniała sobie wcześniejsze zdjęcia, mgliste szare plamy, i próbowała je odnaleźć. Wydało jej się, że je rozpoznaje, i odniosła wrażenie, że plamy się

powiększyły. Odeszła od okna i włączyła lampkę. Potem zdjęła abażur, żeby mieć jeszcze więcej światła, i nagle poczuła się tak, jakby widziała samą siebie, martwą, od lat w grobie, ciało się już rozpadło w szary proch i tylko kości były jeszcze całe, jedynie one się ostały. Położyła klisze na stole. Znów robię głupstwa, pomyślała – lecz mimo to podeszła do lustra i spojrzała w nie, obserwowała swoją twarz, twarz, która była jej własna, a zarazem nie była, w lustrze odwrócona stronami i obca, a jednak jej własna. Nie znam jej takiej, jak wygląda w rzeczywistości, pomyślała, nie znam tego, co widzą inni, znam tylko tę zjawę z lustra, która ma wszystko pozamieniane i prawą stronę tam, gdzie inni widzą u mnie lewą, znam tylko ten zakłamany obraz, tak samo jak znam tylko inne zakłamanie, barwy i kształty, gdy tymczasem tego, co rzeczywiste, szkieletu, który po cichu pracuje we mnie, aby wydostać się na powierzchnię, nie znam. Tylko to, pomyślała, patrząc na czarną, błyszczącą kliszę, tylko to jest jedynym prawdziwym zwierciadłem. Obmacała czoło i policzek, poczuła pod spodem kości i odniosła wrażenie, że sterczą bardziej niż poprzednio. Ciała już ubywa, pomyślała, z oczu zaczyna patrzeć ta nieprzekupna i bezimienna, a może, niewidzialna dla mnie, patrzy mi przez ramię i nasze spojrzenia spotykają się w lustrze?

– Cóż pani tam znowu robi? – spytała za nią młoda pielęgniarka, która bezszelestnie weszła z powrotem do pokoju w obuwiu na gumowych podeszwach.

– Patrzę w lustro. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy schudłam trzy funty.

– Przecież niedawno przytyła pani pół funta.

– Zdążyłam je już zrzucić.

– Jest pani zbyt niespokojna. I musi pani więcej jeść. Uważam, że doszła pani do siebie.

Lillian obróciła się błyskawicznie.

– Dlaczego zawsze traktujecie nas jak dzieci? – spytała poirytowana ponad wszelką miarę. – Naprawdę myślicie, że wierzymy we wszystko, co nam opowiadacie? Tutaj, proszę... – podsunęła pielęgniarce zdjęcia rentgenowskie – niech pani popatrzy! Znam się na tym wystarczająco dobrze! Pani wie, że mi się nie polepszyło!

Pielęgniarka spojrzała na nią wystraszonym wzrokiem.

– Potrafi pani czytać zdjęcia rentgenowskie? Nauczyła się pani?

– Tak, nauczyłam się. Czasu miałam pod dostatkiem.

Nie powiedziała prawdy. Lecz nagle nie mogła się już cofnąć. Czuła się tak, jakby stała na wysoko zawieszonej linie, z rękami jeszcze na balustradzie platformy, i za chwilę miała się oderwać i ruszyć ponad przepaścią. Jeszcze mogła wszystkiego uniknąć, gdyby teraz milczała, i właściwie chciała tego; ale coś, co było silniejsze niż lęk, popchnęło ją naprzód.

– To nie tajemnica – rzekła spokojnie. – Profesor osobiście mi powiedział, że nie ma u mnie poprawy, tylko pogorszenie! Chciałam jedynie sama zobaczyć to raz jeszcze i dlatego poprosiłam panią o pokazanie mi tych zdjęć. Nie rozumiem, dlaczego robi się z tego przed pacjentami taki cyrk! Przecież dużo lepiej mieć jasny obraz sytuacji.

– Większość by tego nie zniosła.

– Ja bym zniosła. A jednak mi pani nie powiedziała – dlaczego? – Lillian miała wrażenie, jakby czuła bezgłośną ciszę oczekiwania

wypełniającą namiot cyrkowy daleko w dole.

– Sama pani przecież powiedziała, że już pani wie – odparła z wahaniem pielęgniarka.

– Co? – zapytała Lillian, wstrzymując oddech.

– Pani zdjęcie... że je pani rozumie...

Cisza oczekiwania przestała nagle być ciszą. Stała się wysokim, obcym szumem w uszach.

– Naturalnie, wiem, że się nie polepszyło – powiedziała Lillian z wysiłkiem. – To się przecież często zdarza.

– Naturalnie – zaszczebiotała pielęgniarka z ulgą. – Zawsze są wahania. W górę i w dół. Małe nawroty zawsze się zdarzają. Zwłaszcza zimą.

– I wiosną – rzekła Lillian. – I latem. I jesienią.

– Ma pani poczucie humoru – roześmiała się pielęgniarka. – Gdyby umiała pani jeszcze być spokojniejsza! I spełniała zalecenia profesora! W końcu to on wie wszystko najlepiej.

– Tak będę postępować. Proszę nie zapomnieć swojej sukienki.

Lillian czekała niecierpliwie, aż pielęgniarka weźmie wreszcie zdjęcia i sukienkę i wyjdzie. Wydawało jej się, jakby wraz z nią zawitało do pokoju tchnienie śmierci, przyniesione w fałdach jej białego kitla z pokoju Manueli. Jaka ona jest nieświadoma! – pomyślała. I jacy nieświadomi jesteśmy zawsze my wszyscy! Dlaczego nie wychodzi? Jak wolno i z jakim obrzydliwym upodobaniem bierze sukienkę na ramię!

– Tych parę funtów szybko pani nadrobi – powiedziała pielęgniarka. – Tylko trzeba porządnie jeść! Na przykład dziś wieczór! Na deser będzie wspaniały czekoladowy suflet z sosem waniliowym.

Sama to sprowokowałam, pomyślała Lillian. Nie dlatego, że jestem odważna, ale dlatego, że się boję. Skłamałam. Chciałam usłyszeć coś przeciwnego! Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł Hollmann.

– Clerfayt jutro wyjeżdża. Dziś w nocy jest pełnia. Tradycyjne święto na górze w chacie ratowników. Urwiemy się raz jeszcze i pojedziemy tam z nim?

– Pan też?

– Tak. Ostatni raz.

– Manuela zmarła.

– Słyszałem. To ulga dla wszystkich. A na pewno dla trojga jej krewnych – i dla Manueli przypuszczalnie też.

– Mówi pan jak Clerfayt – rzekła nieprzyjaźnie Lillian.

– Sądzę, że z czasem wszyscy musimy zacząć mówić jak Clerfayt – odparł spokojnie Hollmann. – W jego wypadku dystans jest po prostu krótszy, dlatego brzmi to ostrzej. Żyje od jednego wyścigu do drugiego. A jego szanse z każdym rokiem maleją. Może byśmy spędzili z nim ten wieczór?

– Nie wiem.

– To jego ostatni wieczór. A Manuela już nie ożyje, bez względu na to, co zrobimy.

– Znów mówi pan jak on.

– Dlaczego miałbym tak nie mówić?

– Kiedy wyjeżdża?

– Jutro po południu. Chce przejechać na drugą stronę, zanim znów zacznie padać śnieg. W prognozie pogody przewidywany jest na jutrzejszą noc.

– Czy Clerfayt jedzie sam? – zapytała, przełamując wewnętrzne opory.

– Tak. Przyjdzie pani dziś wieczór?

Lillian nie odpowiedziała. Zbyt wiele rzeczy waliło się na nią jednocześnie. Musiała się zastanowić. Ale nad czym tu się było zastanawiać? Czyż nie robiła tego od wielu miesięcy? Teraz należało tylko podjąć decyzję.

– Czy nie zamierzał pan być od tej pory ostrożniejszy? – zapytała.

– Dziś wieczorem nie. Dolores, Maria i Charles też przyjdą. Przy drzwiach jest dzisiaj Józef. Jeśli wymkniemy się stąd o dziesiątej, zdążymy w samą porę na kolejkę linową. Dziś w nocy kursuje do pierwszej. Przyjdę po panią. – Hollmann roześmiał się. – Od jutra będę znowu najposłuszniejszym i najostrożniejszym mieszkańcem Bella Vista. Dzisiaj świętujemy.

– Co świętujemy?

– Cokolwiek. Że jest pełnia. Że przyjechał Giuseppe. Że jeszcze żyjemy. Pożegnanie.

– Że jutro na powrót staniemy się idealnymi pacjentami?

– To także. Przyjdę po panią. Nie zapomniała pani, że to zabawa kostiumowa?

– Nie.

Hollmann zamknął za sobą drzwi. Jutro, pomyślała Lillian. Jutro – ale co się z nim nagle stało? To było inne jutro niż jutro wczorajsze i wszystkie jutra poprzednie. Jutro wieczorem Clerfayta już nie będzie i sanatoryjna rutyna spowije wszystko – jak mokry śnieg, przynoszony zawsze przez chory wiatr, miękki

i łagodny, pokrywając wszystko i powoli wszystko tłumiąc i dusząc. Nie mnie! – pomyślała. Nie mnie!

Chata ratowników położona była wysoko nad wioską, raz w miesiącu przy pełni księżyca pozostawała otwarta przez całą noc dla uczestników zjazdu narciarskiego z pochodniami. Palace Hotel posyłał w tym celu na górę cygańską kapelę, dwóch skrzypków i cymbalistę. Grajkowie sami przynosili cymbały; w chacie ratowników nie było pianina.

Goście przychodzili w strojach narciarskich lub w kostiumach. Charles Ney i Hollmann dla niepoznaki przykleili sobie wąsy. Charles Ney był w swoim garniturze wieczorowym, który nosił jako kostium. Poza tym nigdy nie miał okazji, żeby się w nim pokazać. Maria Savini włożyła hiszpańskie koronki i nosiła na głowie małą woalkę. Dolores Palmer miała na sobie swą chińską sukienkę, a Lillian Dunkerque jasnoniebieskie spodnie i krótkie futerko. Chata była przepełniona, ale Clerfaytowi udało się zarezerwować stolik pod oknem; starszy kelner z Palace Hotel, któremu podlegała także chata, był zapalonym kibicem wyścigów samochodowych.

Lillian była bardzo podekscytowana. Wpatrywała się w dramatyczną noc za oknem. Gdzieś ponad górami szalała burza, o której na dole nikt nie wiedział. Księżyc wynurzał się bezgłośnie zza postrzępionych chmur i chował się w nich z powrotem, a ich cienie ożywiały białe stoki, jakby gigantyczne ciemne flamingi o potężnych skrzydłach leciały ponad światem.

W kominku płonął potężny ogień. Do picia był poncz i wino.

– Czego się pani napije? – spytał Clerfayt. – Obydwa trunki, poncz i grzane wino, podawane są na gorąco, lecz jeśli zechcemy,

kelner ma dla nas w zapasie trochę wódki i koniaku. Po południu pozwoliłem mu się przejechać Giuseppe przez wioskę. Zaoliwił dwie świece i nie posiadał się ze szczęścia. Ma pani ochotę na koniak? Ja proponuję grzane wino.

– Dobrze – powiedziała Lillian – niech będzie grzane wino.

Kelner przyniósł kieliszki.

– O jakiej porze pan jutro wyjeżdża? – spytała Lillian.

– Przed zmrokiem.

– Dokąd?

– Do Paryża. Jedzie pani ze mną?

– Tak – odparła Lillian.

Clerfayt roześmiał się; nie wierzył jej.

– Dobrze – powiedział. – Ale nie może pani wziąć dużo bagażu. Giuseppe nie jest do tego przystosowany.

– Potrzebuję niewiele. Resztę mogę kazać dosłać. Gdzie zatrzymamy się najpierw?

– Wyjedziemy ze śniegu, ponieważ tak go pani nienawidzi. Niezbyt daleko. Przez góry do Ticino. Nad Lago Maggiore. Tam jest już wiosna.

– A potem?

– Do Genewy.

– A potem?

– Do Paryża.

– Nie można od razu pojechać do Paryża?

– Wtedy musielibyśmy wyruszyć już dziś w nocy. To trochę za daleko jak na jeden dzień.

– A znad Lago Maggiore można dojechać w jeden dzień?

Clerfayt nagle przyjrzał się jej uważnie. Wszystko do tej pory uważał za zabawę, lecz jak na zabawę wypytywała go zbyt szczegółowo.

– W jeden dzień można dojechać – powiedział. – Ale po co? Nie chce pani zobaczyć narcyzowych łąk wokół Genewy? Każdy chce je zobaczyć.

– Mogę je zobaczyć przejazdem z okna samochodu.

Na tarasie zapalono sztuczne ognie. Race wzbijały się w powietrze, świetliste koła kręciły się, sypiąc iskrami, a potem przyszła kolej na czerwone rakiety, które wznosiły się stromo i które, kiedy widzowie już sądzili, że w trakcie samotnego lotu wyczerpały swoją energię, nagle rozpryskiwały się na złote, zielone i niebieskie snopy i spadały z powrotem na ziemię w postaci setek błyszczących kul.

– Na miłość boską! – szepnął nagle Hollmann. – Dalajlama!

– Gdzie?

– W drzwiach. Właśnie przyszedł.

Faktycznie, przy wejściu stał profesor, blady, z łysą głową, i lustrował bacznie tłum kłębiący się w chacie. Miał na sobie szare ubranie. Ktoś wcisnął mu na głowę papierową czapkę. Zrzucił ją jednym ruchem ręki i zaczął się przeciskać do stolika niedaleko drzwi.

– Kto by przypuszczał? – rzekł Hollmann. – Co teraz zrobimy?

– Po prostu nic – powiedziała Lillian.

– Czy nie powinniśmy ostrożnie wmieszać się w tłum i wyjść?

– Nie.

– Pana nie rozpozna, Hollmann – oświadczyła Dolores Palmer. – Z tymi wąsami.

– Ale panią! I Lillian. Zwłaszcza Lillian.

– Możemy usiąść tak, żeby nie widział naszych twarzy – rzekł Charles Ney, wstając.

Dolores zamieniła się z nim miejscami, a Maria Savini usiadła na krześle Hollmanna. Clerfayt uśmiechnął się z rozbawieniem i spojrzał na Lillian, czy nie chce zamienić się z nim miejscami. Pokręciła głową.

– Proszę się przesiąść, Lillian – powiedział Charles. – W przeciwnym razie rozpozna panią i jutro będzie wielka awantura. I bez tego mamy już w tym miesiącu niemało na sumieniu.

Lillian widziała bladą twarz Dalajlamy o wodnistych oczach, unoszącą się nad stolikami niczym księżyc, chwilami zasłoniętą przez ciżbę, a potem znowu ukazującą się jak jego partner w niebie pomiędzy chmurami.

– Nie – odparła. – Zostanę tutaj.

Narciarze szykowali się do wyjścia.

– Nie zjeżdża pan z nimi? – spytała Dolores Clerfayta, który był w stroju narciarskim.

– Ani myślę. Dla mnie to zbyt niebezpieczne.

Dolores wybuchnęła śmiechem.

– On tak naprawdę uważa – rzekł Hollmann. – To, czego nie opanowało się w zupełności, zawsze jest niebezpieczne.

– A jeśli się opanowało? – spytała Lillian.

– Wtedy jest jeszcze bardziej niebezpieczne – odpowiedział Clerfayt. – Bo człowiek robi się lekkomyślny.

Wyszli przed chatę, żeby popatrzeć na zjazd. Hollmann, Charles Ney, Maria Savini i Dolores prześlizgnęli się niepostrzeżenie

w zamieszaniu, gdy wszyscy ruszyli do wyjścia; Lillian przemaszerowała bez pośpiechu z Clerfaytem przed nosem profesora.

Wydeptaną w śniegu ścieżką podeszli do miejsca startu. Ognisty dym pochodni rzucał refleksy na śnieg i twarze ludzi. Pierwsi narciarze, trzymając wysoko pochodnie, ruszyli szusem w dół oświetlonego zbocza i zniknęli za innymi, bardziej stromymi pochyłościami. Lillian patrzyła za narciarzami rzucającymi się w dół stoku, jakby rzucali się w objęcia życia; niczym rakiety, które osiągnąwszy najwyższy punkt swego lotu, spadały z powrotem na ziemię w postaci gwiezdnego deszczu.

– Kiedy jutro wyjeżdżamy? – zapytała Clerfayta.

Podniósł na nią wzrok. Zrozumiał ją natychmiast.

– Kiedy pani zechce – odparł. – O każdej porze. Może być po zmroku. Może być wcześniej. Może być później, jeśli nie będzie pani gotowa.

– Nie będzie to konieczne. Potrafię się szybko pakować. Kiedy zamierzał pan wyjechać?

– Około czwartej.

– Mogę być gotowa o czwartej.

– Dobrze. Przyjadę po panią.

Clerfayt popatrzył znowu za narciarzami.

– Nie musi pan się o mnie troszczyć – powiedziała Lillian. – Może mnie pan wysadzić w Paryżu. Po prostu pojadę z panem jak...

Szukała w pamięci brakującego słowa.

– ...Jak ktoś, kto stoi przy drodze i chce się zabrać do najbliższego miasta? – spytał Clerfayt.

– Tak – dokładnie tak.

– Dobrze.

Lillian czuła, że drży. Obserwowała Clerfayta. O nic więcej nie pytał. Nie muszę mu niczego wyjaśniać, pomyślała. Po prostu mi wierzy. To, co dla mnie jest decyzją życiową, dla niego jest zwyczajnym postanowieniem, jakie podejmuje się każdego dnia. Może zresztą nie uważa mnie za szczególnie chorą; trzeba by mieć chyba wypadek podczas wyścigu, żeby tak uważał. Ku swemu zdziwieniu poczuła, jak długo noszony ciężar zsuwa się nagle z jej barków. To był pierwszy człowiek od wielu lat, który nie interesował się jej chorobą! W osobliwy sposób uszczęśliwiało ją to. Miała wrażenie, jakby przestąpiła tym samym nieprzekraczalną wcześniej granicę. Choroba, która zawsze niczym mętna szyba oddzielała ją od świata, nagle zniknęła – zamiast niej, w pełnym świetle księżyca, leżało teraz przed nią, zapierając oddech swą klarownością i bezkresem, życie wraz z obłokami, dolinami i losami, i ona do niego należała, nie była z niego wykluczona, stała jak inni, zdrowi, obok miejsca startu do wielkiego zjazdu, z palącą się, trzaskającą pochodnią w ręku, gotowa do rzucenia się w dół i w jego objęcia. Jak Clerfayt kiedyś powiedział? W życiu najbardziej warto dążyć do tego, by móc wybrać moment własnej śmierci, choćby po to, żeby nie mogła zatłuc człowieka jak szczura ani zgasić go czy udusić, kiedy nie jest gotowy. Ona była gotowa. Drżała, ale była gotowa.

6

Wołkow zastał ją następnego ranka pochyloną nad walizkami.

– Pakujesz się, Duszo? O tak wczesnej porze?

– Tak, Borysie, pakuję się.

– Po co? Przecież za parę dni z powrotem wszystko rozpakujesz.

Kilka razy widział ją już przy pakowaniu. Co roku nachodziło ją to niczym przemożna chęć odfrunięcia u przelotnych ptaków wiosną i jesienią. Walizki stały potem porozstawiane po całym pokoju przez kilka dni, a niekiedy nawet kilka tygodni, dopóki Lillian nie zniechęciła się i nie poddała.

– Odchodzę, Borysie – powiedziała. Bała się tej rozmowy. – Tym razem odchodzę naprawdę!

Oparł się o drzwi i obserwował ją. Sukienki i płaszcze leżały na łóżku, a swetry i koszule nocne wisiały na klamkach okiennych i na drzwiach. Pantofle na wysokich obcasach stały na toaletce i na krzesłach, a rzeczy do jazdy na nartach leżały pozrzucane na kupę obok drzwi balkonowych.

– Naprawdę odchodzę – powtórzyła Lillian nerwowo, ponieważ jej nie wierzył.

Skinął głową.

– Odjedziesz jutro. A pojutrze albo za tydzień rozpakujemy rzeczy. Czemu się na próżno zadręczasz?

– Borys! – zawołała. – Daj już spokój! To się na nic nie zda! Odchodzę.

– Jutro?

– Nie, dzisiaj. – Czuła jego uległość i niedowierzanie; to była pajęczyna, która chciała ją na powrót omotać i sparaliżować – Wyjeżdżam – powiedziała zdecydowanym tonem. – Dzisiaj. Z Clerfaytem.

Zauważyła, jak jego oczy się zmieniły.

– Z Clerfaytem?

– Tak. – Spojrzała na niego. Chciała to mieć szybko za sobą. – Odchodzę sama. Ale wyjeżdżam z Clerfaytem, ponieważ on dzisiaj wyjeżdża i ponieważ sama nie mam odwagi tego zrobić. Jadę z nim wyłącznie z tego jednego powodu. Sama nie jestem dość silna, żeby wystąpić przeciwko temu tu na górze...

– Przeciwko mnie?

– Także przeciwko tobie – ale nie tak, jak sądzisz.

Wołkow postąpił krok w głąb pokoju.

– Nie możesz odejść – powiedział.

– Mogę, Borysie. Zamierzałam do ciebie napisać. Spójrz na to... – Wskazała stojący obok stolika mosiężny kosz na papiery, w którym leżał pomięty papier listowy. – Nie mogłam. To beznadziejna sprawa, gdybym chciała ci to teraz wyjaśnić...

Beznadziejna sprawa, pomyślał Wołkow. Co to znaczy? Dlaczego coś, czego wczoraj jeszcze nie było, dziś jest beznadziejną sprawą? Spojrzał na sukienki i pantofle – jeszcze przed sekundą były obrazem uroczego nieporządku – teraz nagle leżały w ostrym

świetle pożegnania i były bronią wymierzoną w jego serce. Nie patrzył już na nie jak na wdzięczny bałagan; patrzył na nie z bólem, jaki odczuwa się po powrocie z pogrzebu ukochanej osoby, widząc niespodziewanie coś z jej osobistych rzeczy – kapelusz, bieliznę, parę butów.

– Musisz tu zostać – powiedział.

Pokręciła głową.

– Wiem, że nie potrafię tego wyjaśnić. Dlatego chciałam odejść bez widzenia się z tobą. Zamierzałam napisać do ciebie z dołu – ale pewnie i tego bym nie potrafiła. Nie utrudniaj mi tego, Borysie...

Nie utrudniaj mi tego, pomyślał. Zawsze tak mówiły, te uosobienia wdzięku, egoizmu i bezradności, kiedy zamierzały złamać komuś serce. Nie utrudniaj mi tego! Czy kiedykolwiek zastanowiły się, czy nie utrudniają tego partnerowi? Ale czy nie byłoby jeszcze gorzej, gdyby rzeczywiście o tym myślały? Czy nie byłoby w tym czegoś z owej fatalnej litości, która trzyma w rękach pokrzywy i jednocześnie bez zastanowienia nimi głaszcze.

– Odchodzisz z Clerfaytem?

– Jadę z Clerfaytem na dół – odparła Lillian udręczonym głosem. – Zabiera mnie tak, jak człowiek w samochodzie zabiera po drodze pieszego. W Paryżu rozstaniemy się. Ja tam zostanę, a on pojedzie dalej. Mój stryj mieszka w Paryżu. Zarządza moim niewielkim kapitałem. Tam zostanę.

– U swojego stryja?

– Nie, w Paryżu.

Lillian wiedziała, że nie mówi prawdy, ale w tym momencie akurat to wydawało jej się prawdą.

– Zrozum mnie, Borys! – poprosiła.

Spojrzał na walizki.

– Po co chcesz być jeszcze rozumiana? Wystarczy, że odchodzisz.

Spuściła głowę.

– Masz rację. Bij dalej.

Bij dalej, pomyślał. Wystarczyło zawahać się przez chwilę, zaraz mówiły: Bij dalej, jakby to je chciało się opuścić. Ich logika nigdy nie sięgała dalej niż do następnej odpowiedzi, wszystko, co było przedtem, natychmiast było wymazywane z pamięci, jakby w ogóle się nie wydarzyło. Miarodajne nie było to, co krzyk sprowokowało, ale sam krzyk.

– Nie będę cię bił – powiedział.

– Chcesz, żebym przy tobie została.

– Chciałbym, żebyś została tutaj. A to coś innego.

Ja też już kłamię, pomyślał. Naturalnie chcę tylko tego, żeby została przy mnie, ona jest jedyną, ostatnią rzeczą, jaką mam, cała planeta skurczyła się dla mnie i ograniczyła do tej wioski, potrafię policzyć jej mieszkańców, znam prawie każdego z nich, ta wioska stała się teraz moim światem, a ona jest tym, czego chcę od tego świata, nie mogę jej stracić, nie wolno mi jej stracić, już ją straciłem.

– Nie chciałbym, żebyś odrzuciła swoje życie jak bezwartościowe pieniądze – powiedział.

– To tylko słowa, Borysie. Jeśli ktoś w więzieniu ma do wyboru: żyć przez rok na wolności, a potem umrzeć, albo gnić do końca życia w więzieniu – co powinien zrobić?

– Ty nie jesteś w więzieniu, Duszo! Masz okropnie fałszywe wyobrażenie o tym, co to jest życie na dole.

– Wiem o tym. Przecież go nie znam. Znam tylko tę część, która była wojną, oszustwem i nędzą, a jeśli nawet reszta okaże się pełna rozczarowań, to i tak na pewno nie jest gorsza od tego, co znam i o czym wiem, że to nie może być wszystko. Musi tam być jeszcze coś innego, coś, czego nie znam, coś, co wzbudza we mnie niepokój i mnie wzywa... – Urwała. – Ale nie mówmy już o tym, Borysie, to wszystko, co mówię, jest fałszywe, staje się fałszywe w chwili, kiedy to mówię, słowa są fałszywe, banalne i sentymentalne i nie trafiają w sedno, i zamieniają się w noże, a ja nie chcę cię zranić, ale każde słowo musi być ciosem, jeśli chcę być uczciwa, i nawet kiedy sądzę, że jestem uczciwa, w dalszym ciągu taka nie jestem, czy nie widzisz, że sama tego nie wiem?

Podniosła na niego spojrzenie, w którym bezsilna miłość mieszała się ze współczuciem i wrogością. Dlaczego zmuszał ją, by jeszcze raz powtórzyła to wszystko, co mówiła sobie tysiąc razy i chciała już zapomnieć?

– Clerfayt niech sobie jedzie, a ty za kilka dni sama zrozumiesz, jaki błąd byś zrobiła, idąc za tym szczurołapem – rzekł Wołkow.

– Borysie, tu nie chodzi o Clerfayta – odparła Lillian bez cienia nadziei w głosie. – Czy musi być zawsze inny mężczyzna?

Nie odpowiedział. Po co jej to mówię, pomyślał. Jestem głupcem, robię wszystko, żeby tym bardziej odstręczyć ją od siebie! Czemu nie powiem jej z uśmiechem, że ma rację? Dlaczego nie zastosowałem tego starego triku? Czyż nie wiem, że przegrywa ten, kto pragnie zatrzymać, a idzie się za tym, kto z uśmiechem puszcza? Czy zapomniałem o tym?

– Nie – powiedział. – Nie musi to być inny mężczyzna. Ale skoro tak nie jest, dlaczego mnie nie spytasz, czy chciałbym pójść

z tobą?

– Ciebie?

Błąd, pomyślał, znowu błąd! Po co się jej narzucam? Ona chce uciec ze szpitala – po co miałaby brać ze sobą chorego? Jestem ostatnim mężczyzną, z którym chciałaby podróżować!

– Nie chcę ze sobą brać niczego – odparła. – Kocham cię, Borysie; ale nie chcę ze sobą brać niczego.

– Chcesz o wszystkim zapomnieć?

Znowu błąd, pomyślał rozpaczliwie.

– Nie wiem – rzekła Lillian przygnębionym głosem. – Stąd nie chcę ze sobą brać niczego. Nie mogę. Nie dręcz mnie!

Przez chwilę stał zupełnie bez ruchu. Wiedział, że nie powinien już odpowiadać; lecz jednocześnie wydawało mu się niesamowicie ważne, żeby jej wyjaśnić, że obydwoje niewiele mają życia przed sobą i że to w życiu, czym teraz tak gardziła, czas, kiedyś będzie najważniejsze, choćby to były tylko dni i godziny, i że będzie zrozpaczona, że kiedyś to odrzuciła, jakkolwiek teraz wcale tak nie uważa – ale wiedział też, że każde słowo, gdyby spróbował je wypowiedzieć, zamieniłoby się w banał, i nawet fakt, że jest prawdą, nie czynił go strawniejszym. Było za późno. Nie mógł już nawiązać z nią kontaktu. Nagle, między jednym oddechem a drugim, było już za późno. Czego zaniedbał? Nie wiedział tego. Wczoraj jeszcze wszystko było bliskie i swojskie, a teraz wyrosła między nimi szklana ściana, jak w samochodzie pomiędzy miejscem kierowcy a tylnym siedzeniem. Jeszcze na siebie patrzyli, ale już się nie rozumieli – słyszeli się nawzajem, lecz mówili różnymi językami, które nie miały żadnych punktów stycznych. Nie można było już nic zrobić. Obcość, która narosła

przez noc, wypełniała już wszystko. Była w każdym spojrzeniu i w każdym geście. Nie można było już nic zrobić.

– *Adieu*, Lillian – powiedział.

– Wybacz mi, Borysie.

– W miłości nie ma czego wybaczać.

Nie miała czasu, żeby się zastanowić. Przyszła pielęgniarka z wezwaniem do Dalajlamy. Profesor pachniał dobrym mydłem i antyseptyczną bielizną.

– Widziałem panią wczoraj wieczór w chacie ratowników – oświadczył sztywno.

Lillian przytaknęła skinieniem głowy.

– Wie pani, że obowiązuje panią zakaz wychodzenia?

– Tak, wiem o tym.

Po bladej twarzy Dalajlamy przemknął różowy cień.

– Jak się wydaje, dla pani jest rzeczą obojętną, czy pani go przestrzega czy nie. Zmuszony jestem prosić panią o opuszczenie sanatorium. Może gdzie indziej znajdzie pani miejsce, które będzie pani lepiej odpowiadać.

Lillian nie zaryzykowała odpowiedzi; ironia była zbyt wyraźna.

– Rozmawiałem z siostrą przełożoną – oświadczył Dalajlama, który jej milczenie uznał za objaw strachu. – Powiedziała mi, że nie był to pierwszy raz. Często już panią ostrzegała, ale pani nie brała sobie tego do serca. Coś takiego demoralizuje całe sanatorium. Nie możemy tego tolerować, żeby...

– Rozumiem pańskie racje – przerwała mu Lillian. – Dziś po południu opuszczę sanatorium.

Dalajlama spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony.

– Aż tak się nie śpieszy – odparł po chwili. – Proszę się jeszcze dobrze zastanowić, zanim poszuka sobie pani innego miejsca. Chyba że pani już to zrobiła?

– Nie.

Profesor był trochę zbity z tropu. Oczekiwał z jej strony łez i prośby, żeby pozwolił jej spróbować jeszcze raz.

– Dlaczego dokłada pani wszelkich starań, żeby zaszkodzić własnemu zdrowiu, panno Dunkerque? – zapytał w końcu.

– Kiedy robiłam wszystko, co mi zalecano, też wcale się nie polepszyło.

– Ale kiedy się komuś czasem pogorszy, to przecież nie powód, żeby przerywać kurację – zawołał profesor ze złością. – Przeciwnie! Właśnie wtedy należy być szczególnie ostrożnym!

Kiedy się komuś czasem pogorszy, pomyślała Lillian. Nie było to już dla niej takim wstrząsem jak wczoraj, gdy pielęgniarka potwierdziła jej przypuszczenia.

– Bezsensowny pęd do samozagłady! – pieklił się dalej Dalajlama, który sądził o sobie, że pod szorstką powłoką ma gołębie serce. – Proszę wybić sobie te bzdury ze swojej ślicznej główki!

Objął ją ramieniem i potrząsnął lekko.

– No, a teraz proszę wrócić do swojego pokoju i od tej pory ściśle przestrzegać regulaminu.

Lillian wysunęła ramiona do przodu, wyślizgując się spod jego ręki.

– Pewnie dalej łamałabym regulamin – powiedziała spokojnie. – Dlatego uważam, że lepiej będzie, jeśli opuszczę sanatorium.

Słowa Dalajlamy na temat stanu jej zdrowia nie tylko jej nie wystraszyły, ale przeciwnie: sprawiły, że nagle stała się pewna siebie i opanowana. Co dziwne, zmniejszyły także ból po rozstaniu z Borysem, jako że nie miała już nagle swobody wyboru. Czuła się jak żołnierz, który po długim czekaniu otrzymał rozkaz wymarszu. Nie można było zrobić nic innego, tylko go wypełnić. To nowe objęło ją już w posiadanie, tak jak w przypadku żołnierza rozkaz wymarszu bywa już częścią rynsztunku bojowego i walki – i być może również śmierci.

– Proszę nie stwarzać trudności – huknął na nią Dalajlama. – Przecież tutaj prawie nie ma innych sanatoriów – dokąd się pani przeniesie? Do pensjonatu?

Stał przed nią: wielki, dobroduszny bóg sanatorium, i zaczynał się niecierpliwić, bo ta krnąbrna kotka złapała go za słowo, co się tyczy zwolnienia, żeby go zmusić, jak sądził, do wycofania się z tego.

– Tych parę zarządzeń leży przecież tylko w pani interesie – grzmiał dalej. – Do czego byśmy doszli, gdyby zapanowała anarchia? No bo cóż innego? Naprawdę nie jesteśmy tutaj w więzieniu. Chyba że pani uważa inaczej?

Lillian uśmiechnęła się.

– Już nie – powiedziała. – I już nie jestem pacjentką. Znów może pan do mnie mówić jak do kobiety, a nie jak do dziecka albo do więźnia.

Zauważyła jeszcze, jak Dalajlama ponownie oblewa się rumieńcem, a chwilę potem była już za drzwiami.

Spakowała do końca walizki. Dziś wieczorem, pomyślała, opuszczę góry. Po raz pierwszy od wielu lat czuła oczekiwanie, za którym

stało spełnienie – już nie oczekiwanie jakiejś fatamorgany, od której dzieliły ją lata i która ciągle wracała, ale oczekiwanie najbliższych godzin. Przeszłość i przyszłość znajdowały się w chwiejnej równowadze, a pierwszą rzeczą, jaką czuła, nie była samotność, lecz pełne napięcia, bolesne osamotnienie. Niczego nie brała ze sobą i nie wiedziała, dokąd idzie. Obawiała się, że przyjdzie jeszcze Wołkow, a zarazem pragnęła go jeszcze raz zobaczyć. Kiedy zamykała walizki, jej oczy były oślepłe od łez. Odczekała, aż się uspokoi. Uregulowała rachunek i odparła dwa ataki Krokodyla, z czego drugi podjęty w imieniu Dalajlamy. Pożegnała się z Dolores Palmer, Marią Savini i Charlesem Neyem, którzy wpatrywali się w nią pewnie tak samo, jak Japończycy podczas wojny patrzyli na swych lotników kamikadze. Wróciła do swego pokoju i czekała. Wtem usłyszała za drzwiami drapanie i szczekanie. Otworzyła i do środka wszedł owczarek Wołkowa. Zwierzę kochało ją i często samo przychodziło do niej. Sądziła, że psa przysłał Borys i sam też jeszcze przyjdzie. Ale nie przyszedł. Zjawiła się natomiast pielęgniarka, która powiedziała jej, że krewni Manueli zamierzają wysłać zmarłą do Bogoty w cynkowej trumnie.

– Kiedy? – spytała Lillian, żeby coś powiedzieć.

– Jeszcze dzisiaj. Chcą wyjechać możliwie jak najszybciej. Na zewnątrz stoją już sanie. Zwykle czekało się zawsze do nocy; ale trumna ma jeszcze zdążyć na statek. Oni polecą samolotem.

– Muszę już iść – mruknęła Lillian. Usłyszała samochód Clerfayta. – Powodzenia.

Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła białym korytarzem jak uciekający złodziej. Miała nadzieję, że uda jej się przejść przez hol

niepostrzeżenie, ale Krokodyl czekał obok windy.

– Profesor kazał pani jeszcze raz powiedzieć, że może pani tutaj zostać. I że powinna pani zostać.

– Dziękuję – odpowiedziała Lillian i poszła dalej.

– Niechże pani będzie rozsądna, miss Dunkerque! Nie zna pani swojej sytuacji. Teraz nie wolno pani zjechać na dół. Nie przeżyłaby pani roku.

– Właśnie dlatego.

Lillian ruszyła dalej. Przy stolikach brydżowych podniosło się parę głów; poza tym hol był pusty. Pacjenci odbywali werandowanie. Borysa nie było. Przy wyjściu stał Hollmann.

– Jeśli już koniecznie chce pani wyjechać, to proszę przynajmniej pociągiem – rzekł Krokodyl.

Lillian bez słowa pokazała siostrze przełożonej swoje futro i wełniane rzeczy. Krokodyl lekceważąco machnął ręką.

– To się na nic nie zda! Zamierza pani na siłę popełnić samobójstwo?

– Wszyscy to robimy – jeden szybciej, drugi wolniej. Pojedziemy ostrożnie. I niezbyt daleko.

Drzwi wyjściowe były już całkiem blisko. Wpadające z zewnątrz słońce oślepiało, jeszcze parę kroków, pomyślała Lillian, i ten bieg przez rózgi się skończy. Jeszcze jeden krok!

– Została pani ostrzeżona – rozległ się za nią monotonny, zimny głos. – My umywamy ręce!

Nie było jej do śmiechu, ale Lillian uśmiechnęła się. Tym ostatnim frazesem Krokodyl uratował sytuację.

– Proszę je umyć w wysterylizowanej niewinności – powiedziała Lillian. – *Adieu*! Dziękuję za wszystko.

Była na zewnątrz. Śnieg odbijał światło tak mocno, że prawie nic nie widziała.

– Do widzenia, Hollmann!

– Do widzenia, Lillian. Wkrótce do pani dołączę.

Podniosła na niego wzrok. Dzięki Bogu, pomyślała, wreszcie ktoś, kto nie chce mnie pouczać. Hollmann opatulił ją w jej wełniane rzeczy i futro.

– Będziemy jechać wolno – zapewnił Clerfayt. – Kiedy słońce zajdzie, spuścimy dach. Teraz boki wozu osłaniają panią od wiatru.

– Tak – powiedziała. – Możemy jechać?

– Niczego pani nie zapomniała?

– Nie.

– A jeśli nawet, to można przecież kazać dosłać.

O tym nie pomyślała. Nagle dostrzegła w tym fakcie pewną pociechę. Sądziła, że kiedy wyjedzie, wszelkie powiązania zostaną zerwane.

– Tak, rzeczywiście, można sobie kazać dosłać – powiedziała.

Niepozorny człowiek, który wyglądał jak skrzyżowanie kelnera z zakrystianem, szybkim krokiem przecinał plac przed sanatorium. Clerfayt zdziwił się.

– To przecież...

Mężczyzna, zmierzając do wejścia, przeszedł tuż obok wozu, i wtedy Clerfayt rozpoznał go. Miał na sobie ciemny garnitur, na głowie czarny kapelusz i niósł walizkę. To był konwojent zwłok, ale jakby odmieniony – już nie pomięty i mrukliwy, ale radosny i autorytatywny. Wyruszał w drogę do Bogoty.

– Kto? – spytała Lillian.

– Nic takiego. Myślałem, że to znajomy. Gotowa?

– Tak – odpowiedziała Lillian. – Gotowa.

Samochód ruszył. Hollmann pomachał im na pożegnanie. Borys się nie pokazał. Pies biegł jeszcze przez jakiś czas za samochodem, potem i on został w tyle. Lillian obróciła się. Na słonecznych tarasach, które jeszcze przed chwilą były puste, zaroiło się nagle od ludzi. Werandujący tam chorzy podnieśli się ze swoich leżaków. Przez podziemny sanatoryjny telegraf dowiedzieli się już dawno, co się dzieje, i teraz, gdy usłyszeli silnik samochodu, stanęli rzadkim szpalerem, ciemne postacie na tle mocno błękitnego nieba, i patrzyli nieruchomo w dół.

– Jak na górnej trybunie podczas corridy – rzekł Clerfayt.

– Owszem – przyznała Lillian. – Ale czym my jesteśmy? Bykami czy matadorami?

– Zawsze bykami. Ale wydaje nam się, że matadorami.

7

Samochód sunął powoli białym wąwozem, nad którym niczym strumień płynęło niebo w kolorze gencjany. Minęli już przełęcz, lecz zwały śniegu po obydwu stronach drogi miały jeszcze prawie dwa metry wysokości. Nic przez nie nie było widać. Były tylko śnieżne mury i niebieska wstęga nieba. Wystarczyło przez dłuższy czas posiedzieć z głową odchyloną do tyłu, a nie wiedziało się już, co jest w górze, a co w dole, biel czy błękit.

Potem pojawił się zapach żywicy i jodeł, a wkrótce przysunęła się brązowa, płaska wioska. Clerfayt zatrzymał samochód.

– Myślę, że możemy już zdjąć łańcuchy przeciwślizgowe. Jak jest tam dalej w dole? – spytał młodzieńca na stacji benzynowej.

– Ostro.

– Co?

Clerfayt przyjrzał się chłopcu. Ubrany był w czerwony sweter, nową skórzaną kurtkę, nosił okulary w niklowej oprawce, miał pryszcze i odstające uszy.

– My się chyba znamy! Herbert albo Helmut, albo...

– Hubert.

Chłopiec wskazał na drewnianą tabliczkę wiszącą pomiędzy dystrybutorami paliwa: H. Göring, mechanik samochodowy i garaż.

– Czy ta tabliczka nie jest nowa? – spytał Clerfayt.

– Nowiuteńka!

– Dlaczego nie kazałeś napisać całego swojego imienia?

– Tak jest praktyczniej. Dzięki temu wielu ludzi myśli, że mam na imię Hermann.

– Doprawdy, można by sądzić, że wolałbyś zmienić nazwisko, niż malować je takimi wielkimi literami.

– Byłbym strasznym głupkiem – oświadczył chłopiec. – Teraz, kiedy znowu pojawia się coraz więcej niemieckich wozów! Nie wyobraża pan sobie, jakie dostaję napiwki! Nie, proszę pana, moje nazwisko to żyła złota.

Clerfayt spojrzał na jego skórzaną kurtkę.

– Czy to już za te pieniądze?

– W połowie. Ale zanim się skończy sezon, będą jeszcze buty narciarskie i płaszcz, to pewne.

– A może jednak się przeliczysz. Od niektórych nie dostaniesz napiwku właśnie z powodu swojego nazwiska.

Chłopiec wyszczerzył zęby i wrzucił łańcuchy do bagażnika.

– Ale nie od tych, którzy mogą sobie znowu pozwolić na wyjazd na narty, proszę pana. Poza tym tak też nie może mi się nic zdarzyć – jedni dają, bo cieszą się, że go już nie ma, a drudzy dlatego, że mają piękne wspomnienia, ale dają prawie wszyscy. Zaobserwowałem już to i owo, od kiedy wisi tablica. Benzyny, proszę pana?

– Benzyny – powiedział Clerfayt – potrzebuję siedemdziesiąt litrów. Ale nie wezmę jej od ciebie, tylko od kogoś mniej przedsiębiorczego. Pora, Hubercie, żeby twój obraz świata trochę się zachwiał.

W godzinę później śnieg został za nimi. Obok szosy pędziły potoki, z dachów domów kapało, a pnie drzew błyszczały od wilgoci. W oknach odbijał się czerwono zachód słońca. Dzieci bawiły się na drodze. Pola były czarne i mokre, a na łąkach widać było żółtą i szarozieloną zeszłoroczną trawę.

– Zatrzymamy się gdzieś? – spytał Clerfayt.

– Jeszcze nie.

– Boi się pani, że śnieg może nas jeszcze dogonić?

Lillian przytaknęła.

– Nie chciałabym go już nigdy oglądać.

– Nie wcześniej niż następnej zimy?

Lillian nie odpowiedziała. Następna zima, pomyślała. To było coś jak Syriusz albo Plejady. Nigdy jej pewnie nie zobaczy.

– A może byśmy się jednak czegoś napili? – spytał Clerfayt. – Kawy z wiśniówką? Mamy jeszcze spory kawałek do przejechania.

– Dobrze – zgodziła się Lillian. – Kiedy będziemy nad Lago Maggiore?

– Za kilka godzin. Późnym wieczorem.

Clerfayt zatrzymał samochód przed gospodą. Weszli do środka. Kelnerka zapaliła światło. Na ścianach wisiały reprodukcje przedstawiające jelenie na rykowisku i tokujące głuszce.

– Jest pani głodna? – spytał Clerfayt. – Co pani jadła w południe?

– Nic.

– Tak myślałem. – Zwrócił się do kelnerki. – Co pani ma do jedzenia?

– Salami, suchą kiełbasę, schübling. Schüblingi są na gorąco.

– Dwa schüblingi i parę kromek ciemnego chleba. Do tego masło i wino z beczki. Ma pani fendant?

– Fendant i valpolicellę.

– Fendant. A dla pani?

– Śliwowicę, jeśli nie robi to panu różnicy – powiedziała kelnerka.

– Nie robi mi to różnicy.

Lillian siedziała w kącie obok okna. Nieobecna duchem przysłuchiwała się rozmowie między Clerfaytem i kelnerką. Czerwonawe światło lampy zbierało się w butelkach na bufecie w zielone i czerwone refleksy. Za oknem drzewa wioski odcinały się czarno na tle wysokiego zielonkawego wieczornego nieba, w domach paliły się pierwsze światła. Wszystko było bardzo spokojne i oczywiste, wieczór bez strachu i buntu, a ona do niego należała w sposób równie oczywisty i spokojny. Wymknęła się! Uczucie to ścisnęło ją niemal za gardło, gdy sobie to uświadomiła.

– Schüblingi to tłuste wiejskie kiełbaski – wyjaśnił Clerfayt. – Wyśmienite, ale może ich pani nie lubi.

– Lubię wszystko – powiedziała Lillian. – Tu, na dole, lubię wszystko!

Clerfayt spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Obawiam się, że to prawda.

– Dlaczego się pan tego obawia?

Roześmiał się.

– Nie ma nic groźniejszego niż kobieta, która wszystko lubi. Jak sprawić, żeby lubiła tylko jednego?

– Po prostu nic w tym kierunku nie robiąc.

– Też prawda.

Kelnerka przyniosła jasne wino. Nalała je do małych szklanek. Potem podniosła własną szklaneczkę ze śliwowicą.

– Na zdrowie!

Wypili. Clerfayt rozejrzał się po nędznej gospodzie.

– Paryż to jeszcze nie jest – powiedział z uśmiechem.

– Ależ jest! – odparła Lillian. – To pierwsze przedmieście Paryża. Paryż zaczyna się już tutaj.

Do Göschenen mieli gwiazdy i jasną noc. Clerfayt załadował wóz na jeden z płaskich wagonów towarowych podstawionych na peronie. Oprócz nich przez tunel jechały jeszcze dwie limuzyny i czerwony samochód sportowy.

– Woli pani zostać w samochodzie czy pojechać wagonem osobowym? – zapytał.

– Bardzo będziemy brudni, jeśli zostaniemy w samochodzie?

– Nie. Lokomotywa jest elektryczna. A dach się spuszcza.

Pracownik kolei podłożył pod koła klocki. Pozostali kierowcy również zostali w swoich wozach. W obydwu limuzynach paliły się lampki sufitowe. Pociąg przetoczony został na inny tor i wjechał w tunel św. Gotarda.

Ściany tunelu były mokre. Po bokach migały światełka sygnalizacyjne. Po kilku minutach jazdy Lillian miała uczucie, że pędzą jakimś szybem do wnętrza ziemi. Powietrze zrobiło się nieświeże i ciężkie. Stukot kół pociągu odbijał się od ścian

tysięcznym echem. Lillian widziała przed sobą oświetlone limuzyny kołyszące się niczym kabiny w drodze do Hadesu.

– Czy to się kiedyś skończy? – zawołała.

– Za kwadrans. – Clerfayt podał jej piersiówkę, którą kazał na nowo napełnić w gospodzie. – Dobrze jest się przyzwyczaić do tuneli – powiedział. – Sądząc po tym, co się słyszy i widzi, wkrótce wszyscy będziemy żyć w podobnych warunkach, w schronach przeciwlotniczych i podziemnych miastach.

– Gdzie wyjedziemy z tunelu?

– W pobliżu Airolo. Tam zaczyna się już południe.

Lillian obawiała się tego pierwszego wieczoru. Spodziewała się, że wspomnienia i żal wypełzną ku niej z ciemności jak szczury. Tymczasem hałaśliwy przejazd przez kamienny brzuch ziemi wypierał każdą inną myśl. Głęboko zakorzeniony lęk przed zasypaniem właściwy każdemu stworzeniu żyjącemu na powierzchni ziemi, a nie w jej wnętrzu, napełniał ją tak niecierpliwym oczekiwaniem widoku światła i nieba, że na nic innego nie było w niej miejsca. Wszystko toczy się niemal za szybko, pomyślała. Przed kilkoma godzinami siedziałam na szczytach gór i chciałam być na dole – a teraz pędzę przez środek ziemi i znowu chcę być na górze!

Z jednej z limuzyn wyfrunął kawałek papieru i uderzył z plaśnięciem o przednią szybę. Przykleił się do niej niczym zmiażdżony gołąb.

– Są ludzie, którzy zawsze i wszędzie muszą jeść – rzekł Clerfayt. – Kanapki zabraliby nawet do piekła.

Sięgnął ręką na drugą stronę szyby i oderwał papier. Przez okno limuzyny wyfrunął drugi kawałek papieru śniadaniowego.

Lillian roześmiała się. Następnie przeleciał pocisk, który zadudnił o ramę szyby.

– Bułka – stwierdził Clerfayt. – Państwo w samochodzie przed nami jedzą samą kiełbasę, bez pieczywa. Mieszczańskie pandemonium we wnętrznościach ziemi.

Lillian przeciągnęła się na swoim siedzeniu. Miała wrażenie, jakby tunel ściągał z niej wszystko, co przylgnęło do niej z dawnego życia, jakby zdarły tę powłokę ostre szczotki hałasu. Stara planeta, na której stało sanatorium, została za nią raz na zawsze; nie mogła na nią wrócić, tak jak nie można dwa razy przekroczyć Styksu. Pojawi się teraz na nowej planecie, wyrzucona z Ziemi, spadając, a jednocześnie popychana do przodu, z tą jedną tylko myślą w głowie: wydostać się i odetchnąć. Czuła się, jakby w ostatniej chwili wyrwała się z wąskiego, długiego grobu, którego ściany zawaliły się tuż za nią, i uciekała do przodu, w stronę światła, które zajaśniało mizernym blaskiem, błyskawicznie zbliżało się do niej i w końcu rozproszyło ciemności.

Podziemny hałas zamienił się w normalny stukot, a potem umilkł. Pociąg stał w miękkim szumie szarości i złota oraz łagodnego powietrza. Po zimnym, martwym powietrzu bijącym od sklepienia tunelu to było powietrze życia. Dopiero po chwili Lillian pojęła, że pada deszcz. Wsłuchiwała się w odgłos kropel bębniących delikatnie o dach, wdychała miękkie powietrze i wystawiła rękę przez okno. Jestem uratowana, pomyślała. Przerzucona przez Styks i uratowana.

– Powinno być na odwrót – powiedział Clerfayt. – Po tamtej stronie powinno padać, a tutaj niebo powinno być pogodne. Jest pani rozczarowana?

Potrząsnęła głową.

– Od października nie widziałam deszczu.

– A od czterech lat nie była pani na dole? To przecież niemal tak, jakby się pani jeszcze raz urodziła. Jeszcze raz, ale bogatsza o wspomnienia.

Podjechał do stacji benzynowej, żeby zatankować.

– Można by pani zazdrościć. Zaczyna pani jeszcze raz od początku. Z właściwym młodości temperamentem, ale bez młodzieńczej bezradności.

Pociąg odjechał, czerwone światła zniknęły w deszczu. Pracownik stacji benzynowej odniósł kluczyki. Samochód zjechał tyłem na drogę. Clerfayt zatrzymał wóz, żeby zawrócić. Przez chwilę widział Lillian w małej zamkniętej przestrzeni, jaka powstała po opuszczeniu dachu, w łagodnym świetle przyrządów na tablicy rozdzielczej, na tle migotliwych kropel deszczu szumiącego za oknem. Wyglądała inaczej niż kiedykolwiek dotąd. Jej twarz oświetlona była światłem tachometrów, zegarów i przyrządów do mierzenia czasu i prędkości, i w przeciwieństwie do nich wydawała się przez jedno uderzenie serca zupełnie ponadczasowa i nieskażona piętnem czasu – ponadczasowa, pomyślał nagle Clerfayt, jak śmierć, z którą stawał do wyścigu, a w porównaniu z tym wyścigiem wszelkie wyścigi samochodowe były dziecinadą. Wysadzę ją w Paryżu i stracę, przemknęło mu przez myśl. Nie, muszę spróbować ją przy sobie zatrzymać! Byłbym idiotą, gdybym nie spróbował!

– Wie pani już, co chce robić w Paryżu? – zapytał.

– Mam tam stryja, który zarządza moimi pieniędzmi. Do tej pory przysyłał mi je w miesięcznych ratach. Teraz wyrwę mu całą

resztę. Będzie wielki dramat. Jemu w dalszym ciągu się wydaje, że mam czternaście lat.

– A ile ma pani naprawdę?

– Dwadzieścia cztery i osiemdziesiąt.

Clerfayt roześmiał się.

– Dobra kombinacja. Ja miałem trzydzieści sześć i osiemdziesiąt – kiedy wróciłem z wojny.

– I co się stało?

– Dobiegłem czterdziestki – powiedział Clerfayt i włączył pierwszy bieg. – To była bardzo smutna rocznica.

Samochód wspiął się na wzniesienie dzielące kolej od szosy i zaczął zjeżdżać długą prostą w dół. W tej samej chwili zawył za nimi inny silnik. Był to czerwony sportowy samochód, który razem z nimi przewożony był przez tunel. Kierowca trzymał się wcześniej w ukryciu za jakąś szopą. Teraz porykiwał za nimi swoimi czterema cylindrami, jakby ich miał szesnaście.

– Nie sądziłem, że to się jeszcze zdarza – rzekł Clerfayt. – Chce się z nami ścigać. Damy mu nauczkę? Czy pozostawimy mu iluzję, że ma najszybsze auto na świecie?

– Pozostawmy dziś każdemu jego iluzję.

– Dobrze.

Clerfayt zatrzymał Giuseppe. Czerwony wóz za nimi zatrzymał się również i zaczął trąbić. Miał wystarczająco dużo miejsca, żeby ich wyprzedzić; on jednak chciał się ścigać.

– Tak to już bywa – stwierdził Clerfayt z westchnieniem, ponownie ruszając z miejsca. – Jest człowiekiem i dąży do swej zguby.

Czerwony wóz naprzykrzał im się aż do Faido. Ciągle próbował ich dogonić.

– Gotów jeszcze wypaść z trasy i się zabić – powiedział w końcu Clerfayt. – Omal już nie wyleciał na ostatnim zakręcie. Przepuśćmy go.

Zahamował, ale natychmiast z powrotem dodał gazu.

– Co za patałach! Zamiast nas wyprzedzić, omal w nas nie wjechał! Jest równie niebezpieczny z przodu, jak i z tyłu.

Clerfayt zjechał na prawe pobocze. Z przydrożnej szopy dolatywał zapach drewna. Zatrzymał Giuseppe przed szopą. Czerwony wóz tym razem się nie zatrzymał. Mężczyzna w samochodzie pomachał mu pogardliwie i roześmiał się.

Zrobiło się bardzo cicho. Słychać było tylko szum potoku i ciche bębnienie deszczu. To właśnie jest szczęście, pomyślała Lillian. Ta minuta ciszy pełna ciemnego, wilgotnego, owocnego oczekiwania. Nigdy jej nie zapomni – noc, delikatny szmer wody i połyskująca, mokra szosa.

Kwadrans później wjechali w mgłę. Clerfayt zmienił światła na krótkie. Jechał bardzo wolno. Po chwili skraj szosy stał się znowu widoczny. Na odcinku stu metrów mgłę wyparł deszcz; potem zanurzyli się na powrót w opary wznoszące się z doliny.

Nagle Clerfayt gwałtownie zahamował. Właśnie wyjechali z mgły. Przed nimi wisiał, jednym kołem nad przepaścią, obrócony w poprzek drogi na słupku kilometrowym, czerwony sportowy samochód. Obok wozu stał jego kierowca, który nie był nawet ranny.

– To się nazywa szczęście – rzekł Clerfayt.

– Szczęście? – odparł mężczyzna z wściekłością. – A samochód? Niech się pan przyjrzy! Nie jest ubezpieczony. A moja ręka?

– W najgorszym razie jest zwichnięta. Przecież może nią pan poruszać. Człowieku, niech pan się cieszy, że stoi pan jeszcze na tej szosie.

Clerfayt wysiadł i przyjrzał się wrakowi.

– Czasami słupki kilometrowe do czegoś jednak się przydają.

– Panie, to pańska wina! – krzyknął mężczyzna. – To pan mnie sprowokował do zbyt szybkiej jazdy. Czynię pana odpowiedzialnym! Gdyby pozwolił mi pan się wyprzedzić, a nie zaczął się ze mną ścigać...

Lillian roześmiała się.

– Czemu ta pani się śmieje? – spytał mężczyzna ze złością.

– Nie pańska sprawa. Ale ponieważ dzisiaj jest środa, więc panu wyjaśnię. Ta pani przybyła z innej gwiazdy i nie zna jeszcze naszych zwyczajów tu, w dole; a śmieje się, bo lamentuje pan nad swoim autem, zamiast się cieszyć, że jest pan jeszcze przy życiu. Dla tej pani to niepojęte. Ja natomiast podziwiam pana za to. Przyślę panu z najbliższej miejscowości wóz holowniczy.

– Stać! Nie może pan tak odjechać! Gdyby nie wyzwał mnie pan na pojedynek, byłbym jechał spokojnie i nie...

– Mylą się panu tryby warunkowe – rzekł Clerfayt. – Najlepiej niech pan obarczy odpowiedzialnością za wszystko przegraną wojnę.

Mężczyzna spojrzał na tablicę rejestracyjną Clerfayta.

– Francuski! I jak ja teraz odzyskam swoje pieniądze? – Zaczął manipulować ołówkiem i kawałkiem papieru, które trzymał

w lewej ręce. – Pański numer! Proszę mi go napisać! Nie widzi pan, że nie umiem pisać drugą ręką?

– To proszę się nauczyć. Ja musiałem się nauczyć gorszych rzeczy.

Clerfayt wsiadł z powrotem do samochodu. Mężczyzna przyszedł za nim.

– Uciekając, chce się pan uchylić od odpowiedzialności?

– Tak. Lecz mimo to przyślę panu wóz, żeby odholować auto.

– Co? Chce mnie pan tu zostawić na drodze w deszczu?

– Owszem. To jest samochód dwuosobowy. Proszę oddychać głęboko, patrzeć na góry, dziękować Bogu, że jeszcze pan żyje, i pomyśleć o tym, że lepsi ludzie niż pan musieli umrzeć.

W Biasce znaleźli garaż. Właściciel był w trakcie kolacji. Zostawił rodzinę i wziął ze sobą butelkę czerwonego wina.

– Możliwe, że będzie potrzebował trochę alkoholu – powiedział. – I ja pewnie też.

Samochód sunął dalej w dół, zakręt po zakręcie, serpentyna po serpentynie.

– To monotonny odcinek – rzekł Clerfayt. – Ciągnie się do Locarno. Potem będzie jezioro. Jest pani zmęczona?

Lillian pokręciła głową. Monotonny! – pomyślała. Zmęczona! Czy ten zdrowy kawałek życia siedzący obok nie czuje, że wszystko we mnie dygocze? Czy nie rozumie, co się we mnie dzieje? Nie czuje, że zamarznięty obraz świata nagle we mnie odtajał i porusza się, i mówi, że mówi deszcz, że mówią mokre skały i dolina ze swymi cieniami i światłami, i szosa? Nie domyśla się, że nigdy nie będę z nimi tak zjednoczona jak teraz, jakbym leżała w kołysce i w ramionach jakiegoś nieznanego boga,

bojaźliwa, a zarazem jeszcze ufna niczym młody ptaszek, lecz wiedząc już, że wszystko to będzie dla mnie tylko ten jeden raz i że to wszystko stracę, kiedy wezmę je w posiadanie, a ono mnie, tę drogę i te wioski, te ciemne ciężarówki przed gospodami, te śpiewy za rozświetlonymi oknami, szare i srebrne niebo, i te nazwy miejscowości, Osogna, Cresciano, Claro, Castione i Bellinzona, które, ledwo przeczytane, zaraz za mną znikają jak cienie, jakby ich nigdy nie było? Czy nie widzi, że jestem sitem, które traci, kiedy przyjmuje, a nie koszem, który tylko zbiera? Nie zauważa, że ledwo mogę mówić, bo serce we mnie wzbiera wielkim, anonimowym uczuciem i wśród niewielu nazwisk, jakie zna, jest również jego nazwisko, ale właściwie każde z nich brzmi zawsze tylko: Życie?

– Jak się pani podobało pierwsze spotkanie tu, na dole? – spytał Clerfayt. – Człowiek, który lamentuje nad swoją własnością, a swoje życie uważa za coś oczywistego? Pozna pani jeszcze wiele podobnych przypadków.

– To było urozmaicenie. Na górze każdy uważał swoje życie za coś okropnie ważnego. Ja też.

Przed nimi wyskoczyły nagle ulice, światła, domy, błękit i rozległy plac z arkadami.

– Za dziesięć minut będziemy na miejscu – rzekł Clerfayt. – To już Locarno.

Z turkotem nadjechał tramwaj, w ostatniej chwili zagradzając im drogę. Clerfayt roześmiał się, ujrzawszy, że Lillian wpatruje się w pojazd, jakby był katedrą. Nie widziała ich od czterech lat. W górach nie było tramwajów.

Nagle przed nimi pojawiło się jezioro, szerokie, srebrne i niespokojne. Przestało padać. Niskie chmury przepływały szybko, zasłaniając księżyc. Nad jeziorem leżała cicha Ascona ze swoją piazzą.

– Gdzie będziemy mieszkać? – spytała Lillian.

– Nad jeziorem. W hotelu Tamaro.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Po wojnie mieszkałem tu przez rok – odparł Clerfayt. – Jutro rano przekona się pani, dlaczego.

Zatrzymał się przed małym hotelem i wypakował bagaże.

– Właściciel hotelu ma bibliotekę – powiedział. – To prawie uczony. A inny tam, na górze, ma hotel poobwieszany Cézanne'ami, Utrillami i Lautrecami; tacy ludzie żyją tutaj. Pojedziemy od razu coś zjeść?

– Dokąd?

– Do Brissago, pod granicą włoską. Dziesięć minut drogi stąd. Do restauracji, która się nazywa Giardino.

Lillian rozejrzała się dokoła.

– To przecież kwitnące glicynie!

Niebieskie kwiaty zebrane w grona pięły się po białych ścianach domów. Mimoza wysypywała swoje złote kwiaty i pierzaste liście na jakiś mur ogrodowy.

– Wiosna – rzekł Clerfayt. – Niech Bóg błogosławi Giuseppe, który przesuwa pory roku.

Samochód jechał powoli wzdłuż jeziora.

– Mimozy – powiedział Clerfayt, wskazując kwitnące drzewa nad jeziorem. – Całe aleje. A to jest pagórek porośnięty irysami

i narcyzami. Wioska nazywa się Porto Ronco. A tam na górze leży Ronco. Zbudowali je Rzymianie.

Zaparkował auto obok długich kamiennych schodów. Weszli po nich do małej restauracji. Zamówił butelkę soave, szynkę, krewetki z ryżem i ser z Valle Maggia.

W lokalu było niewielu gości. Okna były pootwierane, powietrze łagodne. Na stole stała doniczka z białymi kameliami.

– Tutaj pan mieszkał? – spytała Lillian. – Nad tym jeziorem?

– Tak. Prawie rok. Po ucieczce z obozu i potem po wojnie. Zamierzałem zostać parę dni, lecz zostałem o wiele dłużej. Potrzebowałem tego. To była kuracja polegająca na bezczynności: słońce, jaszczurki na murach, gapienie się w niebo i na jezioro i zapominanie możliwie jak najwięcej, żeby oczy wreszcie nie wpatrywały się już tylko w jeden punkt, ale dostrzegały znowu, że przyroda w ogóle nie przyjęła do wiadomości dwudziestu lat ludzkiego obłędu. *Salute*!

Lillian wypiła łyk lekkiego włoskiego wina.

– Czy ja się mylę, czy to jedzenie jest zadziwiająco dobre?

– Jedzenie jest zadziwiająco dobre. Restaurator mógłby być szefem kuchni w każdym wielkim hotelu.

– Dlaczego nie jest?

– Kiedyś był. Bardziej jednak podoba mu się rodzinna wioska.

Lillian poniosła wzrok.

– Chciał wrócić – nie wyfrunąć?

– Był już w świecie – i wrócił.

Odstawił kieliszek.

– Jestem szczęśliwa, Clerfayt – powiedziała. – W dodatku muszę się przyznać, że nie wiem nawet, co to słowo znaczy.

– Ja też nie wiem.

– Nigdy pan nie był szczęśliwy?

– Często.

Spojrzała na niego.

– Za każdym razem inaczej – dodał.

– Kiedy najbardziej?

– Kiedy byłem sam – odparł Clerfayt.

Lillian zaśmiała się.

– Dokąd pójdziemy teraz? Jest tutaj więcej takich zaczarowanych restauratorów i hotelarzy?

– Wielu. Nocą, kiedy jest pełnia księżyca, z jeziora wynurza się szklana restauracja. Należy ona do jednego z synów Neptuna. Można się tam napić starych rzymskich win. Teraz natomiast pójdziemy do baru, w którym jest jeszcze wino dawno już wyprzedane w Paryżu.

Pojechali z powrotem do Ascony. Clerfayt zostawił auto przed hotelem. Poszli kawałek wzdłuż piazzy i zstąpili po schodach do jakiejś piwnicy. Na dole był mały bar.

– Nie muszę już nic pić – powiedziała Lillian. – Jestem pijana mimozami. Cała okolica wręcz w nich tonie. Co to za wyspy na jeziorze?

– W rzymskich czasach stała tam podobno świątynia Wenus. Teraz ktoś ma tam restaurację. Ale niekiedy nocą przy pełni księżyca błąkają się tam jeszcze dawni bogowie. Potem właściciel następnego ranka znajduje wiele pustych butelek z nietkniętym korkiem. Od czasu do czasu Pan odsypia na wyspie nocne pijaństwa i budzi się w południe. Słychać wtedy jego flet, a wszystkie stacje radiowe mają wyraźne zakłócenia.

– To wino jest cudowne. Co to jest?

– Stary szampan, który wspaniale poleżakował w tutejszej piwnicy. Na szczęście antyczni bogowie na tym się nie znają, bo w przeciwnym razie dawno by go wypili. Szampan został odkryty dopiero w średniowieczu.

Wracali piechotą do hotelu. Na ścianie jakiegoś domu wisiał ukrzyżowany Chrystus. Naprzeciwko było wejście do restauracji. Zbawiciel zaglądał bez słowa do oświetlonego pomieszczenia, z którego rozbrzmiewały śmiechy i hałasy. Lillian miała wrażenie, że w związku z tym należałoby coś powiedzieć – ale w końcu nie było nic do powiedzenia. Wszystko miało swoje miejsce.

Stała przy oknie swojego pokoju. Na zewnątrz było jezioro, noc i wiatr. Wiosna burzyła się w platanach i w chmurach. Clerfayt wszedł do pokoju. Otoczył ją ramieniem. Odwróciła się i spojrzała na niego. Pocałował ją.

– Nie boisz się? – zapytała.

– Czego?

– Że jestem chora?

– Boję się, że podczas wyścigu przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę może mi pęknąć przednia opona – powiedział.

Lillian odetchnęła głęboko. Jesteśmy w podobnej sytuacji, pomyślała. Oboje nie mamy przyszłości! Jego sięga zawsze tylko do następnego wyścigu, a moja do następnego krwotoku. Uśmiechnęła się.

– Jest taka historia – rzekł Clerfayt. – W Paryżu w czasach gilotyny prowadzono pewnego człowieka na egzekucję. Było zimno i daleko do miejsca straceń. Konwojenci zatrzymali się po drodze,

żeby się napić wina. Kiedy sami wypili, zaproponowali butelkę także skazańcowi. Ten wziął ją, przyglądał się jej przez chwilę, a w końcu powiedział: „Mam nadzieję, że żaden z nas nie nosi w sobie jakiejś zakaźnej choroby", i też wypił. Pół godziny później jego głowa stoczyła się do kosza. Tę historię opowiedziała mi moja babka, kiedy miałem dziesięć lat. Miała zwyczaj wypijać w ciągu dnia butelkę calvadosu. Prorokowano jej wczesną śmierć. Żyje do dzisiaj. Prorocy dawno już pomarli. Wziąłem butelkę tego starego szampana z baru w piwnicy. Powiadają, że na wiosnę pieni się mocniej niż w innych porach roku. Bo wtedy czuje jeszcze życie. Zostawiam ją pani tutaj. – Postawił butelkę na parapecie, ale zabrał ją z powrotem. – Nie powinno się stawiać wina w świetle księżyca. Księżyc zabija jego aromat. To też słowa mojej babki.

Ruszył do drzwi.

– Clerfayt – rzuciła za nim Lillian.

Odwrócił się.

– Nie wyjechałam po to, żeby zostać sama – powiedziała.

8

Przedmieścia Paryża witały ich szare, brzydkie i deszczowe; ale im dalej posuwali się w głąb miasta, tym większe zaczynało się oczarowanie. Zaułki i ulice wynurzały się niczym obrazy Utrilla i Pissarra, szarość zbladła i stała się niemal srebrzysta, nagle pojawiła się rzeka ze swoimi mostami i holownikami, drzewami i pąkami, barwnymi rzędami bukinistów i kamieniami ciosowymi starych budynków na prawym brzegu Sekwany.

– Stąd właśnie – powiedział Clerfayt – zabrano na ścięcie Marię Antoninę. W restauracji naprzeciwko można wyjątkowo dobrze zjeść. W ogóle wszędzie tutaj głód łączy się z historią. Gdzie pani zamieszka?

– Tam – odparła Lillian, wskazując ponad rzeką na jasną fasadę małego hotelu.

– Zna go pani?

– Skąd miałabym go znać?

– Z czasów, kiedy żyła pani tutaj?

– Kiedy żyłam tutaj, mieszkałam przeważnie w ukryciu, w piwnicy pewnego sprzedawcy warzyw.

– Nie wolałaby pani zamieszkać gdzieś w szesnastym *arrondissement*? Albo u swojego stryja?

– Mój stryj jest taki skąpy, że prawdopodobnie sam ma tylko jeden pokój. Przejedźmy na drugą stronę i zapytajmy, czy mają tam wolne pokoje. A gdzie pan będzie mieszkał?

– W Ritzu.

– Naturalnie – rzekła Lillian.

Clerfayt pokiwał głową.

– Nie jestem dość bogaty, żeby mieszkać gdzie indziej.

Przejechali przez most St. Michel na nabrzeże des Grands-Augustins i zatrzymali się przed hotelem Bisson. Kiedy wysiedli, z budynku wyszedł akurat posługacz hotelowy z walizkami.

– To będzie pokój dla mnie – powiedziała Lillian. – Ktoś się wyprowadza.

– Naprawdę chcesz tutaj mieszkać? Po prostu dlatego, że zobaczyłaś ten hotel z drugiej strony rzeki?

Lillian przytaknęła.

– Zamierzam nawet tak żyć. Bez żadnych specjalnych rekomendacji i uprzedzeń.

Pokój był wolny. Hotel nie miał windy, ale pokój na szczęście mieścił się na pierwszym piętrze. Schody były wydeptane i stare. Pokój okazał się mały i skąpo umeblowany, ale łóżko wydawało się dobre i była łazienka. Meble były współczesne, z wyjątkiem rokokowego stolika, który stał niczym książę wśród niewolników. Tapeta była stara, a światło elektryczne niewystarczające – za to rzeka pod oknem jaśniała światłami Conciergerie, nabrzeży i wież Notre Dame.

– W każdej chwili, jeśli będziesz miała ochotę, możesz się stąd wyprowadzić – rzekł Clerfayt. – Niektórzy ludzie zapominają o tym.

– Dokąd? Do ciebie do Ritza?

– Nie do mnie, tylko do Ritza – odparł Clerfayt. – Mieszkałem tam podczas wojny przez pół roku. Z brodą i pod innym nazwiskiem. Po biednej stronie, od rue Cambon. Po drugiej stronie, od placu Vendôme, mieszkali niemieccy bonzowie. To było bardzo ciekawe.

Posługacz przyniósł walizki na górę. Clerfayt ruszył do drzwi.

– Zjesz dzisiaj ze mną kolację?

– Kiedy?

– O dziewiątej.

– Dobrze, o dziewiątej.

Popatrzyła za nim. W trakcie podróży nie wspomnieli słowem o wieczorze w Asconie. Francuski to wygodny język, pomyślała. Przechodziło się z „ty” na „pan” i odwrotnie, i nie był to żaden stan, tylko zabawa. Usłyszawszy ryk Giuseppe, podeszła do okna. Może wróci, pomyślała, a może nie. Nie wiedziała tego, ale nie było to wcale takie ważne. Ważne, że jest w Paryżu, że jest wieczór i że oddycha. Światła na bulwarze St. Michel zmieniły się na zielone, i niczym wściekła pogoń popędziło za Giuseppe przez most całe stado citroenów, renaultów i ciężarówek. Lillian nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała tyle aut. W czasie wojny jeździło ich bardzo niewiele. Hałas był znaczny, ale w jej uszach brzmiał jak organy, na których żelazne ręce grały potężne *Te Deum*.

Rozpakowała swoje rzeczy. Niewiele wzięła ze sobą. Nie miała także przy sobie większej gotówki. Zadzwoniła do stryja. Telefon nie odpowiadał. Stryj już przed kilku laty zrezygnował z telefonu.

Na krótko ogarnęła ją panika. Dostawała pieniądze co miesiąc, przekazywane przez pewien bank, i długo nie miała od stryja żadnej wiadomości. Niemożliwe, żeby nie żył, pomyślała. Dziwne, że to zawsze było pierwszą myślą! Może się wyprowadził, mieszka gdzie indziej. Zapytała w hotelu o książkę adresową. Była tylko stara, z pierwszego roku wojny, a nowa książka telefoniczna jeszcze się nie ukazała. Poza tym brakowało również węgla. W pokoju wieczorem robiło się chłodno. Lillian włożyła płaszcz. Dla ostrożności, opuszczając sanatorium, zapakowała parę wełnianych rzeczy. Sądziła, że będzie je mogła tutaj komuś podarować. Teraz była zadowolona, że je ma. Szary, brudny zmrok zaczynał wpełzać przez okno. Lillian wzięła kąpiel, żeby się rozgrzać, i położyła się do łóżka. Po raz pierwszy, odkąd wyjechała, była sama. Po raz pierwszy od lat naprawdę była sama. Pieniędzy mogło jej starczyć najwyżej na tydzień. Wraz z ciemnością pojawiła się z powrotem panika. Kto wie, gdzie był teraz jej stryj? Może miał wypadek, a może nie żył. Może również Clerfayt zniknął już w tym nieznanym mieście, przeniósł się do innego hotelu, wiódł inne życie, i również o nim nigdy już nie usłyszy. Miała dreszcze. Romantyczna aura prysła szybko, podobnie jak kilka faktów, w zderzeniu z chłodem i samotnością. W ciepłej klatce sanatorium brzęczały teraz rury centralnego ogrzewania.

Ktoś zapukał. Za drzwiami stał posługacz hotelowy z dwoma pakunkami. Widziała, że w jednym są kwiaty. Mogły być tylko od

Clerfayta. Szybko dała chłopcu w słabo oświetlonym pomieszczeniu o wiele za duży napiwek. W drugim pakunku był wełniany koc. „Sądzę, że może się Pani przydać – pisał Clerfayt. – W Paryżu w dalszym ciągu brakuje węgla". Rozłożyła koc. Ze środka wypadły dwa małe tekturowe pudełka. Były w nich żarówki. „Francuscy hotelarze zawsze oszczędzają na świetle – pisał Clerfayt, komentując ten prezent. – Proszę zastąpić nowymi żarówkami te, które ma Pani w pokoju: świat zrobi się natychmiast dwa razy jaśniejszy".

Poszła za jego radą. Teraz przynajmniej mogła czytać. Posługacz przyniósł jej gazetę. Zajrzała do niej, lecz po chwili odłożyła ją. To wszystko już jej nie obchodziło. Nigdy się nie dowie, kto w następnym roku zostanie prezydentem ani jakie partie będą rządzić w parlamencie. Zresztą nie interesowało jej to; cała była jedynie wolą życia. Własnego życia.

Ubrała się. Miała ostatni adres swego stryja; pół roku temu, kiedy pisał do niej, adres był jeszcze aktualny. Zamierzała tam pojechać i podjąć dalsze poszukiwania.

Okazało się, że nie ma potrzeby. Stryj mieszkał dalej pod tym samym adresem; zrezygnował jedynie z telefonu.

– Twoje pieniądze? – powiedział. – Jak sobie życzysz. Posyłałem ci je co miesiąc do Szwajcarii; bardzo trudno było uzyskać pozwolenie na wywóz. Naturalnie mogę polecić, żeby ci je wypłacano co miesiąc także we Francji. Na jaki adres mają ci przysyłać?

– Nie chcę ich dostawać w miesięcznych ratach. Chcę mieć wszystko teraz, od razu.

– Po co?

– Chcę sobie kupić trochę strojów.

Stary człowiek wytrzeszczył na nią oczy.

– Jesteś jak twój ojciec. Gdyby on...

– On nie żyje, stryju Gastonie.

Gaston spojrzał na swoje duże blade dłonie.

– Nie masz już zbyt wiele pieniędzy. Co zamierzasz tu robić? Mój Boże, gdybym ja miał to szczęście i mógł żyć w Szwajcarii!

– Ja żyłam nie w Szwajcarii, tylko w szpitalu.

– Nie wiesz, co to pieniądze. Wydasz je w parę tygodni. Wszystko stracisz...

– Możliwe – powiedziała Lillian.

Spojrzał na nią wystraszonym wzrokiem.

– A kiedy je stracisz, co wtedy?

– Nie będę dla ciebie ciężarem.

– Powinnaś wyjść za mąż. Jesteś zdrowa?

– Czy w przeciwnym razie byłabym tutaj?

– A więc powinnaś wyjść za mąż.

Lillian roześmiała się. Jego zamiary były zbyt przejrzyste: chciał zrzucić odpowiedzialność za nią na kogoś innego.

– Powinnaś wyjść za mąż – powtórzył Gaston. – Mógłbym się postarać, żebyś poznała kilku ludzi.

Lillian roześmiała się znowu, ale była ciekawa, co zrobi stary człowiek. Ma pewnie pod osiemdziesiątkę, pomyślała, a zachowuje się, jakby musiał się zabezpieczyć na następne osiemdziesiąt lat.

– Dobrze – odpowiedziała. – A teraz powiedz mi jeszcze jedno: co robisz, kiedy jesteś sam?

Mężczyzna o ptasiej głowie podniósł na nią osłupiały wzrok.

– Zawsze coś... nie wiem... zawsze mam jakieś zajęcie... dziwne pytanie! Dlaczego pytasz?

– Czy od czasu do czasu nie nachodzi cię myśl, żeby wziąć wszystko, co masz, wyruszyć z tym w świat i przepuścić co do grosza?

– Jesteś dokładnie taka sama jak twój ojciec! – odparł z pogardą starzec. – On też nigdy nie miał poczucia obowiązku i odpowiedzialności! Powinienem spróbować oddać cię pod kuratelę.

– Nie możesz tego zrobić. Ty uważasz, że marnuję pieniądze – a ja myślę, że ty marnujesz życie. Niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu. I postaraj się do jutra o pieniądze dla mnie. Chcę jak najszybciej kupić sobie stroje.

– Gdzie? – zapytał prędko marabut.

– Chyba u Balenciagi. Nie zapomnij, że te pieniądze należą do mnie.

– Twoja matka...

– Jutro – powiedziała Lillian i pocałowała lekko Gastona w czoło.

– Posłuchaj, Lillian, nie rób głupstw! Jesteś ubrana bardzo dobrze, stroje w tych domach mody kosztują majątek!

– Prawdopodobnie – odparła Lillian i popatrzyła przez ciemne podwórze na szare okna domów naprzeciwko, odbijające ostatnie resztki zachodzącego słońca, jakby były z wypolerowanych łupków.

– Jesteś jak twój ojciec! – Starzec był szczerze przerażony. – Dokładnie taka sama! Mogłabyś żyć bez żadnych trosk, gdyby nie jego fantastyczne projekty...

– Stryjku Gastonie, mówiono mi, że obecnie można się pozbyć pieniędzy na dwa sposoby. Jeden to oszczędzać i stracić je wskutek inflacji, a drugi to wydawać. A teraz powiedz mi jeszcze, jak ci się wiedzie.

Gaston nerwowo machnął ręką.

– Sama widzisz. Jest ciężko. Takie czasy! Jestem biedny.

Lillian rozejrzała się dookoła. Widziała piękne stare meble, wyścielane fotele, na których leżały pokrowce, kryształowy żyrandol obwiązany gazą i kilka dobrych obrazów.

– Zawsze byłeś skąpy, stryju Gastonie – powiedziała. – Dlaczego jesteś jeszcze teraz?

Zmierzył ją spojrzeniem ciemnych, ptasich oczu.

– Chcesz tutaj mieszkać? Mam mało miejsca...

– Masz dosyć miejsca, ale nie chcę tutaj mieszkać. Ile ty masz właściwie lat? Czy nie byłeś o dwadzieścia lat starszy od mojego ojca?

Stary człowiek był wyraźnie poirytowany.

– Skoro wiesz, to po co mnie jeszcze pytasz?

– Nie boisz się śmierci?

Gaston milczał przez chwilę, po czym powiedział cicho:

– Masz brzydkie maniery.

– To prawda. Nie powinnam była się pytać. Ale sama siebie pytam o to tak często, iż zapominam, że innych to przeraża.

– Jeszcze się nieźle trzymam. Gdybyś chciała liczyć na rychły spadek, mogłabyś się zawieść.

Lillian roześmiała się.

– Na to z pewnością nie liczę! A mieszkam w hotelu i nie zwalę ci się tu na głowę.

– W którym hotelu? – spytał prędko Gaston.

– W Bisson.

– Chwała Bogu. Nie zdziwiłbym się, gdybyś zamieszkała w Ritzu.

– Ja też – rzekła Lillian.

Przyjechał po nią Clerfayt. Zabrał ją do restauracji Le Grand Véfour.

– Jakie było pierwsze pani zderzenie ze światem na dole? – spytał.

– Mam wrażenie, że jestem wśród ludzi, którzy wierzą, że będą żyć wiecznie. Tak przynajmniej postępują. Bronią swojej własności, a zapominają o życiu.

Clerfayt roześmiał się.

– A podczas ostatniej wojny wszyscy przysięgali sobie, że już nigdy nie popełnią tego samego błędu, jeśli przeżyją. Człowiek jest wielki w zapominaniu.

– Ty też zapomniałeś? – spytała Lillian.

– Bardzo się starałem. Mam nadzieję, że nie całkiem mi się to udało.

– Czy dlatego cię kocham?

– Nie kochasz mnie. Gdybyś mnie kochała, nie używałabyś tego słowa tak lekkomyślnie – i nie mówiłabyś mi tego.

– Kocham cię dlatego, że nie myślisz o przyszłości?

– Wtedy musiałabyś kochać każdego mężczyznę w sanatorium. Będziemy tutaj jeść solę z prażonymi migdałami i pić do tego młode montrachet.

– W takim razie dlaczego cię kocham?

– Ponieważ akurat tu jestem. I ponieważ kochasz życie. Jestem dla ciebie anonimowym kawałkiem życia. To wyjątkowo niebezpieczne.

– Dla mnie?

– Dla tego, kto jest anonimowy. Każdy może go zastąpić.

– Mnie też – powiedziała Lillian. – Mnie też, Clerfayt.

– Tego nie jestem już tak całkiem pewny. Gdybym był mądry, wycofałbym się możliwie jak najprędzej.

– Przecież tak naprawdę nigdzie jeszcze nie doszedłeś.

– Jutro wyjeżdżam.

– Dokąd? – spytała Lillian, nie wierząc jego słowom.

– Daleko. Muszę pojechać do Rzymu.

– A ja do Balenciagi, kupić sobie trochę strojów. To jeszcze dalej niż Rzym.

– Naprawdę jadę. Muszę zadbać o swój kontrakt.

– Dobrze – powiedziała Lillian. – Dzięki temu będę miała czas, żeby się rzucić w wir przygód w domach mody. Mój stryj Gaston chciałby mnie już oddać pod kuratelę – albo wydać za mąż.

Clerfayt roześmiał się.

– Chciałby cię wsadzić do drugiego więzienia, zanim poznasz, co to jest wolność?

– A co to jest wolność?

– Tego i ja nie wiem. Wiem tylko, że nie jest to brak odpowiedzialności ani brak celu. Łatwiej ustalić, czym wolność nie jest, niż czym jest.

– Kiedy wrócisz? – spytała.

– Za parę dni.

– Masz kochankę w Rzymie?

– Owszem – przyznał Clerfayt.

– Tak myślałam.

– Dlaczego?

– Byłoby dziwne, gdybyś żył sam. Ja też nie żyłam sama, kiedy się pojawiłeś.

– A teraz?

– Teraz – powiedziała Lillian – zbyt jestem pijana samą sobą tu, na dole, żebym mogła się nad tym zastanawiać.

Nazajutrz po południu poszła do Balenciagi. Oprócz ubrań sportowych miała niewiele strojów. Niektóre uszyte były jeszcze według mody wojennej, inne miała po matce, przerobione przez tanią krawcową.

Bacznie obserwowała siedzące obok niej kobiety. Studiowała ich stroje i szukała w ich twarzach tego samego oczekiwania, które było w niej. Nie znajdowała go. Znajdowała podstarzałe napuszone papugi, które były zbyt mocno uszminkowane i obsianymi zmarszczkami oczyma bez powiek patrzyły na młodsze kobiety, oraz młode kobiety o kruchej elegancji, których sceptyczne spojrzenia nie wyrażały nic prócz niepojętej fascynacji tym, że po prostu żyją. Pomiędzy nimi siedziało stadko ładnych Amerykanek, rozpaplanych, rozszczebiotanych i zupełnie naiwnych. Tylko tu i ówdzie w podnieconej pustce, niczym łagodny ogień, gasnący już, lecz rozbłyskujący jeszcze wśród ciemności, mignęła twarz – przeważnie nie pierwszej młodości – mająca w sobie jakąś magiczną moc, bez paniki, ale za to z rzadkim czarem właściwym niekiedy starzeniu się, który nie jak rdza, ale jak patyna na szlachetnym naczyniu podnosi jeszcze jego piękno.

Rozpoczęła się parada modelek. Lillian słyszała wdzierający się z zewnątrz miejski hałas, który przypominał delikatne bębny ze współczesnej puszczy pełnej stali, betonu i maszyn. Wydawało się, jakby wiatr przywiał stamtąd modelki poruszające się na szczupłych nogach niczym jakieś sztuczne zwierzęta, smukłe kameleony, które zmieniały kreacje jak kolor skóry i w milczeniu przesuwały się obok krzeseł.

Wybrała pięć modeli.

– Chce pani przymierzyć od razu? – zapytała sprzedawczyni.

– A mogę?

– Tak. Te trzy będą pasować na panią; tamte są trochę za duże.

– Kiedy mogłabym je wziąć? – spytała Lillian.

– A kiedy ich pani potrzebuje?

– Natychmiast.

Sprzedawczyni roześmiała się.

– Natychmiast znaczy tutaj za trzy do czterech tygodni – najwcześniej.

– Ja potrzebuję ich natychmiast. Czy mogę kupić modele, które na mnie pasują?

Sprzedawczyni pokręciła głową.

– Niestety nie, potrzebujemy ich codziennie. Ale zrobimy, co w naszej mocy. Jesteśmy zawaleni pracą, mademoiselle. Gdybyśmy realizowali zamówienia po kolei, musiałaby pani czekać sześć tygodni. Przymierzymy teraz tę czarną suknię wieczorową?

Modele zostały przeniesione do kabiny wyłożonej lustrami. Razem z nimi weszła krawcowa, żeby wziąć miarę.

– Znakomicie pani wybrała, mademoiselle – powiedziała sprzedawczyni. – Sukienki pasują na panią, jakby były dla pani zaprojektowane. Monsieur Balenciaga się ucieszy, kiedy je zobaczy na pani. Szkoda, że go teraz nie ma.

– A gdzie jest? – spytała Lillian uprzejmie i bez zastanowienia, ściągając jednocześnie sukienkę.

– W górach. – Sprzedawczyni wymieniła nazwę miejscowości, z której przyjechała Lillian. Zabrzmiało to w uszach Lillian tak, jakby powiedziała: Tybet. – Pojechał tam na wypoczynek – dodała ekspedientka.

– Faktycznie, tam można wypocząć.

Lillian wyprostowała się i spojrzała w lustro.

– Widzi pani! – powiedziała sprzedawczyni. – Właśnie to miałam na myśli. Większość kobiet kupuje to, co im się podoba. Pani kupiła coś, w czym jest pani dobrze. Nie uważa pani tak samo? – zapytała krawcową.

Krawcowa przytaknęła.

– Teraz jeszcze płaszcz!

Suknia wieczorowa był czarna jak węgiel, z odrobiną meksykańskiej czerwieni, i obcisła; płaszcz do niej był natomiast szeroki i przypominał pelerynę, uszyty z na wpół przezroczystego materiału, który odstawał, jakby był nakrochmalony.

– Dramatyczne – powiedziała sprzedawczyni. – Wygląda pani w nim jak upadły archanioł.

Lillian przyjrzała się sobie. Z dużego trzyczęściowego lustra patrzyły na nią trzy kobiety, dwie z profilu i jedna z przodu, a kiedy odsunęła się trochę na bok, widziała, odbitą w lustrze

z tyłu, czwartą, która odwracała się do niej plecami i zdawała się już ruszać do wyjścia.

– Dramatyczne! – powtórzyła sprzedawczyni. – Czemu Lucille nie potrafi tego tak nosić?

– Kto to jest Lucille?

– Nasza najlepsza modelka. Ta, która prezentowała tę kreację.

Czemu ona miałaby to tak nosić? – pomyślała Lillian. Będzie jeszcze nosić tysiąc innych kreacji i będzie to robić przez wiele lat, a potem wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci, i się zestarzeje. Ja natomiast będę nosić ten płaszcz tylko przez to jedno lato.

– Czy nie dałoby się zrobić wcześniej niż za cztery tygodnie? – zapytała. – Przynajmniej tę jedną? Mam mało czasu.

– Jak pani sądzi, mademoiselle Claude? – spytała krawcowa.

Sprzedawczyni skinęła głową.

– Zaczniemy od razu.

– A więc kiedy? – spytała Lillian.

– Za dwa tygodnie może być gotowe.

– Za dwa tygodnie...

To było dla niej jak dwa lata.

– Jeśli się da, to za dziesięć dni. Potrzebnych będzie kilka przymiarek.

– Dobrze. Skoro nie można inaczej.

– Naprawdę nie można inaczej.

Codziennie przychodziła do przymiarki. Cisza w kabinie w jakiś dziwny sposób oczarowywała ją. Niekiedy słyszała z zewnątrz głosy innych kobiet, lecz w srebrze i szarości własnej kabiny była jakby odgrodzona od miejskiego zgiełku. Koło niej skakała krawcowa niczym kapłanka w służbie jakiegoś idola. Upinała,

zbierała materiał w fałdy, marszczyła, kroiła, mruczała niezrozumiałe słowa, bo między wargami ściskała szpilki, klęczała i naciągała, gładziła ostrożnie, przesuwała się na kolanach do tyłu i do przodu jak podczas jakiejś powtarzającej się wciąż na nowo ceremonii. Lillian stała nieruchomo i widziała przed sobą w lustrach trzy kobiety, które były do niej podobne, a jednocześnie w jakiś bardzo chłodny sposób dystansowały się od niej, z którymi na jej oczach działo się coś, co tylko z daleka zdawało się mieć związek z nią, a mimo to również ją głęboko zmieniało. Niekiedy zasłona jej kabiny uchylała się i do środka zaglądała inna klientka – spiesznie lustrującym spojrzeniem niezmordowanych bojowniczek płci, z zaciekawieniem, lecz zawsze mając się na baczności. Lillian czuła wtedy, że nie ma z tym nic wspólnego. Nie polowała na męża; polowała na życie.

W trakcie tych dni rozwinął się stosunek dziwnie obcej intymności pomiędzy nią a kobietami w lustrze, które zmieniały się wraz z każdym nowym strojem. Rozmawiała z nimi, nie mówiąc; odbicia uśmiechały się do niej, nie uśmiechając się. Były poważne i w jakiś cichy, smutny sposób sobie bliskie, jak siostry, które wychowały się osobno i nigdy nie sądziły, że kiedykolwiek się zobaczą. A teraz stało się to niczym we śnie, było to milczące *rendez-vous*, pełne już łagodnej melancholii – bo wkrótce znów będą musiały się rozstać i nie zobaczą się już nigdy. Nawet stroje z hiszpańskim akcentem miały coś z tego – pozbawiona światła, dramatyczna czerń aksamitów, wybuchająca nagłym płomieniem tropikalna czerwień jedwabi, szerokie płaszcze, w których ciało wydawało się niemal niematerialne, i ciężki brokat krótkich

kamizelek noszonych przez toreadorów, zza których wyzierały piasek i słońce, i nagła śmierć.

Wrócił Balenciaga. Przyglądał się bez słowa jednej z przymiarek. Następnego dnia sprzedawczyni przyniosła do kabiny coś srebrnego, co wyglądało jak skóra ryby, która nigdy nie zaznała słońca.

– Monsieur Balenciaga chciałby, żeby miała pani tę sukienkę – powiedziała.

– Muszę tego zaprzestać. Kupiłam już więcej rzeczy, niż powinnam; codziennie coś dokupywałam.

– Proszę przymierzyć. Na pewno ją pani weźmie. – Sprzedawczyni uśmiechnęła się. – Także cena będzie taka, że będzie pani zadowolona. Dom mody Balenciaga chciałby, żeby nosiła pani jego stroje.

Lillian włożyła owo srebrne nic. Było niemal perłowej barwy, lecz zamiast uczynić ją bledszą, dodało kolorów jej twarzy i ramionom, nadając im złotobrązowy odcień.

– Wezmę ją – westchnęła. – Trudniej odrzucić taką sukienkę niż zaloty Don Juana i Apolla.

Nie zawsze, pomyślała, ale w tej chwili tak było. Żyła w pozbawionym ciężaru, szarym i srebrnym świecie. Przed południem spała długo, potem szła do Balenciagi, następnie wędrowała bez celu po ulicach, a wieczorem jadła sama kolację w hotelowej restauracji. Restauracja należała do najlepszych w Paryżu; nie wiedziała o tym przedtem. Nie pragnęła towarzystwa i nie bardzo odczuwała brak Clerfayta. Anonimowe życie, które gwałtownie napierało na nią z ulic, kawiarni i restauracji, było dostatecznie silne i w dalszym ciągu dla niej

tak nowe, że na razie niezbyt jej brakowało osobistego życia. Pozwoliła się porwać prądowi, tłum unosił ją, ale nie przerażał, kochała go, bo był życiem, nieznanym, bezmyślnym, głupim życiem, trwonionym na bezmyślne i głupie cele, które kołysały się na jego falach niczym boje na morzu w wietrzną pogodę.

– Dokonała pani mądrych zakupów – powiedziała sprzedawczyni podczas ostatniej przymiarki. – Te stroje nigdy nie wyjdą z mody. Będzie je pani mogła nosić przez całe lata.

Lata, pomyślała Lillian z lekkim drżeniem i uśmiechnęła się.

9

Obudziła się jakby z łagodnego rauszu. Prawie dwa tygodnie spędziła wśród strojów, kapeluszy i pantofli niczym pijak w winiarni. Kiedy dostarczono pierwsze stroje, przesłała rachunki stryjowi Gastonowi, który przekazał jej wprawdzie do hotelu miesięczną rentę, lecz poza tym ani grosza. Wymawiał się, że załatwienie sprawy zajmuje tyle czasu.

Następnego dnia zjawił się podenerwowany Gaston. Powęszył trochę po hotelu, oświadczył, że jest nieodpowiedzialna, i niespodziewanie zażądał, żeby przeprowadziła się do jego mieszkania.

– Żebyś mnie miał pod kontrolą?

– Żebyś oszczędzała pieniądze. To przestępstwo wydawać tyle na stroje. Za te pieniądze musiałyby być ze złota!

– One są ze złota, tylko że ty tego nie widzisz.

– Sprzedawać dobre, przynoszące procent akcje dla paru szmatek... – lamentował Gaston. – Trzeba cię oddać pod kuratelę!

– Spróbuj. Każdy sędzia we Francji mnie zrozumie, a za to ciebie weźmie pod obserwację. Jeśli nie zwrócisz mi prędko moich pieniędzy, kupię dwa razy tyle strojów i prześlę ci rachunki.

– Dwa razy tyle szmatek? Jesteś...

– Nie, stryju Gastonie, nie jestem szalona; to ty jesteś szalony. Ty, który nie pozwalasz sobie na nic, żeby kilku spadkobierców, których nienawidzisz i ledwo znasz, roztrwoniło potem twój majątek. Ale nie mówmy już o tym! Zostań na obiad. Tutejsza restauracja jest wyjątkowo dobra. Włożę dla ciebie jedną z owych szmatek.

– Wykluczone! Wyrzucać jeszcze pieniądze na...

– Ja cię zapraszam. Mam tutaj kredyt. Podczas obiadu możesz mi opowiadać dalej, jak żyją rozsądni ludzie. Teraz jestem głodna jak narciarz po sześciu godzinach treningu. Nie, jeszcze bardziej! Przymierzanie bardzo pobudza apetyt. Poczekaj na mnie na dole. Za pięć minut będę gotowa.

Godzinę później zeszła na dół. Gaston, blady z wściekłości i długiego czekania, siedział przy stoliku, na którym stała jakaś roślina doniczkowa i leżało parę żurnali. Nie zamówił sobie aperitifu. Miała wielką satysfakcję, że nie rozpoznał jej od razu. Za to kiedy ją ujrzał schodzącą na dół w półmroku słabo oświetlonych schodów, podkręcił wąsa, wyprostował się i obrzucił ją spojrzeniem staroświeckiego bywalca.

– To ja, stryju Gastonie – powiedziała. – Mam nadzieję, że wiesz, co to incest.

Gaston zakaszlał.

– Bzdury – zaskrzeczał. – Po prostu źle widzę. Kiedy widziałem cię po raz ostatni?

– Dwa tygodnie temu.

– Nie o to mi chodzi. Przedtem.

– Mniej więcej przed czterema laty – byłam wtedy na wpół zagłodzona i zupełnie zagubiona.

– A teraz?

– Teraz dalej jestem na wpół zagłodzona, ale bardzo zdecydowana.

Gaston wyciągnął z kieszeni binokle.

– Dla kogo kupiłaś te stroje?

– Dla siebie.

– Nie masz żadnego...

– Jedynymi mężczyznami na górze, którzy nadawali się do żeniaczki, byli instruktorzy narciarscy. W kombinezonach narciarskich prezentują się nieźle, lecz poza tym wyglądają jak chłopi wystrojeni od święta.

– Jesteś zupełnie sama?

– Owszem, ale nie tak jak ty – odpowiedziała Lillian i ruszyła przodem do restauracji.

– Co byś zjadła? – spytał Gaston. – Oczywiście to ja ciebie zapraszam. Sam nie jestem głodny. A co dla ciebie? Zapewne coś lekkiego? Omlet, sałatka owocowa, trochę wody Vichy...

– Dla mnie – odparła Lillian – na początek jeżowce, tuzin, i wódkę.

Gaston spojrzał mimo woli na cennik.

– Jeżowce są niezdrowe!

– Tylko dla skąpców. Zaraz się nimi dławią, stryju Gastonie. Potem filet poivre...

– Czy to nie za ostre? Może weźmiesz raczej gotowaną kurę albo owsiankę; czy nie mieliście w sanatorium owsianki...

– Owszem, stryju Gastonie. Owsianki i gotowanych kur najadłam się na całe życie w górach z widokiem na wspaniałą przyrodę. Wystarczy! Do mięsa zamów dla nas butelkę château Lafite. A może nie lubisz?

– Nie mogę sobie na to pozwolić. Bardzo zubożałem, moja droga Lillian.

– Wiem. Przez to jedzenie z tobą staje się takie dramatyczne.

– Przez co?

– Że w każdym wypitym łyku jest kropla twojej krwi serdecznej.

– Tfu, do diabła! – powiedział Gaston, nagle zupełnie normalnie. – Co za obraz! W odniesieniu do takiego wina! Mówimy o czymś innym. Mogę spróbować twoich jeżowców?

Lillian podała mu talerz. Gaston zjadł szybko trzy. A więc oszczędzał w dodatku na jedzeniu; za to wino pił równo z nią. Skoro za nie płacił, chciał też coś z tego mieć.

– Dziecino – powiedział, kiedy butelka została opróżniona – jak ten czas leci! Pamiętam cię jeszcze, jak...

Lillian poczuła krótki, ostry ból.

– Nie chcę już o tym słyszeć, stryju Gastonie. Wyjaśnij mi jedno: dlaczego nazwano mnie Lillian? Nienawidzę tego imienia.

– To twój ojciec.

– Dlaczego?

– Masz ochotę na likier do kawy? Koniak? Nie chartreuse? Armaniak? Mogłem się był domyślić! – Gaston najwyraźniej odtajał. – A więc dobrze, dwa armaniaki. Tak, twój ojciec...

– Co?

Marabut przymrużył jedno oko.

– W młodości spędził parę miesięcy w Nowym Jorku. Sam. Później obstawał przy tym, żeby cię nazwać Lillian. Twojej matce było wszystko jedno. Potem słyszałem, że w Nowym Jorku miał podobno pewną... no, pewną bardzo romantyczną przygodę. Z kimś, kto miał na imię Lillian. Wybacz, ale sama o to pytałaś.

– Chwała Bogu! – powiedziała Lillian. – Myślałam już, że matka znalazła to imię w jakiejś książce. Dużo czytała.

Gaston pokiwał swoją ptasią głową.

– Faktycznie. Tym mniej natomiast czytał twój ojciec. A ty, Lilly? Chcesz teraz tutaj – rozejrzał się dokoła – żyć? Nie sądzisz, że to pomyłka?

– Właśnie zamierzałam się zapytać o to samo w odniesieniu do ciebie. Po winie zacząłeś niemal pokazywać ludzkie oblicze.

Gaston upił trochę swojego armaniaku.

– Wydam dla ciebie małe przyjęcie.

– Już raz mi tym groziłeś.

– Przyjdziesz?

– Nie, jeśli to będzie herbata albo cocktail-party.

– To będzie obiad. Mam też jeszcze kilka butelek wina – tylko kilka, ale mogą się równać z tym tutaj.

– Dobrze.

– Zrobiła się z ciebie piękna dziewczyna, Lilly. Ale twarda! Twarda! Twój ojciec taki nie był.

Twarda, pomyślała Lillian. Co on nazywa twardym? Czy naprawdę jestem taka? A może tylko nie mam czasu na delikatne oszustwa, które pokrywają sztucznym złotem dobrych manier niewygodne prawdy i nazywają to później taktem?

Ze swojego okna widziała spiczastą wieżę Sainte Chapelle. Sterczała niczym igła na tle nieba ponad szarymi murami Conciergerie. Pamiętała kaplicę z dawnych czasów. Pierwszego dnia, kiedy było pełne słońce, udała się do niej.

Było prawie południe i całą przestrzeń o wysokich witrażowych oknach wypełniało światło, jakby była przezroczystą wieżą zbudowaną z promieni. Zdawała się składać z samych okien, nasyconych błękitem jak płaszcz Madonny, płomienną czerwienią, zielenią i żółcią. Blask był tak mocny, że czuło się barwy na skórze, jakby się brało kąpiel w kolorowym świetle. Oprócz Lillian było tu tylko paru amerykańskich żołnierzy, którzy wkrótce wyszli. Siedziała na ławce, okryta światłem niczym najlżejszą i najbardziej królewską z wszystkich szat, i pragnęła niemal, żeby móc się rozebrać i ujrzeć przezroczysty brokat spływający po jej skórze. To była lawina światła, upojenie bez siły ciężkości, jednoczesne spadanie i wznoszenie się; zdawała się oddychać światłem i czuła, jakby błękit, czerwień i żółć mieniły się w jej płucach i w jej krwi, jakby skóra i świadomość przestały stanowić przegrodę i światło przepływało przez nią, tak jak przenikały przez nią niewidzialne promienie podczas zdjęć rentgenowskich, tyle że tam odsłaniany był szkielet, gdy tymczasem tutaj zdawała się świecić tajemnicza siła, która powodowała bicie serca i pulsowanie krwi. To było samo życie, i kiedy tak siedziała, cicho, bez ruchu, pozwalając światłu padać na siebie i w głąb siebie, całkowicie należała do niego i stanowiła z nim jedno, nie była już odizolowaną jednostką, światło przygarnęło ją i chroniło, i nagle owładnęło nią mistyczne uczucie, że nie może umrzeć, dopóki ono ją tak trzyma, i że coś w niej nigdy nie umrze – właśnie to, co

należało do tego magicznego światła. Tkwiła w tym wielka pociecha i pragnęła to zachować na zawsze w pamięci, i takie, czuła, powinno być jej życie, te dni życia, jakie jej jeszcze zostały, takie jak to tutaj, ul wypełniony najlżejszym promienistym miodem na świecie – światło bez cienia, życie bez żalu, spalenie bez popiołu...

Przypomniała sobie ostatni raz, kiedy była w Sainte Chapelle. Przyprowadziła ją tutaj matka. Było to w okresie, kiedy gestapo szukało jej ojca. Dnie spędzali wtedy w kościołach, ponieważ one wydawały im się najpewniejszym schronieniem. W ten sposób Lillian poznała dużą część paryskich kościołów, siedząc zawsze w najciemniejszych kątach i udając, że się modli. Ale po pewnym czasie zaczęto wysyłać szpiegów także do kościołów i ciemności Notre Dame przestały być bezpieczne. Wówczas przyjaciele poradzili jej matce, żeby ukrywać się w ciągu dnia w Sainte Chapelle; tamtejszy dozorca miał być niezawodny. W płomiennym świetle Lillian czuła się jak przestępca wyciągnięty siłą ze swej podziemnej kryjówki na bezlitosne jaskrawe światło policyjnego reflektora – albo jak trędowata wystawiona na białą, demaskatorską jasność sali operacyjnej. Nienawidziła tego i nie zapomniała o tym nigdy.

Teraz z tego wszystkiego nic już nie zostało. Cienie przeszłości rozpłynęły się jak mgła pod pierwszym miękkim uderzeniem światła. Nienawiść zniknęła; było tylko szczęście. Temu światłu nie można się było oprzeć, pomyślała. Topniała w nim owa straszliwa władza pamięci, by wspomnień przeszłości nie traktować po prostu jak nauki, lecz włączać je jako skamieniałe życie w chwilę obecną i wypełnić ją nim niczym pokój

niepotrzebnymi, starymi meblami – i przeistaczała się w to, czym naprawdę powinna być: silniejszym, świadomym życiem wspartym na doświadczeniu. Lillian przeciągnęła się w padającym na nią z góry świetle. Miała wrażenie, jakby je słyszała. Tyle rzeczy można usłyszeć, pomyślała, jeśli tylko człowiek potrafi być dostatecznie cicho. Oddychała powoli i głęboko. Oddychała złotem, błękitem i czerwienią w kolorze wina. Czuła, jak w tych kolorach rozpływa się także sanatorium i jego ostatni cień; szare i czarne, przezroczyste jak płaty żelatyny zdjęcia rentgenowskie zwinęły się i spaliły w małym, jasnym płomieniu. Oczekiwała tego i z tego powodu tutaj przyszła. Promieniste szczęście, pomyślała, najlżejsze na świecie.

Dozorca musiał zagadnąć do niej dwa razy.

– Zamykamy, mademoiselle.

Wstała i zobaczyła zmęczoną, zatroskaną twarz mężczyzny. Przez chwilę nie mogła zrozumieć, że dozorca nie domyśla się, co ona czuje – ale pewnie nawet cuda, jeśli zdarzają się ciągle, stają się czymś zwyczajnym.

– Jak długo jest pan już tutaj? – zapytała.

– Dwa lata.

– Znał pan dozorcę, który był tutaj w czasie wojny?

– Nie.

– To musi być piękne: spędzać tutaj dnie.

– To moje źródło utrzymania – odpowiedział. – Bardzo skromne. Przy tej inflacji.

Wyciągnęła z torebki banknot. Oczy dozorcy rozbłysły. To był cud, pomyślała, bezsprzecznie to był cud: chleb i wino, i życie, i pewnie także szczęście. Wyszła na szary dziedziniec. Czy cuda

rzeczywiście stawały się monotonne, pomyślała, kiedy człowiek się do nich przyzwyczajał? Powszedniały, tak jak zdawało się powszednieć tu, na dole, pojęcie życia, zmieniać się w światło rutyny, które świeciło zawsze, miast pozostać promienistą kaplicą?

Rozejrzała się dokoła. Monotonnie jaskrawe słońce spoczywało na dachach więzienia obok, ale składało się z tych samych promieni, które odprawiały w kaplicy święto światła. Na dziedzińcu kręcili się policjanci, przejechał, podskakując na bruku, samochód z przyklejonymi do zakratowanych okien twarzami więźniów. Promienisty cud pomiędzy budynkami policji i sądu otaczała atmosfera szaf na akta, przestępców, morderstw, procesów, zazdrości, zła i bezradnego cienia, który ludzkość nazywała sprawiedliwością. Ironia była mocna – lecz Lillian nie była pewna, czy nie ma ona również jakiegoś głębszego znaczenia i czy nie musiało tak być, żeby cud pozostał cudem. Nagle pomyślała o Clerfaycie. Uśmiechnęła się. Była gotowa. Odkąd wyjechał, nie dał znaku życia. Nie bolało jej to; zresztą wcale tego nie oczekiwała. Jeszcze go nie potrzebowała, ale dobrze było wiedzieć, że jest.

W Rzymie Clerfayt przesiadywał w biurach, kawiarniach i warsztatach. Wieczory spędzał z Lydią Morelli. Z początku często myślał o Lillian, lecz potem na wiele dni o niej zapomniał. Wzruszała go – co w odniesieniu do kobiet zdarzało mu się rzadko. Była niczym urodziwy młody psiak, który przesadza we wszystkim, co robi. Ale ona na pewno przyzwyczai się do tutejszego życia, pomyślał. Jeszcze wierzy, że musi nadrobić wszystko, co, jak sądziła, ominęło ją do tej pory. Wkrótce przekona

się, że nic jej nie ominęło. Zorientuje się w sytuacji i stanie się taka jak inne – podobna do Lydii Morelli, ale prawdopodobnie nie tak perfekcyjna. Nie miała sceptycznej mądrości Lydii ani jej kobiecej bezwzględności. Była dobra dla lekko sentymentalnego mężczyzny o poetyckich ideałach – ale nie dla niego. Powinna była zostać z Wołkowem, który, jak się wydawało, żył tylko dla niej i naturalnie z tego powodu ją stracił, tak to już jest. Clerfayt przywykł do innego życia. Nie chciał się już dać wciągnąć w coś głębszego. Lydia Morelli była dla niego w sam raz. Lillian pozostanie dla niego uroczą, krótką wakacyjną przygodą. Na Paryż była zbyt prowincjonalna, zbyt wymagająca i zbyt niedoświadczona.

Poczuł ulgę, podjąwszy tę decyzję. Po powrocie do Paryża zadzwoni do Lillian i jeszcze raz się z nią spotka, żeby jej to wyjaśnić. Może zresztą nie było nic do wyjaśniania. Z pewnością nie było nic do wyjaśniania. Bez wątpienia sama sobie dawno wszystko wyjaśniła. W takim razie po co chciał się z nią jeszcze spotkać? Nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. A dlaczego nie? Przecież prawie nic nie było między nimi. Podpisał swój kontrakt i został jeszcze w Rzymie dwa dni. Tego samego dnia, co on, pojechała do Paryża Lydia Morelli. On jechał Giuseppe, ona pociągiem; nienawidziła podróży samochodem i samolotem.

10

Lillian zawsze bała się nocy. Noc wiązała się z atakami duszności, z cieniami rąk, które chwytały za gardło, z przerażającą, nieznośną samotnością śmierci. W sanatorium przez całe miesiące paliła światło, żeby uniknąć kłującej w oczy jasności śnieżnych nocy przy pełni księżyca i przygnębienia bladych, bezksiężycowych nocy z szarym śniegiem, który był wtedy najbardziej bezbarwną rzeczą na świecie. Noce w Paryżu były łagodniejsze. Za oknem była rzeka i Notre Dame, i od czasu do czasu jakiś pijak, który hałasował na chodniku, albo samochód z piskiem opon pędzący ulicą. Kiedy nadeszły pierwsze stroje, Lillian nie powiesiła ich w szafie. Porozwieszała je po całym pokoju. Jedną sukienkę, aksamitną, powiesiła nad łóżkiem, srebrną tuż obok, tak iż mogła ich dotknąć, kiedy zrywała się ze snu, uciekając od dawnych koszmarów sennych, sama, ze zduszonym okrzykiem spadając, spadając z bezkresnej ciemności w drugą bezkresną ciemność – wtedy mogła wyciągnąć rękę i dotknąć sukni, będących dla niej jak liny ratunkowe: srebrna i aksamitna, po których mogła się wycofać z bezkształtnej zgrozy i wrócić do ścian, otoczenia, czasu, przestrzeni i życia. Głaskała

je, czuła materiał nad palcami, wstawała i zaczynała chodzić po pokoju, często nago, a stroje otaczały ją wtedy jak przyjaciółki, zwisały na swoich wieszakach ze ścian i z drzwi szafy, natomiast buty na cienkich, wysokich obcasach, złote, brązowe i czarne, stały obok siebie w rządku na komodzie, jakby zostawiła je grupka bardzo eleganckich aniołów Botticellego, które odleciały na krótką nocną adorację do Sainte Chapelle i wrócą o świcie. Tylko kobieta wie, myślała, ile pociechy może tkwić w byle kapeluszu. Wędrowała nocą po pokoju między swoimi rzeczami, przyglądała się brokatowi w świetle księżyca, wkładała na głowę mały kapelusik i przymierzała jakąś parę butów, a czasem sukienkę, stawała w bladym świetle przed lustrem, bacznie się sobie przyglądając, i patrzyła na matowo fosforyzujące kształty, na swoją twarz, ramiona, czy uwydatniły się już kości obojczyków, na swoje piersi, czy już obwisły, i na nogi, czy od wewnętrznej strony nie pojawiają się wklęśnięcia świadczące o wychudzeniu. Jeszcze nie, myślała, jeszcze nie, i kontynuowała swoją niemą upiorną zabawę: inna para butów, chwila w kapeluszu, o którym nie było wiadomo, w jaki sposób w ogóle trzyma się na głowie, kilka sztuk biżuterii, które posiadała i które w nocy wyglądały tak, jakby miały jakąś czarodziejską moc, i odbicie w lustrze, które uśmiechało się do niej i zadawało pytanie, i spoglądało na nią, jakby wiedziało więcej od niej samej.

Clerfayt wytrzeszczył oczy, kiedy ją ujrzał znowu; tak bardzo się zmieniła. Zadzwonił do niej – po dwóch dniach pobytu w Paryżu – jakby spełniając przykry obowiązek, a trochę z ciekawości, i zamierzał zostać godzinę. Został na cały wieczór. To nie była tylko kwestia strojów, dostrzegł to od razu. Widział w życiu dość

kobiet, które dobrze się ubierały, a na strojach Lydia Morelli znała się lepiej niż kapral na musztrze. Zmieniła się sama Lillian. Miał wrażenie, jakby przed kilkoma tygodniami zostawił w połowie jeszcze dziewczynę, trochę nieporadne, nie całkiem wyrośnięte coś, i nagle odnalazł kogoś, kto przekroczył właśnie mistyczną granicę niedojrzałości i miał jeszcze jej wdzięk, lecz już zarazem magiczną pewność siebie bardzo pięknej młodej kobiety. Zamierzał Lillian opuścić; teraz był rad, że otrzymał jeszcze późną szansę zatrzymania jej. W czasie swojej nieobecności przypisywał jej i wyolbrzymiał cechy czyniące z niej trochę prowincjonalną gąskę – przede wszystkim dysonans między zbyt wielką intensywnością a zbyt niepewną formą, który interpretował jako lekką histerię. Nie pozostało z tego ani śladu. Palił się płomień, spokojny i silny płomień, a Clerfayt wiedział, jakie to rzadkie zjawisko. W srebrnych kandelabrach paliły się nieraz świece kuchenne, młodość błędnie utożsamiano często z płomieniem, i zresztą miała ona w sobie coś z płomienia, dopóki nie zmąciły jej wyrachowanie i rezygnacja – tutaj jednak było coś innego. Czemu nie dostrzegł tego wcześniej? Przeczuwał, ale nie rozpoznał. Zdawało mu się, jakby widział wtedy pstrąga, którego wpuszczono do zbyt małego akwarium i który nieporadnie obijał się o wszystkie ściany, wyrywał roślinki i rozgrzebywał muł. Teraz, nagle, rybie nie przeszkadzały już szyby i kamyki – znalazła rzekę, która należała do niej, i nie obijała się już o nic – bawiła się własną szybkością i grała kolorami tęczy, mieniącymi się na jej gładkiej skórze niczym błyskawice.

– Mój stryj Gaston chce urządzić dla mnie party – powiedziała Lillian parę wieczorów później.

– Naprawdę?

– Tak. Chce mnie wydać za mąż.

– W dalszym ciągu?

– Bardziej niż kiedykolwiek! Obawia się nie tylko mojej, ale także własnej ruiny, jeśli dalej będę kupować stroje.

Ponownie siedzieli w Grand Véfour. Kelner przyniósł znowu, jak za pierwszym razem, solę z prażonymi migdałami, i znowu pili młode montrachet.

– Zrobiłeś się w Rzymie małomówny – rzekła Lillian.

Clerfayt spojrzał na nią.

– Naprawdę?

Lillian uśmiechnęła się.

– A może to kobieta, która weszła przed chwilą?

– Jaka kobieta?

– Czy koniecznie muszę ci ją pokazać?

Clerfayt nie widział, jak Lydia Morelli wchodziła do lokalu. Zauważył ją dopiero teraz. Co, u diabła, sprowadziło ją akurat tutaj? Nie znał mężczyzny, z którym była, wiedział jednak, że nazywa się Johnson i jest podobno bardzo bogaty. Lydia doprawdy nie traciła czasu, odkąd rano jej powiedział, że dziś wieczorem też nie może się z nią spotkać. Teraz przypomniał sobie również, dlaczego go tutaj wytropiła – przed rokiem często z nią bywał w tym lokalu. Należy być ostrożnym ze swoimi ulubionymi restauracjami, pomyślał ze złością.

– Znasz ją?

– Tak jak niektóre inne kobiety; ni mniej, ni więcej.

Widział, że Lydia obserwuje Lillian i wie już z dokładnością do stu franków, co ma na sobie, skąd i ile to kosztowało. Był

przekonany, iż otaksowała nawet pantofle Lillian, mimo że nie mogła ich widzieć. Pod tym względem była jasnowidzem. Uniknąłby tej sytuacji, gdyby o tym pomyślał – teraz, skoro już zaistniała, postanowił ją wykorzystać. Najskuteczniejsze były w dalszym ciągu najprostsze reakcje. Jedną z nich była rywalizacja. Jeśli Lillian okaże się zazdrosna, tym lepiej.

– Jest znakomicie ubrana – powiedziała Lillian.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Znana jest z tego.

Oczekiwał teraz uwagi na temat Lydii. Miała czterdzieści lat, w ciągu dnia wyglądała na trzydzieści, a wieczorem na dwadzieścia pięć, jeśli światło było dobre. Światło w lokalach, do których chodziła Lydia, zawsze było dobre. Uwaga na temat wieku nie padła.

– Jest piękna – rzekła Lilly. – Miałeś z nią romans?

– Nie – odparł Clerfayt.

– To była głupota z twojej strony – powiedziała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Dlaczego?

– Jest bardzo piękna. Skąd pochodzi?

– Jest Włoszką.

– Z Rzymu?

– Tak – przyznał. – Z Rzymu. Dlaczego pytasz? Jesteś zazdrosna?

Lillian spokojnie odstawiła swój kieliszek z żółtym chartreuse.

– Biedny Clerfayt – powiedziała. – Nie jestem zazdrosna. Nie mam na to czasu.

Clerfayt wytrzeszczył na nią oczy. W przypadku każdej innej kobiety uznałby to za kłamstwo, pojął jednak, że Lillian nie kłamie. To miała na myśli, i tak było. W jednej sekundzie ogarnęła go wściekłość, zupełnie bez powodu.

– Mówmy o czymś innym.

– Dlaczego? Dlatego że wróciłeś do Paryża z inną kobietą?

– Absurd! Skąd taka bzdura przyszła ci do głowy?

– Czy to nieprawda?

Clerfayt zastanawiał się tylko chwilę.

– Tak, to prawda.

– Masz bardzo dobry gust.

Milczał, czekając na następne pytanie. Zdecydowany był powiedzieć prawdę. Przed dwoma dniami sądził jeszcze, że może Lillian trzymać na boku; teraz, kiedy widział obydwie obok siebie, chciał tylko jej. Wiedział, że złapał się we własne sidła, i złościł się z tego powodu; ale wiedział również, że nic nie może tego cofnąć, a już na pewno nie logika. W tym momencie Lillian mu się wymknęła, i to w najniebezpieczniejszy sposób, bez walki. Żeby ją odzyskać, nie miał innego wyjścia, jak uczynić rzecz najtrudniejszą w walce prowadzonej zwykle tylko przed lustrem: przyznać się, nie przegrywając przy tym.

– Nie chciałem się w tobie zakochać, Lillian – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– To jeszcze nie jest sposób na zakochanie. Tak postępują tylko sztubacy.

– W miłości nikt nie jest dorosły.

– Miłość... – rzekła Lillian. – Jakie to pojemne słowo! I ile się w nim kryje! – Spojrzała na Lydię Morelli. – To dużo prostsze,

Clerfayt. Pójdziemy już?

– Dokąd?

– Chcę wrócić do swojego hotelu.

Clerfayt nic nie odpowiedział i zapłacił. To koniec, pomyślał. Wyszli przez środkowe wejście, obok stolika Lydii Morelli, która udała, że go nie widzi. Parkingowy zaparkował w wąskiej uliczce wóz Clerfayta na trotuarze dokładnie przed restauracją. Lillian wskazała Giuseppe.

– Tu stoi twój zdrajca. Zawieź mnie do hotelu.

– Nie. Chodźmy jeszcze do Palais Royal. Czy ogród jest jeszcze otwarty? – zapytał człowieka z parkingu.

– Arkady, proszę pana.

– Znam ten ogród – powiedziała Lillian. – Co chcesz tam robić? Zostać bigamistą?

– Daj spokój! Chodźmy.

Poszli przez arkady pałacu. Był chłodny wieczór, mocno pachnący ziemią i wiosną. Wiatr wpadający w porywach z góry do ogrodu był dużo cieplejszy niż noc, która gęstniała między murami. Clerfayt zatrzymał się.

– Nic nie mów. I nie każ mi niczego wyjaśniać. Nie potrafię tego.

– Co miałbyś mi wyjaśniać?

– Uważasz, że nic?

– Naprawdę nic – powiedziała Lillian.

– Kocham cię.

– Bo nie robię ci sceny?

– Nie – rzekł Clerfayt. – To byłoby straszne. Kocham cię, bo robisz mi niezwykłą scenę.

– Nie robię ci żadnej sceny – odparła Lillian i zacisnęła mocniej na szyi wąski futrzany kołnierz żakietu. – Pewnie nie wiedziałabym nawet, jak się do tego zabrać.

Stała przed nim, niespokojny wiatr rozwiewał jej włosy. Wydawała mu się zupełnie obcą kobietą, kobietą, której nigdy nie znał i którą już stracił.

– Kocham cię – powtórzył, wziął ją w ramiona i pocałował. Czuł słaby zapach jej włosów i gorzką woń perfum bijącą od jej szyi. Nie opierała mu się. Spoczywała w jego ramionach z szeroko otwartymi oczami i nieobecnym wzrokiem, jakby wsłuchiwała się w dźwięki przynoszone przez wiatr. Nagle potrząsnął nią. – Powiedz coś! Zrób coś! Powiedz na przykład, że mam odejść! Uderz mnie w twarz! Ale nie bądź jak posąg.

Wyprostowała się; puścił ją.

– Po co miałbyś odchodzić? – zapytała.

– Chcesz więc, żebym został?

– Chcieć czegoś to dziś wieczorem takie ciężkie słowo, jakby z lanego żelaza. I co z czymś takim począć? Żeliwo pęka tak łatwo. Czujesz wiatr? Czego on chce?

Spojrzał na nią.

– Sądzę, że wszystko, co mówisz, mówisz serio – stwierdził po chwili z głębokim zdziwieniem.

Uśmiechnęła się.

– Czemu nie? Mówiłam ci przecież, że wszystko jest dużo prostsze, niż zakładasz.

Milczał przez chwilę. Nie wiedział, co powinien teraz zrobić.

– Dobrze – rzekł w końcu – zawiozę cię do hotelu.

Szła z nim spokojnie, stąpając obok niego. Co się ze mną dzieje, myślał. Jestem zmieszany i zły na nią i na Lydię Morelli, a tymczasem jedyną osobą, na którą powinienem być zły, jestem ja sam.

Stanęli obok samochodu. W tym momencie w drzwiach lokalu pojawiła się Lydia Morelli ze swym towarzyszem. Zamierzała ponownie zignorować Clerfayta, lecz jej ciekawość okazała się silniejsza. Poza tym ona i jej towarzysz musieli poczekać, aż wóz Clerfayta zostanie wyprowadzony spośród zaparkowanych byle jak w wąskiej uliczce pojazdów, by móc dostać się do swojego. Z perfekcyjną nonszalancją przywitała się z Clerfaytem i przedstawiła swojego towarzysza. Jej zręczność, z jaką zabrała się do ustalania, kim jest Lillian i skąd pochodzi, była zdumiewająca. Clerfayt sądził, że musi spróbować osłaniać Lillian, lecz wkrótce okazało się, że nie jest to konieczne. W czasie gdy dwaj pomocnicy parkingowi, dużo krzycząc, przesuwali auta tam i z powrotem i tym sposobem zatrzymywali ruch, a on z towarzyszem Lydii rozmawiali o samochodach, pomiędzy kobietami rozwinęła się niewinna z pozoru rozmowa, w której ataki i parady pełne były zabójczej grzeczności. Lydia Morelli zwyciężyłaby bez wątpienia w tym nierównym pojedynku – była starsza od Lillian, a poza tym dużo sprytniejsza i złośliwsza – lecz wydawało się, jakby jej ciosy trafiały w watę. Lillian odnosiła się do niej z tak rozbrajającą naiwnością i tak obrażającym respektem, że na nic się zdała cała ostrożność jej rywalki: Lydia została zdemaskowana jako napastniczka i tym samym w połowie już przegrała. Nawet jej towarzysz musiał zauważyć, że z dwóch kobiet to ona jest interesowna. I starsza.

– Pański samochód, proszę pana – oznajmił Clerfaytowi dozorca parkingu.

Clerfayt wyjechał z uliczki, skręcając w najbliższą przecznicę.

– To było pierwsza klasa – rzekł do Lillian. – Nie wie, kim jesteś, skąd pochodzisz ani gdzie mieszkasz.

– Jeśli zechce, jutro się może dowiedzieć – odparła spokojnie Lillian.

– Od kogo? Ode mnie?

– Od mojego krawca. Poznała, z której pracowni pochodzi moja sukienka.

– I jest ci to obojętne?

– Jeszcze jak! – powiedziała i odetchnęła głęboko nocnym powietrzem. – Przejedźmy przez Place de la Concorde. Dziś jest niedziela; fontanny będą podświetlone.

– Mam wrażenie, że wszystko jest ci obojętne, czyż nie? – zapytał.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

– W pewnym bardzo szczególnym sensie – tak.

– Tak właśnie myślałem. Co się z tobą stało?

Wiem, że umieram, pomyślała, czując, jak światło latarni ślizga się po jej twarzy. Wiem o tym więcej niż ty, to wszystko, i dlatego odczuwam to, co dla ciebie jest hałasem, jako szloch i krzyk, i radosną wrzawę, a co dla ciebie jest codziennością – jako łaskę i prezent.

– Spójrz, fontanny! – powiedziała.

Powoli objechał plac. Pod srebrnoszarym paryskim niebem wspinały się w górę błyszczące promienie, zaplątywały w siebie nawzajem i narcystycznie rzucały się sobie w objęcia, fontanny

szumiały, obelisk stał oświetlony tysiącletnim blaskiem swego istnienia niczym pionowa, jasna oś pomiędzy czymś najbardziej ulotnym – fontannami, które tryskały w niebo i umierały, przez chwilę balansując i zapominając o chorobie w postaci siły ciężkości, by potem, zmienione po raz wtóry podczas spadania, śpiewać najstarszą kołysankę na ziemi: szum wody, monotonną pieśń o wiecznym powrocie materii i wiecznym przemijaniu indywidualności.

– Co za plac! – powiedziała Lillian.

– Tak – odparł Clerfayt. – Tu stała gilotyna. Po drugiej stronie placu ścięto Marię Antoninę. Teraz tryskają tu fontanny.

– Pojedźmy jeszcze do Rond-Point – rzekła Lillian. – Tam są inne.

Clerfayt pojechał w dół Champs Elysées. Przy Rond-Point do śpiewu i białej piany doszedł jeszcze miniaturowy las przypominających lance żółtych tulipanów, które niczym pruscy żołnierze z osadzonymi na sztorc bagnetami swoich kwiatów ćwiczyły stanie na baczność.

– Czy to też jest ci obojętne? – spytał.

Lillian musiała się chwilę zastanowić. Oderwała powoli wzrok od plusku i nocy. Zadręcza się, pomyślała. Jakie to łatwe!

– To mnie wypala – powiedziała. – Nie rozumiesz tego?

– Nie. Nie chcę być wypalony; chcę poczuć się silniejszy.

– To właśnie mam na myśli. Kiedy człowiek się nie opiera, to tak bardzo pomaga.

Chętnie zatrzymałby auto i pocałował ją, ale nie całkiem był pewny, co się wtedy stanie. Czuł się jakoś dziwnie oszukany i najchętniej wjechałby autem na grządkę żółtych tulipanów, żeby

je zmiażdżyć i odepchnąć na bok wszystko dookoła, przytulić Lillian i dokądkolwiek z nią pojechać – ale właśnie, dokąd? do jakiejś jaskini, kryjówki, pokoju? – albo w dalszym ciągu zagłębiać się w bezosobowe pytanie jej jasnych oczu, które zdawały się nigdy nie patrzeć wprost na niego.

– Kocham cię – powiedział. – Zapomnij o całej reszcie. Zapomnij o tej kobiecie.

– Dlaczego? Dlaczego miałbyś nie mieć kogoś? Sądzisz, że przez cały ten czas byłam sama?

Giuseppe szarpnął i zgasł. Clerfayt zapalił silnik na nowo.

– Masz na myśli sanatorium? – zapytał.

– Mam na myśli Paryż.

Wytrzeszczył na nią oczy. Uśmiechnęła się.

– Nie potrafię być sama. A teraz zawieź mnie do hotelu. Jestem zmęczona.

– Dobrze.

Clerfayt pojechał wzdłuż Luwru, obok Conciergerie i przez most St. Michel. Był wściekły i bezradny. Najchętniej zbiłby Lillian na kwaśne jabłko, ale był bezsilny – przecież wyznała mu tylko coś, co i on wyznał jej wcześniej, i nawet przez chwilę w to nie wątpił. Jedyną rzeczą, jakiej teraz pragnął, było odzyskanie jej. Nagle stała się dla niego najważniejsza i najbardziej godna pożądania ze wszystkich. Nie wiedział, co powinien zrobić, ale coś musiało się wydarzyć; nie mógł jej tak po prostu oddać przy wejściu do hotelu, nigdy by nie wróciła, to była ostatnia jego szansa, musiał znaleźć jakieś czarodziejskie słowo, żeby ją zatrzymać, bo inaczej wysiadłaby, uśmiechając się, z roztargnieniem pocałowała go i zniknęła w wejściu hotelowym, w którym czuć było zapach

bouillabaisse i czosnku, weszła po wydeptanych, krzywych schodach, obok małego bufetu, gdzie posługacz drzemał, mając w zasięgu ręki kawałek kiełbasy lionskiej i butelkę vin ordinaire – weszłaby na górę, a ostatnią rzeczą, jaką by widział, byłyby jej szczupłe jasne kostki nóg w półmroku wąskiego korytarza, jak jedna tuż obok drugiej wspinają się po stopniach, a na górze, w pokoju, prawdopodobnie wyrosłyby jej nagle skrzydła ze złotego bolerka i prędko wyfrunęłaby przez okno, ale nie do Sainte Chapelle, o której mu opowiadała, tylko na bardzo eleganckiej miotle, przypuszczalnie również od Balenciagi albo od Diora, prosto na sabat czarownic, w którym brały udział jedynie diabły we frakach, co pobiły wszelkie rekordy szybkości, płynnie rozmawiały w sześciu językach, znały wszystko, co napisano od Platona po Heideggera, a oprócz tego były wirtuozami fortepianu, mistrzami świata w boksie i poetami.

Posługacz ziewnął i obudził się.

– Ma pan klucz do kuchni? – spytał Clerfayt.

– Oczywiście. Mineralna? Szampan? Piwo?

– Proszę przynieść z lodówki puszkę kawioru.

– Do lodówki nie mogę się dostać, proszę pana. Madame ma klucz.

– W takim razie proszę skoczyć do restauracji Lapérouse na rogu i przynieść od nich puszkę. Jeszcze mają otwarte. Poczekamy tutaj. Przez ten czas będę pełnił służbę za pana.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze.

– Nie chcę kawioru – rzekła Lillian.

– A czego chcesz?

Zawahała się.

– Clerfayt – powiedziała w końcu. – Dotychczas nie był u mnie o tej porze żaden mężczyzna. Przecież to tylko chcesz wiedzieć?

– To prawda – wtrącił się posługacz. – Madame zawsze wraca sama do domu. *Ce n'est pas normal, monsieur*. Czy mam przynieść szampana? Mamy jeszcze Dom Perignon rocznik trzydziesty czwarty.

– Proszę go więc przynieść – zawołał Clerfayt. – Złoty chłopak z pana. A co jest do jedzenia?

– Mam ochotę na tę kiełbasę – Lillian pokazała na kolację posługacza.

– Dam pani moją, madame. W kuchni jest jeszcze dosyć.

– Proszę przynieść tę z kuchni – rzekł Clerfayt. – Z ciemnym chlebem i kawałkiem brie.

– I butelkę piwa – dodała Lillian.

– Szampana nie przynosić, madame?

Chłopcu zrzedła mina. Pomyślał o procentach, jakie mu mogły przepaść.

– Tak czy owak Dom Perignon proszę przynieść – rzekł Clerfayt. – Nawet gdyby miał być tylko dla mnie. Chcę coś uczcić.

– Co?

– Przełom w uczuciach.

Clerfayt zajął miejsce w loży posługacza.

– Proszę iść! Ja przez ten czas będę pilnował interesu.

– Potrafisz obsługiwać to urządzenie? – spytała Lillian.

– Oczywiście. Nauczyłem się tego na wojnie.

Oparła się łokciem na kontuarze.

– Wielu rzeczy nauczyłeś się na wojnie, prawda?

– Większości. Prawie zawsze jest przecież wojna.

Clerfayt zanotował zamówienie butelki wody mineralnej i życzenie któregoś z podróżnych, żeby go obudzić o szóstej rano. Zdziwionemu łysielcowi podał klucz do pokoju dwanaście, a dwóm młodym Angielkom klucze do numerów dwadzieścia cztery i dwadzieścia pięć. Z ulicy wszedł jakiś nieźle podpity mężczyzna i chciał wiedzieć, czy Lillian jest wolna i ile kosztuje.

– Tysiąc dolarów – oświadczył Clerfayt.

– Chybaś zgłupiał, tyle nie jest warta żadna kobieta – odparł pijaczek i zniknął pośród nocy pluskającej na nabrzeżu.

Posługacz przyniósł butelki oraz kiełbasę i powtórnie wyraził gotowość pójścia do Tour d'Argent lub do Lapérouse'a, jeśli czegoś jeszcze będzie trzeba. Ma też do dyspozycji rower.

– Jutro – powiedział Clerfayt. – Ma pan jeszcze jakiś wolny pokój?

Chłopiec popatrzył na niego, jakby stracił rozum.

– Ale madame ma przecież pokój.

– Madame jest zamężna. Ze mną – dodał, po czym wprawił posługacza w nowe zakłopotanie, bo najwidoczniej nie pamiętał już, po co zamówiony został Dom Perignon.

– Mamy wolny numer sześć – oświadczył chłopiec. – Obok madame.

– Dobrze. Proszę zanieść wszystko na górę.

Posługacz dostarczył wszystkie rzeczy do pokoju, a popatrzywszy na swój napiwek, oświadczył, że jeśli będzie trzeba, może jeździć wszędzie na rowerze przez całą noc i załatwiać sprawunki. Clerfayt napisał na kartce, żeby następnego ranka kupił mu szczoteczkę do zębów, mydło i kilka innych rzeczy i położył przed drzwiami jego pokoju. Chłopiec

obiecał, że zrobi wszystko, i wyszedł. Po chwili wrócił jeszcze i przyniósł lód, po czym wycofał się ostatecznie.

– Sądziłem, że nigdy cię już nie zobaczę, jeśli dziś wieczorem zostawię cię samą – rzekł Clerfayt.

Lillian usiadła na parapecie.

– Myślę o tym co noc.

– O czym?

– Że nigdy już tego wszystkiego nie zobaczę.

Poczuł ostry ból. Nagle wydała mu się bardzo samotna ze swym łagodnym profilem na tle nocy – samotna, nie opuszczona.

– Kocham cię – powiedział. – Nie wiem, czy to ci coś pomoże, ale to prawda.

Nie odpowiedziała.

– Wiesz, że nie mówię tego z powodu dzisiejszego wieczoru – rzekł, nie przeczuwając nawet, że kłamie. – Zapomnij o tym wieczorze. To był przypadek, głupota z mojej strony i dużo zamieszania. Za nic w świecie nie chciałem cię zranić.

Milczał jeszcze przez chwilę.

– Sądzę, że w pewnym sensie nie można mnie zranić – powiedziała w końcu z zadumą. – Naprawdę tak sądzę. Może to jest rekompensata za coś innego.

Clerfayt nie wiedział, co odpowiedzieć. Mniej więcej czuł, o co jej chodzi, ale wolałby sądzić, że jest odwrotnie. Spojrzał na nią.

– Twoja skóra nocą przypomina wnętrze muszli – powiedział. – Połyskuje. Nie pochłania światła, tylko je odbija. Naprawdę chcesz się napić piwa?

– Tak. I daj mi trochę tej kiełbasy lionskiej. Z chlebem. Bardzo ci to przeszkadza?

– Nic mi już nie przeszkadza. Wydaje mi się, jakbym zawsze czekał na tę noc. Za śmierdzącą snem i czosnkiem lożą portiera świat się zawalił. Nam udało się jeszcze przeskoczyć i uratować.

– Naprawdę nam się udało?

– Tak. Nie słyszysz, jak wszystko ucichło?

– To ty ucichłeś – odparła. – Bo osiągnąłeś to, czego chciałeś.

– Naprawdę osiągnąłem? Wydaje mi się, że trafiłem do jakiegoś salonu mody.

– Ach, moi milczący przyjaciele! – Lillian popatrzyła na stroje porozwieszane jeszcze po całym pokoju. – Opowiadały mi nocą o fantastycznych balach i redutach karnawałowych. Dziś wieczorem już ich nie potrzebuję. Mam je pozbierać i zamknąć w szafie?

– Niech sobie wiszą. Co ci opowiadały?

– Wiele rzeczy. O świętach, o miastach i o miłości. I trochę o morzu, którego nigdy nie widziałam.

– Możemy je zobaczyć. – Clerfayt podał jej szklankę z zimnym piwem. – Za kilka dni. Muszę pojechać na Sycylię. Wziąć udział w pewnym wyścigu. Nie wygram go. Jedź ze mną!

– Zawsze chcesz wygrać?

– Niekiedy bardzo dobrze jest wygrać. Idealiści z pieniędzmi mogą mnóstwo zdziałać.

Lillian roześmiała się.

– Powiem to mojemu stryjowi Gastonowi.

Clerfayt przyglądał się sukience z cieniutkiego srebrnego brokatu wiszącej u wezgłowia łóżka.

– To sukienka w sam raz na Palermo – powiedział.

– Miałam ją na sobie kilka dni temu późną nocą.

– Gdzie?

– Tutaj.

– Sama?

– Sama, jeśli chcesz wiedzieć. Bawiłam się z Sainte Chapelle, butelką pouilly, Sekwaną i księżycem.

– Nie będziesz już sama.

– Nie byłam sama aż tak, jak sądzisz.

– Wiem – rzekł Clerfayt. – Mówię o tym, że cię kocham, jakbyś musiała być za to wdzięczna – ale tak nie myślę. Tak prymitywnie tylko się wyrażam, bo to dla mnie takie niezwykłe.

– Nie wyrażasz się prymitywnie.

– Każdy mężczyzna to robi, kiedy nie kłamie.

– Chodź – powiedziała Lillian. – Otwórz butelkę Dom Perignon. Z chlebem, kiełbasą i piwem wydajesz mi się zbyt niepewny, zbyt ogólny i zbyt łatwo popadasz w filozofowanie. Co tak wąchasz? Jaki ode mnie czujesz zapach?

– Czosnku, księżyca i kłamstw, których nie potrafię odkryć.

– Chwała Bogu! Wróćmy na ziemię i już trzymajmy się jej. Tak łatwo człowiek się od niej odrywa, kiedy jest pełnia. A marzenia nic nie ważą.

11

Kanarek śpiewał. Clerfayt usłyszał go przez sen. Przebudził się i rozejrzał dookoła. Trwało chwilę, nim uświadomił sobie, gdzie jest. Słońce i odbicia białych chmur i wody tańczyły na suficie pokoju, który zdawał się leżeć odwrotnie, do góry nogami. Sufit obrębiony był jasnozieloną satynową fryzką. Drzwi do łazienki i okno w niej były otwarte, i Clerfayt zobaczył klatkę kanarka wiszącą w oknie naprzeciwko po drugiej stronie podwórza. Za nią siedziała przy stole jakaś kobieta o potężnym biuście i żółtych włosach i jadła – o ile mógł dostrzec – nie śniadanie, lecz obiad, mając do popicia pół butelki burgunda.

Poszukał swojego zegarka. To nie było złudzenie; zegarek pokazywał dwunastą. Od miesięcy nie spał tak długo i nagle poczuł wilczy głód. Ostrożnie otworzył drzwi. Na progu leżała paczuszka z rzeczami, które zamówił poprzedniego wieczoru. Posługacz dotrzymał słowa. Wypakował przybory, napuścił sobie wody na kąpiel, umył się i ubrał. Kanarek śpiewał w dalszym ciągu. Gruba blondyna jadła teraz jabłecznik i piła kawę. Clerfayt podszedł do drugiego okna wychodzącego na nabrzeże. Hałas uliczny uderzył w jego uszy z całą siłą. Budki sprzedawców

książek były otwarte, rzeką płynął błyszczący holownik z rozszczekanym szpicem na rufie. Clerfayt wysunął głowę na zewnątrz i ujrzał w sąsiednim oknie profil Lillian. Wychylała się przez okno, bardzo skupiona i uważna, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana, i spuszczała na sznurku płaski koszyk. Na dole przed drzwiami restauracji ustawił się akurat sprzedawca ostryg ze swoimi skrzynkami. Zdawał się znać już całą procedurę. Koszyczek dotarł do niego, handlarz wyłożył dno mokrą trawą morską i spojrzał w górę.

– Mareny? Belony? Belony są dzisiaj lepsze.

– Belony, sześć sztuk – odrzekła Lillian.

– Dwanaście – powiedział Clerfayt.

Obróciła się i roześmiała.

– Nie będziesz jadł śniadania?

– To będzie śniadanie. A zamiast soku pomarańczowego lekkie pouilly.

– Dwanaście? – zapytał handlarz.

– Osiemnaście – odparła Lillian, po czym zwróciła się do Clerfayta: – Przyjdź do mnie. I przynieś wino.

Clerfayt poszedł do restauracji po butelkę pouilly i kieliszki. Przyniósł także chleb, masło i kawałek dojrzałego pont l'evêque.

– Często to robisz? – zapytał.

– Prawie codziennie. – Lillian wskazała list. – Pojutrze jest obiad na moją cześć u stryja Gastona. Chciałbyś być zaproszony?

– Nie.

– Dobrze. Zresztą byłby to sabotaż celu przyjęcia, jakim jest znalezienie dla mnie bogatego męża. A może jesteś bogaty?

– Zawsze tylko przez parę tygodni. Wyjdziesz za mąż, jeśli ten mężczyzna będzie dostatecznie bogaty?

– Nalej mi trochę wina – odparła. – I nie bądź dziecinny.

– Uważam, że jesteś zdolna do wszystkiego.

– Od kiedy tak uważasz?

– Rozmyślałem nad tobą.

– Kiedy?

– We śnie. Jesteś nieobliczalna. Funkcjonujesz według innych zasad niż te, które znam.

– Dobrze, że o mnie myślałeś – powiedziała. – To nigdy nie zaszkodzi. Co będziemy robić po południu?

– Po południu zabiorę cię do Ritza. Tam posadzę cię na piętnaście minut z paroma czasopismami ilustrowanymi w jakimś ustronnym kącie holu, a sam tymczasem pójdę do swojego pokoju, żeby się przebrać. Potem zjemy obiad, kolację, znowu obiad, znowu kolację i jeszcze raz obiad – jako sabotaż przeciwko przyjęciu u stryja Gastona pojutrze wieczór.

Patrzyła przez okno i nie odpowiadała.

– Jeśli chcesz, pójdę także z tobą do Sainte Chapelle – rzekł Clerfayt. – Albo do Notre Dame, albo nawet do muzeum, ty niebezpieczna kombinacjo sawantki i greckiej hetery u schyłku starożytności, rzuconej przez los do Bizancjum. Gotów jestem nawet wjechać na wieżę Eiffla albo odbyć wycieczkę statkiem po Sekwanie.

– Wycieczkę po Sekwanie mam już za sobą. Mogłam zostać kochanką pewnego bogatego rzeźnika z własnym trzypokojowym mieszkaniem.

– A na wieżę Eiffla?

– Tam pojadę z tobą, kochany.

– Tak właśnie myślałem. Jesteś szczęśliwa?

– A co to takiego?

– W dalszym ciągu nie wiesz? Ale kto to wie naprawdę? Może to taniec na czubku szpilki.

Lillian wróciła z przyjęcia u stryja Gastona. Do hotelu odwiózł ją swoim autem wicehrabia de Peystre. Spędziła przerażająco nudny wieczór przy wyśmienitym jedzeniu. Obecnych było parę kobiet i sześciu mężczyzn. Kobiety sprawiały wrażenie, jakby były jeżami, taka od nich biła wrogość połączona z ciekawością. Z mężczyzn czterech było nieżonatych, wszyscy bogaci, dwaj młodzi, a wicehrabia de Peystre najstarszy i najbogatszy.

– Dlaczego mieszka pani na lewym brzegu? – zapytał. – Z romantycznych powodów?

– Przez przypadek. To najlepszy powód, jaki znam.

– Powinna pani mieszkać przy placu Vendôme.

– To zadziwiające – powiedziała Lillian – jak wielu ludzi wie lepiej ode mnie, gdzie powinnam mieszkać.

– Mam mieszkanie przy placu Vendôme, z którego nigdy nie korzystam. Nowocześnie urządzone atelier.

– Chce mi je pan wynająć?

– Czemu nie?

– Ile będzie kosztować?

Peystre poprawił się na siedzeniu.

– Po co mówić od razu o pieniądzach? Najpierw niech je pani sobie obejrzy. Może je pani mieć, kiedy pani zechce.

– Bez żadnych warunków?

– Bez najmniejszych zastrzeżeń. Naturalnie sprawiłoby mi przyjemność, gdyby od czasu do czasu poszła pani ze mną do restauracji – ale i to nie jest żaden warunek.

– Bywają jeszcze ludzie bezinteresowni – zaśmiała się Lillian.

– Kiedy chciałaby je pani obejrzeć? Jutro? Czy mogę panią zabrać w południe na obiad?

Lillian przyglądała się szczupłej głowie z siwym szczotkowatym wąsikiem.

– Właściwie mój stryj chciał mnie wydać za mąż – powiedziała.

– Na to ma pani jeszcze dużo czasu. Pani stryj ma staroświeckie poglądy.

– Czy to mieszkanie jest wystarczająco duże dla dwóch osób?

– Sądzę, że tak. Dlaczego pani pyta?

– Na wypadek, gdybym chciała tam mieszkać z moim przyjacielem.

Peystre przyglądał jej się przez chwilę.

– Również o tym dałoby się może porozmawiać – rzekł w końcu – chociaż do tego celu, mówiąc szczerze, mogłoby się okazać trochę ciasne. Dlaczego nie chce pani przez jakiś czas pomieszkać sama? Jest pani w Paryżu dopiero od paru tygodni. Najpierw proszę sobie dokładnie obejrzeć miasto. Otwiera ono wiele możliwości.

– Ma pan rację.

Samochód zatrzymał się i Lillian wysiadła.

– A więc kiedy, jutro? – spytał wicehrabia.

– Jeszcze się zastanowię. Miałby pan coś przeciwko temu, gdybym zapytała stryja Gastona?

– Tego bym na pani miejscu nie robił. Mógłby się niepotrzebnie martwić. Zresztą nie zrobi pani tego.

– Nie?

– Kto najpierw o coś pyta, nigdy tego nie robi. Jest pani bardzo piękna i bardzo młoda, mademoiselle. Z przyjemnością nadałbym pani oprawę, której pani potrzebuje. I, proszę wierzyć mężczyźnie, który nie jest już młodzieniaszkiem: to tutaj jest urocze, ale dla pani to stracony czas. O stryju Gastonie nie ma co mówić. To, czego pani potrzebuje, to luksus. Wielki luksus. Proszę wybaczyć ten komplement, ale mam dobre oko. Dobranoc, mademoiselle.

Wchodziła po stopniach na górę. Matrymonialna galeria stryja Gastona w makabryczny sposób rozbawiła ją i zdeprymowała. Z początku czuła się jak umierający żołnierz, któremu ktoś opowiada historie o wystawnym życiu. Potem sądziła, że jest na jakiejś obcej planecie, na której ludzie żyją wiecznie i mają stosowne do tego problemy. Nie rozumiała, o czym mówią. Co dla niej było obojętne, dla nich miało największą wagę – to zaś, czego ona szukała, było dla innych jakimś dziwnym tabu. Z wszystkiego tego propozycja wicehrabiego de Peystre wydawała się jej jeszcze najrozsądniejsza.

– Stryj Gaston bardzo się postarał? – spytał Clerfayt z korytarza.

– Już jesteś? Myślałam, że poszedłeś się czegoś napić!

– Nie mam już na to ochoty.

– Czekałeś na mnie?

– Tak – przyznał Clerfayt. – Przez ciebie staję się porządnym człowiekiem. Nie chcę już pić. Nie chcę już pić bez ciebie.

– A przedtem piłeś?

– Owszem. Między wyścigami. I często między jedną a drugą katastrofą. Z tchórzostwa, jak sądzę. Albo żeby uciec od samego

siebie. To już minęło. Byłem dziś w południe w Sainte Chapelle. Jutro pójdę do muzeum Cluny. Ktoś, kto widział nas razem, twierdzi, że wyglądasz jak dama z jednorożcem na dywanach, które tam wiszą. Masz ogromne powodzenie. Chcesz się jeszcze przewietrzyć?

– Dziś wieczorem nie.

– Dziś wieczorem byłaś w gościach w sferach mieszczańskich, które sądzą, że życie to kuchnia, salon i sypialnia, a nie żaglówka wyposażona w o wiele za dużo żagli, gotowa w każdej chwili się wywrócić. Teraz musisz odpocząć.

Oczy Lillian rozbłysły.

– A jednak piłeś?

– Z tobą nie muszę. Nie miałabyś jeszcze ochoty na małą przejażdżkę?

– Dokąd?

– Na każdą ulicę i do każdego lokalu, o których kiedykolwiek słyszałaś. Jesteś cudownie ubrana – zmarnowałaś taką piękną suknię na kandydatów stryja Gastona. Przynajmniej ją musimy przewietrzyć – nawet jeśli ty sama nie masz ochoty. Człowiek ma wobec strojów pewne zobowiązania.

– Dobrze. Ale jedźmy powoli. Przez wiele ulic. A wszystkie bez śniegu. Z kwiaciarkami na rogach. I wyładujemy cały samochód fiołkami.

Clerfayt wyprowadził Giuseppe z labiryntu ulic przy nabrzeżu i czekał przed drzwiami hotelu. Właśnie zamykano restaurację obok.

– Stęskniony kochanek – powiedział ktoś obok niego. – Czy nie jesteś za stary na takie role?

Była to Lydia Morelli, która wyszła z restauracji na ulicę przed swoim towarzyszem.

– Absolutnie – odparł. – Na tym właśnie polega cały urok!

– Nowa rola! Dosyć prowincjonalna, mój drogi. Z młodą gąską!

– Co za komplement – odparł Clerfayt. – Kiedy mówisz coś takiego, znaczy to, że musi być fascynująca.

– Fascynująca? To głupie stworzonko tutaj w swoim pokoiku z trzema sukienkami od Balenciagi?

– Z trzema? Myślałem, że ma ich trzydzieści. Tak różnie za każdym razem wyglądają, kiedy je nosi. – Clerfayt roześmiał się. – Lydio! Od kiedy to szpiegujesz niczym jakiś detektyw gąski i głupie stworzonka? Czy już dawno nie odzwyczailiśmy się od tego?

Lydia chciała powiedzieć coś złośliwego, ale w drzwiach pojawił się jej towarzysz. Przyjęła jego ramię jak broń i przeszła obok Clerfayta.

Lillian zjawiła się w kilka minut później.

– Przed chwilą ktoś mi powiedział, że jesteś fascynującą osobą – rzekł Clerfayt. – Pora już cię ukryć.

– Nudziłeś się, czekając na mnie?

– Bynajmniej. Kiedy człowiek długo nie czekał na nic, czekanie odmładza go o dziesięć lat. A nawet o dwadzieścia. Sądziłem, że nigdy już nie będę na nic czekał.

– Ja zawsze na coś czekałam. – Lillian popatrzyła za opuszczającą restaurację kobietą w kremowych koronkach, ostrzyżoną do samej skóry; miała na sobie łańcuch z diamentów wielkości orzechów. – Ależ to błyszczy! – stwierdziła.

Clerfayt nie odpowiedział. Biżuteria była niebezpieczną dziedziną; jeśli Lillian się do niej zapali, są ludzie, którzy potrafią lepiej niż on spełniać jej życzenia.

– Nie dla mnie – rzekła ze śmiechem, jakby odgadła jego myśli.

– Czy to jakaś nowa sukienka? – spytał.

– Tak. Dzisiaj nadeszła.

– Ile ich masz teraz?

– Osiem razem z tą. Dlaczego pytasz?

Lydia Morelli wydawała się dobrze poinformowana. To, że mówiła o trzech, należało do jej stylu bycia.

– Stryj Gaston jest przerażony – ciągnęła Lillian. – Posłałam mu rachunki. A teraz jedźmy do najlepszego nocnego klubu, jaki znasz. Masz rację, stroje mają swoje wymagania!

– Jeszcze do jakiegoś innego? – spytał Clerfayt.

Była czwarta w nocy.

– Jeszcze do jednego – powiedziała Lillian. – Chyba że jesteś zmęczony?

Wiedział, że jej nie może zapytać, czy jest zmęczona.

– Jeszcze nie – odparł. – Podoba ci się?

– Jest cudownie.

– Dobrze. W takim razie pojedziemy do innego klubu. Z cygańską muzyką.

Montmartre i Montparnasse trzęsły się jeszcze w późnej powojennej gorączce. Kolorowe jaskinie kabaretów i nocnych klubów tonęły we mgle, jakby znajdowały się pod wodą. Wszystko było zwyczajnym, nie kończącym się powtórzeniem, szablonem, i Clerfayt bez Lillian straszliwie by się nudził – ale dla niej to była nowość, nie liczyło się dla niej, czym jest ten świat lub jakim się

wydaje, ważne było tylko, jakim ona sama chce go widzieć i widzi. Nocne lokale zdzierające skórę z klientów stawały się dla niej ogniskami życia, orkiestry czekające tylko na napiwki dawały koncerty spełnionych marzeń, a pomieszczenia zapchane żigolakami, nuworyszami, damami z półświatka i ludźmi, którzy nie wracali do domu, bo nie wiedzieli, co mieliby tam robić, lub liczyli na jakąś przygodę albo interes, okazywały się miejscem bachanaliów istnienia, ponieważ ona tak chciała i po to przyszła.

Właśnie dlatego, pomyślał Clerfayt, właśnie dlatego jest inna niż wszyscy ci, którzy tutaj przesiadują. Inni chcą przeżyć przygodę, zrobić interes, posłuchać trochę harmonijnego hałasu, żeby wypełnić swoją pustkę – ona natomiast jest na tropie życia, zawsze tylko życia, i ściga je niczym zapamiętała łowczyni białego jelenia lub jednorożca z bajki, ściga je tak zawzięcie, że wydaje się to zaraźliwe, nie ma żadnych zahamowań, nie patrzy na boki, i w czasie kiedy człowiek czuje się w jej pobliżu na przemian zniszczonym starcem i młodzieniaszkiem, z zapomnianych lat wyłaniają się nagle twarze, pragnienia, cienie snów i, ponad wszystkim, niby piorun w mroku, zaginione uczucie wyjątkowości i niepowtarzalności życia.

Cyganie nachylali się nad stolikiem, bacznie strzygąc swymi pluszowymi oczami, i grali. Lillian słuchała urzeczona. Dla niej to wszystko jest prawdziwe, myślał Clerfayt, jest puszta, samotna skarga nocy, samotność, pierwsze ognisko, przy którym ludzkość znalazła schronienie, nawet najstarsza, najbardziej oklepana i sentymentalna piosenka jest dla niej pieśnią ludzkości, smutek wynikający z chęci zatrzymania kogoś, kogo nie można zatrzymać. Możliwe, że Lydia Morelli miała rację, to było

prowincjonalne, jeśli ktoś pragnął tak to widzieć, ale niech to diabli, jeśli nie z tego właśnie powodu musiał ją uwielbiać.

– Chyba za dużo wypiłem – powiedział.

– Co to znaczy: za dużo?

– Kiedy człowiek sam siebie już nie poznaje.

– W takim razie zawsze będę piła za dużo. Nie kocham siebie samej.

Niczego się nie boi, pomyślał Clerfayt. I jak ta spelunka jest dla niej odbiciem życia, tak samo każdy banał posiada dla niej urok, jaki posiadał, kiedy wypowiadano go po raz pierwszy i był jeszcze pełen ducha. To nie do wytrzymania! Musi umrzeć, wie o tym, ale przyjęła to tak jak inni morfinę, i to zmienia wszystko wokół niej, niczego się nie boi, niczym jest dla niej bluźnierstwo, niczym banał, tylko – u diabła – po co ja tutaj siedzę i czuję lekką zgrozę, a nie rzucam się razem z nią w ten niepoważny wir?

– Uwielbiam cię – powiedział.

– Nie mów tego tak często – odparła. – Na to trzeba być bardzo niezależnym.

– W twoim przypadku nie.

– Powtarzaj to ciągle – powiedziała. – Potrzebuję tego jak powietrza i wina.

Clerfayt roześmiał się.

– Jedno i drugie się zgadza. Ale kto by pytał o to, czy coś się zgadza! Dokąd idziemy teraz?

– Do hotelu. Chcę się wyprowadzić.

Clerfayt postanowił niczemu się już nie dziwić.

– Dobrze. Chodźmy spakować twoje rzeczy – powiedział.

– Są już spakowane.

– Dokąd chcesz się przeprowadzić?

– Do innego hotelu. Od dwóch dni o tej porze dzwoni do mnie pewna kobieta i mówi mi, że powinnam odejść tam, gdzie jest moje miejsce – i dodaje kilka innych rzeczy.

Clerfayt spojrzał na nią.

– Nie mówiłaś portierowi z nocnej zmiany, żeby nie łączył rozmów z tobą?

– Mówiłam. Ale zawsze udaje się jej dodzwonić. Wczoraj mu powiedziała, że jest moją matką. Ma obcy akcent, nie jest Francuzką.

Lydia Morelli, pomyślał Clerfayt.

– Dlaczego mi nic o tym nie mówiłaś?

– Po co? Czy Ritz jest pełny?

– Nie.

– To dobrze. Stryj Gaston zemdleje, kiedy się dowie, gdzie będę mieszkać jutro.

Rzeczy Lillian nie były spakowane. Clerfayt pożyczył od portiera olbrzymi kufer, który zostawił podczas odwrotu pewien niemiecki major, i zapakował do niego stroje Lillian. Ona sama siedziała na łóżku i śmiała się.

– Przykro mi, że stąd odchodzę – powiedziała. – Bardzo to wszystko kochałam. Ale ja kocham bez żalu. Rozumiesz to?

Clerfayt podniósł głowę.

– Obawiam się, że tak. Nie żałujesz, że coś opuszczasz.

Roześmiała się znowu, z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie, z kieliszkiem wina w dłoni.

– Nie odgrywa to już żadnej roli. Odeszłam z sanatorium – od tej pory zawsze mogę odejść, skąd tylko zechcę.

W ten sposób może także odejść ode mnie, pomyślał Clerfayt. Tak jak się zmienia hotel.

– Jest tu szabla pewnego niemieckiego majora – powiedział. – Pewnie w zdenerwowaniu zapomniał jej zabrać. Jak na oficera niemieckiego postępek godny potępienia. Zostawię ją w kufrze. Nawiasem mówiąc, jesteś w uroczy sposób pijana. Na szczęście już dwa dni temu zarezerwowałem dla ciebie pokój w Ritzu. Bez tego trudno byłoby dzisiaj przejść obok portiera.

Lillian chwyciła szablę majora i zasalutowała na siedząco.

– Bardzo mi się podobasz. Dlaczego nigdy nie mówię ci po imieniu?

– Nikt tego nie robi.

– Byłby to wystarczający powód, żeby to robić.

– Gotowe – oświadczył Clerfayt. – Chcesz zabrać szablę?

– Zostaw ją tutaj.

Clerfayt wsadził kluczyki do kieszeni i podał Lillian płaszcz.

– Nie jestem zbyt chuda? – zapytała.

– Nie; sądzę, że przytyłaś parę funtów.

– Tylko to jedno wydaje się wszystkim ważne – mruknęła.

Kazali przenieść kufer do taksówki, która pojechała za nimi.

– Czy mój pokój w Ritzu położony jest od strony placu Vendôme? – spytała Lillian.

– Tak. Nie od rue Cambon.

– Gdzie mieszkałeś, kiedy tu byłeś podczas wojny?

– Od rue Cambon, kiedy wróciłem z obozu jenieckiego. To była dobra kryjówka; nikt nie podejrzewał, że można się tam schronić.

Mój brat mieszkał wtedy przy placu Vendôme po stronie niemieckiej. Jesteśmy Alzatczykami. Mój brat ma niemieckiego ojca, ja francuskiego.

– Czy twój brat nie mógł cię jakoś osłaniać?

Clerfayt roześmiał się.

– Nie domyślał się nawet, że tu jestem, a najchętniej widziałby mnie na Syberii. Możliwie jak najdalej. Widzisz niebo? Wstaje ranek. Słyszysz ptaki? W mieście słychać je tylko o tej porze. Miłośnicy przyrody muszą siedzieć do rana w nocnych klubach, żeby w drodze do domu móc usłyszeć drozda.

Skręcili na plac Vendôme. Rozległy szary plac pogrążony był w ciszy. Spomiędzy chmur przebłyskiwał intensywną żółtą barwą młody dzień.

– Kiedy się widzi, jak cudownie ludzie dawniej budowali, należałoby przyjąć, że byli szczęśliwsi od nas – powiedziała Lillian. – Nie sądzisz?

– Nie – odparł Clerfayt. Wyłączył silnik i na luzie podjechał przed wejście do hotelu. – W tym momencie jestem szczęśliwy – powiedział. – Bez względu na to, czy wiemy, co to jest szczęście, czy nie. Szczęśliwy jestem w tym momencie, w tej ciszy, w tym miejscu, z tobą. A kiedy się wyśpisz, pojedziemy. Małymi etapami, na południe. Na Sycylię, żeby wziąć udział w wyścigu, o którym ci już opowiadałem: Targa Florio.

12

Licząca sto osiem kilometrów trasa Targa Florio z niemal czterystoma zakrętami była codziennie przez kilka godzin zamknięta w celach treningowych. A ponieważ kierowcy objeżdżali powoli całą trasę także poza godzinami, kiedy była wyłączona z ruchu, żeby zapamiętać zakręty, pochyłości terenu i stan nawierzchni, nad białą szosą i białym krajobrazem od świtu do zmroku rozbrzmiewał ryk ciężkich silników.

Zmiennikiem Clerfayta był dwudziestoczteroletni Włoch Alfredo Torriani. Obaj spędzali na szosie prawie całe dnie. Wracali wieczorem spaleni słońcem, spragnieni i głodni.

Clerfayt zabronił Lillian uczestniczyć w treningach. Nie chciał, żeby stała się taka jak żony i przyjaciółki kierowców, które ze stoperami i płachtami papieru siedziały w boksach zbudowanych przez fabryki w celu dokonywania napraw, tankowania benzyny i wymiany opon, i starały się być pożyteczne. Zamiast tego poznał ją z jednym ze swych przyjaciół, który miał dom nad morzem, i umieścił ją u niego. Ów przyjaciel nazywał się Levalli i był właścicielem flotylli kutrów łowiących tuńczyki. Wybór Clerfayta

nieprzypadkowo padł na niego: Levalli był estetą, mężczyzną łysym i pokaźnej tuszy, a w dodatku homoseksualistą.

Lillian leżała w ciągu dnia nad morzem albo w otaczającym willę Levallego ogrodzie. Ogród był zdziczały, romantyczny i pełen marmurowych posągów jak wiersz Eichendorffa. Lillian nigdy nie pragnęła oglądać Clerfayta podczas jazdy; ale lubiła odległy ryk silników, który docierał do pogrążonych w ciszy gajów pomarańczowych. Wiatr przynosił go wraz z ciężką wonią kwiatów; ów odległy pomruk łączył się z szumem morza w podniecający koncert. Lillian odbierała to, jakby mówił do niej Clerfayt. Niewidzialny dźwięk wisiał nad nią przez cały dzień, a ona poddawała mu się, tak jak poddawała się sycylijskiemu słońcu i białemu blaskowi morza. Clerfayt był zawsze przy niej – czy spała w cieniu jakiegoś idola pod piniami, czy siedziała na ławce i czytała Petrarkę lub *Wyznania* świętego Augustyna, czy rozkładała się nad morzem, nie myśląc w ogóle o świecie, czy siedziała na tarasie o tajemniczej godzinie przed zapadnięciem zmroku, kiedy Włoszki mówią już *felicissima notte*, a za każdym słowem zdaje się stać znak zapytania jakiegoś nieznanego boga – ów odległy huk, niczym werbel nieba i wieczoru, był zawsze przy niej, i znajdował zawsze rezonans w jej krwi, która odpowiadała lekkim wibrowaniem. Potem wieczorem przyjeżdżał Clerfayt przy akompaniamencie owego ryku, który przeradzał się w grzmot, kiedy wóz zbliżał się już do budynku.

– Jak antyczni bogowie – rzekł Levalli do Lillian. – Nasi współcześni kondotierzy zjawiają się w asyście grzmotów i piorunów, jakby byli synami Jowisza.

– Nie lubi pan tego?

– Nie znoszę już ryku silników. Za bardzo przypominają mi wycie bombowców podczas wojny.

Wrażliwy, otyły mężczyzna nastawił płytę gramofonową z koncertem fortepianowym Chopina. Lillian przyglądała mu się w zadumie. Dziwne, pomyślała, jak jednostronnie ludzie związani są zawsze tylko z własnymi doświadczeniami i niebezpieczeństwami, które sami przeżywali; czy ten esteta i koneser sztuki zastanawiał się kiedykolwiek, co czują tuńczyki zarzynane na jego kutrach?

W kilka dni później Levalli wydał przyjęcie. Zaprosił na nie około stu osób. Paliły się świece i lampiony, noc była wygwieżdżona i ciepła, a gładkie morze stanowiło potężne zwierciadło dla olbrzymiego czerwonego księżyca, który unosił się nisko nad horyzontem niczym balon z jakiejś innej planety. Lillian była zachwycona.

– Podoba się pani? – spytał Levalli.

– Jest wszystko, czego sobie życzyłam.

– Wszystko?

– Prawie wszystko. Marzyłam o tym przez cztery lata, kiedy siedziałam w górach, uwięziona między śnieżnymi ścianami. To jest zupełne przeciwieństwo gór – i zupełne przeciwieństwo śniegu...

– Rad jestem – rzekł Levalli. – Teraz już rzadko wydaję przyjęcia.

– Dlaczego? Bo w przeciwnym razie stałyby się czymś zwyczajnym?

– Nie. Nastrajają mnie – jak by to powiedzieć – melancholijnie. Wydając przyjęcie, człowiek przeważnie chce o czymś zapomnieć –

ale nie zapomina. A inni też nie zapominają.

– Ja nie zapomnę niczego.

– Nie? – zapytał uprzejmie Levalli.

– Już nie – odparła Lillian.

Levalli uśmiechnął się.

– W tym miejscu stała podobno stara rzymska willa, w której odbywały się wielkie uczty z udziałem pięknych Rzymianek w świetle pochodni i plującej ogniem Etny. Jak pani sądzi: czy starożytni Rzymianie byli bliżsi wyjaśnienia tajemnicy niż my?

– Jakiej tajemnicy?

– Tej, dlaczego żyjemy?

– A żyjemy?

– Może nie, ponieważ wciąż o to pytamy. Przepraszam, że o tym mówię. Włosi to melancholijni ludzie; sprawiają odwrotne wrażenie, lecz wcale tacy nie są.

– A kto jest? – spytała Lillian. – Nawet chłopcy stajenni nie zawsze są zadowoleni.

Usłyszała nadjeżdżający samochód Clerfayta i uśmiechnęła się.

– Powiadają – rzekł Levalli – że ostatnia rzymska właścicielka tej willi kazała rano zabijać swoich kochanków. Była romantyczką i nie mogła znieść rozczarowania po iluzjach nocy.

– Jakie to kłopotliwe – odparła Lillian. – Czy nie mogła po prostu odprawiać ich przed świtem? Albo sama odchodzić?

Levalli podał jej ramię.

– Odejście nie zawsze jest najprostsze – kiedy zabiera się samego siebie.

– Zawsze jest najprostsze, jeśli się wie, że chęć posiadania tylko człowieka ogranicza – i że nie można niczego zatrzymać, nawet

samego siebie...

Zbliżali się do muzyki.

– Pani nie chce niczego posiadać? – spytał Levalli.

– Chcę posiadać zbyt wiele – odparła Lillian. – I dlatego nic. To prawie to samo.

– Prawie! – Ucałował jej rękę. – Zaprowadzę panią teraz do tych cyprysów. Położyliśmy do tańca szklaną podłogę, podświetloną od wewnątrz. Podpatrzyłem to w lokalach ogrodowych na Riwierze i skopiowałem. A oto nadchodzą pani tancerze – pół Neapolu, Palermo i Rzymu.

– Można być widzem albo brać udział w grze – rzekł Levalli do Clerfayta. – Albo jedno i drugie. Ja wolę być widzem. Kto robi obie rzeczy naraz, robi je w sposób niedoskonały.

Siedzieli na tarasie i obserwowali kobiety tańczące na podświetlonym szklanym parkiecie na tle cyprysów. Lillian tańczyła z księciem Fiola.

– Ogień – stwierdził Levalli. – Proszę popatrzeć, jak ona tańczy! Zna pan kobiety z pompejańskich mozaik? Piękno kobiet w sztuce polega na tym, że to, co przypadkowe, ginie, a zostaje samo piękno. Widział pan obrazy w minojskim pałacu na Krecie? Albo Egipcjanki z epoki Echnatona? Kobiety o wydłużonych oczach i wąskich twarzach, zepsute tancerki i młode królowe? W nich wszystkich płonie ogień. Niech pan spojrzy na ten parkiet! Na tym łagodnym sztucznym ogniu z piekła rodem, powstałym ze szkła, elektryczności i techniki, kobiety zdają się unosić w powietrzu – dlatego kazałem to tak urządzić. Bijące z dołu światło sztucznego piekła, które zdaje się palić pod sukienkami i wspinać po nich w górę językami płomieni, i zimne światło księżyca, które wraz

z blaskiem gwiazd spoczywa na ich ramionach i skroniach, to alegoria – można się z niej śmiać lub parę minut pomarzyć. One są po prostu piękne, te kobiety, które nie pozwalają nam zostać półbogami, robiąc z nas ojców rodziny, obywateli i wyrobników, schwytawszy nas na iluzję, że uczynią z nas bogów. Czy one nie są piękne?

– One są piękne, Levalli.

– W każdej od urodzenia siedzi druga Kirke. Cała ironia polega na tym, że one same nigdy w to nie uwierzą. Kiedy tam tańczą, posiadają jeszcze ogień młodości, ale za nimi, prawie niewidoczny, tańczy już także cień mieszczańskości w postaci dwudziestu funtów przyszłej nadwagi, rodzinnej nudy, ambicji ograniczonych pragnień i celów, zmęczenia, siadania dla odpoczynku, ciągłych powtórzeń, powolnego zużycia. Tylko w jednej nie, w tej, która tańczy z Fiolą, tej, którą pan tutaj przywiózł. Jak pan tego dokonał?

Clerfayt wzruszył ramionami.

– Gdzie pan ją znalazł?

Clerfayt zawahał się.

– Żeby pozostać przy pańskiej stylistyce, Levalli: u bram Hadesu. Po raz pierwszy od wielu lat jest pan w takim lirycznym nastroju.

– Nieczęsto człowiek ma po temu okazję. U bram Hadesu. Nie będę pana wypytywał dalej. Tyle wystarczy, żeby rozpalić wyobraźnię. W szarym półmroku beznadziejności, z którego udało się uciec jedynie Orfeuszowi. Ale nawet on musiał drogo to okupić: podwójną samotnością – choć brzmi to paradoksalnie – ponieważ

chciał wydostać z Hadesu pewną kobietę. A czy pan, Clerfayt, gotów jest zapłacić?

Clerfayt uśmiechnął się.

– Jestem przesądny. Nie udzielam odpowiedzi na takie pytania krótko przed wyścigiem.

To noc Oberona, myślała Lillian, tańcząc z Fiolą i Torrianim. Wszystko jest zaczarowane dzięki wielkiej ilości światła i niebieskim cieniom, dzięki życiu i nierzeczywistości występującym równocześnie. Nie słychać żadnych kroków, słychać tylko ślizganie się po gładkiej powierzchni i muzykę. Tak sobie to wyobrażałam, kiedy siedziałam pośród śniegów w swym pokoju, z wykresem temperatury na poręczy łóżka, i słuchałam koncertów radiowych z Neapolu i Paryża. Wydaje się, jakby nie można było umrzeć w taką noc pomiędzy morzem i księżycem i łagodnym wiatrem o zapachu mimoz i kwiatów pomarańczy. Ludzie spotykają się, trzymają przez chwilę, a potem gubią i odnajdują w ramionach kogoś innego, twarze zmieniają się, ale ręce są wciąż te same. Czy naprawdę są te same? – pomyślała. Tam siedzi mój ukochany z melancholijnym mężczyzną, który przez krótki czas pobytu na ziemi jest właścicielem tego baśniowego ogrodu, i widzę, że rozmawiają o mnie. Teraz mówi ten melancholijny mężczyzna i chce zapewne wiedzieć to samo, o co mnie już pytał. Poznać tajemnicę! Czy nie ma takiej starej bajki, w której pewien karzeł śmieje się po kryjomu, ponieważ nikt nie zna jego tajemnicy? Czyli jego nazwiska?

Uśmiechnęła się.

– O czym pani myśli? – zapytał Fiola, który to zauważył.

– O pewnej baśni, w której tajemnica pewnego człowieka polega na tym, że nikt nie zna jego nazwiska.

Fiola ukazał zęby w uśmiechu. Na tle jego śniadej twarzy wydawały się dwa razy bielsze niż u innych ludzi.

– Czy nie jest to także pani tajemnica? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Czymże jest nazwisko?

Fiola spojrzał na grono matek pod palmami otaczających rządkiem część parkietu.

– Dla niektórych ludzi jest wszystkim – powiedział.

Tańcząc w pobliżu Clerfayta, zauważyła, że patrzy na nią w zamyśleniu. On mnie trzyma, a ja go kocham, pomyślała, ponieważ jest przy mnie i o nic nie pyta. Kiedy zacznie pytać? Mam nadzieję, że nigdy. Możliwe, że nigdy. Nie będziemy mieć na to czasu.

– Uśmiecha się pani, jakby była bardzo szczęśliwa – rzekł Fiola. – Czy to jest pani tajemnica?

Jakże głupio pyta nawet on, pomyślała Lillian. Dlaczego nie nauczył się już w szkole, że nigdy nie powinno się pytać kobiet, czy są szczęśliwe?

– Co jest pani tajemnicą? – spytał Fiola. – Wielka przyszłość?

Ponownie pokręciła głową.

– Żadna – powiedziała pogodnym tonem. – Nie wie pan, jak wiele potrafi to ułatwić.

– Proszę popatrzeć na Fiolę – rzekła stara hrabina Vitelleschi w kąciku matek. – Zachowuje się tak, jakby poza tą nieznajomą nie było tutaj młodych kobiet.

– To dosyć naturalne – odparła Teresa Marchetti. – Gdyby tańczył tak często z którąś z naszych kobiet, byłby już w połowie zaręczony, a jeśliby się z nią nie ożenił, jej bracia potraktowaliby to jako obrazę.

Vitelleschi uparcie przyglądała się Lillian przez lorgnon.

– Skąd pochodzi ta osoba?

– Nie z Włoch.

– To widzę. Prawdopodobnie jakieś skrzyżowanie...

– Podobnie jak ja – zauważyła kąśliwie Teresa Marchetti – skrzyżowanie krwi amerykańskiej, indiańskiej i hiszpańskiej... ale wystarczająco mile widziane, żeby za pomocą dolarów papy umożliwić Ugo Marchettiemu uwolnienie jego rozlatującego się pałacu od szczurów, zainstalowanie łazienek i utrzymywanie jego metres na odpowiednim poziomie.

Hrabina Vitelleschi zachowywała się tak, jakby nic nie słyszała.

– Łatwo pani mówić. Ma pani syna jedynaka i konto w banku. Ja mam cztery córki i długi. Fiola powinien się ożenić. Do czego to doprowadzi, jeśli paru zamożnych kawalerów, jakich jeszcze mamy, ożeni się z angielskimi modelkami, jak to ostatnio modne. Kraj zostanie ogołocony.

– Powinna być wydana ustawa zabraniająca tego – stwierdziła ironicznie Teresa Marchetti. – Jak również tego, żeby młodsi bracia z biednych rodzin żenili się z bogatymi Amerykankami, które nie wiedzą, że po burzliwych przedmałżeńskich zalotach później zostaną zamknięte w średniowiecznym jednoosobowym haremie pod nazwą „włoskie małżeństwo”.

Hrabina znowu nie słuchała. Wydawała instrukcje dwóm swoim córkom. Fiola zatrzymał się przy jednym z ustawionych w pobliżu

parkietu stolików. Lillian zwolniła go i pozwoliła Torrianiemu odprowadzić się do Clerfayta.

– Dlaczego nie tańczysz ze mną? – spytała Clerfayta.

– Tańczę z tobą – odparł – nie wstając z miejsca.

Torriani roześmiał się.

– Nie lubi tańczyć. Jest próżny.

– To prawda – przyznał Clerfayt. – Tańczę marnie, Lillian. Powinnaś to pamiętać z Palace Bar.

– Dawno już zapomniałam.

Wróciła z Torrianim na parkiet. Levalli przysiadł się z powrotem do Clerfayta.

– Ciemny ogień – powiedział. – Albo sztylet. Czy nie uważa pan, że te podświetlone szklane płyty są w rzeczywistości kiczowate? – zapytał po chwili, unosząc się gniewem. – Księżyc jest wystarczająco jasny. Luigi! – zawołał. – Zgaś światło pod parkietem. I przynieś starej grappy. Ona mnie zasmuca – rzekł nagle do Clerfayta, a jego twarz w ciemności, z głębokimi jamami, przybrała jakby ponury wyraz. – Piękno kobiety mnie zasmuca. Dlaczego?

– Ponieważ wiadomo, że przemija, a chciałoby się, żeby zostało.

– To takie proste?

– Tego nie wiem, ale mnie wystarcza.

– Pana też zasmuca?

– Nie – powiedział Clerfayt. – Zasmucają mnie zupełnie inne rzeczy.

– Rozumiem. – Levalli łyknął swojej grappy. – Nawet je znam. Ale przed nimi uciekam. Chcę pozostać grubym pierrotem. Niech pan spróbuje tej grappy.

Wypili i milczeli. Lillian ponownie przesunęła się w tańcu obok nich. Nie mam przyszłości, myślała. To tak, jakby człowiek nic nie ważył. Spojrzała na Clerfayta i jej wargi wypowiedziały bezgłośnie pewne zdanie. Clerfayt siedział teraz w ciemności. Ledwo mogła rozpoznać jego twarz. Zresztą nie wydawało się to wcale konieczne. Nie było potrzeby patrzeć życiu w oczy. Wystarczyło je czuć.

13

Daleko jestem? – spytał Clerfayt, przekrzykując hałas, kiedy zatrzymał się przy stanowisku.

– Na siódmym miejscu – odkrzyknął Torriani. – Jak droga?

– Rzygać się chce! Żre gumę w tym upale, jakby to był kawior. Widziałeś Lillian?

– Tak, jest na trybunie.

Torriani przytknął Clerfaytowi do ust dzbanek z lemoniadą. Zbliżył się kierownik ekipy.

– Gotowe? – zawołał. – Jazda! Jazda!

– Nie umiemy szybciej pracować – odkrzyknął pierwszy mechanik. – Nawet diabeł nie potrafi wymienić kół w trzydzieści sekund!

– Jazda! Pośpieszcie się!

Benzyna z hukiem wlewała się do baku.

– Clerfayt – powiedział kierownik ekipy. – Przed panem jest Duval. Niech go pan pogoni! Niech go pan tak pogoni, żeby mu się zagotowała woda w chłodnicy! Potem byle tylko pana nie wyprzedził. Więcej nam nie trzeba. Obydwa miejsca przed nim zajmują nasi ludzie.

– Jazda! Gotowe! – krzyknął pierwszy mechanik.

Samochód błyskawicznie ruszył z miejsca. Ostrożnie, pomyślał Clerfayt, nie mogę dawać od razu zbyt wysokich obrotów! Trybuny mignęły jako kolorowa i biała błyszcząca w słońcu plama, potem została tylko szosa, jaskrawoniebieskie niebo i punkt na horyzoncie, który musiał być słupem kurzu, Duvalem i jego samochodem. Droga wznosiła się na wysokość czterystu metrów. Zbliżał się masyw Madonie, skupiska drzew cytrynowych, srebrzyste migotanie gajów oliwnych, zakręty, serpentyny, agrafki, szuter tryskający spod kół, gorący oddech silnika, jakiś owad, który uderzył w okulary niczym pocisk, zarośla kaktusowe, wiraże pod górę i w dół, skały, rumowiska, kilometr po kilometrze, potem szara i brązowa dawna twierdza Caltavuturo, kurz, jeszcze więcej kurzu, i nagle owad przypominający pająka: samochód.

Clerfayt szybciej pokonywał zakręty. Powoli zbliżał się do rywala. W dziesięć minut później rozpoznał samochód: to musiał być Duval. Clerfayt przyczepił się do niego, ale nie mógł go wyprzedzić, bo Duval go nie puszczał. Blokował Clerfayta przy każdej próbie. Wykluczone, żeby go nie widział. Dwa razy w ciasnym zakręcie samochody jechały w ten sposób, że kierowcy mogli nawzajem popatrzeć sobie w oczy, Duval był już za zakrętem, a Clerfayt weń wchodził. Duval przeszkadzał Clerfaytowi rozmyślnie.

Obydwa samochody pędziły jeden tuż za drugim. Clerfayt, jadąc w kurzu, wyczekiwał chwili, kiedy droga łagodnym łukiem zacznie się wspinać pod górę i odsłoni dalszy widok. Wiedział, że będzie tam szeroki zakręt; Duval wjechał weń, trzymając się prawej strony szosy, żeby uniemożliwić Clerfaytowi wyprzedzenie

go po zewnętrznej i samemu w połowie ściąć zakręt. Clerfayt liczył się z tym; ściął zakręt przed Duvalem, minął go od wewnętrznej, samochód wpadł w poślizg, lecz opanował go, zaskoczony Duval był o sekundę wolniejszy i Clerfayt wyjechał z zakrętu pierwszy. Kurz był teraz za nim, nagle ujrzał majestatyczną Etnę z jasnym obłokiem dymu na tle prażącego słońcem nieba. Pędzili dalej, Clerfayt przodem, pod górę w kierunku Polizzi, najwyższego punktu całej trasy.

To był tylko ten krótki odcinek, moment wyprzedzenia, po wielu kilometrach jazdy przez gęsty kurz, a potem nagle błękitne niebo, czyste powietrze, które uderzyło niczym wino w pokrytą skorupą kurzu twarz, żar pracującego na najwyższych obrotach silnika, słońce, wulkan w oddali, świat, który był znowu, prosty, wielki, cichy, nie zainteresowany wyścigiem i ludźmi, i prometejska chwila, kiedy samochód osiągnął szczyt wzniesienia – wszystko to poderwało Clerfayta do góry i przerzuciło przez siebie, tak iż nie myślał już o niczym, lecz jednocześnie był wszystkim: samochodem, który prowadził, wulkanem, którego krater wiódł do piekła, i niebem z gorącego niebieskiego metalu, które szturmował. W kilka sekund później szosa opadła ponownie w dół, zakręt po zakręcie, a samochód wraz z nią, przy ciągłej zmianie biegów, kto najlepiej potrafił zmieniać biegi, musiał tutaj wygrać, i zjazd w dolinę Fiume Grande, a zaraz potem znowu dziewięćset metrów w górę, w księżycowy krajobraz, później znowu w dół, jak na gigantycznej huśtawce, aż wreszcie w pobliżu Collesano na nowo zaczynały się palmy, agawy, kwiaty, zieleń i morze, a przed Campo Felice jedyny prosty odcinek wyścigu, siedem kilometrów wzdłuż brzegu. Clerfayt pomyślał po raz

pierwszy o Lillian, kiedy zatrzymał się, żeby zmienić opony. Widział jak przez mgłę trybuny przypominające żardynierę z kolorowymi kwiatami; ryk silnika jakby zamarł i w ciszy, która nie była ciszą, lecz taką mu się wydawała, miał uczucie, jakby przedtem został wyrzucony z krateru podczas wybuchu wulkanu i szybował teraz, jak Ikar, na azbestowych skrzydłach, by wylądować na ziemi, w oczekujących ramionach nieskończonego szczęścia, które było czymś więcej niż miłość i na trybunie personifikowało się w pewnej kobiecie, pewnym imieniu i w pewnych ustach.

– Jazda! – krzyknął kierownik ekipy.

Samochód popędził dalej, lecz Clerfayt nagle nie jechał już sam. Niczym cień lecącego wysoko flaminga towarzyszyło mu teraz to uczucie, czasem z tyłu jak wiatr, czasem z przodu jak przezroczysta chorągiew, ale zawsze tuż przy nim.

Na następnym okrążeniu samochód zaczął tańczyć na szosie. Clerfayt opanował go, ale tylne koła znowu wpadły w poślizg, skontrował, pojawił się zakręt, który ludzie obsiedli niczym muchy placek u wiejskiego piekarza, samochód w dalszym ciągu nie był mu posłuszny, trząsł się i zarzucał, Clerfayt zdążył jeszcze zmienić biegi na krótkim odcinku, jaki mu pozostał do zakrętu, dodał gazu, ale samochód wyrywał mu się z rąk, poczuł szarpnięcie w barku, zakręt urósł do ogromnych rozmiarów na tle błyszczącego nieba, ludzi trzykrotnie przybyło, a w dodatku urośli, stali się olbrzymami, wyminięcie ich wydawało mu się niemożliwe, z nieba sfrunęła jakby czarna płachta, wbijał w coś zęby, ktoś zdawał się wyrywać mu ramię, ale nie wypuścił kierownicy, ramię zalała wrząca lawa, w spadającym krajobrazie

tylko kawałek błękitu był ostry, oślepiający, przytrzymał go oczami, gdy tymczasem samochód pod nim stanął dęba, i wtedy dostrzegł przerwę, jedyne miejsce, w którym nie roiło się od gigantycznych dwunożnych much, raz jeszcze szarpnął kierownicą, przycisnął pedał gazu i – stał się cud – samochód go posłuchał, wpadł w lukę, popędził w górę zbocza, lecz zaraz utknął między krzakami i kamieniami, rozdarta górna część tylnej opony strzeliła jak bicz i wóz się zatrzymał.

Ujrzał zbliżających się ludzi. Wcześniej rozprysnęli się jak woda, w którą wpada kamień – a teraz wracali, krzycząc, wykrzywiając twarze, potrząsając pięściami, z otwartymi czarnymi jamami ust. Nie wiedział, czy chcą go zabić, czy mu gratulować, zresztą w tej chwili było mu wszystko jedno: nie mogli tylko dotknąć wozu ani pomóc kierowcy, wówczas byłby zdyskwalifikowany.

– Odejść! Nie dotykać! – krzyknął, wstał, ponownie poczuł ból, zrobiło mu się gorąco, zobaczył krew, która kapała z nosa na jego niebieski kombinezon, mógł podnieść tylko jedno ramię, zaczął nim grozić, bronić dostępu. – Nie dotykać! Nie pomagać! – Wygramolił się z samochodu, stanął przed chłodnicą. – Nie pomagać! Zabronione!

Zatrzymali się. Widzieli, że może chodzić. Krew była niegroźna; uderzył tylko twarzą w kierownicę. Podbiegł do tylnego koła. Przyjrzał się oponie. Zewnętrzna część oderwała się. Zaklął. Coś takiego przy nowej oponie! Prędko przeciął gumowy pasek i ściągnął go, po czym obmacał oponę. Było w niej jeszcze powietrze, trochę za mało, jak uznał, ale dosyć, żeby łagodzić wstrząsy podczas jazdy, jeśli nie będzie zbyt szybko wchodził

w zakręty. Bark nie był złamany, tylko zwichnięty. Musiał spróbować jechać dalej, kierując tylko prawą ręką. Musiał dotrzeć do boksu; tam był Torriani, który mógł go zmienić, tam byli mechanicy i lekarz.

– Z drogi! – krzyknął. – Nadjeżdżają wozy!

Nie musiał nic więcej mówić. Zza pochyłości terenu zbliżał się ryk następnego wozu, przybierał na sile, ludzie cofnęli się w górę zbocza, świat wypełniło przeraźliwe wycie i pisk opon, samochód pomknął w dół jak pocisk, bomba składająca się z kurzu, i zniknął za zakrętem.

Clerfayt siedział już w swoim wozie. Wycie drugiego samochodu było skuteczniejsze od wszelkich zastrzyków.

– Z drogi! – krzyknął. – Wyjeżdżam!

Samochód zsunął się tyłem, silnik zaskoczył, kiedy odbił kierownicą i zawrócił wóz w kierunku jazdy. Wysprzęglił, wrzucił bieg, z powrotem chwycił za kierownicę, wyjechał na szosę, trzymał się jej, prowadził powoli, a myślał tylko o jednym: wóz musi dotrzeć do boksu, to już niedaleko, zaraz się zacznie prosty odcinek, tam już dam sobie radę, potem jest tylko parę zakrętów.

Z tyłu zbliżał się z rykiem następny wóz. Clerfayt odpierał jego ataki, dopóki mógł. Zacisnął zęby, wiedział, że przeszkadza tamtemu, wiedział, że to zabronione, że to nie fair, ale nie widział innej możliwości, blokował środek szosy, dopóki wóz za nim nie wyprzedził go na zakręcie z prawej strony. Kierowca, biały od kurzu, uniósł rękę, kiedy go minął. Widział pokrwawioną twarz Clerfayta i uszkodzoną oponę. Na chwilę Clerfayt poczuł falę koleżeńskiej sympatii; potem usłyszał za sobą następny samochód

i koleżeństwo zamieniło się we wściekłość, wściekłość najgorszą ze wszystkich: bezpodstawną i bezsilną.

To dlatego, przemknęło mu przez myśl, że powinienem był uważać, a nie marzyć! Jedynie dyletantom się wydaje, że automobilizm to romantyczna przygoda, jest tylko wóz i kierowca, a wszystko, co staje między nimi, jest niebezpieczeństwem albo je ściąga – niech piekło pochłonie wszelkie flamingi, niech diabli porwą wszelkie uczucia, mogłem przecież utrzymać samochód, powinienem był łagodniej ścinać zakręty i oszczędzać opony, teraz jest już za późno, tracę zbyt wiele czasu, a oto już nadjeżdża następne cholerne pudło, które mnie wyprzedzi, i jeszcze jedno, prosty odcinek jest moim wrogiem, roją się jak szerszenie, a ja muszę je przepuszczać, do diabła z Lillian, co ona ma wspólnego z tym wszystkim, i do diabła ze mną, co ja mam z nią wspólnego?

Lillian siedziała na trybunie. Czuła hipnotyczne oddziaływanie ciasno stłoczonych rzędów ludzi i próbowała się przed nim bronić, ale ucieczka od tej hipnozy była niemożliwa. Hałas wielu silników był ogłuszający i działał jak tysiąckrotna anestezja, która za pośrednictwem uszu paraliżowała mózg, wydając go na pastwę masowej gorączki.

Po pewnym czasie przyzwyczaiła się, lecz nagle nastąpiła reakcja. Hałas zdawał się oddzielać od tego, co się działo na dole. Wisiał samodzielnie nad ziemią, a tymczasem pod nim przemykały małe kolorowe auta. Przypominało to dziecięcą zabawę; mali ludzie w białych i kolorowych kombinezonach przetaczali koła i podstawiali lewarki, kierownicy ekip trzymali w górze chorągiewki i tablice jak biszkopty, a od czasu do czasu

pojawiał się głos spikera, który podawał przez głośniki czasy w minutach i sekundach, dopiero z wolna nabierające sensu. Wyścigi konne były podobne, walki byków też – za sprawą dobrowolnego udziału niebezpieczeństwo stawało się zabawą i zabawką, w których powagę nie za bardzo chciało się wierzyć, jeśli nie było się bezpośrednim uczestnikiem.

Lillian czuła, jak coś w niej protestuje przeciwko temu płytkiemu odurzeniu. Sama zbyt długo i zbyt blisko była śmierci, żeby ta zabawa z nią nie musiała wydać się jej frywolna. To jakby dzieci próbowały szybko przebiec przed nadjeżdżającym autem na drugą stronę szosy. Wiedziała, że tak robią kury i tracą przy tym życie, lecz fakt, że ludzie robią to samo, wcale nie był godny podziwu. Życie jest czymś zbyt wielkim, i również śmierć jest czymś zbyt wielkim – nie wypada się nimi bawić. Odwaga jest czymś trochę innym niż brak strachu; odwaga łączy się ze świadomością niebezpieczeństwa, brak strachu wynika z niewiedzy.

– Clerfayt! – odezwał się ktoś obok niej. – Gdzie on jest?

Wzdrygnęła się przestraszona.

– Co z nim?

– Dawno powinien był przejechać.

Ludzie na trybunie zaczynali się niepokoić. Lillian widziała Torrianiego, który spojrzał w jej stronę, pokiwał jej, po czym z powrotem pokazał na trasę i znów spojrzał na nią, dając jej znak, że może być spokojna, nic się nie stało. Jego zachowanie przestraszyło ją bardziej niż cała reszta. Rozbił się, pomyślała, siedząc dalej bez ruchu. Los uderzył w momencie, kiedy się tego nawet nie domyślała, gdzieś na jednym z wielu zakrętów tej

przeklętej trasy. Sekundy wlokły się niemiłosiernie, minuty wydawały się godzinami. Karuzela na białej pętli szosy istniała jedynie jako zły sen, pierś zamieniła się w czarną jamę, pustą oczekiwaniem. A potem rozległ się głos spikera, mechanicznie zniekształcony przez głośniki:

– Wóz Clerfayta, numer dwanaście, wyleciał z trasy na zakręcie. Nie mamy na razie dalszych wiadomości.

Lillian powoli uniosła głowę. Wszystko było jeszcze jak przedtem – niebo, błękitna jasność, tarasowaty bukiet strojów, biała lawa zdumiewającej sycylijskiej wiosny – lecz nigdzie nie było teraz bezbarwnego punktu, obłoku mgły, w której Clerfayt walczył albo już się udusił. Niewiarygodność śmierci nagle znów wyciągnęła ku niej mokre dłonie, brak tchu, a w chwilę potem cisza, która zawsze była niepojęta; niebyt. Popatrzyła powoli po sobie w dół i dookoła siebie. Czy tylko ona jedna była naznaczona niewidzialnym trądem tej wiedzy? Czy tylko ona jedna czuła to tak, jakby wszystkie komórki w niej się rozpadły, jakby brakowało im tchu i każda z osobna dusiła się, przeżywając własną śmierć? Przyglądała się twarzom ludzi. Nie widziała w nich nic oprócz żądzy sensacji, żądzy, która rozkoszowała się śmiercią jako podnietą, ale nie jawnie, tylko po kryjomu, owiniętą w fałszywe ubolewanie, fałszywy strach i w satysfakcję, że dotknęło to kogoś innego, żądzy, która na chwilę pobudzała obojętne usposobienie jak zastrzyk digitalis flegmatyczne serce.

– Clerfayt żyje – zakomunikował spiker. – Nie odniósł żadnych poważnych obrażeń. Sam wyprowadził wóz z powrotem na trasę i jedzie. Dalej uczestniczy w wyścigu.

Lillian usłyszała szmer, jaki przeszedł po trybunach. Widziała, jak zmieniły się twarze. Była w nich teraz ulga, rozczarowanie i podziw. Komuś udało się wywinąć śmierci, okazał odwagę, nie załamał się, jechał dalej. Każdy na trybunie poczuł nagle w sobie tę samą odwagę, jakby to on jechał dalej, i przez kilka minut nawet byle żigolak wydawał się sobie bohaterem, a rozpieszczony pantoflarz śmiałkiem gardzącym śmiercią. Seks, towarzyszący każdemu niebezpieczeństwu, które nie dotyczy kogoś osobiście, tłoczył z tysięcy nadnerczy adrenalinę do krwi widzów. Po to właśnie wykupywano bilety wstępu!

Lillian poczuła przypływ gniewu, zasnuwający jej oczy niby jakaś migotliwa zasłona. Nagle znienawidziła otaczających ją ludzi, każdego z osobna, nienawidziła przeciągających się mężczyzn i kobiet czarujących zamglonymi spojrzeniami spod rzęs, nienawidziła szerzącej się teraz fali sympatii, wspaniałomyślności tłumu, który stwierdziwszy, że ofiara się wymknęła, przestawił się na podziw, i nienawidziła także Clerfayta, choć wiedziała, że to tylko reakcja na strach, lecz nienawidziła go, ponieważ brał udział w tej dziecinnej zabawie ze śmiercią. Po raz pierwszy, odkąd opuściła sanatorium, pomyślała o Wołkowie. A potem ujrzała w dole zbliżającego się Clerfayta. Ujrzała jego pokrwawioną twarz, widziała, jak wysiada.

Mechanicy przystąpili do sprawdzania pojazdu. Wymienili opony. Torriani stał obok Clerfayta.

– Cholerna opona! – powiedział Clerfayt. – Wyrżnąłem gębą w kierownicę i zwichnąłem sobie ramię. Wóz jest w porządku. Musisz jechać dalej!

– Jasne! – zawołał kierownik ekipy. – Jazda, Torriani!

Torriani wskoczył do wozu.

– Gotowe! – krzyknął pierwszy mechanik.

Samochód błyskawicznie ruszył z miejsca.

– Co z tym ramieniem? – spytał Clerfayta kierownik ekipy. – Złamane?

– Nie. Zwichnięte lub coś w tym rodzaju. W barku.

Zjawił się lekarz. Clerfayt poczuł szalony ból. Usiadł na jakiejś skrzynce.

– To koniec? – zapytał. – Mam nadzieję, że Torriani wytrzyma.

– Nie może pan jechać dalej – rzekł lekarz.

– Leukoplast – odparł kierownik ekipy. – Szerokie plastry dookoła ramienia. Proszę go zakleić, na wszelki wypadek.

Lekarz pokręcił głową.

– Niewiele to da. Jeśli usiądzie z powrotem za kierownicą, na pewno to poczuje.

Kierownik ekipy roześmiał się.

– W zeszłym roku przypiekł sobie obydwie podeszwy, a mimo to jechał dalej. Dosłownie: przypiekł – nie osmalił.

Clerfayt siedział na skrzyni. Czuł się oklapnięty i pusty w środku. Lekarz zabandażował mu ramię i okleił leukoplastem. Powinienem był uważać, pomyślał Clerfayt. Być szybszym od samego siebie nie znaczy jeszcze być Bogiem. To nieprawda, że tylko człowiek swoim mózgiem potrafi wymyślić coś, co pozwoli mu być szybszym niż jego naturalna prędkość. Czy i wesz nie jest szybsza od siebie samej, gdy siedzi w piórach orła?

– Co się stało? – spytał kierownik ekipy.

– Cholerna opona! Wpadłem w poślizg na zakręcie. Wyrwałem po drodze jakieś drzewko. Wyrżnąłem w kierownicę. Rzygać się

chce!

– Rzygać by się chciało, gdyby wysiadły hamulce, silnik albo kierownica! Gablota jeszcze jedzie. Bóg wie, kto jeszcze odpadnie! Do końca wyścigu daleko! To pierwsza Targa Torrianiego. Miejmy nadzieję, że da radę!

Clerfayt wpatrywał się w metalowe części, które mechanicy ściągnęli obcęgami. Jestem za stary, pomyślał. Czego ja tutaj szukam? Ale co poza tym potrafię robić?

– To on! – ryknął kierownik ekipy, trzymając lornetkę przed oczami. – Jak bozię kocham, ten chłopak to szatan! Ale za nic w świecie nie da rady. Za dużą mamy stratę.

– Kto z naszych jedzie jeszcze w wyścigu?

– Szkopuł w tym, że tylko Weber. Na piątym miejscu.

Torriani przemknął obok stanowiska. Pomachał im i zniknął. Kierownik ekipy wykonał indiański taniec radości.

– Duval odpadł! Torriani odrobił cztery minuty! Cztery minuty! Matko Przenajświętsza, miej go w swej opiece!

Wyglądało to tak, jakby zamierzał się modlić. Torriani dalej odrabiał stracony dystans.

– Na tej poobijanej landarze! – wykrzyknął kierownik ekipy. – Złoty chłopak, zaraz go ucałuję! Przejechał okrążenie w rekordowym czasie! Święty Antoni, miej go w swej opiece!

Torriani dalej odrabiał stracony dystans. Clerfayt nie chciał mu zazdrościć, ale czuł narastającą gorycz. Dawało się zauważyć szesnastoletnią różnicę wieku. Wiedział jednak, że nie zawsze młodość zwyciężała. Caracciola z nogą złamaną w biodrze i znosząc piekielne bóle, wygrał wyścig i mistrzostwo z dużo młodszymi kierowcami, Nuvolari i Lang jeździli po wojnie tak,

jakby byli o dziesięć lat młodsi – ale każdy musiał kiedyś odejść. Wiedział, że koniec jego kariery też jest bliski.

– Valentemu zatarły się tłoki! Monti został w tyle. Weber jest trzeci! – wykrzyknął kierownik ekipy. – Clerfayt, zmieni pan Torrianiego, gdyby się coś stało?

Clerfayt dostrzegł powątpiewanie w jego oczach. Na razie jeszcze mnie pytają, pomyślał, ale wkrótce przestaną pytać.

– Niech jedzie dalej – powiedział. – Dopóki mu starczy sił. Jest młody, może wytrzyma.

– Jest zbyt nerwowy.

– Jedzie znakomicie.

Kierownik ekipy przytaknął.

– Zresztą ze zwichniętym barkiem, zwłaszcza na zakrętach, to byłoby dla pana samobójstwo – powiedział nieszczerze.

– Żadne samobójstwo. Musiałbym tylko wolniej jechać.

– Matko Przenajświętsza! – modlił się dalej kierownik ekipy. – Spraw, żeby Torellemu zatarły się hamulce! Nie, żeby się rozbił, ale tak, żeby nie mógł jechać dalej. Miej w swej opiece Webera i Torrianiego! Zrób Bordoniemu dziurę w baku!

Podczas każdego wyścigu stawał się na swój sposób pobożny; w chwili kiedy wyścig się kończył, z ulgą zaczynał na nowo przeklinać.

Jedno okrążenie przed metą wóz Torrianiego zatrzymał się przy boksie. Torriani ledwo trzymał głowę nad kierownicą.

– Co się stało? – ryknął kierownik ekipy. – Nie może pan jechać dalej? Co się stało? Wynieście go! Clerfayt! Święta Madonno, bądź pochwalona, Matko Boleści – dostał udaru słonecznego!

Niewiarygodne! Przecież nie jest aż tak gorąco! Dopiero wiosna! Nie może pan jechać dalej? Wóz...

Mechanicy już pracowali.

– Clerfayt! – Kierownik ekipy złożył ręce jak do modlitwy. – Niech pan tylko przyprowadzi wóz z powrotem! Weber jest w czołówce, na trzecim miejscu, nic się nie stanie, nawet jeśli stracimy parę minut! Dalej pan będzie czwarty. Siądź pan za kierownicę! Wielki Boże, królu nieba, co za wyścig!

Clerfayt siedział już w samochodzie. Torriani osunął się na ziemię.

– Tylko przyprowadzić wóz z powrotem! – powtórzył błagalnym tonem kierownik ekipy. – Niech pan tylko przyprowadzi wóz z powrotem! I przywiezie czwarte miejsce! Weber naturalnie trzecie! Albo drugie. I jeszcze tylko mała dziurka w baku Bordoniego! A do tego w swej dobroci, Święta Dziewico, dołóż parę zepsutych opon u pozostałych rywali! Słodka krwi Jezusa...

Jedno okrążenie, pomyślał Clerfayt. Jakoś przejadę. Ból można znieść. To na pewno mniej bolesne, niż wisieć na krzyżu w obozie koncentracyjnym. Widziałem chłopaka, któremu SD w Berlinie przewierciło zdrowe zęby aż do korzeni, żeby zdradził przyjaciół. Nie zdradził. Weber jest w czołówce. Wszystko jedno, co zrobię. A jednak nie wszystko jedno! Jak to się kręci! Wóz to przecież nie samolot! Przydepnąć ten cholerny pedał gazu! Strach to już połowa wypadku!

– Clerfayt znowu jedzie w wyścigu. Torriani się wycofał! – zagrzmiał mechaniczny głos spikera.

Lillian dostrzegła przejeżdżający pędem samochód. Dostrzegła zabandażowane ramię. To skończony głupiec! – pomyślała.

Dziecko, które nigdy nie dorośnie. Lekkomyślność nie jest odwagą. Znów się rozbije! Co oni wszyscy wiedzą o śmierci, ci lekkomyślni zdrowi ludzie? Co to śmierć, wiedzą natomiast ci na górze, którzy muszą walczyć o każdy oddech jak o jakąś nagrodę!

Jakaś ręka obok wsunęła jej w dłoń wizytówkę. Wyrzuciła ją i wstała. Chciała stąd odejść. Sto oczu skierowało się na nią. Wydawało się, jakby śledziło ją sto pustych soczewek odbijających słońce. Śledziły ją krok za krokiem. Puste oczy, pomyślała. Oczy, które widzą, a zarazem nie widzą. Czyż nie zawsze tak było? Gdzie nie? Znów pomyślała o sanatorium wśród śniegów. Tam było inaczej. Tam były to rozumiejące oczy.

Zeszła po schodach z trybuny. Co ja tutaj robię, pośród tych obcych ludzi? – pomyślała i zatrzymała się, jakby uderzył ją z naprzeciwka silny poryw wiatru. Tak, co ja tutaj robię? – pomyślała. Chciałam tu wrócić, ale czy można wrócić? Z całego serca chciałam wrócić, ale czy teraz należę do tego świata? Czy stałam się taka jak inni ludzie tutaj? Rozejrzała się dookoła. Nie, pomyślała, ja nie należę do tego świata! Nie można było wrócić do ciepłej nieświadomości. Nie można było cofnąć niczego. Nie dało się zapomnieć mrocznej tajemnicy, którą ona znała, a inni zdawali się ignorować. Towarzyszyła jej zawsze, dokądkolwiek uciekła. Czuła się, jakby nagle zawaliła się kolorowa i złota dekoracja sztuki teatralnej, odsłaniając nagie rusztowanie. To nie było ostrzeżenie, tylko chwila, kiedy wszystko stało się jasne jak na dłoni; nie mogła już wrócić i nie było też pomocy z zewnątrz. Tym wyżej natomiast, poczuła to w tym samym momencie, biła ta jedna, ostatnia fontanna, jaka jej pozostała, jej siła nie była już podzielona na tuzin mniejszych, lecz skupiała się w jednej, żeby

w ten sposób spróbować dosięgnąć chmur i Boga. Nie dosięgnie ich nigdy – ale czyż sama próba nie była dostatecznie wielkim wyczynem, a opadanie tańczącej wody z powrotem do źródła nie było już spełnieniem? Z powrotem do źródła, pomyślała. Jak daleko trzeba było uciec i jak wysoko celować, żeby do niego dotrzeć!

Nagle odniosła wrażenie, jakby z niej zdjęto jakiś anonimowy ciężar. Coś niby głucha, przebrzmiała odpowiedzialność zsunęło się z jej barków na drewniane stopnie trybuny; przestąpiła to coś, jakby leżała przed nią zrzucona stara sukienka. Jakkolwiek dekoracje sztuki teatralnej zawaliły się, to rusztowanie pozostało, i kto nie obawiał się jego nagości, ten był niezależny i mógł grać przed nim i korzystać z niego, jak chciał i na miarę własnego strachu lub własnej śmiałości. Mógł inscenizować swoją własną samotność w tysiącznych wariacjach, nawet w miłości – sztuka nigdy się nie kończyła. Zmieniała się tylko. Było się swoim jedynym aktorem, a jednocześnie widzem.

Oklaski, które wybuchły wokół niej, zabrzmiały niczym salwa z karabinu maszynowego. Kierowcy wracali. Mali i kolorowi, mijali linię mety. Lillian pozostała na schodach, póki nie zobaczyła samochodu Clerfayta. Dopiero wtedy zeszła powoli na dół, otoczona szumem obcego aplauzu, i wstąpiła w chłód nowej, cennej świadomości, która równie dobrze mogła się nazywać wolnością, jak i samotnością, i w ciepłą strefę miłości, w której pobrzmiewało już słowo „rozstanie” – i obydwie strefy ogarnęły ją niczym letnia noc z bijącymi fontannami.

Clerfayt otarł krew z twarzy, ale z warg mu jeszcze kapała.

– Nie mogę cię pocałować – powiedział. – Bałaś się?

– Nie. Ale nie powinieneś już jeździć.

– Oczywiście, że nie powinienem – odparł cierpliwie Clerfayt. Znał tę reakcję. – Taki byłem kiepski? – zapytał i ostrożnie wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Byłeś wspaniały – rzekł Torriani, który bledziutki siedział na jakiejś skrzynce i pił koniak.

Lillian spojrzała na niego wrogo.

– Już po wszystkim, Lillian – powiedział Clerfayt. – Przestań o tym myśleć. To nie było niebezpieczne. Tak tylko wyglądało.

– Nie powinieneś jeździć – powtórzyła.

– Dobrze. Jutro podrzemy kontrakt. Zadowolona? – Torriani roześmiał się. – A pojutrze go skleimy.

Zjawił się kierownik ekipy Gabrielli, mechanicy wepchnęli samochód do boksu. Wóz śmierdział spalonym olejem i benzyną.

– Clerfayt, przyjdzie pan dzisiaj wieczorem? – spytał Gabrielli.

Clerfayt przytaknął.

– Jesteśmy tutaj zawadą, Lillian – powiedział po chwili. – Wynośmy się z tej brudnej stajni.

Spojrzał jej w twarz. W dalszym ciągu malowała się na niej ta sama powaga, co poprzednio.

– Co się stało? – zapytał. – Naprawdę chcesz, żebym już nie jeździł?

– Tak.

– Dlaczego?

Zawahała się.

– Nie wiem, jak to wyrazić... ale to jest, w pewnym sensie... bardzo niemoralne.

– Wielki Boże! – wyrwało się Torrianiemu.

– Spokojnie, Alfredo – rzekł Clerfayt.

– Wiem, że to brzmi dziecinnie – powiedziała Lillian. – I nie to miałam na myśli. Przed paroma minutami wiedziałam dokładnie, o co mi chodzi, teraz zapomniałam.

Torriani pociągnął spory łyk koniaku.

– Kierowcy po wyścigu są równie wrażliwi jak raki po zrzuceniu skóry. Proszę nam nie dodawać kompleksów.

Clerfayt roześmiał się.

– Chodzi ci o to, Lillian, że nie należy kusić Boga?

Przytaknęła.

– Tylko wtedy, kiedy nie ma innego wyjścia. Nie dla zabawy.

– Wielki Boże! – powtórzył Torriani. – Zabawa!

Wstał ze swej skrzynki i podszedł do Gabriellego.

– Wygaduję bzdury – powiedziała zniechęcona do Clerfayta. – Nie słuchaj mnie!

– Nie wygadujesz żadnych bzdur. Potrafisz jedynie zaskakiwać.

– Dlaczego?

Zatrzymał się.

– Czy prosiłem cię kiedykolwiek, żebyś wróciła do sanatorium? – zapytał spokojnie.

Popatrzyła na niego. Do tej pory sądziła, że o niczym nie wie lub uznał, iż nie jest poważnie chora.

– Nie muszę wracać do sanatorium – odparła prędko.

– Wiem o tym. Ale czy kiedykolwiek cię prosiłem?

Usłyszała ironię w jego głosie.

– Nie powinnam gadać, prawda?

– Ależ powinnaś – powiedział. – Zawsze.

Roześmiała się.

– Bardzo cię kocham, Clerfayt. Czy wszystkie kobiety po wyścigu są takie dziecinne jak ja?

– Już nie pamiętam. Czy to sukienka od Balenciagi?

– Też nie pamiętam.

Obmacał swoje kości policzkowe i bark.

– Dziś wieczorem będę miał twarz jak kolorowy pudding i spuchnięte ramię. Pojedziemy do Levallego, dopóki mogę jeszcze prowadzić?

– Czy nie musisz jechać do swojego kierownika ekipy?

– Nie. To będzie tylko feta w hotelu dla uczczenia zwycięstwa.

– Nie lubisz fetować zwycięstw?

– Każde odniesione zwycięstwo oznacza jedno zwycięstwo mniej. Jedno zwycięstwo mniej do odniesienia – powiedział. Twarz zaczęła mu już puchnąć. – Będziesz mi robić wieczorem mokre okłady na twarz i czytać jakiś rozdział z *Krytyki czystego rozumu*?

– Dobrze – zgodziła się Lillian. – A kiedyś chciałabym pojechać do Wenecji.

– Dlaczego?

– Bo nie ma tam gór ani samochodów.

14

Zostali na Sycylii jeszcze dwa tygodnie. Clerfayt leczył swoje ramię. Dnie spędzali w zdziczałym ogrodzie Levallego i nad morzem. Willa była kabiną zawieszoną ponad morzem i czasem, które ślizgały się pod nią bez żadnego początku i końca. Clerfayt miał jeszcze parę tygodni do następnego wyścigu.

– Zostajemy tutaj? – zapytał. – Czy wracamy?

– Dokąd?

– Do Paryża. Lub dokądkolwiek. Kiedy się nigdzie nie ma domu, można jechać wszędzie. Tutaj robi się już gorąco.

– Czy wiosna już się skończyła?

– Tu na południu tak. Ale możemy wziąć Giuseppe i pojechać za nią. W Rzymie dopiero się zaczyna.

– A kiedy i tam się skończy?

Clerfayt roześmiał się.

– Wtedy, jeśli zechcesz, pojedziemy za nią dalej. Potem zaczyna się w Lombardii, nad jeziorami. Możemy ją ścigać do Szwajcarii, a potem w dół Renu, aż wreszcie zobaczymy ją nad morzem we wszystkich barwach na polach tulipanowych Holandii. Wtedy można odnieść wrażenie, że czas się zatrzymał.

– Zrobiłeś już kiedyś coś takiego?

– Tak, sto lat temu. Przed wojną.

– Z kobietą?

– Tak, ale było inaczej.

– Na pewno zawsze jest inaczej. Nawet z tą samą kobietą. Nie jestem zazdrosna.

– Wolałbym, żebyś była.

– Uważam, że byłoby okropnie, gdybyś nic nie przeżył i opowiadał mi, że jestem pierwszą kobietą w twoim życiu.

– Jesteś nią.

– Nie jestem; ale wystarczy mi, że na jakiś czas z mojego powodu zapomniałeś imiona innych.

– Jedziemy?

Lillian pokręciła głową.

– Jeszcze nie teraz. Nie chcę sobie robić złudzeń, że czas się zatrzymał. Chcę go czuć i nie oszukiwać samej siebie. Stał w miejscu podczas zim w sanatorium; ale ja nie stałam w miejscu. Szarpałam się wzdłuż osi czasu jak na lodowej ścianie, tam i z powrotem.

– A teraz stoisz w miejscu?

Pocałowała go.

– Kręcę się w kółko. Chwilowo. Jak tancerz.

Potem jednak zniecierpliwiła się i zapragnęła wyjechać. Z dnia na dzień wydało jej się, że jest już na Sycylii od wielu miesięcy. Zresztą to były miesiące, pomyślała, dla niej. Miała własną rachubę czasu. Jeden dzień od drugiego oddzielała zawsze noc niczym wielotygodniowa przepaść, a potem następowało przebudzenie w samotności. Nigdy nie pozwalała Clerfaytowi

zostawać przez całą noc. Dbała o to, żeby nie był rano obecny przy jej przebudzeniu. Uważał, że to kaprys, lecz nie chciała po prostu, żeby słyszał jej kaszel.

Poleciała do Rzymu, żeby stamtąd polecieć dalej. Clerfayt wracał z Torrianim samochodem. Mieli się spotkać w Paryżu. Jedno popołudnie spędziła na spacerze pośród rzymskich ruin. Następnego dnia siedziała w ogródku kawiarnianym przy via Veneto. Wieczorem miała lecieć dalej, ale nie mogła się zdecydować. Nagle bez powodu ogarnęła ją fala melancholii, uczucie wielkiej słodyczy, pozbawione wszelkiego smutku, może z wyjątkiem tego jednego, ostatniego, srebrnego i szarego smutku stojącego na horyzoncie każdego życia, które pozostaje nie spełnione jak życie buchaltera. Spędziła tę noc w hotelu i dopiero następnego przedpołudnia poszła do biura linii lotniczych. Tam zobaczyła w oknie plakat przedstawiający Wenecję i przypomniała sobie, co powiedziała u Levallego do Clerfayta; nie namyślając się dłużej, weszła do środka i kazała sobie przepisać bilet na lot do Wenecji. Wydawało się jej, że przed powrotem do Paryża musi ją zobaczyć. Chciała sobie coś uświadomić, dokładnie nie wiedziała jeszcze, co; ale musiała to zrobić, zanim zobaczy się ponownie z Clerfaytem.

– Kiedy odlatuje samolot?

– Za dwie godziny.

Wróciła do hotelu i spakowała rzeczy. Przypuszczała, że Clerfayt jest już w Paryżu, lecz nie mogła się zdecydować, żeby zadzwonić lub napisać do niego, że jeszcze nie przyjeżdża. Będzie można to zrobić z Wenecji, pomyślała, wiedząc, że tego nie zrobi. Chciała być przez kilka dni sama, tak czuła, sama, bez możliwości

kontaktu lub ingerencji z czyjejkolwiek strony, i dopiero potem wrócić. Wrócić? – pomyślała. Dokąd? Czyż nie odleciała i czyż nie lata w dalszym ciągu jak jeden z tych baśniowych ptaków, które rodzą się bez nóg i muszą fruwać, dopóki nie umrą? Ale czyż nie wiedziała o tym? I czyż nie chciała zastanowić się, czy ma opuścić Clerfayta?

Samolot zniżył lot nad laguną i zanurzył się w późne różowe popołudnie. Lillian dostała pokój narożny w hotelu Danieli. W czasie jazdy na górę windziarz wyjaśnił jej, że w tym hotelu rozegrał się burzliwy romans pomiędzy starzejącą się George Sand a młodym Alfredem de Mussetem.

– I co się stało? Z kim ją zdradził?

– Z nikim, mademoiselle. Był zrozpaczony. To madame Sand go zdradziła. – Windziarz uśmiechnął się. – Z pewnym włoskim lekarzem. Monsieur de Musset był poetą.

Lillian dostrzegła w oczach mężczyzny iskry ironii i rozbawienia. Prawdopodobnie oszukiwała samą siebie, pomyślała, i kochała jednego, kiedy była z drugim.

Windziarz otworzył drzwi.

– Opuściła go – wyjaśnił. – Wyjechała bez uprzedzenia.

To tak jak ja, pomyślała Lillian. Czy ja też może chcę zdradzić samą siebie? Weszła do pokoju i zatrzymała się. Pomieszczenie było wypełnione rozproszonym, różowym wieczornym światłem, jakie oglądać można tylko w Wenecji. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Woda była niebieska i spokojna, lecz wystarczyło, że od strony kościoła San Zaccaria nadpłynął i zatrzymał się statek parowy, by rzędy gondoli zakołysały się na falach. Zamigotały pierwsze światła, bardzo blade i zagubione pośród całej tej

różowości i błękitu, z wyjątkiem pomarańczowych świateł ostrzegawczych wzdłuż mielizn, otaczających delikatnie kark San Giorgio Maggiore niczym świetlisty łańcuch. To miasto jest najbardziej oddalone od wszelkich gór, pomyślała Lillian. Dalej nie można było uciec. Nic tutaj człowieka nie miażdżyło, wszystko głaskało. I wszystko było obce i czarodziejskie. Nikt mnie tutaj nie zna, myślała. I nikt nie wie, że tu jestem! Odczuła tę anonimowość niczym jakieś dziwne, burzliwe szczęście, szczęście polegające na ucieczce od szczęścia, na krótki czas albo na zawsze.

Uczucie to nasiliło się, gdy szła przez piazzę. Było w tym coś z awanturniczego uroku każdego początku. Nie miała celu; pozwoliła się unosić prądowi i wylądowała w dolnej części restauracji Quadriego, ponieważ spodobało jej się, że do małego lokalu z freskami, wzorowanymi na osiemnastowiecznych scenach, i ze złotymi żyrandolami wchodziło się po prostu z ulicy. Jadła krewetki i piła lekkie białe wino. Obok niej na ścianach tańczyły maski. Czuła się tak, jakby sama się schroniła, ukryła za niewidzialną maską, w tym samym odurzeniu nieodpowiedzialną wolnością, jakie dawała każda maskarada. Tysiąc początków otwierało się przed nią w różowej pomroce, tak jak tysiąc uliczek tego miasta, które kochały maski. A dokąd one prowadziły? Do nieznanych, nienazwanych nowych odkryć czy tylko do uroczych, męczących powtórzeń, po których miało się kaca, że znów straciło się to, co najcenniejsze: czas? Zawsze się traci czas, pomyślała Lillian, bezmyślnie, mimo wszystko, albo jest się jak ten człowiek z bajki, który chciał tak wiele za swą bryłę złota, że nie mógł się zdecydować, ile, i umarł w nędzy.

– Dokąd mogłabym pójść dziś wieczór? – zapytała kelnera.

– Dziś wieczór? Może do teatru, signora.

– Będą jeszcze wolne miejsca?

– Prawdopodobnie. W teatrze zawsze są wolne miejsca.

– Jak się tam dostać?

Kelner zaczął jej opisywać drogę.

– A nie można wziąć gondoli? – zapytała.

– Oczywiście, że można. Dawniej tak zawsze robiono. Teraz już nie. Teatr ma dwa wejścia. Pieszo nie jest daleko.

Lillian wzięła gondolę przy Palazzo Ducale. Kelner miał rację, oprócz niej przypłynęła tylko jeszcze jedna gondola. Siedziała w niej para Amerykanów w starszym wieku i robiła zdjęcia z lampą błyskową. Sfotografowali także gondolę Lillian.

– Kobieta w Wenecji nie powinna być sama – rzekł gondolier, pomagając jej przy wysiadaniu. – Tym bardziej młoda kobieta. A piękna nigdy.

Lillian spojrzała na niego. Był stary i nie wyglądał na takiego, który by zalecał siebie jako lekarstwo.

– Czy kiedykolwiek można być samym? – zapytała, spoglądając na czerwone wieczorne niebo ponad dachami.

– Tutaj jeszcze bardziej niż gdzie indziej, signora. Naturalnie, jeśli ktoś nie urodził się tutaj.

Lillian weszła akurat w chwili, kiedy podniosła się kurtyna. Grano jakąś komedię z osiemnastego wieku. Rozejrzała się po sali oświetlonej przyćmionym światłem ze sceny i z sufitów. Był to najpiękniejszy teatr na świecie i przed wprowadzeniem oświetlenia elektrycznego musiał robić czarodziejskie wrażenie za sprawą wielkiej liczby świec i malowanych balkonów. Taki zresztą wydawał się w dalszym ciągu.

Popatrzyła na scenę. Niewiele rozumiała po włosku i wkrótce zrezygnowała ze śledzenia tekstu. Ponownie ogarnęło ją dziwne uczucie samotności i melancholii, które miała już w Rzymie. Czyżby gondolier miał rację? A może brało się to stąd, że tak wielką wagę przywiązywała do symbolicznego faktu, że człowiek gdzieś przychodził, słuchał przedstawienia, z którego nic nie rozumiał, i musiał z niego wyjść, akurat kiedy zaczął się czegoś domyślać? Na scenie nie działo się nic poważnego, to było widać – komedia, uwiedzenie, oszustwa, trochę okrutne żarty z jakiegoś głupca, i Lillian nie wiedziała, dlaczego coś poruszyło się w niej tak gwałtownie, że zamieniło się w dziwny szloch i musiała przyłożyć do ust chusteczkę. Dopiero kiedy atak się powtórzył i zobaczyła na chusteczce ciemne plamy, wiedziała, co to jest.

Przez jakiś czas pozostała na swoim miejscu i próbowała to stłumić, ale krew pojawiła się znowu. Musiała wyjść, lecz nie wiedziała, czy da radę zrobić to o własnych siłach. Po francusku poprosiła siedzącego obok mężczyznę, żeby ją wyprowadził. Rozdrażniony potrząsnął głową, nawet nie spojrzawszy na nią. Śledził akcję sztuki i nie zrozumiał, o co jej chodzi. Zwróciła się do kobiety po swojej lewej ręce. Rozpaczliwie szukała w pamięci włoskiego słowa oznaczającego pomoc. Nie mogła sobie przypomnieć.

– *Misericordia* – wymamrotała w końcu. – *Misericordia, per favore*!

Kobieta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– *Are you sick*?

Lillian skinęła głową, trzymając dalej chusteczkę przy ustach, i wykonała ruch, jakby chciała wyjść.

– *Too many cocktails* – powiedziała starsza jasnowłosa kobieta. – *Mario, darling, help the lady to get some fresh air. What a mess*!

Mario podniósł się i podtrzymał Lillian.

– *Just to the door* – szepnęła.

Wziął ją pod rękę i wyprowadził. Na chwilę obróciło się ku nim kilka głów. Na scenie sprytny kochanek święcił właśnie triumfy. Mario otworzył drzwi do foyer i wlepił oczy w Lillian. Przed nim stała nagle bardzo blada kobieta w białej sukni, krew ciekła jej między palcami i kapała na piersi.

– *But, signora, you are really sick* – wykrztusił skonsternowany. – *Shall I take you to a hospital*?

Lillian pokręciła głową.

– Hotel Danieli. Jakiś samochód... proszę... – wydusiła – taksówka...

– Ależ signora, w Wenecji nie ma taksówek! Tylko gondole! Albo łodzie motorowe. Musi pani udać się do kliniki.

– Nie, nie! Łódź. Do hotelu. Tam na pewno jest lekarz. Proszę... tylko do łodzi... musi pan przecież wrócić...

– Ech tam – powiedział Mario – Mary może poczekać. I tak nie rozumie ani słowa po włosku. A sztuka jest nudna.

Blada pompejańska czerwień foyer po mocnej czerwieni zasłon. Biel dekoracji. Drzwi, schody i wiatr; potem plac ze szczękiem talerzy i widelców, restauracja uliczna ze śmiechami i gwarem jedzących. Minąwszy to miejsce, doszli do mrocznego, brzydko pachnącego, wąskiego kanału, w którym pojawiła się łódź i przewoźnik, jakby rodem ze Styksu.

– Gondola, signora, gondola?

– Tak! Prędko! Prędko! Signora jest chora.

Gondolier wytrzeszczył oczy.

– Zastrzelona?

– Nie pytaj! Ruszaj! Prędko!

Wąski kanał. Mały most. Mury budynków. Plusk wody. Przeciągłe okrzyki gondolierów na skrzyżowaniach. Zbutwiałe stopnie schodów; zardzewiałe drzwi; maleńkie ogródki z pelargoniami; pokoje, gdzie grało radio, z nie osłoniętymi żółtymi żarówkami; pranie suszące się na sznurkach; szczur balansujący jak linoskoczek na wąskim murku wzdłuż ściany; ostre głosy kobiet, zapach cebuli, czosnku i oliwy i ciężki, martwy zapach wody.

– Zaraz będziemy na miejscu – rzekł Mario.

Drugi kanał, szerszy. Potem silniejsze fale, przestronność Canale Grande.

– Zatrzymać łódź motorową?

Leżała na tylnych siedzeniach, w poprzek, tak jak upadła.

– Nie – szepnęła. – Dalej! Nie zmieniać...

Rozświetlone hotele, tarasy, statki parowe, sapiące, kopcące, pełne pasażerów, łodzie motorowe z białymi mundurami na pokładzie – jakże samotny był człowiek pośród słodkiego tumultu istnienia, kiedy o nie walczył, i jak wszystko zmieniało się w koszmar, w którym z trudem chwytał powietrze! Minęli rzędy gondoli, które kołysały się przy pomostach niczym czarne trumny na lustrzanej wodzie, niczym wielkie czarne wodne sępy starające się jej dosięgnąć metalowymi dziobami, a potem piazzetta, dymiące światła, przestwór i gwiazdy, jasna przestrzeń przykryta kopułą nieba, a pod Mostem Westchnień nieznośnie słodki tenor, który w łodzi z turystami śpiewał *Santa Lucia*. Gdyby to miała

być śmierć, pomyślała Lillian, gdy leżę tak z głową odchyloną do tyłu, słysząc tuż obok szum wody, a z przodu strzępy pieśni, z nieznanym mężczyzną u boku, pytającym bez przerwy: „*How are you feeling*? Wytrzyma pani jeszcze dwie minuty? Zaraz będziemy na miejscu". Nie, to nie śmierć, wiedziała o tym. Mario pomógł jej wysiąść z łodzi.

– Płacić – szepnęła do portiera przy pomoście przed Danielim. – Za mnie. I lekarza! Natychmiast!

Mario przeprowadził ją przez hol. Nie było w nim dużo ludzi. Amerykanie przy stoliku wytrzeszczali na nią oczy. Gdzieś mignęła jej twarz, którą znała, ale nie mogła sobie przypomnieć.

Młody windziarz w dalszym ciągu miał służbę: Lillian uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– To dramatyczny hotel – szepnęła. – Czy nie tak pan powiedział?

– Nie mówić, madame – rzekł Mario. Był dobrze wychowanym aniołem stróżem o aksamitnym głosie. – Zaraz przyjdzie lekarz. Doktor Pisani. Jest bardzo dobry. Nie mówić! Przynieś lód – powiedział do windziarza.

Przez tydzień leżała w hotelowym pokoju. Okna były otwarte, zrobiło się już naprawdę ciepło. Nie zawiadomiła Clerfayta. Nie chciała, żeby ją zastał chorą. Nie chciała go także widzieć przy swoim łóżku. To była jej sprawa, tylko jej. Spała i drzemała w ciągu dnia, do późnej nocy słyszała ochrypłe okrzyki gondolierów i pluskanie gondoli przywiązanych do Riva degli Schiavoni. Od czasu do czasu przychodził lekarz, przychodził Mario. Nie było to nic groźnego, jedynie mały krwotok, lekarz rozumiał ją, a Mario przynosił kwiaty i opowiadał jej o swoim

ciężkim życiu ze starszymi damami. Gdyby tak znalazł wreszcie bogatą i młodą, która by go rozumiała. Nie miał na myśli Lillian. Ją bowiem przejrzał i pojął, w czym rzecz, w jeden dzień. Był z nią zupełnie szczery i rozmawiał z nią jak z koleżanką po fachu.

– Ty żyjesz na konto śmierci, a ja kobiet, które boją się przegapić być może ostatnią szansę przeżycia wielkiej miłości – powiedział i roześmiał się. – Albo mówiąc inaczej: ty też się tego boisz, lecz twoim żigolakiem jest śmierć. Cała różnica polega na tym, że twój jest ci wierny. Za to ty zdradzasz go, gdzie tylko możesz.

Lillian słuchała go z rozbawieniem.

– Śmierć jest żigolakiem nas wszystkich. Tylko że większość ludzi o tym nie wie – powiedziała. – Co chcesz robić później, Mario? Ożenić się z jedną z tych starszych dam?

Mario z powagą pokręcił głową.

– Oszczędzam. Kiedy za kilka lat uzbieram odpowiednią sumę, otworzę mały, elegancki bar. Taki jak Harry's Bar. Mam w Padwie narzeczoną, która wyśmienicie gotuje. Jej fettucini! – Mario ucałował końce palców. – Przyjdziesz ze swoimi znajomymi?

– Przyjdę – odparła Lillian wzruszona delikatnością, z jaką próbował ją pocieszać, udając, że wierzy, iż będzie żyła jeszcze tak długo. Ale czyż ona sama nie wierzyła jeszcze w mały, prywatny cud? Że akurat to, co jej odradzano, może być dla niej dobre? Byłam romantyczną, sentymentalną dziewczyną, pomyślała, która oczekiwała jak dziecko, że jakaś bogini-matka życzliwym klapsem uratuje ją z każdej opresji. Patrzyła na głowę Maria na tle okna w popołudniowym świetle barwy różowego kwarcu i myślała o pewnej uwadze, jaką usłyszała na Sycylii z ust angielskiego

kierowcy, a mianowicie, że ludy łacińskie nie mają poczucia humoru. Bo go nie potrzebują, pomyślała; tę formę radzenia sobie z życiem dawno już miały za sobą. Humor był szczytowym osiągnięciem cywilizowanego barbarzyństwa; osiemnasty wiek miał z niego niewiele, dużo natomiast z kurtuazji polegającej na pomijaniu tego, z czym nie potrafił się uporać. Skazańcy podczas rewolucji francuskiej szli na szafot, okazując nienaganne maniery, nie śmiejąc się; szli, jakby udawali się na dwór królewski.

Mario przyniósł jej poświęcony przez papieża różaniec i malowaną wenecką szkatułkę na listy.

– Nie mam nic, co mogłabym ci dać w zamian – powiedziała.

– A ja niczego w zamian nie chcę. Dobrze jest móc coś podarować, a nie musieć ciągle żyć z prezentów.

– Musisz?

– Mój zawód jest zbyt intratny, żebym mógł z niego zrezygnować. Ale nie jest lekki. To naprawdę praca. Tak miło z twojej strony, że nic ode mnie nie chcesz.

Twarz, która mignęła Lillian w hotelowym holu, kiedy Mario ją przyprowadził, należała do wicehrabiego de Peystre. Rozpoznał ją i następnego dnia zaczął jej posyłać kwiaty.

– Dlaczego pani jest w hotelu? – zapytał, kiedy w końcu zadzwoniła do niego.

– Lubię hotele. Chce mnie pan wysłać do kliniki?

– Oczywiście, że nie. W klinikach robi się operacje. Nienawidzę ich tak samo jak pani. Ale dom z ogrodem nad jednym z cichych kanałów...

– Tutaj też ma pan taki domek? Jak mieszkanie w Paryżu?

– Nietrudno byłoby taki znaleźć.

– Ma go pan?

– Owszem – potwierdził Peystre.

Lillian roześmiała się.

– Wszędzie ma pan mieszkania, a ja nigdzie nie chcę mieć żadnego. Któremu z nas łatwiej będzie zrezygnować? Lepiej niech mnie pan zabierze gdzieś na kolację.

– Wolno pani wychodzić?

– Niekoniecznie. Ale dzięki temu wyprawa będzie miała posmak przygody, nieprawdaż?

To ma posmak przygody, pomyślała, kiedy zeszła do holu. Kto często uchodzi śmierci, równie często rodzi się na nowo i za każdym razem odczuwa głębszą wdzięczność, jeśli tylko pozbędzie się iluzji, że ma jakieś prawo do życia.

Zaskoczona tym odkryciem zatrzymała się. To jest to – pomyślała. Na tym polega cała tajemnica! Czy musiała przyjechać do Wenecji, do tego czarodziejskiego hotelu z wieloma popołudniami w kolorze cynobru i kobaltowego błękitu, żeby ją odkryć?

– Pani się uśmiecha – rzekł Peystre. – Dlaczego? Ponieważ oszukuje pani swojego lekarza?

– Nie jego. Dokąd pójdziemy?

– Do Taverny. Weźmiemy gondolę.

Boczne wejście do hotelu. Kołysząca się na wodzie gondola. Chwila wspomnień i mdłości, która szybko minęła, kiedy wsiadła do łodzi. Gondola nie była pływającą trumną, nie była już także czarnym sępem, który usiłował jej dosięgnąć metalowym dziobem. Była po prostu gondolą, ciemnym symbolem tak przemożnej kiedyś radości życia miasta, że musiano wydać ustawę, iż od tej

pory wszystkie gondole mogą być tylko czarne, bo inaczej ich właściciele rujnowaliby się na niepotrzebny przepych.

– Znam Wenecję tylko z mojego okna – powiedziała Lillian. – I z kilku godzin pierwszego wieczoru.

– W takim razie zna ją pani lepiej ode mnie. Ja znam Wenecję od trzydziestu lat.

Kanał. Hotele. Tarasy ze stolikami nakrytymi białym obrusem i kieliszkami. Plusk wody. Wąski kanał niczym wody Styksu. Skąd ja to wszystko znam? – zastanawiała się Lillian ogarnięta na chwilę niepokojem. Czy nie pojawi się teraz okno z kanarkami w klatkach?

– Gdzie znajduje się ta Taverna? – zapytała.

– Obok teatru.

– Ma taras?

– Tak. Była już tam pani?

– Znam ją bardzo przelotnie. Nie jadłam tam. Przechodziłam obok niej.

– To znakomita restauracja.

Usłyszała szczęk talerzy i głosy, zanim wypłynęli zza rogu.

– Pani się śmieje – rzekł Peystre. – Dlaczego?

– Pyta mnie pan o to już drugi raz. Ponieważ jestem głodna. I ponieważ wiem, że dostanę coś do jedzenia.

Właściciel restauracji obsługiwał ich osobiście. Przyniósł frutti di mare, świeże, pieczone i gotowane, i białe wino z beczki.

– Dlaczego jest pani tutaj sama? – spytał Peystre.

– Dla kaprysu; ale już wracam.

– Do Paryża?

– Do Paryża.

– Do Clerfayta?

– Także tego już się pan dowiedział? Tak, do Clerfayta.

– Czy nie można by z tym jeszcze poczekać? – zapytał ostrożnie Peystre.

Lillian roześmiała się.

– Jest pan uparty. Ma pan jakąś propozycję?

– Nie, jeśli pani nie chce. A jeśli pani chce, to bez żadnych warunków. Ale dlaczego nie chce się pani przynajmniej przez jakiś czas – powiedzmy: rozejrzeć?

Sprzedawca zabawek podszedł do stolika. Nakręcił dwa pluszowe szkockie teriery i puścił je po blacie.

– Nie muszę się już rozglądać – rzekła Lillian. – Nie mam czasu na powtórzenia.

Peystre wziął pluszowe psy i oddał je mężczyźnie.

– Jest pani pewna, że to zawsze są powtórzenia?

Lillian pogodnie pokiwała głową.

– Dla mnie tak. Zmiany w szczegółach są nieważne. Warianty mnie nie interesują.

– Tylko esencja?

– Tylko to, co mogę z tego zrobić. A wyszłoby na to samo, nawet gdyby mężczyzna się zmienił. O to chyba panu chodziło? Mam, jak mi się zdaje, bardzo proste reakcje.

Sprzedawca zabawek postawił na stole wybieg dla kur. Przyszedł restaurator, odsunął go i zaserwował płonące w rumie brzoskwinie oraz espresso.

– Czy nigdy nie miała pani uczucia, że coś może panią ominąć? – spytał Peystre.

Lillian spojrzała na niego i milczała przez chwilę.

– Co? – spytała w końcu.

– Jakaś przygoda. Albo niespodzianka. Albo nowość. Coś, czego pani nie zna.

– Miałam je, kiedy tu przyjechałam. Miałam uczucie, że ominie mnie Nowy Jork, Jokohama, Tahiti, Apollo, Dionizos, Don Juan i Budda – ale teraz już nie mam.

– Od kiedy pani go nie ma?

– Od kilku dni.

– Dlaczego?

– Bo nauczyłam się, że człowiek może przeoczyć tylko samego siebie.

– Gdzie nauczyła się pani tego?

– Przy moim oknie w hotelu.

– Teraz zapytam panią po raz trzeci, dlaczego się pani uśmiecha – rzekł Peystre.

– Ponieważ oddycham. Ponieważ jestem tutaj, ponieważ jest wieczór i opowiadamy bzdury.

– Czy to są bzdury?

– To zawsze są bzdury. Mają tutaj koniak?

– Mają grappę, starą i bardzo dobrą – powiedział Peystre. – Zazdroszczę pani.

Lillian uśmiechnęła się.

– Zmieniła się pani – ciągnął Peystre. – Jest pani inna niż w Paryżu. Wie pani, co to jest?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może dlatego, że pozbyłam się pewnej iluzji – tej, że człowiek ma jakieś prawa do życia – i tym samym pewnie także

drugiej iluzji, a mianowicie, że w życiu spotyka go niesprawiedliwość.

– To bardzo niemoralne.

– Bardzo – powtórzyła Lillian i wypiła swoją grappę. – Mam nadzieję, że nie będę musiała tego odwoływać. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Wygląda na to, że pojawiłem się za późno – rzekł Peystre. – O kilka godzin lub kilka dni. Kiedy pani wyjeżdża? Jutro?

– Pojutrze.

– Brzmi tak samo. Szkoda.

– Szkoda – powiedziała Lillian – nie jest wcale takim smutnym słowem, jak się sądzi.

– Czy to też jedno z pani nowych odkryć?

– Jedno z dzisiejszych.

Peystre odsunął swoje krzesło.

– Ja pokładam nadzieję w tych jutrzejszych.

– Nadzieja natomiast – rzekła Lillian – jest o wiele smutniejszym słowem, niż się sądzi.

15

Clerfayt szukał jej w Paryżu; wreszcie uznał, że wróciła do sanatorium. Zatelefonował i przekonał się, że był w błędzie. Szukał jej dalej w Rzymie i w Paryżu, ale nigdzie nie trafił na jej ślad. W końcu uznał, że go opuściła. Nawet stryj Gaston niechętnie go poinformował, że nie wie, gdzie przebywa jego bratanica; nic go to zresztą nie obchodzi. Clerfayt starał się o niej zapomnieć i żyć – z równym skutkiem, jakby próbował tańczyć w kleju. W tydzień po swoim powrocie spotkał Lydię Morelli.

– Czyżby twoja jaskółka wyfrunęła? – spytała.

– Pewnie przyprawia cię o straszne bóle głowy. Dawniej nie pytałaś o inne kobiety.

– Czyżby cię opuściła?

– Opuścić! – odparł Clerfayt z uśmiechem. – Co za staroświeckie słowo!

– To jedno z najstarszych słów.

Lydia przyglądała mu się.

– Odgrywamy scenę małżeńską z 1890 roku?

– A więc naprawdę jesteś zakochany!

– A ty jesteś zazdrosna.

– Jestem zazdrosna; a ty jesteś nieszczęśliwy. Na tym polega cała różnica.

– Naprawdę?

– Tak. Ja wiem, o kogo jestem zazdrosna, ty nie. Postaw mi coś do picia.

Clerfayt poszedł z nią na kolację. W trakcie wieczoru jego bezradność i niepokój o Lillian przybrały postać prymitywnej złości mężczyzny, że został opuszczony przez kobietę, zanim sam zdążył ją opuścić. Lydia ostrą igłą trafiła w czuły punkt.

– Powinieneś się ożenić – rzekła później.

– Z kim?

– Tego nie wiem. Jesteś dorosły.

– Z tobą?

Uśmiechnęła się.

– Nie chciałabym ci zrobić tej krzywdy. Zresztą jak dla mnie masz o wiele za mało pieniędzy. Ożeń się z kimś, kto ma pieniądze. Dość jest takich kobiet. Jak długo jeszcze chcesz jeździć w wyścigach? To zabawa dla młodych mężczyzn.

Clerfayt pokiwał głową.

– Wiem o tym, Lydio.

– Nie rób takiej przerażonej miny. Wszyscy się starzejemy. Trzeba się ustawić, zanim będzie za późno.

– Trzeba?

– Nie bądź głupcem. Cóż innego pozostaje?

Znam kogoś, kto nie chce się ustawić, pomyślał.

– Zastanawiałaś się już, Lydio, z kim się mam ożenić? Nagle zrobiłaś się taka troskliwa.

Spojrzała na niego badawczo.

– Moglibyśmy o tym pogadać. Zmieniłeś się.

Clerfayt pokręcił głową i wstał.

– Powodzenia, Lydio.

Podeszła do niego całkiem blisko.

– Ale przecież wrócisz?

– Jak długo się już znamy?

– Cztery lata. Z wieloma dziurami pośrodku.

– Jak brokat nadjedzony przez mole?

– Jak dwoje ludzi, którzy nigdy nie chcieli wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności – którzy chcieli mieć wszystko i nic nie dawać.

– Jedno i drugie jest nieprawdą.

– Pasowaliśmy do siebie, Clerfayt.

– Jak wszyscy ludzie, którzy do niczego nie pasują.

– Tego nie wiem. Zdradzić ci tajemnicę?

– Że nie ma żadnych tajemnic i wszystko jest jedną wielką tajemnicą?

– Nie, to coś dla mężczyzn. Zdradzę ci tajemnicę kobiet. Nic nie jest ani tak złe, ani tak dobre, jak sądzimy. I nic nie jest ostateczne. Przyjdź dziś wieczorem.

Nie poszedł. Był otępiały i czuł się okropnie. Nie było tak, jak zwykle bywało w takich wypadkach. Brakowało mu nie tylko Lillian, brakowało mu czegoś w nim samym. Nie zauważywszy nawet tego, przejął coś z jej stylu życia. Życia bez jutra, pomyślał. Ale tak nie można było żyć; było jakieś jutro, przynajmniej dla niego, także pomimo jego zawodu; powinno być.

Odizolowała mnie, pomyślał z irytacją. Dzięki niej jestem o wiele młodszy, ale także głupszy. Dawniej poszedłbym do Lydii

Morelli i zostałbym z nią, jak długo bym chciał, i basta; teraz, gdybym to zrobił, czułbym się jak gimnazjalista, i miałbym potem kaca, jakbym się upił kiepskim winem. Powinienem ożenić się z Lillian, pomyślał. To jest rozwiązanie! Lydia miała rację, jakkolwiek w innym sensie, niż sądziła. Nagle poczuł się wyzwolony i zdziwiło go to. Przedtem nigdy nie myślał o małżeństwie; teraz nagle wydało mu się ono czymś oczywistym i nie rozumiał, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej. Zresztą nie wyobrażał już sobie życia bez Lillian. Nie było to ani tragiczne, ani romantyczne, ani sentymentalne; życie bez niej wydało mu się nagle jedynie monotonnym ciągiem lat – jak podobne do siebie pokoje, w których zgasło światło.

Zrezygnował z dalszych poszukiwań. Wiedział, że to nie ma sensu; jeśli wróci do Paryża, przyjdzie do niego albo nie. Nie przeczuwał, że mieszka już z powrotem w hotelu Bisson. Kilka dni chciała jeszcze zostać sama. Nie chciała, żeby Clerfayt ją widział, dopóki nie poczuje się znowu tak, jak powinna, by sprawiać wrażenie zdrowej. Dużo spała i nie wychodziła. W czasie gdy Clerfayt pilnował jej walizek w hotelu Ritz, ona musiała się zadowalać tym, co miała w dwóch neseserach podróżnych, które wzięła ze sobą na Sycylię.

Czuła się, jakby po wielkiej burzy wróciła do portu, ale jakby ten port tymczasem się zmienił. Inne były kulisy lub raczej: kulisy były jeszcze te same, lecz zmieniło się światło. Teraz było klarowne i stanowcze, bezlitosne, ale nie smutne. Burza minęła. Różowe złudzenia również. Nie było ucieczki. Ani skargi. Hałas zaczynał milknąć. Niedługo będzie mogła usłyszeć własne serce. Nie tylko jego wołanie – także odpowiedź.

Pierwszą osobą, którą odwiedziła po powrocie, był stryj Gaston. Ujrzawszy ją, był zaskoczony, ale po kilku minutach zaczął okazywać coś w rodzaju powściągliwej radości.

– Gdzie teraz mieszkasz? – zapytał.

– W Bisson. To niedrogi hotel, wujku Gastonie.

– Sądzisz, że pieniądze rozmnażają się w ciągu nocy. Jeśli będziesz robić tak dalej, wkrótce nie będziesz miała już nic. Wiesz, na jak długo ci jeszcze wystarczy, jeśli dalej będziesz wydawać w tym tempie?

– Nie. I nie chcę wiedzieć.

Muszę się pospieszyć z umieraniem, pomyślała ironicznie.

– Zawsze żyłaś ponad stan. Dawniej żyło się z odsetek od kapitału.

Lillian roześmiała się.

– Słyszałam, że w mieście Bazylea przy granicy szwajcarskiej ktoś, kto nie utrzymuje się z odsetek od odsetek, uważany jest już za utracjusza.

– Szwajcaria – odparł z rozmarzeniem Gaston, jakby mówił o Wenus Kallipygos. – Ze swoją walutą! Szczęśliwy naród! – Popatrzył na Lillian. – Mógłbym ci zwolnić pokój w moim mieszkaniu. W ten sposób zaoszczędzisz na hotelach.

Lillian rozejrzała się dokoła. Pewnie knułby swoje drobne intrygi i próbował mnie wydać za mąż, pomyślała. I rozciągnąć nade mną kontrolę. Bał się, że kiedy zabraknie jej pieniędzy, będzie musiał wyłożyć własne. Ani przez chwilę nie przyszło jej na myśl, żeby mu powiedzieć prawdę.

– Nie narażę cię na żadne koszty – oświadczyła. – Nigdy!

– Młody Boileau często pytał o ciebie.

– Kto to jest?

– Z rodziny tych zegarmistrzów. Bardzo porządna rodzina. Matka...

– Ten z zajęczą wargą?

– Zajęcza warga! Jakich ty wulgarnych używasz określeń! To drobna rzecz, która często się zdarza w starych rodzinach! Poza tym została zoperowana. Prawie nic nie widać. W końcu mężczyźni to nie modelki!

Lillian przyjrzała się małemu, upartemu człowieczkowi.

– Ile ty masz lat, stryju Gastonie?

– O co ci znowu chodzi? Przecież wiesz!

– A jak sądzisz, jakiego wieku dożyjesz?

– To jest wręcz nieprzyzwoite pytanie. Starszych ludzi nie pyta się o takie rzeczy. To zależy od woli Boga.

– Wiele zależy od woli Boga. Nie uważasz, że nagle będzie musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań? Ja też chciałabym Go zapytać o to i owo.

– Co? – Gaston szeroko otworzył oczy. – Co ty wygadujesz?

– Nic.

Lillian musiała stłumić krótki wybuch gniewu. Oto stał przed nią ten nieprzyjemny karzełek, niezniszczalny, champion na dystansie trzydziestu centymetrów, był stary, ale z pewnością przeżyje ją o kilka lat, wiedział wszystko, miał zdanie na każdy temat i był ze swoim Bogiem na ty.

– Stryju Gastonie – zapytała – gdybyś mógł przeżyć swoje życie jeszcze raz, czy przeżyłbyś je inaczej?

– Oczywiście!

– Jak? – spytała Lillian, łudząc się słabą nadzieją.

– Nie padłbym oczywiście ofiarą dewaluacji franka. Już w 1914 roku kupiłbym amerykańskie akcje – a potem, najpóźniej w 1938...

– Dobrze, stryju Gastonie – przerwała mu Lillian. – Rozumiem. – Jej gniew ulotnił się.

– Niczego nie rozumiesz. W przeciwnym razie nie szastałabyś tak tą resztką pieniędzy, jaka ci została! Naturalnie twój ojciec...

– Wiem, stryju Gastonie. Utracjusz! Ale jest jeszcze dużo większy utracjusz niż on.

– Kto?

– Życie. Jest rozrzutne dla ciebie i dla mnie, i dla wszystkich innych.

– Głupie gadanie! Salonowy bolszewizm! Oducz się tego. Życie jest zbyt poważną sprawą, żeby się w to bawić.

– No właśnie. Trzeba płacić swoje rachunki. Daj mi pieniądze. I nie krzyw się, jakby to były twoje własne. One są moje.

– Pieniądze! Pieniądze! To wszystko, co widzisz w życiu!

– Nie, stryju Gastonie. To wszystko, co ty widzisz!

– Ciesz się! W przeciwnym razie dawno byś już nic nie miała. – Gaston niechętnie wypisał czek. – A potem? – zapytał cierpko, wymachując papierem w powietrzu, żeby atrament wysechł. – Co będzie potem?

Lillian przyglądała mu się zafascynowana. On chyba oszczędza nawet na bibule, pomyślała.

– Nie będzie żadnego potem – powiedziała.

– Wszyscy tak twierdzą. A potem przychodzą, kiedy już nic nie mają, i człowiek musi własne drobne oszczędności...

Nagle gniew pojawił się znowu, świadomy i gwałtowny. Lillian wyrwała stryjowi czek z ręki.

– Przestań lamentować! I idź sobie kupić amerykańskie akcje, ty patrioto!

Szła mokrymi ulicami. Padało, kiedy była u Gastona, ale teraz znowu świeciło słońce, odbijając się na asfalcie i w kałużach na skraju ulicy. Niebo przegląda się nawet w kałużach, pomyślała i musiała się roześmiać. Może więc i Bóg odbijał się nawet w stryju Gastonie. Ale gdzie w nim? Trudniej Go było odnaleźć w Gastonie niż błękit i migotanie nieba w brudnej wodzie spływającej do kanałów ściekowych. Trudniej Go było odnaleźć w większości ludzi, których znała. Siedzieli w swoich biurach, jakby byli podwójnymi Matuzalemami, taka była ich ponura tajemnica! Żyli tak, jakby śmierć nie istniała. Ale robili to jak kramarze, nie jak bohaterowie. Wyrzekli się tragicznej wiedzy o czekającym ich końcu, chowali głowy w piasek i oddawali się drobnomieszczańskiej iluzji wiecznego życia. Kiwając głowami, próbowali się nawzajem oszukiwać nawet nad grobem i gromadzić to, co najwcześniej uczyniło ich niewolnikami samych siebie: pieniądze i władzę.

Wyjęła stufrankowy banknot, przyjrzała mu się i zdecydowanym ruchem wrzuciła go do Sekwany. Wyraziła w ten sposób bardzo dziecinny symboliczny protest, ale było jej wszystko jedno. Gest ten przyniósł jej prawdziwą ulgę. Czeku stryja Gastona zresztą nie wyrzuciła. Idąc dalej, dotarła do bulwaru St. Michel. Z miejsca otoczył ją uliczny zgiełk. Ludzie biegali, tłoczyli się, śpieszyli, słońce błyszczało na setkach samochodowych dachów, huczały silniki, wszędzie były cele, które należało

osiągnąć możliwie jak najszybciej, a każdy z tych małych celów zasłaniał cel ostateczny tak bardzo, że wydawało się, jakby go wcale nie było.

Przeszła przez jezdnię pomiędzy dwoma drżącymi, przykutymi do miejsca przez czerwone światło rzędami gorących potworów, jak kiedyś Mojżesz z ludem Izraela przez Morze Czerwone. W sanatorium było inaczej, pomyślała, tam cel ostateczny stał zawsze na niebie niby mroczne słońce, miało się go zawsze nad sobą – można było to ignorować, ale nie dawało się tego wyrzucić ze świadomości; napełniało to człowieka głębszym zrozumieniem i głębszą odwagą. Kto wiedział, że idzie na rzeź i nie może uciec, kto oczekiwał tego z owym ostatnim zrozumieniem i z ostatnią odwagą, ten niezupełnie był już zwierzęciem ofiarnym. Nieznacznie, ale zwyciężał rzeźnika.

Wróciła do hotelu. Znów miała pokój na pierwszym piętrze i tylko jedne schody do pokonywania. Przed drzwiami restauracji stał sprzedawca morskich przysmaków.

– Mam cudowne krewetki – powiedział. – Ostrygi już się prawie skończyły. Dobre będą znowu dopiero we wrześniu. Będzie pani wtedy jeszcze tutaj?

– Z pewnością.

– Przygotować pani bukiet krewetek? Szare są najlepsze. Różowe ładniej wyglądają. Szare?

– Szare. Zaraz spuszczę koszyk. Do tego pół butelki vin rosé, bardzo zimnego. Proszę powiedzieć Lucienowi, starszemu kelnerowi.

Powoli weszła po schodach na piętro. Potem spuściła koszyk, a następnie wciągnęła go na górę. Wino było odkorkowane i tak

zimne, że butelkę pokrywał szron. Usiadła na parapecie, podciągnęła nogi i oparła je o framugę, wino postawiła obok. Lucien zapakował także kieliszek i serwetę. Napiła się wina i zaczęła rozbierać krewetki. Takie życie jest dobre, uznała, ale nie chciała się nad tym dłużej zastanawiać. Niejasno przeczuwała coś w rodzaju wielkiej rekompensaty, teraz jednak nie chciała o tym myśleć. Nie w tej chwili. Fakt, że jej matka zmarła na raka, po ciężkiej operacji, miał coś wspólnego z tym uczuciem. Zawsze były rzeczy gorsze od tego, co się przeżywa samemu. Zmrużyła oczy i popatrzyła na słońce. Poczuła światło. I tak zobaczyła Clerfayta, kiedy wbrew wszelkim oczekiwaniom raz jeszcze patrolował teren w pobliżu hotelu Bisson.

Gwałtownie otworzył drzwi.

– Lillian! Gdzie byłaś? – zawołał.

Widziała go wcześniej, jak przechodził przez ulicę.

– W Wenecji, Clerfayt.

– Ale dlaczego?

– Mówiłam ci przecież na Sycylii, że chciałabym się kiedyś wybrać do Wenecji. W Rzymie przypomniałam sobie o tym zamiarze.

Zamknął za sobą drzwi.

– A więc w Wenecji! Dlaczego nie zatelegrafowałaś do mnie? Przyjechałbym. Jak długo tam byłaś?

– Przesłuchujesz mnie?

– Jeszcze nie. Szukałem cię wszędzie, ale o Wenecji nie pomyślałem. Z kim tam byłaś?

– To się nazywa, że mnie nie przesłuchujesz?

– Bardzo mi ciebie brakowało! Niepokoiłem się, że Bóg wie co ci się stało! Nie rozumiesz tego?

– Rozumiem – powiedziała Lillian. – Chcesz spróbować tych krewetek? Mają posmak wodorostów i morza.

Clerfayt wziął od niej tekturowy talerzyk z krewetkami i wyrzucił wszystko przez okno.

Lillian patrzyła za nimi.

– Trafiłeś w zamkniętego zielonego citroena. Gdybyś poczekał sekundę dłużej, spadłyby we włosy grubej blondyny w otwartym renaulcie. Podaj mi, proszę, mój koszyk ze sznurkiem. Dalej jestem głodna.

Przez sekundę wyglądało na to, że Clerfayt wyrzuci koszyk w ślad za krewetkami. W końcu podał go Lillian.

– Przekaż mu, żeby posłał na górę jeszcze jedną butelkę rosé – powiedział. – I zejdź z tego okna, żebym cię mógł uściskać.

Lillian zsunęła się z parapetu.

– Przyjechałeś Giuseppe?

– Nie. Stoi na placu Vendôme i gardzi tuzinem bentleyów i rolls-royce'ów zaparkowanych obok niego.

– Przyprowadź go i jedźmy do Lasku.

– Możemy jechać do Lasku – rzekł Clerfayt i pocałował ją. – Ale pójdziemy razem i razem przyprowadzimy Giuseppe; w przeciwnym razie, kiedy wrócę, może cię już nie być. Nie chcę ryzykować.

– Bardzo ci mnie brakowało?

– Czasami, kiedy cię nienawidziłem lub kiedy bałem się, że zabił cię jakiś zboczeniec seksualny. Z kim byłaś w Wenecji?

– Sama.

Spojrzał na nią.

– Możliwe, że tak rzeczywiście było. Z tobą nigdy nie wiadomo. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Przecież nie robimy tego. Czy i ty nie wyjeżdżasz czasem do Rzymu i nie zjawiasz się z powrotem dopiero po kilku tygodniach? W dodatku ze swoją kochanką?

Clerfayt roześmiał się.

– Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. Czy dlatego nie wracałaś?

– Oczywiście, że nie z tego powodu.

– Szkoda.

Lillian wychyliła się przez okno, żeby opuścić z powrotem swój koszyk. Clerfayt czekał cierpliwie. Rozległo się pukanie. Podszedł do drzwi, odebrał od kelnera wino i wypił kieliszek, słysząc jednocześnie, jak Lillian woła z okna, że chciałaby jeszcze parę garści krewetek. Potem rozejrzał się po pokoju. Widział jej buty, porozstawiane w różnych miejscach, trochę bielizny leżącej na krześle, a za uchylonymi drzwiami szafy jej sukienki. Wróciła, pomyślał, i napełnił go głęboki, nie znany, podniecający spokój.

Lillian, z koszykiem w ręku, odwróciła się od okna.

– Ależ pachną! Pojedziemy też kiedyś nad morze?

– Tak. Do Monte Carlo, jeśli chcesz. Za jakiś czas muszę tam wystartować w pewnym wyścigu.

– A możemy pojechać tam już teraz?

– Kiedy tylko zechcesz. Dzisiaj? Jutro?

Uśmiechnęła się.

– Znasz mnie. Nie, nie dzisiaj ani jutro, jeśli dziś lub jutro możemy tam pojechać. – Wzięła od niego kieliszek. – Wiesz,

Clerfayt, nie chciałam zostać w Wenecji tak długo – powiedziała. – Tylko parę dni.

– A dlaczego zostałaś dłużej?

– Nie czułam się dobrze.

– Co ci było?

Zawahała się.

– Przeziębienie.

Widziała, że jej nie uwierzył. Wprawiło ją to w prawdziwy zachwyt. Przez jego niedowierzanie nawet krwotok wydawał jej się mniej prawdopodobny, może jednak był mniejszy, niż myślała. Nagle poczuła się jak gruba kobieta, która schudła dwadzieścia funtów, nie zauważywszy tego.

Oparła się o niego. Clerfayt przytrzymał ją.

– A kiedy odejdziesz znowu? – zapytał.

– Ja nie odchodzę, Clerfayt. Czasami tylko mnie nie ma.

Od strony rzeki rozległ się róg sygnałowy jakiegoś holownika. Na pokładzie młoda kobieta rozwieszała na sznurach kolorowe pranie. W drzwiach kuchni dziewczynka bawiła się z owczarkiem. Przy sterze stał szyper w samej koszuli i pogwizdywał.

– Widzisz to? – spytała Lillian. – Zawsze ogarnia mnie zazdrość, kiedy na to patrzę. Domowy spokój! To, czego chciał Pan Bóg.

– Gdybyś go miała, wysiadłabyś po kryjomu na najbliższej przystani.

– Nie przeszkadza mi to być zazdrosną. Przyprowadzimy teraz Giuseppe?

Clerfayt ostrożnie podniósł ją do góry.

– Teraz nie mam ochoty przyprowadzać Giuseppe ani jechać do Lasku. Na to będziemy mieć jeszcze mnóstwo czasu wieczorem.

16

Jednym słowem: chcesz mnie zamknąć – powiedziała Lillian i roześmiała się.

Clerfayt nie zawtórował jej.

– Nie chcę cię zamykać. Chcę cię poślubić.

– Dlaczego?

Lillian, leżąc w łóżku, spojrzała pod światło na butelkę rosé. Widziane w ten sposób szyby wydawały się jakby oblane krwią. Clerfayt odebrał jej butelkę.

– Żebyś znowu któregoś dnia nie zniknęła bez śladu.

– Zostawiłam swoje walizki w Ritzu. Sądzisz, że małżeństwo będzie pewniejszą rękojmią, żeby wrócić?

– Nie, żeby wrócić. Żeby tu pozostać. Zacznijmy od innego końca. Tobie zostało niewiele pieniędzy. Ode mnie nic nie weźmiesz...

– Przecież ty sam nic nie masz.

– Mam swój udział z dwóch wyścigów. Do tego dochodzi to, co miałem wcześniej i jeszcze zarobię. Na ten rok spokojnie nam wystarczy.

– Dobrze, w takim razie poczekajmy do następnego roku.

– Dlaczego mamy czekać?

– Żebyś się przekonał, że to nonsens. Za co byś mi kupował suknie i buty w przyszłym roku? Mówiłeś przecież, że twój kontrakt wygasa z końcem tego roku.

– Zaproponowano mi objęcie przedstawicielstwa naszej firmy.

Lillian uniosła nogę i przyglądała się jej kształtom. Chudną mi nogi, pomyślała.

– Zamierzasz sprzedawać samochody? – zapytała. – Nie potrafię sobie tego jakoś wyobrazić.

– Ja też; ale nie potrafiłem sobie wyobrazić wielu rzeczy, które później robiłem. Albo chciałem robić. Na przykład ożenić się z tobą.

– Dlaczego nagle chcesz wszystkiego naraz? Zostać szanowanym sprzedawcą samochodów i ożenić się?

– Mówisz tak, jakby jedno i drugie było nieszczęściem narodowym.

Lillian wyślizgnęła się z łóżka i sięgnęła po szlafrok.

– Gdzie chcesz sprzedawać te samochody?

Clerfayt zawahał się.

– Okręg Tuluzy będzie wolny.

– Dobry Boże! – rzekła Lillian. – Kiedy?

– Za kilka miesięcy. Jesienią. Najpóźniej pod koniec roku.

Zaczęła czesać włosy.

– Wkrótce będę za stary, żeby wygrywać wyścigi – powiedział Clerfayt z łóżka do jej pleców. – Nie jestem Nuvolarim ani Caracciolą. Może mógłbym spróbować zostać gdzieś kierownikiem ekipy, ale wtedy też musiałbym się znowu przenosić z jednego toru na drugi, tak jak nasz gruby Cesare – teraz, odkąd wyścigi

mają być organizowane także w Afryce i Ameryce Południowej, nie będzie oglądał swojej żony nawet w zimie. Nie, dość mam tego. Chcę zmienić swoje życie.

Dlaczego oni zawsze chcą zmieniać swoje życie? – pomyślała Lillian. Dlaczego chcą zmieniać to, czym zdobyli kobietę? Czy nigdy nie przychodzi im do głowy, że przez to prawdopodobnie kobietę stracą? Nawet Mario chciał ostatniego dnia zrezygnować ze swej egzystencji żigolaka i rozpocząć ze mną przykładne życie. A Clerfayt, który uważa, że mnie kocha, i którego kochałam, bo podobnie jak ja zdawał się nie mieć przed sobą przyszłości, teraz także on chce zmienić zdanie i myśli w dodatku, że powinnam być z tego powodu szczęśliwa.

– Nieraz zastanawiałam się, czy ludzie tacy jak my powinni zawierać małżeństwa – powiedziała. – Żaden z tradycyjnych motywów nie trafił mi szczególnie do przekonania. Najprędzej jeszcze argument, który wymienił mi pewien chory szachista: że w chwili strachu przed zbliżającą się śmiercią człowiek chciałby mieć kogoś obok siebie. Ale nie wiem, czy wtedy człowiek nie jest tak beznadziejnie samotny, nawet gdy przy łóżku stoi gromada wiernych przyjaciół, że w ogóle tego nie zauważa. Camilla Albei, która zmarła w sanatorium, pragnęła, żeby był przy niej przynajmniej jeden z jej kochanków, i dla pewności, choć kosztowało ją to wiele trudu, miała romans z trzema jednocześnie i zadbała o to, żeby wszyscy w ciągu jednego dnia mogli się zjawić przy jej łóżku. Z tego powodu przeciągnęła nawet grubo ponad wszelką miarę swoją ostatnią przygodę z pewnym obrzydliwym, aroganckim gburem. Na wiejskiej drodze przejechał ją samochód i zmarła w pół godziny później. Nie było przy niej nawet tego

obrzydliwego typa – siedział w cukierni Lufta, gdzie nikomu nie przyszłoby na myśl go szukać, i zajadał czekoladowe biszkopty z bitą śmietaną. Dłoń Camilli trzymał wiejski policjant, którego nigdy przedtem nie widziała, i była mu za to taka wdzięczna, że próbowała go pocałować. Nie była już jednak w stanie.

– Lillian – powiedział spokojnie Clerfayt. – Dlaczego ciągle robisz uniki?

Odłożyła grzebień.

– Nie pojmujesz tego? Co takiego właściwie się stało, Clerfayt? Połączył nas przypadek – dlaczego nie chcesz tego tak zostawić?

– Chcę cię zatrzymać. Dopóki będę mógł. Proste, prawda?

– Nie. W ten sposób nie zatrzymuje się drugiej osoby.

– Dobrze. W takim razie powiedzmy inaczej. Nie chcę żyć dalej tak jak dotąd.

– Chcesz przejść w stan spoczynku?

Clerfayt popatrzył na rozgrzebane łóżko.

– Zawsze potrafisz znaleźć najokropniejsze słowo. Pozwól, że wstawię na jego miejsce inne. Kocham cię i chcę żyć z tobą. Tylko proszę cię, nie śmiej się z tego.

– Z takich rzeczy nigdy się nie śmieję. – Podniosła wzrok. Jej oczy były pełne łez. – Ach, Clerfayt! Co za głupota!

– Prawda? – Podniósł się z łóżka i pochwycił jej dłonie. – Tacy byliśmy pewni, że coś takiego nie może nam się nigdy zdarzyć.

– I niech tak zostanie! Niech tak zostanie! Nie niszcz tego!

– Co tu jest do niszczenia?

Wszystko, pomyślała. Na skrzydłach motylich, nawet odlanych z cementu, nie można zbudować w Tuluzie domowego szczęścia. Jak bardzo egoizm potrafi zaślepiać! Gdyby chodziło o każdego

innego mężczyznę, natychmiast by mnie zrozumiał – gdy chodzi o niego samego, jest ślepy.

– Nie zapominaj, Clerfayt, że jestem chora – powiedziała w końcu z wahaniem.

– To jeszcze jeden argument za tym, że nie powinnaś być sama.

Milczała. Borys, pomyślała. Borys by mnie rozumiał. Clerfayt zaczyna nagle mówić jak on, ale nie jest Borysem.

– Przyprowadzimy teraz Giuseppe – zaproponowała.

– Sam go przyprowadzę. Zaczekasz tutaj?

– Tak.

– Kiedy chcesz jechać na Riwierę? Wkrótce?

– Wkrótce.

Clerfayt stanął za nią.

– Mam na Riwierze brzydki mały domek.

Widziała w lustrze jego twarz i jego ręce na swoich ramionach.

– Przejawiasz doprawdy nieoczekiwane właściwości.

– Można go przebudować – rzekł Clerfayt.

– Nie możesz go sprzedać?

– Najpierw go obejrzyj.

– Dobrze – powiedziała nagle zniecierpliwiona. – Kiedy będziesz w hotelu, każ przesłać moje walizki.

– Sam je przywiozę.

Wyszedł. Siedziała dalej, patrząc na gasnący wieczór. Nad brzegiem rzeki kucali wędkarze. Paru kloszardów przygotowywało sobie kolację na murku nabrzeża. Jakimi dziwnymi drogami potrafi chodzić to, co się nazywa miłością, myślała. Czyż Levalli nie mówił, że w bachantce z lat młodości zawsze siedzi gospodyni, a w roześmianym zdobywcy mieszczanin

z chęcią posiadania? To nie dla mnie, myślała, ale co się stało z Clerfaytem? Czyż nie kochała go dlatego, że chwytał życie, jakby każda chwila miała być jego ostatnią? Tuluza! Zaczęła się śmiać. Nie chciała nigdy mówić o swojej chorobie, ponieważ sądziła, że człowiek chory jest zawsze czymś odpychającym dla zdrowego; teraz czuła, że może być także odwrotnie, że zdrowy może się wydawać choremu trochę pospolity, tak jak nowobogacki zubożałemu arystokracie. Miała wrażenie, jakby Clerfayt opuścił ją dzisiaj w osobliwy sposób i przeszedł na stronę dla niej niedostępną. Nie był już człowiekiem przegranym, nagle miał przed sobą przyszłość. Czy dlatego do niego wróciłam? – pomyślała i ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że bezgłośnie płacze – ale nie była nieszczęśliwa. Pragnęła tylko, żeby wszystko trwało trochę dłużej.

Zjawił się Clerfayt z walizkami.

– Jak mogłaś tak długo wytrzymać bez swoich rzeczy?

– Zamówiłam sobie nowe. W przypadku strojów to bardzo łatwe.

Nie było tak, jak mówiła, lecz nagle uznała, że ma po temu powód. A nawet dwa: musiała uczcić to, że w Wenecji uszła z życiem, i musiała być rozrzutna, by zademonstrować swój protest przeciwko propozycji Clerfayta, który chciał ją poślubić i zamieszkać w Tuluzie.

– Nie mógłbym ci podarować paru sukienek? – spytał Clerfayt. – Obecnie jestem dość bogaty.

– Na moje wiano?

– Przeciwnie. Dlatego, że pojechałaś do Wenecji.

– Dobrze, możesz mi jedną podarować. Dokąd pójdziemy dziś wieczór? Można już siedzieć w Lasku?

– Jeśli się weźmie płaszcze. W przeciwnym razie jest jeszcze za zimno. Ale możemy tylko przez niego przejechać. Las jest jasnozielony i wydaje się zaczarowany za sprawą wiosny i niebieskich obłoczków spalin. Wieczorem w bocznych alejkach stoją całe kolumny samochodów. Miłość wywiesza swoje flagi z każdego okna.

Lillian wzięła sukienkę z czarnego przezroczystego materiału, która miała dramatyczne obszycie w kolorze meksykańskiej czerwieni, i zaczęła nią wymachiwać z okna.

– Za miłość – powiedziała. – Boską i ziemską, małą i wielką, ale nie za miłość w Tuluzie! Kiedy znowu wyjeżdżasz?

– Skąd wiesz, że muszę znów wyjechać? Śledzisz kalendarz wyścigów?

– Nie. Ale w naszym przypadku nigdy nie wiadomo, kto kogo opuszcza.

– To się zmieni.

– Ale nie przed końcem roku!

– Wziąć ślub można też wcześniej.

– Uczcijmy najpierw powrót i pożegnanie. Dokąd musisz jechać?

– Do Rzymu. A potem na Wyścig Tysiąca Mil przez całe Włochy. Za tydzień. Nie możesz pojechać ze mną. Jedzie się i jedzie, i nic poza tym, aż w końcu człowiek staje się częścią szosy i silnika.

– Wygrasz?

– Mille Miglia to wyścig dla Włochów. Raz wygrał go Caracciola, dla Mercedesa, ale poza tym to wewnętrzna rozgrywka Włochów. Torriani i ja jedziemy tylko jako trzecia załoga. Na wszelki

wypadek, gdyby się coś stało. Mogę zostać tutaj, gdy będziesz się ubierać?

Lillian skinęła głową.

– Którą sukienkę włożyć? – spytała.

– Jedną z tych, które były u mnie w niewoli.

Otworzyła walizkę.

– Może być ta?

– Tak. Znam ją dobrze.

– Nigdy jej nie widziałeś.

– Nie widziałem na tobie, lecz mimo to ją znam. Przez kilka nocy wisiała w moim pokoju.

Lillian odwróciła się z lusterkiem w ręku.

– Naprawdę?

– Przyznaję się do winy – rzekł Clerfayt. – Porozwieszałem twoje sukienki, żeby cię przywołać, niczym jakiś czarownik. Nauczyłem się tego od ciebie. To była czarna magia, a poza tym pewna pociecha. Kobieta może opuścić mężczyznę, ale nigdy nie zostawi swoich strojów.

Lillian sprawdziła w lusterku makijaż oczu.

– Moje cienie były więc przy tobie.

– To nie były twoje cienie, tylko zrzucone i pozostawione wężowe skóry.

– Prędzej bym pomyślała, że jakaś inna kobieta.

– Próbowałem i tego. Ale zepsułaś mi apetyt na inne kobiety. W porównaniu z tobą wyglądają jak kiepskie kolorowe reprodukcje na tle *Tancerki* Degasa.

Lillian roześmiała się.

– Jak jedna z tych brzydkich, grubych kukieł, które zawsze malował?

– Nie. Jak pewien rysunek, który Levalli ma u siebie w domu. Widziałaś go – tancerka w trakcie porywającego ruchu, ale jej twarz jest tylko z grubsza zaznaczona, tak że każdy może ją wypełnić twarzą z własnych marzeń.

Lillian odłożyła swoje kredki.

– Na to zawsze musi zostać przestrzeń. Prawda? Kiedy wszystko jest namalowane do końca, nie ma już miejsca na wyobraźnię, to miałeś na myśli?

– Owszem – przyznał Clerfayt. – Człowiek odnajduje się tylko we własnych marzeniach – nigdy w marzeniach kogoś drugiego.

– Odnajduje się albo gubi.

– Jedno i drugie. Tak jak czasami śni się tuż przed przebudzeniem – że człowiek spada i spada w bezdenną dziurę. Znasz to?

– Znam – odpowiedziała Lillian. – Śniło mi się to prawie każdego popołudnia w sanatorium, kiedy odbywaliśmy to, co Krokodyl nazywał sjestą, czyli popołudniową drzemkę, z której się wypadało jak kamień lecący w przepaść. Jest jeszcze wino?

Clerfayt przyniósł jej kieliszek. Położyła mu rękę na karku.

– To dziwne – mruknęła – ale dopóki się nie zapomina, że się spada i spada, nic nie jest stracone. Życie zdaje się kochać paradoksy – kiedy człowiek sądzi, że jest zupełnie bezpieczny, wtedy jest zawsze śmieszny i w każdej chwili grozi mu upadek, ale kiedy wie, że jest stracony, życie zasypuje go prezentami. Nie trzeba wcale o to zabiegać – chodzi za człowiekiem jak pies.

Clerfayt usiadł obok niej.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Tak sobie tylko gadam. To tylko półprawdy – jak wszystko.

– Miłość też?

– Co miłość ma wspólnego z prawdą?

– Nic. Jest jej przeciwieństwem.

– Nie – rzekła Lillian i wstała. – Przeciwieństwem miłości jest śmierć – a miłość jest gorzkim oczarowaniem, które pozwala nam na krótko zapomnieć o niej. Dlatego każdy, kto wie coś o śmierci, wie także coś o miłości. – Włożyła przez głowę sukienkę. – Również to jest tylko półprawdą. Kto wie cokolwiek o śmierci?

– Nikt, tylko tyle, że ona jest przeciwieństwem życia, nie miłości, lecz nawet to jest wątpliwe.

Lillian roześmiała się. Clerfayt był znowu taki jak dawniej.

– Wiesz, czego bym chciała? – zapytała. – Żyć jednocześnie dziesięcioma życiami.

Pogładził wąskie ramiączka jej sukni.

– Po co? Przecież zawsze byłoby tylko jedno, Lillian – tak jak szachista, który gra przeciwko dziesięciu różnym partnerom, właściwie zawsze rozgrywa tylko jedną partię: swoją własną.

– Do tego też doszłam.

– W Wenecji?

– Owszem, ale nie tak, jak myślisz.

Stali przy oknie. Nad Conciergerie żarzyła się blada zorza wieczorna.

– Chciałabym wywrócić swoje życie do góry nogami – powiedziała Lillian. – Chciałabym teraz przeżyć dzień albo godzinę ze swojego pięćdziesiątego roku życia, potem godzinę z trzydziestego, potem godzinę z osiemdziesiątego – wszystkie

w jeden dzień, tak jak akurat mam ochotę – nie jedną po drugiej na łańcuchu czasu.

– Dla mnie zmieniasz się wystarczająco szybko, taka jaka jesteś – zaśmiał się Clerfayt. – Gdzie pójdziemy na kolację?

Zeszli po schodach. On nie rozumie, o co mi chodzi, pomyślała Lillian. Uważa, że to jakiś mój kaprys; nie czuje natomiast, że chciałabym tylko wyprosić od tamtego świata parę dni z tych, których nigdy nie przeżyję. W każdym razie – za to nigdy też nie będę osiemdziesięcioletnią kłótliwą staruchą albo starzejącą się zawiedzioną miłością mężczyzny, której nie chciałby już widzieć i na której widok oblatuje go strach, kiedy ją spotyka po latach – ja pozostanę młoda w pamięci mojego kochanka i dzięki temu będę silniejsza niż wszystkie kobiety po mnie, które dłużej niż ja będą żyć i się starzeć.

– Z czego się śmiejesz? – spytał na schodach Clerfayt. – Ze mnie?

– Z siebie – powiedziała Lillian. – Ale nie pytaj mnie, dlaczego – we właściwym czasie sam się tego dowiesz.

W dwie godziny później odprowadził ją do hotelu.

– Wystarczy na dzisiaj – rzekł z uśmiechem. – Potrzebujesz snu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Snu?

– Spokoju. Mówiłaś mi, że jesteś chora.

Szukała na jego twarzy śladu ukrytego żartu.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała w końcu. – Tylko nie mów mi jeszcze, że wyglądam na zmęczoną.

Zjawił się nocny portier, krzywiąc twarz w domyślnym uśmiechu.

– Salami dzisiaj wieczór? Kawior? Szefowa zostawiła kawior nie zamknięty.

– Jakiś środek nasenny – oświadczyła Lillian. – Dobranoc, Clerfayt.

Przytrzymał ją.

– Zrozum mnie, Lillian! Nie chcę, żebyś się sforsowała i jutro dostała nowego ataku.

– W sanatorium nie byłeś taki ostrożny.

– Wtedy myślałem, że za parę dni wyjadę i nigdy cię już nie zobaczę.

– A teraz?

– Teraz poświęcam parę godzin, bo chcę cię zatrzymać tak długo, jak tylko będę mógł.

– Praktyczne! – zauważyła złośliwie. – Dobranoc, Clerfayt.

Spojrzał na nią przenikliwie.

– Proszę przynieść na górę butelkę vouvray – powiedział do nocnego portiera.

– Tak jest, proszę pana.

– Chodź! – Clerfayt wziął Lillian pod ramię. – Zaprowadzę cię.

Potrząsnęła głową i uwolniła się z jego objęć.

– Wiesz, z kim ostatnio miałam taką sprzeczkę? Z Borysem. Ale on potrafił to robić lepiej. Masz rację, Clerfayt. Dobrze ci zrobi, jeśli wcześnie pójdziesz spać; musisz odpocząć przed następnym wyścigiem.

Rozdrażniony wytrzeszczył na nią oczy. Wrócił portier z butelką i dwoma kieliszkami.

– Nie chcemy już wina – powiedział Clerfayt.

– Ja chcę.

Lillian wzięła od kelnera butelkę, wsunęła ją pod pachę i zabrała kieliszek.

– Dobranoc, Clerfayt. Niech się nam dzisiaj nie śni, że spadamy – w dziurę, która nie ma dna – ty lepiej śnij dzisiaj o Tuluzie!

Pokiwała mu kieliszkiem i ruszyła po schodach na górę. Stał, póki nie zniknęła mu z oczu.

– Koniak, proszę pana? – spytał nocny portier. – Może podwójny?

– Dla pana! – odparł Clerfayt i wsunął mu do ręki parę banknotów.

Poszedł wzdłuż nabrzeża Grands-Augustins do restauracji La Périgordine. Za rozświetlonymi oknami widział ostatnie pary jedzące trufle pieczone w popiele, specjalność zakładu. Jakieś stare małżeństwo płaciło właśnie; para młodych kochanków żarliwie zapewniała się nawzajem o czymś, co było nieprawdą. Clerfayt przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył powoli z powrotem wzdłuż pozamykanych budek sprzedawców książek. Borys, pomyślał z wściekłością. Tego tylko brakowało! Wiatr przyniósł zapach Sekwany. W oddychającej ciemności czerniło się kilka barek. Z jednej z nich dobiegały jękliwe dźwięki harmonii.

Okna w pokoju Lillian były jasne, ale zasłony już zaciągnięte. Clerfayt widział jej cień chwiejący się na tle okien. Ale choć były otwarte, nie wyglądała na zewnątrz. Clerfayt wiedział, że zachował się niewłaściwie, lecz nic na to nie mógł poradzić. Naprawdę powiedział to, co myślał. Lillian wyglądała na bardzo zmęczoną; jej twarz w restauracji nagle się zapadła. Jakby troska o kogoś była przestępstwem, pomyślał. Ciekawe, co teraz robi. Pakuje się? Nagle uświadomił sobie, że musiała wiedzieć, iż

jeszcze nie odjechał – nie słyszała przecież Giuseppe. Prędko przeszedł na drugą stronę ulicy i wskoczył do samochodu. Zapuścił silnik, dodał przesadnie dużo gazu i błyskawicznie ruszył z miejsca w stronę placu Concorde.

Lillian postawiła ostrożnie butelkę na podłodze obok łóżka. Usłyszała odgłos oddalającego się Giuseppe. Odszukała w walizce płaszcz przeciwdeszczowy i włożyła go. Dziwna to była kombinacja z elegancką sukienką, ale nie miała ochoty się przebierać; płaszcz w pewnej mierze zakrywał sukienkę. Nie chciała jeszcze iść do łóżka. W sanatorium i w ciągu ostatniego tygodnia wyspała się z nawiązką. Zeszła po schodach na dół. Podbiegł nocny portier.

– Taksówkę, madame?

– Nie, nie trzeba.

Wyszła na ulicę i bez większych przygód dotarła do bulwaru St. Michel. Potem jednak posypały się propozycje, białe, brązowe, czarne i żółte. Wydawało się, jakby wdepnęła w jakieś bagno i ze wszystkich stron rzuciły się na nią komary. W ciągu kilku minut otrzymała krótki, ale intensywny wykład szeptanej najprostszej erotyki, w porównaniu z którą dwa kundle uliczne wydawały się idealną parą kochanków.

Trochę odurzona usiadła przy jednym ze stolików stojących przed kawiarniami. Prostytutki bacznie ją lustrowały; miały swój rejon i gotowe były bronić się przed każdą konkurencją zębami i pazurami. Stolik stał się natychmiast centrum powszechnej uwagi; kobiety tego pokroju nie siedziały same o tej porze w tego rodzaju kawiarniach. Nawet Amerykanki.

Lillian otrzymała nowe propozycje: pierwszą – kupienia nieprzyzwoitych fotografii, drugą – ochrony, trzecią – wycieczki samochodowej. Poza tym zaoferowano jej tanie klejnoty, młodych Murzynów, młode teriery i kilka lesbijek. Nie straciła zimnej krwi, tylko z góry dała kelnerowi napiwek. Ten spojrzał na pieniądze i natychmiast zadbał o to, żeby przestano ją wreszcie nagabywać. Tym sposobem mogła wreszcie wypić kieliszek pernoda i rozejrzeć się dokoła.

Blady brodaty mężczyzna przy sąsiednim stoliku zaczął ją rysować; handlarz dywanów próbował jej sprzedać seledynowy dywanik do modlitwy, ale został przepędzony przez kelnera; ostatni zbliżył się po chwili młody człowiek, który przedstawił się jako biedny poeta. Lillian stwierdziła, że nie będzie miała spokoju, jeśli zostanie sama, zaprosiła więc poetę na kieliszek wina. Poprosił, żeby zamiast wina zafundowała mu kanapkę. Zamówiła mu rostbef.

Poeta miał na imię Gérard. Po posiłku przeczytał jej dwa wiersze, dwa inne wygłosił z pamięci. Były to elegie o śmierci, umieraniu, przemijaniu i bezsensie życia. Lillian poweselała. Poeta był szczupły, ale miał bajeczny apetyt. Zapytała go, czy da radę spałaszować jeszcze jeden rostbef. Gérard oświadczył, że to dla niego fraszka, a ona zna się trochę na poezji; czy nie uważa również, że życie jest beznadziejne? Po co człowiek żyje? Zjadł dwa następne rostbefy, a jego wiersze stały się jeszcze bardziej melancholijne. Zaczął roztrząsać problem samobójstwa. Sam byłby na nie gotów – naturalnie jutro, nie dzisiaj, po takim sutym jedzeniu. Lillian poweselała jeszcze bardziej; Gérard był

wprawdzie chudy, ale miał dostatecznie zdrowy wygląd, by przeżyć jeszcze pięćdziesiąt lat.

Clerfayt posiedział trochę w Ritz Bar. Potem postanowił zadzwonić do Lillian. Zgłosił się nocny portier.

– Madame nie ma w hotelu – oświadczył, rozpoznawszy Clerfayta po głosie.

– A gdzie jest?

– Wyszła. Pół godziny temu.

Clerfayt wyliczył, że w tak krótkim czasie nie zdążyła się spakować.

– Zabrała swoje walizki? – spytał na wszelki wypadek.

– Nie, proszę pana. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy.

– Dobrze, dziękuję.

Płaszcz przeciwdeszczowy, pomyślał Clerfayt. Zdolna jest do tego, żeby pójść bez bagażu na dworzec i odjechać – i wrócić do swojego Borysa, który jest lepszy ode mnie pod tyloma względami.

Pobiegł do samochodu. Powinienem był zostać u niej, pomyślał. Co się ze mną dzieje? Jaki człowiek robi się niezręczny, kiedy naprawdę kocha! Jak spada z niego łuska wyższości! Jaki jest samotny i jak wyparowują z niego wszelkie gładkie doświadczenia i podnosi się mgła, przez którą nic dokładnie nie widać! Nie mogę jej stracić! Poprosił nocnego portiera, żeby jeszcze raz mu opisał, w którym kierunku poszła.

– Nie do Sekwany, proszę pana – rzekł chłopiec uspokajającym tonem. – W prawo. Może chciała się jeszcze trochę przespacerować i wkrótce wróci.

Clerfayt jechał powoli bulwarem St. Michel. Lillian usłyszała Giuseppe i zaraz go też ujrzała.

– A śmierć? – spytała Gérarda, przed którym stał teraz półmisek z serami. – Jeśli śmierć jest jeszcze bardziej beznadziejna niż życie?

– Kto nam powie – odpowiedział pytaniem Gérard, poruszając apatycznie szczękami – czy życie jest karą, którą musimy cierpieć za jakieś przestępstwo popełnione w innym świecie? Może to tutaj jest już piekłem, a nie dopiero to, co Kościół przepowiada nam po śmierci.

– Kościół przepowiada także niebo.

– Może więc jesteśmy wszyscy upadłymi aniołami, skazanymi na ileś lat ciężkiego więzienia na ziemi.

– Możemy skrócić tę drogę, jeśli chcemy.

– Dobrowolna śmierć! – Gérard przytaknął z zachwytem. – A jednak się przed nią cofamy. Choć jest wyzwoleniem! Gdyby życie było ogniem, wiedzielibyśmy, co należy zrobić! Wyskoczyć! Ironia...

Giuseppe przejechał obok kawiarni po raz drugi; tym razem od strony placu Rostanda. Ironia, pomyślała Lillian, to przecież wszystko, co mamy, a czasami jest ona nie pozbawiona uroku, jak choćby teraz, podczas tego wykładu. Widziała Clerfayta, który tak intensywnie przeszukiwał wzrokiem tłum na ulicy, że nie zauważył jej dziesięć kroków dalej.

– Czego najbardziej pragnąłby pan od życia, gdyby pańskie życzenia mogły się spełnić? – spytała Gérarda.

– Wiecznego niespełnienia – odparł natychmiast poeta.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– W takim razie nie musiałby pan już niczego pragnąć – powiedziała. – Już pan to ma.

– Oprócz tego chciałbym mieć tylko słuchacza takiego jak pani! – oświadczył Gérard z posępną galanterią i przepędził rysownika, który ukończył z daleka portret Lillian i teraz znowu podszedł do stolika. – Na zawsze. Pani mnie rozumie.

– Ja wezmę ten obraz – powiedział Clerfayt do zawiedzionego rysownika.

Zbliżył się do lokalu pieszo i wszedł od tyłu, a teraz przyglądał się z dezaprobatą Gérardowi.

– Wynoś się pan – rzekł do niego Gérard. – Nie widzisz pan, że jesteśmy zajęci? Bóg mi świadkiem, że ciągle nam ktoś przeszkadza. Garçon, jeszcze dwa pernody! I proszę wyrzucić tego pana!

– Trzy – odparł Clerfayt i usiadł. Rysownik stał obok niego w pozie wymownego milczenia. Clerfayt zapłacił mu. – Ładnie tutaj – powiedział do Lillian. – Dlaczego nie przychodziliśmy tutaj wcześniej?

– A kim pan jest, nieproszony gościu? – zapytał Gérard, dalej w pewnej mierze przekonany, że Clerfayt jest swego rodzaju stręczycielem i próbuje któregoś ze zwyczajnych trików, żeby zawrzeć znajomość z Lillian.

– Dyrektorem zakładu dla obłąkanych w St. Germain des Prés, mój synu, a ta dama jest jedną z naszych pacjentek. Dzisiaj jest na przepustce. Czy coś się stało? Przyszedłem za późno? Kelner, proszę stąd zabrać nóż! I widelec też!

Ciekawość poety wzięła górę nad sceptycyzmem Gérarda.

– Naprawdę? – szepnął. – Zawsze chciałem...

– Spokojnie może pan mówić głośno – przerwał mu Clerfayt. – Ona uwielbia swoją sytuację. Zupełny brak odpowiedzialności. Nie

podlega żadnemu prawu. Nawet gdyby popełniła zabójstwo, zostałaby uniewinniona.

Lillian roześmiała się.

– Jest na odwrót – rzekła do Gérarda. – To mój były mąż. Uciekł z zakładu. Typowe, że mnie obwinia.

Poeta nie był głupcem. Poza tym był Francuzem. Teraz przejrzał całą sytuację i podniósł się z czarującym uśmiechem.

– Jedni odchodzą za późno, a drudzy odchodzą za wcześnie – oświadczył. – Ty odchodź we właściwym czasie: tako rzecze Zaratustra. Jutro, madame, będzie tu dla pani wiersz u kelnera.

– Miło, że przyszedłeś – powiedziała Lillian. – Gdybym teraz spała, ominęłoby mnie to wszystko. Zielone światło i słodki bunt krwi. I to błoto, i jaskółki nad nim.

Clerfayt pokiwał głową.

– Wybacz mi. Ale czasami jesteś dla mnie za szybka. W kilka godzin robisz to, na co inni potrzebują lat – tak jak czarodziejskie rośliny, które w ciągu kilku minut wyrastają i rozkwitają w rękach jogina...

...I umierają, pomyślała Lillian.

– Muszę to robić, Clerfayt – powiedziała. – Tyle mam do nadrobienia. Dlatego też jestem taka powierzchowna. Na mądrość będzie później jeszcze dość czasu.

Ujął jej dłoń i pocałował.

– Jestem idiotą. Z każdym dniem coraz większym. Ale nie mam nic przeciwko temu. Podoba mi się to. Bylebyś tylko ty była. Bardzo cię kocham.

Nagle przed kawiarnią rozgorzała ostra, szybka kłótnia. Z miejsca pojawił się policjant, paru Algierczyków gestykulowało, jakaś dziewczyna wymyślała, biegali rozkrzyczani gazeciarze.

– Chodź – rzekła Lillian. – W moim pokoju zostało trochę wina.

17

A kiedy je państwo prześlą? – zapytała Lillian.

Sprzedawczyni u Balenciagi uśmiechnęła się.

– Najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Za tydzień?

– Za dwa tygodnie. To bardzo trudne sukienki. Nie damy rady uszyć ich szybciej. Dziś zaczynamy.

Sprzedawczyni wpisała wymiary.

– Trochę pani zeszczuplała, madame.

– To prawda. Choćbym nie wiem jak się starała, nie przytyję.

– Co za szczęście!

– Tak – powiedziała Lillian. – Dla niektórych ludzi to naprawdę byłoby szczęście!

Wyszła na avenue George V. Popołudnie powitało ją złotem, wiatrem i samochodami. Przystanęła na chwilę i zastanowiła się nad sukienkami, które zamówiła. Właściwie nie zamierzała już niczego kupować, bo uważała, że tego, co ma, wystarczy jej do końca życia, ale Clerfayt znowu nalegał, że musi jej coś podarować, więc wzięła w końcu jeszcze tę za Wenecję: krwotok, który tam przeżyła, kosztował ją prawdopodobnie dni i tygodnie

życia, lecz zamiast pogrążyć się z tego powodu w smutku, oskarżeniach i żalu, prostsze wydało jej się powiedzieć sobie, że przez to mniej wyda na utrzymanie i dlatego może sobie kupić jedną sukienkę więcej. Wybrała ją wyjątkowo starannie. Z początku myślała, że będzie dramatyczna, lecz potem okazało się, że jest najprostsza ze wszystkich, jakie posiadała. Dramatyczna była natomiast sukienka, którą podarował jej Clerfayt – był to jeden wielki protest przeciwko Tuluzie i temu, co wyobrażała sobie pod tym pojęciem.

Uśmiechnęła się do siebie w lustrze jakiejś wystawy. W niektórych rzeczach nie można w ogóle być powierzchownym, pomyślała. A stroje mogą stanowić większe moralne oparcie niż wszelkie uzasadnione racje, być czymś więcej niż wszelka mądrość, wszelka zdradziecka radość i nawet czymś więcej niż ukochany. Nie było w tym żadnej płochości, tylko po prostu wiedza o pocieszeniu i o wielkiej sile oddziaływania małych rzeczy.

Dobrze jest posiadać tę wiedzę, pomyślała Lillian, w moim wypadku to niemal jedyne, co mi pozostało. Nie miała już czasu na wielkie rozrachunki, a nawet bunty. Raz się zbuntowała, bo chciała tego, lecz czasami zaczynała już w to wątpić – teraz mogła tylko rozliczyć się z losem.

Wiedziała, że wszystko to, czym się łudziła i pocieszała, można interpretować także jako dość tanie triki; wielkie triki, uznawane w sferze mieszczańskiej, za pomocą których człowiek stara się nadawać znośne oblicze własnej egzystencji, były jej już jednak tak obce, że różnice wielkości przestały się liczyć. Poza tym wydawało się jej, że tyle samo, jeśli nie więcej dyscypliny, odwagi i trudu potrzeba, by uwierzyć na chwilę w drobne triki i czerpać

z nich radość. Tak więc kupowała sukienki i odczuwała przy tym taką samą pociechę jak ktoś inny czerpiący ją z całej światowej filozofii, podobnie jak świadomie mieszała ze sobą swoją miłość do Clerfayta i umiłowanie życia, rzucała ową miłość w powietrze i chwytała znowu, i wierzyła w nią, a mimo to wiedziała, że kiedyś będzie musiała się rozbić. Balonem można było latać, dopóki nie opadł – ale nie można było przyczepić do niego domów. A kiedy opadł, nie był już balonem, tylko martwym kawałkiem materiału.

Kiedy obok Fouqueta skręciła w Champs Elysées, spotkała wicehrabiego de Peystre. Zdziwił się na jej widok.

– Wygląda pani na bardzo szczęśliwą! – powiedział. – Zakochała się pani?

– Owszem. W sukience.

– Bardzo rozsądnie! – rzekł Peystre. – Miłość bez strachu i komplikacji!

– A więc żadna miłość.

– To część jedynej miłości, jaka ma sens: miłości do siebie samego.

Lillian roześmiała się.

– Tę miłość nazywa pan miłością bez strachu i komplikacji? Jest pan z żelaza czy z gąbki?

– Ani jedno, ani drugie. Jestem pogrobowcem osiemnastego stulecia i dzielę los wszystkich późnych potomków: natrafiam na brak zrozumienia. Wypije pani ze mną kawę tu, na tarasie? Albo jakiś koktajl?

– Kawę.

Dostali stolik w późnym popołudniowym słońcu.

– W pewnych porach to prawie to samo – powiedział Peystre – siedzieć w słońcu czy rozmawiać o miłości albo o życiu – albo o niczym. Na przykład o tej porze. W dalszym ciągu mieszka pani w tym małym hoteliku nad Sekwaną?

– Chyba tak. Choć czasami nie jestem zupełnie pewna. Kiedy rano okna są otwarte, często mam wrażenie, jakbym spała pośrodku hałasu ulicznego na placu Opery. A nocą wydaje mi się niekiedy, że płynę Sekwaną w dół – na jakiejś cichej łodzi albo wpław, na plecach, z szeroko otwartymi oczyma, poza sobą, a jednocześnie całkowicie w sobie samej.

– Ma pani dziwne myśli.

– Przeciwnie. Nie mam prawie żadnych. Czasami sny, ale też niewiele.

– Nie potrzebuje ich pani?

– Nie – powiedziała Lillian. – Rzeczywiście ich nie potrzebuję.

– W takim razie jesteśmy do siebie podobni. Ja też ich nie potrzebuję.

Kelner przyniósł sherry dla Peystre' a i dzbanuszek kawy dla Lillian. Peystre spojrzał z dezaprobatą na kawę.

– Coś takiego lepiej się pije po jedzeniu – wyjaśnił. – Nie wolałaby pani jakiegoś aperitifu?

– Nie. Która godzina?

– Piąta – odparł zdziwiony Peystre. – Pije pani według zegarka?

– Tylko dzisiaj. – Lillian skinęła na starszego kelnera. – Słyszał pan już coś, monsieur Lambert?

– Oczywiście! Z Radia Rzym! Już od wielu godzin! Całe Włochy są przy radioodbiornikach albo stoją na ulicach – powiedział rozentuzjazmowany kelner. – W najbliższych minutach powinni

wypuścić ciężkie wozy. Monsieur Clerfayt jedzie razem z monsieur Torrianim. Nie zmieniają się: Clerfayt prowadzi, Torriani towarzyszy mu jako mechanik. To wyścig w klasie sportowej. Przynieść radio? Mam je tutaj.

– Tak, proszę przynieść.

– Clerfayt jest w Rzymie? – spytał Peystre.

– Nie. W Brescii.

– Nie znam się na wyścigach. Co to za wyścig?

– Wyścig Tysiąca Mil z Brescii przez całe Włochy i z powrotem do Brescii.

Starszy kelner wrócił z przenośnym radioodbiornikiem. Był fanatycznym miłośnikiem automobilizmu i śledził przebieg wyścigu od wielu godzin.

– Wypuszczani są w kilkuminutowych odstępach – wyjaśnił. – Najszybsze wozy na końcu. Czasy są mierzone i porównywane. Nastawię Radio Mediolan. Piąta – teraz będą wiadomości.

Pokręcił gałkami. Radio zaczęło skrzeczeć. Po chwili zgłosił się Mediolan z wiadomościami politycznymi, ale odczytanymi tak prędko, jakby spiker nie mógł się doczekać, kiedy przyjdzie kolej na wiadomości sportowe. „A teraz przekażemy państwu transmisję z Brescii – zaczął zmienionym, podekscytowanym głosem. – Część zawodników wyruszyła już na trasę. Na rynku ludzie stoją tak ciasno, że ledwie mogą się ruszać...”

Odbiornik trzeszczał i charczał. Potem wśród gwaru głosów rozległ się wyraźnie ryk silnika, który natychmiast przycichł.

– Znowu któryś odjechał – szepnął z ożywieniem monsieur Lambert. – Prawdopodobnie alfa.

Na tarasie zapadła cisza. Zaciekawieni goście podeszli bliżej lub wychylali się od swoich stolików.

– Kto prowadzi?

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć – wyjaśnił kelner autorytatywnym tonem. – Szybkie wozy startują dopiero teraz.

– Ile wozów bierze udział w wyścigu? – spytał Peystre.

– Prawie pięćset.

– Dobry Boże! – odezwał się któryś z gości. – A jak długo będą jechać?

– Przeszło tysiąc sześćset kilometrów, proszę pana. Przy dobrej przeciętnej piętnaście do szesnastu godzin. Może nawet mniej. Ale we Włoszech pada. Nad Brescią szaleje burza.

Transmisja dobiegła końca. Starszy kelner odniósł swój odbiornik do restauracji. Lillian odchyliła się na oparcie krzesła. W spokojnym złotym popołudniowym świetle, pośród cichego szczęku kawałków lodu w szklankach i porcelanowych talerzyków, które, spiętrzone jeden na drugim, wskazywały, ile się wypiło, jeszcze przez chwilę zdawał się unosić obraz – obraz bezbarwny, przezroczysty jak niektóre skorupiaki w wodzie, tak iż było przezeń widać krzesełka i stoliki na tarasie Fouqueta – obraz szarego rynku, wypełnionego abstrakcyjnym hałasem, który przez liczne echa stracił swe indywidualne brzmienie, i samochody-widma, jeden za drugim, a w każdym dwie maleńkie iskierki życia, które nie chciały nic innego, tylko ryzykować sobą.

– W Brescii pada deszcz – powiedziała. – Gdzie właściwie leży ta Brescia?

– Między Mediolanem a Weroną – odparł Peystre. – Zje pani dziś ze mną kolację?

Girlandy zwisały w strzępach, posiekane przez deszcz. Mokre flagi chlastały o maszty. Burza szalała, jakby toczył się nie tylko jeden wyścig na ziemi, ale i drugi – niewidzialnymi wozami w chmurach. Sztuczne grzmoty przeplatały się z naturalnymi; na ryk samochodu odpowiadał z góry błysk i huk piorunu.

– Jeszcze pięć minut – rzekł Torriani.

Clerfayt siedział za kierownicą. Nie był przesadnie napięty. Wiedział, że nie ma szans, ale w wyścigach zawsze zdarzały się niespodzianki, a w długich wyścigach dużą rolę odgrywał przypadek.

Myślał o Lillian i o Targa Florio. Wtedy zapomniał o niej i jej nienawidził, ponieważ podczas wyścigu nagle pomyślał o niej znowu i przez to nie mógł się skupić na wyścigu. Wyścig był ważniejszy niż ona. Teraz było inaczej. Nie był już pewny i myślał o niej, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że zależy to tylko od jego woli. Diabli wiedzą, czy jeszcze jest w Paryżu, myślał. Rano rozmawiał z nią jeszcze przez telefon, ale w panującym obecnie hałasie ranek wydawał się nieskończenie odległy.

– Wysłałeś telegram do Lillian?

– Tak – odparł Torriani. – Jeszcze dwie minuty.

Clerfayt skinął głową. Samochód przejechał powoli z rynku w stronę wylotu viale Venezia i zatrzymał się. Nikt już nie stał przed nimi. Człowiek ze stoperem był dla nich od tej pory przez więcej niż pół dnia i pół nocy najważniejszy na świecie. Powinien być, pomyślał Clerfayt, ale już nie jest. Za dużo myślę o Lillian. Powinienem pozwolić jechać Torrianiemu, lecz teraz jest już za późno.

– Dwadzieścia sekund – powiedział Torriani.

– Bogu dzięki! Ruszaj do diabła!

Starter machnął chorągiewką i samochód błyskawicznie ruszył z miejsca. Posypały się za nim okrzyki.

– Wystartował Clerfayt – zawołał spiker – z Torrianim jako mechanikiem.

Lillian wróciła do hotelu. Czuła, że ma gorączkę, lecz postanowiła ją zignorować. Często ją miewała, czasem tylko stopień, czasem więcej, i wiedziała, co to oznacza. Spojrzała w lustro. Przynajmniej wieczorem człowiek nie ma wtedy takiego przygaszonego wzroku, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie zadowolona ze swego nowego triku, polegającego na robieniu z gorączki, która była jej wrogiem, wieczornego przyjaciela: podwyższona temperatura nadawała jej oczom blask, a twarzy wyraz łagodnego podniecenia.

Kiedy odstąpiła od lustra, zobaczyła na stole dwa telegramy. Clerfayt, pomyślała i serce jej gwałtownie zabiło w odruchu paniki. Ale co mogło się stać tak szybko? Odczekała chwilę, wpatrując się w małe, złożone i zaklejone kawałki papieru. Potem ostrożnie podniosła pierwszy i otworzyła. To był telegram od Clerfayta. „Startujemy za piętnaście minut. Potop. Nie odlatuj, Flamingu".

Położyła papier obok siebie. Po chwili otworzyła drugi. Bała się jeszcze bardziej niż poprzednio; mógł to być telegram od kierownictwa wyścigu, informujący o jakimś wypadku, ale i ten był od Clerfayta. Dlaczego on to robi? – pomyślała. Czy nie wie, że każdy telegram teraz budzi we mnie trwogę?

Otworzyła szafę, żeby wybrać sukienkę na wieczór. Rozległo się pukanie. Za drzwiami stał posługacz hotelowy.

– Przyniosłem radio, mademoiselle. Bez trudu złapie pani na nim Rzym i Mediolan.

Wsadził wtyczkę do gniazdka.

– Jest tu jeszcze jeden telegram.

Ile ich jeszcze przyśle? – pomyślała. Najlepiej, gdyby w sąsiednim pokoju posadził detektywa, żeby mnie kontrolować. Wybrała sukienkę, tę samą, którą nosiła w Wenecji. Po odczyszczeniu nie pozostały na niej żadne plamy. Odtąd zaczęła wierzyć, że sukienka przynosi jej szczęście, i traktowała ją jak maskotkę. Trzymała ją mocno w ręku, kiedy otwierała ostatni telegram. Nie był od Clerfayta, ale zawierał życzenia szczęścia dla niego. Jak to się znalazło u niej? Spojrzała raz jeszcze na podpis w zapadającym zmroku. Hollmann. Poszukała miejsca nadania: sanatorium Bella Vista.

Bardzo ostrożnie położyła kartkę na stole. Dzisiaj jest dzień duchów, pomyślała i usiadła na łóżku – Clerfayt, który siedzi tam w gadającej skrzynce i czeka ze swoimi grzmiącymi silnikami, żeby napełnić ich rykiem mój pokój – a teraz ten telegram pozwalający milczącym duchom gapić się przez okno.

Była to pierwsza wiadomość, jaką otrzymała z sanatorium. Sama też ani razu nie napisała. Po prostu nie chciała. Chciała raz na zawsze mieć to za sobą. Taka była pewna, iż nigdy tam nie wróci, że pożegnanie wydawało się śmiercią.

Długo siedziała w ciszy. W końcu przekręciła gałki radia; była pora wiadomości. Rzym wpadł do pokoju potokiem słów i hałasem, z nazwami znanych i nieznanych miejscowości i miast, Mantua, Rawenna, Bolonia, Aquila, z godzinami i minutami, z podnieconym głosem spikera, który traktował zyskane minuty,

jakby były Świętym Graalem, który opisywał defekty pomp, zatarte tłoki i połamane przewody paliwowe, jakby opisywał katastrofy w skali światowej, i który jak burza przyniósł do pokoju wyścig z czasem, szalona gonitwa mająca na celu zdobycie paru sekund, ale nie sekund życia, tylko po to, żeby na mokrej trasie z dziesięcioma tysiącami zakrętów i wrzeszczącym tłumem być kilkaset metrów wcześniej w jakimś miejscu, które natychmiast się opuszczało, szalona gonitwa, jakby człowieka ścigała bomba atomowa. Dlaczego tego nie rozumiem? – myślała Lillian. Dlaczego nie czuję nic z entuzjazmu milionów ludzi, którzy tego wieczoru i tej nocy otaczają szpalerem szosy Italii? Czy nie powinnam tego czuć mocniej? Czy moje własne życie nie jest czymś podobnym? Wyścigiem po to, żeby możliwie jak najwięcej zagarnąć dla siebie, ściganiem jakiejś zjawy uciekającej jak sztuczny zając przed sforą podczas gonitwy chartów?

„Florencja – zakomunikował głos w radiu triumfalnym tonem i zaczął wymieniać kolejno czasy, nazwiska i marki samochodów, przeciętne i maksymalne prędkości, po czym dodał z dumą: – Jeśli prowadzący wozy będą tak jechać dalej, zameldują się z powrotem w Brescii w nowym rekordowym czasie".

Zastanowiło ją to. W Brescii, pomyślała. Z powrotem w małym prowincjonalnym mieście z garażami, kawiarniami i sklepami, z którego wyruszyli. Igrali ze śmiercią, pędzili przez noc, z nieruchomymi, przypominającymi maski, pokrytymi zeskorupiałym błotem twarzami popadali w straszliwe zmęczenie o wczesnym poranku, pędzili dalej i dalej, jakby chodziło o rzecz najważniejszą na świecie – a wszystko tylko po to, żeby wrócić do

małego prowincjonalnego miasta, z którego wyjechali! Z Brescii do Brescii!

Wyłączyła radio i podeszła do okna. Z Brescii do Brescii! Czy jest dobitniejszy symbol bezmyślności? Czy życie po to podarowało im takie cuda, jak zdrowe płuca i serce, takie niepojęte chemiczne fabryki, jak wątroba i nerki, oraz białą miękką masę w czaszce, która była bardziej fantastyczna niż wszelkie systemy gwiezdne – po to tylko, aby ryzykowali i jeśli będą mieli szczęście, wrócili do Brescii? Co za przerażająca głupota!

Patrzyła na sznur samochodów przesuwających się bez przerwy wzdłuż nabrzeża. Czy każdy z nich nie jechał z Brescii do Brescii? Z Tuluzy do Tuluzy? Od samozadowolenia do samozadowolenia? Od oszukiwania samego siebie do oszukiwania samego siebie? I ja też! – pomyślała. Prawdopodobnie ja też! Mimo wszystko! Ale gdzie jest moja Brescia? Spojrzała na telegram od Hollmanna. Tam, skąd przyszedł, nie było żadnej Brescii. Ani Brescii, ani Tuluzy. Tam była tylko bezgłośna, nieubłagana walka, walka o oddech na tej granicy, za którą nie ma już nic. Tam nie było samozadowolenia i oszukiwania samego siebie. Odwróciła się i chodziła przez chwilę po pokoju. Dotykała swoich sukienek i nagle wydało jej się, że słyszy w nich odgłos sypiącego się popiołu. Podniosła swoje szczotki i grzebienie i zaraz odłożyła je, nie zdając sobie sprawy, że trzymała je w ręce. Co ja zrobiłam? – pomyślała. I co ja robię? Niby cień wpełzło przez okno przeczucie, że popełniła jakiś błąd, błąd, którego nie sposób było uniknąć, a teraz okazał się nieodwołalny.

Zaczęła się ubierać do kolacji. Telegram w dalszym ciągu leżał na stole. W świetle lampy wydawał się jaśniejszy niż wszystkie

pozostałe przedmioty w pokoju. Od czasu do czasu spoglądała w jego kierunku. Słyszała plusk rzeki, czuła zapach wody i liści na drzewach. Co oni teraz robią tam, na górze? – pomyślała i po raz pierwszy zaczęła sobie przypominać. Co robili, kiedy Clerfayt pędził po ciemnych ulicach Florencji śladem swych reflektorów? Zwlekała jeszcze chwilę – po czym podniosła słuchawkę i podała numer sanatorium.

– Zaraz będzie Siena! – krzyknął Torriani. – Tankowanie, wymiana opon.

– Kiedy?

– Za pięć minut. Przeklęty deszcz!

Clerfayt skrzywił się.

– Nie tylko nam daje się we znaki. Innym też. Wypatruj naszego stanowiska!

Domów przybywało. Reflektory wydobywały je z pluszczącej ciemności. Wszędzie stali ludzie w płaszczach przeciwdeszczowych pod parasolami. Pojawiły się białe mury, ludzie, którzy odskakiwali od szosy, parasole chwiejące się jak grzyby podczas burzy, wozy zarzucające na zakrętach...

– Stanowisko! – krzyknął Torriani.

Szczęki hamulcowe zacisnęły się, samochód zatrząsł się i stanął.

– Benzyna, woda, opony, szybko! – zawołał Clerfayt, przekrzykując odbijający się jeszcze echem odgłos po wyłączeniu silnika. Ów dźwięk rozbrzmiewał w jego uszach, jakby były pustymi starymi komnatami podczas burzy.

Ktoś podał mu szklankę wody z sokiem cytrynowym i nowe okulary.

– Jak stoimy? – spytał Torriani.

– Znakomicie! Na osiemnastym miejscu.

– Nędznie – stwierdził Clerfayt. – A jak stoją inni?

– Weber na czwartym, Marchetti na szóstym, Frigerio na siódmym miejscu. Conti wyeliminowany.

– Kto jest na pierwszym miejscu?

– Sacchetti z dziesięciominutową przewagą nad Lottim.

– A my?

– Dziewiętnaście minut straty. Nie martwcie się – kto w Rzymie jest pierwszy, nigdy nie wygrywa wyścigu. Każdy o tym wie!

Nagle stanął obok nich kierownik ekipy Gabrielli.

– Bóg tak wszystko urządził! – oświadczył. – Matko Pana naszego, słodka krwi Chrystusa, ty również wiesz o tym! – modlił się. – Ukarz Sacchettiego za to, że jest pierwszy! Małe pęknięcie pompy paliwowej, nic więcej! I od razu to samo dla Lottiego! Archaniołowie, strzeżcie...

– Skąd się pan tutaj wziął? – spytał Clerfayt. – Dlaczego nie czeka pan na nas w Brescii?

– Gotowe! – krzyknęli mechanicy.

– Jazda!

– Czekać? Czy pan zwariował? – zaczął kierownik ekipy. – Polecę...

Resztę słów zagłuszył ryk silnika. Samochód wystrzelił jak z procy. Ludzie rzucili się w bok i wstęga szosy, do której byli przylepieni, zaczęła na nowo wić się w niezliczonych zakrętach. Ciekawe, co robi teraz Lillian, pomyślał Clerfayt. Nie wiadomo czemu, spodziewał się, że na stanowisku będzie dla niego

telegram, ale telegramy mogły być dostarczane z opóźnieniem, i może telegram czekał już na niego na następnym stanowisku. Potem była znowu noc, światła, ludzie, których okrzyków nie słyszał przez ryk silnika, jakby byli postaciami z niemego filmu, a w końcu tylko szosa, ten wąż, który zdawał się pełzać dookoła ziemi, i mistyczne zwierzę wydzierające się pod pokrywą silnika.

18

Połączono ją bardzo szybko. Lillian spodziewała się rozmowy najwcześniej za kilka godzin, po pierwsze dlatego, że znała francuskie telefony, a poza tym miała wrażenie, że sanatorium jest tak daleko, jakby znajdowało się na innej planecie.

– Sanatorium Bella Vista.

Lillian nie była pewna, czy zna ten głos. Możliwe, że w dalszym ciągu była to panna Heger.

– Z panem Hollmannem proszę – powiedziała, czując, jak serce jej nagle zabiło.

– Chwileczkę.

Wsłuchała się w prawie niedosłyszalne brzęczenie drutów telefonicznych. Wyglądało na to, że Hollmanna trzeba było szukać. Spojrzała na zegarek; w sanatorium było już po kolacji. Dlaczego jestem taka zdenerwowana, jakbym wywoływała ducha zmarłej osoby? – pomyślała.

– Hollmann. Kto mówi?

Jego głos zabrzmiał tak wyraźnie, że aż się przestraszyła.

– Lillian – wyszeptała.

– Kto?

– Lillian Dunkerque.

Hollmann milczał przez chwilę.

– Lillian – powiedział w końcu z niedowierzaniem. – Gdzie pani jest?

– W Paryżu. Pański telegram do Clerfayta przyszedł tutaj. Przesłano go do mnie z jego hotelu. Przypadkiem otworzyłam.

– Nie jest pani w Brescii?

– Nie – odpowiedziała, czując lekkie ukłucie bólu. – Nie jestem w Brescii.

– Clerfayt nie życzył sobie tego?

– Nie, nie życzył sobie tego.

– Siedzę przy radiu! – rzekł Hollmann. – Pani oczywiście też!

– Tak, Hollmann.

– Jedzie wspaniale. Wyścig jest jeszcze sprawą zupełnie otwartą. Znam go; czeka na dogodny moment. Czeka, aż inni pozajeżdżają swoje maszyny. Przed północą nie przyśpieszy, może nawet jeszcze trochę później – nie, myślę, że o północy. To wyścig na czas, o czym na pewno pani wiadomo. On sam nigdy nie wie, na którym jest miejscu, to najbardziej wykańcza, dowiaduje się tego tylko, kiedy bierze benzynę, ale nawet to, co wtedy słyszy, może już być nieaktualne. To jazda w niepewności – wie pani, co mam na myśli?

– Tak, Hollmann. Jazda w niepewności. Jak się pan miewa?

– Dobrze. Czasy są fantastyczne. Przeciętne prędkości po sto dwadzieścia i więcej kilometrów na godzinę. W dodatku wiele z dużych silników dopiero teraz wjeżdża na długie proste. Przeciętne prędkości, Lillian, nie maksymalne!

– Tak, Hollmann. Miewa się pan dobrze?

– Bardzo dobrze. Dużo lepiej, Lillian. Której stacji pani słucha? Proszę przełączyć na Rzym; Rzym jest teraz bliżej wyścigu niż Mediolan.

– Mam Rzym. Cieszę się, że jest panu lepiej.

– A pani, Lillian?

– Bardzo dobrze. A...

– Może i dobrze, że nie jest pani w Brescii, szaleje tam burza i leje deszcz – choć ja bym nie wytrzymał, musiałbym tam być. Jak się pani miewa, Lillian?

Wiedziała, o co chodzi.

– Dobrze – powiedziała. – A jak wszystko wygląda na górze?

– Tak jak zawsze. W ciągu tych paru miesięcy niewiele się zmieniło.

W ciągu paru miesięcy, pomyślała. Czy to nie były lata?

– A jak się miewa... – zawahała się, lecz nagle uświadomiła sobie, że zadzwoniła przecież tylko z tego powodu – jak się miewa Borys?

– Kto?

– Borys.

– Borys Wołkow? Rzadko się go widuje. Nie zagląda już do sanatorium. Sądzę, że miewa się dobrze.

– Widział go pan kiedyś?

– Tak, naturalnie. Co prawda było to dwa, trzy tygodnie temu. Szedł na spacer ze swoim psem, tym owczarkiem, zna go pani przecież. Nie rozmawialiśmy ze sobą. A jak jest tam, na dole? Tak, jak sobie pani wyobrażała?

– Mniej więcej tak – rzekła Lillian. – Zawsze chyba rzecz w tym, co się z tego zrobi. Czy w górach leży jeszcze śnieg?

Hollmann roześmiał się.

– Śnieg już zniknął. Łąki są w rozkwicie. Lillian... – zrobił przerwę – ...za parę tygodni stąd wyjdę. To nie blaga. Dalajlama mi powiedział.

Lillian nie uwierzyła. Przed laty jej też tak mówiono.

– To cudownie – powiedziała. – W takim razie zobaczymy się tutaj. Przekazać Clerfaytowi?

– Lepiej na razie nie; pod tym względem jestem przesądny. O – właśnie nadają nowe wiadomości! Pani na pewno też chce ich wysłuchać! Do zobaczenia, Lillian!

– Do zobaczenia, Hollmann.

Chciała coś dodać w związku z Borysem, ale nie uczyniła tego. Przez chwilę wpatrywała się w czarną słuchawkę, potem ostrożnie odłożyła ją na widełki i pogrążyła się w myślach, nie śledząc ich biegu, aż w końcu zauważyła, że płacze. Jaka ja jestem głupia! – pomyślała, wstając. Za wszystko trzeba płacić. Czy naprawdę sądzę, że już to zrobiłam?

– Słowo „szczęście" nabrało w naszych czasach zbyt wielkiego znaczenia – rzekł wicehrabia de Peystre. – Zdarzały się stulecia, w których było one nieznane. Nie należało do życia. Proszę poczytać literaturę chińską z najlepszych epok, indyjską, grecką. Zamiast emocji, w której to słowo ma swoje korzenie, szukano uczucia stałej, wysokiej świadomości życiowej. Tam, gdzie ona ginie, zaczynają się kryzysy, mylenie jej z emocją, romantyka i idiotyczne szukanie szczęścia za wszelką cenę.

– Czy i to drugie uczucie nie jest tylko namiastką? – spytała Lillian.

– Bardziej godną człowieka – odparł Peystre.

– Czy jedno bez drugiego jest niemożliwe?

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Prawie zawsze. Ale w pani wypadku, jak sądzę, nie. I to mnie w pani fascynuje. Pani ma jedno i drugie. Musi to zakładać stan tak czystej rozpaczy, że nazywanie go i nazywanie tej rozpaczy jest już obojętne. To leży poza wszelką anarchią – na płaskowyżu polarnym samotności, która nie zna smutku. U pani smutek i bunt, jak sądzę, zniszczyły się nawzajem już dawno. Dlatego rzeczy drobne mają tę samą wartość, co wielkie. Szczegół zaczyna błyszczeć.

– Odzywa się osiemnaste stulecie – powiedziała Lillian z lekką drwiną. – Czyż nie jest pan jego ostatnim potomkiem?

– Jego ostatnim czcicielem.

– Czy kiedykolwiek mówiono o szczęściu więcej niż wtedy?

– Tylko w kiepskich okresach. Choć i wtedy wprawdzie mówiono i marzono o nim, ale wyznawano w szerokim sensie praktycyzm.

– Aż przyszła gilotyna.

– Aż przyszła gilotyna i wymyślono prawo do szczęścia – potwierdził Peystre. – Zawsze przychodzi gilotyna.

Lillian wypiła swoje wino.

– Czy to wszystko nie jest długim wstępem do propozycji, którą zamierza mi pan znowu złożyć: żebym została pańską metresą?

Peystre pozostał nieporuszony.

– Jeśli pani chce, może to pani tak nazwać. To propozycja dodania pani ram, których pani potrzebuje. Lub raczej ram, które moim zdaniem będą pasować do pani.

– Tak jak oprawa kamienia szlachetnego?

– Tak jak oprawa bardzo cennego kamienia szlachetnego.

– Kamienia z czystej rozpaczy?

– Z bladoniebieskiej samotności. I bladoniebieskiej odwagi, mademoiselle. Moje uznanie! I proszę wybaczyć mój upór. Diamenty o takim blasku są rzadkością. – Peystre się uśmiechnął. – Chciałaby pani wysłuchać najświeższych wiadomości o wyścigu we Włoszech?

– Tu? W Maximie?

– Czemu nie? Albert, zarządzający tym lokalem, potrafił spełniać zupełnie inne życzenia, kiedy tylko chciał. A dla pani by zechciał. Widziałem; Albert ma świetne oko.

Orkiestra, zgodnie z tradycją, zaczęła grać melodie z *Wesołej wdówki*. Kelnerzy sprzątnęli ze stołu. Obok pojawił się Albert i kazał podać do stolika butelkę koniaku, która ani nie była zakurzona, ani ozdobiona emblematem Napoleona, tylko zaopatrzona w małą, ręcznie zapisaną naklejkę.

– Mówiłem pani, że ma świetne oko – wyjaśnił Peystre. – Proszę spróbować tego koniaku, naturalnie dopiero po zwyczajowej ceremonii ogrzewania w dłoniach, wdychania bukietu i rozmowy o tym. Jesteśmy pilnowani.

Lillian wzięła kieliszek, nie ogrzewając go ani nie wdychając zapachu alkoholu, i wypiła duszkiem. Peystre roześmiał się. Albert, z kąta sali, posłał im akceptujący uśmiech. Po kilku minutach pojawił się kelner z małą butelką framboise. Postawił na stoliku mniejsze kieliszki i nalał. Natychmiast podniósł się zapach sadu wczesnym latem.

– Stara nalewka malinowa – rzekł z nabożeństwem Peystre. – Jeszcze większa rzadkość!

Co by zrobił, pomyślała Lillian, gdybym mu teraz wylała tę nalewkę na jego przerasowaną twarz? Prawdopodobnie zrozumiałby również to i skomentował jakimś ładnym zdaniem. Nie gardziła nim; przeciwnie, uważała, że jest przyjemny jak łagodny środek nasenny, i słuchała go z uwagą. Dla niej był uosobieniem drugiej strony egzystencji. Sublimował swój strach przed życiem w kult estetycznego cynizmu, a z niebezpiecznych górskich szlaków próbował robić dróżki parkowe. Niczego to nie zmieniało. Kiedy słyszała już to wszystko w podobnej formie? Naturalnie na Sycylii u Levallego. Żeby tak żyć, potrzebne były pieniądze i małe serce. Nie jeździło się z Brescii do Brescii. Zostawało się w Brescii i oświadczało, że jest się w Wersalu z początku osiemnastego stulecia.

– Muszę iść – powiedziała.

– Jak często to pani mówi – stwierdził Peystre. – Dodaje to pani nieodpartego uroku. Czy to pani ulubiony zwrot?

Spojrzała na niego.

– Gdyby pan wiedział, jak chętnie bym została – powiedziała w końcu powoli. – Jeśli o mnie chodzi, nawet biedna, samotna, byle zostać! Cała reszta jest kłamstwem i odwagą, która wypływa ze strachu.

Kazała się wysadzić pod hotelem. Nocny portier podekscytowany wybiegł jej naprzeciw.

– Pan Clerfayt jest na dwunastym miejscu! Wyprzedził sześciu konkurentów. Spiker mówił, że wspaniale jeździ w nocy.

– To prawda.

– Kieliszek szampana, żeby uczcić to święto?

– Nigdy nie należy za wcześnie fetować. Kierowcy wyścigowi są przesądni.

Lillian siedziała przez chwilę w małym ciemnym holu.

– Jeśli dalej będzie tak jechał, jutro rano będzie z powrotem w Brescii – powiedział nocny portier.

– Pewnie tak – odparła Lillian i wstała. – Pójdę jeszcze wypić kawę na bulwarze St. Michel.

Traktowano ją tam już jako stałego gościa. Kelner czuwał nad nią, Gérard jej oczekiwał, a krąg studentów stworzył dla niej swego rodzaju gwardię honorową.

Gérard miał tę dobrą właściwość, że zawsze był głodny; dawało jej to czas do rozmyślań, kiedy zajęty był jedzeniem. Uwielbiała patrzeć na ulicę, gdzie przewalało się życie o gorących i ponurych oczach. Trudno było wierzyć w duszę nieśmiertelną każdego człowieka, patrząc na ten nie kończący się strumień. Dokąd dusze wędrowały później? Czy rozpadały się tak jak ciała? A może wracały jeszcze w owe wieczory pragnień, rozkoszy i rozpaczy, rozkładające się, pełne bezgłośnego strachu i niemej prośby, by mogły zostać tym, czym są, a nie zamienić się w duchowy nawóz dla innych, których właśnie teraz płodzono beztrosko za tysiącem okien.

Gérard przestał wreszcie jeść. Ostatnią potrawą był wyśmienity pont l'evêque.

– Jak prymitywny proces przyjmowania pokarmu w postaci pieczonych kawałków zwierzęcych zwłok i na wpół spleśniałych produktów mlecznych potrafi pobudzać poetycką stronę duszy do tworzenia hymnów! – oświadczył. – To zadziwiające, a jednocześnie przynoszące pociechę!

Lillian roześmiała się.

– Z Brescii do Brescii – powiedziała.

– Nie rozumiem tego klarownego i prostego zdania, lecz wydaje mi się dość niepodważalne. – Gérard wypił duszkiem swoją kawę. – Jest ono nawet głębokie. Z Brescii do Brescii! Tak zatytułuję następny zbiór moich wierszy. Dziś wieczór jest pani milcząca.

– Nie milcząca, tylko bez słów.

– Z Brescii do Brescii?

– Mniej więcej tak.

Gérard skinął głową i powąchał swój koniak.

– To takie zdanie, które staje się coraz lepsze. Prowadzi do bardzo wielu płytkich sformułowań – wszystkie były kiedyś głębokie jak szyby kopalniane i być może jeszcze są.

– Znam jeszcze jedno podobne zdanie – rzekła Lillian. – Wszystko jest takie samo.

Gérard postawił kieliszek na stole.

– Mówi to pani z fantazją czy bez?

– Z całą fantazją.

Z ulgą pokiwał głową.

– Przez chwilę bałem się, że będzie pani zakłopotana i wygrzebie jakąś niedorzeczność w stylu kucharki.

– Wprost przeciwnie – to nadzwyczaj uszczęśliwiająca prawda.

– Szczegóły są tym samym, co całość; ale całość jest czymś więcej. Ta butelka wina jest równie fascynująca jak obraz Rafaela; w tamtej pryszczatej studentce siedzi bez wątpienia także trochę Medei i Aspazji – życie pozbawione perspektywy; wszystko jest równie ważne i nieważne; wszystko jest pierwszym

planem; wszystko Bogiem. To pani miała na myśli? – spytał Gérard.

Lillian uśmiechnęła się.

– Jak szybko pan rozumuje!

– Za szybko. – Gérard wykrzywił twarz w gorzkim grymasie. – Za szybko, żeby to przeżyć. – Pociągnął spory łyk koniaku. – Jeśli pani to naprawdę przeżyła – wywodził – to pozostają pani tylko trzy rzeczy...

– Aż tyle?

– Wstąpić do buddyjskiego klasztoru, oszaleć albo umrzeć, przy czym najstosowniejsza byłaby śmierć z własnej ręki. Samounicestwienie jest, jak pani wiadomo, jedną z trzech rzeczy, którymi górujemy nad zwierzętami.

Lillian nie zapytała o dwie pozostałe.

– Jest jeszcze czwarta – powiedziała. – Nasze nieszczęście polega na tym, że wierzymy, iż mamy prawo do życia. Nie mamy go. Jeśli się to zrozumie, naprawdę zrozumie, wiele gorzkiego miodu nabierze nagle słodkiego smaku.

Gérard zasalutował w milczeniu, wyciągnąwszy obydwie ręce do góry.

– Kto nie oczekuje niczego, nigdy nie będzie rozczarowany. Ostatnia z drobnych mądrości!

– Na dziś wieczór ostatnia – odparła Lillian i wstała. – Najpiękniejsze mądrości umierają przez noc. Ile trupów zmiata się ciągle następnego ranka! To dziwne, ile różnych rzeczy się mówi po zachodzie słońca. Muszę już iść.

– Zawsze to pani mówi, ale potem przychodzi znowu.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Prawda? Dziwne, że tylko poeci to wiedzą.

– Oni też tego nie wiedzą; taką tylko mają nadzieję.

Wędrowała wzdłuż nabrzeża Grands-Augustins aż do nabrzeża Woltera, a potem wróciła małymi uliczkami ciągnącymi się za nabrzeżem. Nie bała się na ogół chodzić sama nocą; nie bała się ludzi.

Na rue de Seine zobaczyła, że ktoś leży na ziemi. Sądziła, że to jakaś pijaczka, i przeszła obok; ale coś w ułożeniu ciała kobiety, która z rozrzuconymi rękami leżała w połowie na jezdni, a w połowie na chodniku, zmusiło ją do zawrócenia. Chciała ją przynajmniej wciągnąć całą na trotuar, żeby jej nie przejechało jakieś auto.

Kobieta nie żyła. Jej otwarte oczy patrzyły nieruchomo na Lillian w słabym świetle latarni. Kiedy uniosła jej ramiona, głowa kobiety opadła do tyłu i z głuchym stuknięciem uderzyła o bruk. Lillian wydała stłumiony okrzyk; w pierwszej chwili sądziła, że sprawiła zmarłej ból. Spojrzała w jej twarz: była bezdennie pusta. Bezradnie rozglądnęła się dokoła; nie wiedziała, co robić. Parę okien było jasnych, a za jednym z większych, zasłoniętym, słyszała muzykę. Pomiędzy domami bardzo wysoko w górze wznosiło się niebo bez gwiazd. W pobliżu rozległ się okrzyk. Lillian zobaczyła zbliżającego się mężczyznę. Na moment zawahała się, po czym szybko wyszła mu naprzeciw.

– Gérard! – powiedziała ze zdziwieniem i ulgą. – Skąd pan wiedział...

– Szedłem za panią. To prawo poetów w wiosenne wieczory...

Lillian pokręciła głową.

– Tam leży martwa kobieta! Proszę podejść!

– Pewnie jest pijana. Nieprzytomna.

– Nie, ona nie żyje. Wiem, jak się wygląda, kiedy się nie żyje. – Czuła, jak Gérard się opiera. – Co się stało?

– Nie chcę mieć z tym nic do czynienia – odrzekł poeta śmierci.

– Nie możemy jej tak zostawić.

– Dlaczego? Przecież nie żyje. Teraz to już tylko sprawa policji. Nie chcę być w to wplątany. Pani też nie powinna! Będą zakładać, że to myśmy ją zabili. Chodźmy!

Pociągnął Lillian za ramię. Nie ruszyła się z miejsca. Spojrzała w twarz, która już nic nie wiedziała i wiedziała wszystko, czego nie wiedziała. Zmarła wyglądała na straszliwie opuszczoną. Jedną nogę pod spódnicą w kratkę miała podciągniętą do góry. Widać było pończochy, brązowe pantofle, na wpół otwarte dłonie, krótkie ciemne włosy i cienki łańcuszek na szyi.

– Chodźmy! – szepnął Gérard. – Tutaj mogą być tylko kłopoty! Mieć do czynienia z policją to nie żarty! Możemy skądś zatelefonować. To wszystko, co jest do zrobienia.

Pozwoliła się odciągnąć. Gérard szedł tak szybko, że ledwo mogła za nim nadążyć. Kiedy dotarli do nabrzeża, zobaczyła, że jest bardzo blady.

– Stać naprzeciw niej to coś innego, niż mówić o niej, prawda? – powiedziała z gorzką drwiną. – Skąd zadzwonimy? Z mojego hotelu?

– Tam może nas podsłuchać nocny portier.

– Wyślę go po coś.

– Dobrze.

Zjawił się rozpromieniony portier.

– Teraz jest na dziesiątym miejscu, ale będzie... – Zobaczył Gérarda i umilkł z wyrzutem w oczach.

– To przyjaciel Clerfayta – rzekła Lillian. – Ma pan rację, teraz trzeba to uczcić. Proszę przynieść butelkę wina. Gdzie tu jest telefon?

Portier wskazał na swój stolik i zniknął.

– Teraz – powiedziała Lillian.

Gérard już szukał numeru w książce telefonicznej.

– Spis jest stary.

– Policja nie zmienia numerów.

Na dziesiątym miejscu, pomyślała Lillian. On jedzie sobie w dalszym ciągu z Brescii do Brescii, a tymczasem...

Usłyszała, jak Gérard rozmawia przez telefon. Portier wrócił z kieliszkami i butelką szampana. Korek wyleciał z hukiem jak strzał; portier zbyt radośnie potrząsał butelką. Wystraszony Gérard przestał mówić.

– Nie, to nie był strzał – wyjaśnił i odłożył słuchawkę.

– Sądzę, że musi się pan czegoś napić – rzekła Lillian. – W tym momencie nic innego nie przyszło mi do głowy; portier czekał przez cały wieczór na otwarcie tej butelki. Nie jest to chyba żadne świętokradztwo.

Gérard pokręcił głową i pił łapczywie. Spoglądał przy tym na telefon. Lillian widziała, że boi się, iż policja może ustalić, skąd dzwoniono.

– Myśleli, że ktoś tutaj strzelał – powiedział. – A to był tylko korek. Dlaczego rzeczy tragiczne są często na dodatek tak strasznie komiczne?

Lillian podała mu butelkę, żeby nalał.

– Muszę iść – powiedział.

– Tym razem pan musi iść. Dobranoc, Gérard.

Popatrzył na butelkę.

– Mogę ją zabrać, jeśli pani już nie chce.

– Nie, Gérard. Jedno albo drugie.

Popatrzyła, jak szybko znika za drzwiami. Teraz przyjdzie noc, sama, pomyślała i wręczyła butelkę portierowi.

– Proszę to wypić. Czy radio jest jeszcze na górze?

– Oczywiście, mademoiselle.

Weszła po schodach na górę. Radio połyskiwało w ciemności chromem i szkłem. Zapaliła światło i czekała przez jakiś czas przy oknie, czy przejedzie wóz policyjny. Nie przejechał. Powoli się rozebrała. Zastanawiała się, czy porozwieszać wokół siebie na noc sukienki, swoje sojuszniczki, ale nie zrobiła tego. Czas pomagania sobie w ten sposób minął, pomyślała. I okazja także minęła. Zostawiła jednak zapaloną lampkę i wzięła tabletki nasenne.

Przebudziła się, jakby wyrzucona na zewnątrz z jakiegoś miejsca. Słońce kłuło przez zasłony swoimi promieniami elektryczną żarówkę, która świeciła się przez całą noc. Przeraźliwie dzwonił telefon. Policja, pomyślała i podniosła słuchawkę.

To był Clerfayt.

– Właśnie dotarliśmy do Brescii!

– Tak, do Brescii. – Otrząsnęła się z resztek snu, który zapadał już w zapomnienie. – A więc dojechałeś!

– Jako szósty.

Clerfayt roześmiał się.

– Jako szósty. To cudownie.

– Nonsens! Jutro wracam. Teraz muszę się przespać. Torriani już tutaj śpi na krześle.

– Tak, prześpij się. Dobrze, że zadzwoniłeś.

– Pojedziesz ze mną na Riwierę?

– Tak, kochany.

– Czekaj na mnie.

– Tak, kochany.

– Nie wyjeżdżaj nigdzie do mojego powrotu.

A dokąd miałabym jechać? – pomyślała. Do Brescii?

– Czekam na ciebie – powiedziała.

W południe szła rue de Seine. Ulica była taka jak zawsze. Szukała jakiejś wzmianki na szpaltach gazet. Nie znalazła niczego. To, że umarł człowiek, było zbyt mało ważne, żeby zamieścić o tym notatkę w gazecie.

19

Kupiłem ten dom wiele lat przed wojną – powiedział Clerfayt. – Wtedy można było kupić za bezcen pół Riwiery. Nigdy w nim nie mieszkałem, wstawiłem do środka tylko parę rzeczy. Jak widzisz, zbudowany jest w najobrzydliwszym stylu, ale te ornamenty stiukowe można poodbijać, a dom zmodernizować i urządzić.

– Po co? Naprawdę chcesz tu mieszkać?

– Czemu nie?

Lillian popatrzyła z pogrążonego w półmroku pokoju na ciemniejący ogród ze żwirowymi alejkami. Z tego miejsca nie było widać morza.

– Ależ Clerfayt! – rzekła z uśmiechem. – Możesz zamieszkać tutaj, kiedy będziesz miał sześćdziesiąt pięć lat! Nie wcześniej. Po pracowitym życiu w Tuluzie. Wtedy, jeśli zechcesz, będziesz mógł tu prowadzić wzorowy żywot francuskiego rentiera z niedzielnym obiadem w Hotel de Paris i wycieczką do kasyna.

– Ogród jest duży, a dom można rozbudować – odparł Clerfayt, nie dając się zbić z tropu. – Mam na to pieniądze. Mille Miglia okazało się łaskawe. Mam nadzieję, że po wyścigu w Monako

trochę do tego dołożę. Dlaczego uważasz, że to takie straszne mieszkać tutaj? A gdzie chciałabyś mieszkać?

– Nie wiem, Clerfayt.

– Takie rzeczy się wie! Przynajmniej w przybliżeniu.

– Ja nie – odpowiedziała Lillian, wpadając w lekką panikę. – Nigdzie. Chcieć gdzieś mieszkać znaczy zawsze: chcieć gdzieś umrzeć.

– Zimą tutejszy klimat jest sto razy lepszy niż w Paryżu.

– Zimą! – powtórzyła Lillian, jakby mówiła „Syriusz" albo „Styks", albo „wieczność'.

– Zima przyjdzie szybko. Jeśli chcemy zdążyć, trzeba wkrótce zacząć przebudowę.

Lillian rozejrzała się po mrocznym pomieszczeniu. Nie pierwszy raz rozmawiali o tym. Nie chcę być tutaj uwięziona, pomyślała.

– Czy nie musisz zimą pracować w Tuluzie?

– Mogę to robić tak czy owak; chciałbym tylko, żebyś już wcześniej zamieszkała gdzieś, gdzie jest dla ciebie najlepszy klimat.

Co mnie obchodzi klimat, pomyślała Lillian.

– Najlepszy klimat ma sanatorium – powiedziała z rezygnacją.

– Musisz tam wrócić? – Milczała. – Chciałabyś tam wrócić?

– Co mam ci odpowiedzieć? Czy nie jestem tutaj?

– Pytałaś jakiegoś lekarza? Czy tu, na dole, pytałaś kiedykolwiek o to jakiegoś lekarza?

– W tym celu nie muszę pytać żadnego lekarza.

Popatrzył na nią nieufnie.

– Razem zapytamy jakiegoś lekarza. Wyszukam najlepszego lekarza we Francji i jego zapytamy.

Lillian nie odpowiedziała. Tego jeszcze brakowało, pomyślała. Clerfayt już wcześniej pytał ją parę razy, czy chodzi do lekarza, lecz nigdy nie domagał się od niej, żeby opowiadała coś więcej oprócz zapewnienia, że to robi. Tym razem było inaczej. Zbiegło się to z domem, przyszłością, miłością, troską, z wszystkimi tymi pięknymi nazwami, które już dla niej nie istniały, ponieważ utrudniały tylko śmierć. Następną konsekwencją będzie pewnie ta, że spróbuje ją umieścić w jakimś szpitalu.

Przed oknem zaczął przeraźliwie gwizdać ptak.

– Wyjdźmy stąd – rzekł Clerfayt. – Elektryczne światło w tym kolorowym żyrandolu jest potworne, przyznaję. Ale wszystko to można zmienić.

Na zewnątrz wieczór opierał się o mury ozdobione stiukowymi ornamentami. Lillian odetchnęła głęboko. Czuła się tak, jakby udało się jej uciec.

– Prawda jest taka – powiedział Clerfayt – że nie chcesz ze mną żyć, Lillian! Wiem o tym.

– Przecież żyję z tobą – odparła bezradnym tonem.

– Żyjesz ze mną jak ktoś, kogo jutro już nie będzie. Jak ktoś, kto ciągle odjeżdża.

– Nie chciałeś, żeby tak było?

– Możliwe – ale teraz już nie chcę. A czy ty kiedykolwiek chciałaś żyć ze mną inaczej?

– Nie – odpowiedziała cicho. – Ale też z nikim innym, Clerfayt.

– Dlaczego?

Milczała przekornie. Po co zadaje te idiotyczne pytania?

– Przecież już nieraz rozmawialiśmy o tym. Po co do tego wracać? – powiedziała w końcu.

– Każdy stosunek może się zmienić. Czy miłość jest czymś tak godnym pogardy?

Potrząsnęła głową. Spojrzał na nią.

– Niczego w życiu nigdy nie pragnąłem dla siebie z całej mocy, Lillian. Teraz tego pragnę. Pragnę ciebie.

– Przecież mnie masz!

– Nie całkiem. Nie dosyć.

Chce mnie przywiązać i uwięzić, pomyślała, jest z tego dumny i nazywa to małżeństwem, troską i miłością, i może to zresztą prawda. Dlaczego jednak nie rozumie, że właśnie to, z czego jest dumny, mnie od niego odpędza? Z nienawiścią spojrzała na małą willę ze żwirowymi alejkami. Czy po to uciekła z góry, żeby skończyć tutaj? Tutaj albo w Tuluzie, albo w Brescii? Gdzie się podziała przygoda? Gdzie się podział Clerfayt? Co go zmieniło? Czemu nie śmiali się z tego? Co innego im pozostało?

– Moglibyśmy przynajmniej spróbować – rzekł Clerfayt. – Jeśli się nie uda, sprzedamy dom.

Nie mam już czasu, żeby czegoś próbować, pomyślała Lillian. I nie mam już czasu na eksperymenty ze szczęściem domowym. To dla mnie zbyt smutne. Muszę odejść! Nie mam nawet czasu na takie rozmowy. Wszystko to znałam w dużo lepszym wydaniu, na górze, w sanatorium, u Borysa, a i stamtąd uciekłam.

Nagle uspokoiła się. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi, ale to, że może uciec, uczyniło wszystko mniej nieznośnym. Nie obawiała się nieszczęścia, zbyt długo żyła z nim i dzięki niemu – nie bała się także szczęścia, jak tylu innych ludzi, którym wydawało się, że go szukają – obawiała się więzienia przeciętności.

Wieczorem nad morzem był pokaz ogni sztucznych. Noc była jasna i bezchmurna, a ponieważ horyzont tworzyły morze i niebo, rakiety wznosiły się i zniżały, jakby wystrzeliwane były w nieskończoność i spadały po drugiej stronie ziemi w przestrzeń, która nie była już przestrzenią, gdyż zdawała się nie mieć granic. Lillian przypomniała sobie ostatnie fajerwerki, które widziała. Było to przed chatą ratowników wieczorem w przeddzień jej ucieczki. Czy i teraz nie była w przededniu ucieczki? Decyzje mojego życia zdają się zapadać w świetle sztucznych ogni, pomyślała ironicznie. A może wszystko, co się stało do tej pory, nie było niczym innym jak właśnie fajerwerkiem? Fajerwerkiem, który zaczynał teraz blednąć i zamieniać się w popiół i pył? Rozejrzała się dokoła. Jeszcze nie, pomyślała ze strachem, jeszcze nie teraz! Czy przed końcem nie było przynajmniej ostatniego, wielkiego wybuchu płomienia, w którym trwoniono wszystko na wielki finał?

– Nie graliśmy jeszcze – powiedział Clerfayt. – Robiłaś to już kiedyś? Mam na myśli kasyno.

– Nigdy.

– W takim razie powinnaś spróbować. Masz jeszcze niewinną rękę i powinnaś wygrać. Pojedziemy? Czy może jesteś zmęczona? Jest już druga.

– Wczesny ranek! Kto byłby o tej porze zmęczony?

Jechali powoli pośród nocy wypełnionej blaskiem gwiazd.

– Wreszcie jest ciepło – powiedziała Lillian.

– Możemy zostać tutaj, dopóki również w Paryżu nie nastanie lato.

Oparła się o niego.

– Dlaczego ludzie nie żyją wiecznie, Clerfayt? Bez śmierci?

Otoczył ją ramieniem.

– No właśnie, dlaczego? Dlaczego się starzejemy? Dlaczego nie możemy żyć tak, jakbyśmy mieli trzydzieści lat, do osiemdziesiątki, a potem nagle umrzeć?

Roześmiała się.

– Ja nie mam jeszcze trzydziestki.

– To prawda – rzekł Clerfayt i wypuścił ją z objęć. – Wciąż o tym zapominam. Mam wrażenie, jakbyś w ciągu tych trzech miesięcy postarzała się przynajmniej o pięć lat, tak bardzo się zmieniłaś. Stałaś się o pięć lat piękniejsza. I o dziesięć groźniejsza.

Najpierw grali w dużych salach; potem, kiedy te opustoszały, w mniejszych, gdzie stawki były wyższe. Clerfayt zaczął wygrywać. Z początku grał w trente et quarante, po czym przeszedł do stolika z ruletką, przy którym maksimum było wyższe niż przy pozostałych.

– Stój dalej za mną – powiedział do Lillian. – Przynosisz mi szczęście.

Clerfayt obstawiał dwunastkę, dwadzieścia dwa i dziewiątkę. Stopniowo przegrywał, aż w końcu zostało tylko tyle żetonów, żeby jeszcze raz postawić na maksimum. Postawił na czerwone. Czerwone wygrało. Zabrał połowę wygranej, a resztę zostawił na czerwonym. Czerwone wygrało znowu. Zostawił na nim maksimum. Czerwone wygrało jeszcze dwa razy. Przed Clerfaytem piętrzyły się żetony. Inni grający w sali zainteresowali się. Stolik był teraz oblężony. Lillian ujrzała także zbliżającego się Fiolę. Uśmiechnął się do niej i postawił na czarne. Czerwone

wygrało znowu. Podczas następnej gry czarne obłożone było z każdej strony maksymalnymi stawkami, a grający tłoczyli się wokół stolika w trzech rzędach. Prawie wszyscy grali przeciwko Clerfaytowi. Tylko bardzo chuda starucha w sukni wieczorowej z jasnoniebieskiego woalu postawiła wraz z nim na czerwone.

W sali zapadła cisza. Tylko kulka grzechotała. Starucha kichnęła. Czerwone wygrało znowu.

Fiola dał znak Clerfaytowi, żeby przestał grać; seria musiała przecież kiedyś się skończyć. Clerfayt pokręcił głową i znów zostawił maksimum na czerwonym.

– *Il est fou* – powiedział ktoś za Lillian.

W ostatniej chwili starucha, która przyciągnęła już do siebie swoją wygraną, ponownie postawiła wszystko na czerwone. Pośród ciszy słychać było, jak gwałtownie oddycha, a po chwili milknie. Próbowała stłumić drugie kichnięcie. Jej dłoń leżała niczym żółty szpon na zielonym suknie. Obok siedział mały zielony żółw jako jej maskotka.

Czerwone wygrało znowu. Starucha kichnęła jak z armaty.

– *Formidable* – powiedziała kobieta do Lillian. – Kto to jest?

Numerów prawie nikt już nie obstawiał. Plotka o serii rozeszła się już wszędzie. Bateria dużych żetonów ułożonych w rzędy piętrzyła się na czarnym. Czerwone wypadło siedem razy; kolor musiał się w końcu zmienić. Clerfayt jako jedyny trzymał się dalej czerwonego. Starucha w zdenerwowaniu postawiła w ostatniej chwili żółwia. Zanim zdążyła zamienić go na żetony, po sali przeszedł szmer: czerwone wygrało znowu.

– Madame, nie możemy pani podwoić żółwia – rzekł krupier i oddał staruszce zwierzę z mądrym, prastarym łebkiem,

przesuwając je po stole.

– A moja wygrana? – zaskrzeczało straszydło.

– Proszę wybaczyć, madame, ale ani nie postawiła pani żadnej stawki, ani jej nie zgłosiła.

– Przecież pan widział, że chciałam postawić! To wystarczy.

– Musi pani obstawić albo zgłosić swoją stawkę, zanim kulka się zatrzyma.

Starucha spojrzała poirytowana dookoła.

– *Faites vos jeux* – powiedział krupier obojętnym tonem.

Clerfayt postawił znowu na czerwone. Rozeźlona starucha postawiła na czarne. Wszyscy postawili również na czarne. Fiola obstawił szóstkę i czarne. Raz jeszcze wypadło czerwone. Teraz Clerfayt przyciągnął do siebie swoją wygraną. Przysunął krupierowi kilka żetonów i wstał.

– Naprawdę przyniosłaś mi szczęście – rzekł do Lillian i poczekał, aż kulka zatrzyma się znowu. Wygrało czarne. – Widzisz – powiedział. – Czasem człowiek miewa jakiś szósty zmysł.

Uśmiechnęła się. Gdybyś go miał w miłości! – pomyślała.

Podszedł do nich Fiola.

– Gratuluję. To wielka sztuka życiowa, kiedy człowiek potrafi przestać we właściwym momencie. – Zwrócił się do Lillian. – Nie uważa pani?

– Nie wiem. Nigdy nie miałam okazji się przekonać.

Roześmiał się.

– Nie wierzę. Zniknęła pani z Sycylii, pozostawiając zamęt w wielu głowach. Przyjechała pani do Rzymu i ulotniła się jak

kamfora. Także w Wenecji, jak mi się ktoś zwierzył, nikt nie mógł pani odnaleźć.

Poszli do baru, żeby uczcić szczęście Clerfayta.

– Sądzę, że wygrałem dość pieniędzy, żeby dom przebudować i wykończyć – rzekł do Lillian.

– Jutro możesz je znowu stracić.

– Chciałabyś tego?

– Oczywiście, że nie.

– Nie będę już grał – oświadczył. – Zostawimy całą kwotę. Każę ci na dodatek wybudować basen w ogrodzie.

– Nie potrzebuję basenu. Nie pływam, przecież wiesz o tym.

Prędko spojrzał na nią.

– Wiem. Jesteś zmęczona?

– Nie.

– Dziewięć razy czerwone to cudowna seria – powiedział Fiola. – Raz tylko widziałem dłuższą. Dwanaście razy czarne. To było przed wojną. Wtedy bywały stoły z maksimum dużo wyższym niż dzisiaj, w *cercle privé*. Człowiek, który miał tę serię, rozbił bank. Potem obstawiał trzynastkę i trzynastka wypadła w dwunastu rzutach pięć razy. To była sensacja. Wszyscy stawiali tak jak on. W ten sposób zrujnował bank dwa razy w ciągu jednej nocy. To był Rosjanin. Jakże on się nazywał? Wołkow albo podobnie. Tak, Wołkow.

– Wołkow? – spytała Lillian z niedowierzaniem. – Ale chyba nie Borys Wołkow?

– Tak! Borys Wołkow. Znała go pani?

Lillian pokręciła głową. Nie od tej strony, pomyślała. Widziała, że Clerfayt ją obserwuje.

– Ciekaw jestem, co się z nim potem stało – rzekł Fiola. – To był człowiek, który wzbudzał tutaj sensację. Jeden z ostatnich graczy w dawnym wielkim stylu. Poza tym znakomity strzelec. Był tu wtedy z Marią Andersen. Może słyszeliście państwo o niej. Jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Zmarła w Mediolanie podczas bombardowania. – Zwrócił się do Clerfayta: – Pan też nigdy nie słyszał o Wołkowie?

– Nigdy – potwierdził Clerfayt.

– Dziwne! Uczestniczył także wtedy w kilku wyścigach tu i ówdzie. Naturalnie jako amator. Rzadko widywałem ludzi, którzy potrafili wypić tyle co on. Prawdopodobnie zapił się na śmierć; w każdym razie sprawiał wrażenie, jakby chciał tego.

Twarz Clerfayta spochmurniała. Skinął na kelnera, żeby przyniósł jeszcze jedną butelkę.

– Będzie pan jeszcze grał dzisiaj? – spytał Fiola. – Z pewnością nie!

– Dlaczego nie? Serie zdarzają się seriami. Może nawet dzisiaj wypadnie jeszcze trzynaście razy czarne.

– Nie powinien grać dalej – powiedział Fiola do Lillian. – Nie dzisiaj. To zasada stara jak świat.

Lillian popatrzyła na Clerfayta. Tym razem nie zapytał jej, czy dotrzyma mu towarzystwa, żeby mu przynieść szczęście, i wiedziała, dlaczego. Jaki on jest dziecinny, pomyślała z czułością. I jaki ślepy w swojej zazdrości! Czyżby zapomniał, że tym, który niszczy, nie jest nigdy nikt inny, tylko zawsze sam człowiek?

– Pani natomiast powinna zagrać – rzekł Fiola. – Jest pani tutaj po raz pierwszy. Zrobi to pani dla mnie? Chodźmy!

Podeszli do innego stołu. Fiola zaczął obstawiać, a po kilku minutach również Lillian kazała zamienić parę banknotów na żetony. Ostrożnie stawiała małe sumy; pieniądze były dla niej czymś więcej niż własnością, były kawałkiem życia. Nigdy nie chciała być zdana na zrzędną pomoc stryja Gastona.

Prawie natychmiast zaczęła wygrywać.

– Na tym polega dziecięca ręka – powiedział Fiola, który przegrywał. – To pani noc! Będzie miała pani coś przeciwko temu, jeśli będę obstawiał tak jak pani?

– Będzie pan tego żałował.

– Nie w grze. Proszę obstawiać to, co przychodzi pani na myśl.

Lillian obstawiała przez jakiś czas czerwone i czarne, potem drugą douzaine, a w końcu numery. Dwa razy wygrała na zero.

– Jest pani ulubienicą nicości – rzekł Fiola, śmiejąc się.

Zjawiła się starucha z żółwiem. Usiadła z rozgniewaną miną naprzeciwko Lillian. Pomiędzy partiami szeptała coś do żółwia. Na jej ręce dyndał rzadkiej piękności diament. Szyję miała pomarszczoną jak szyja zwierzęcia, w ogóle byli do siebie podobni. Mieli również takie same, niemal pozbawione powiek oczy, bez śladu białka.

Lillian obstawiała teraz na przemian czarne i trzynastkę. Kiedy po pewnym czasie podniosła wzrok, zobaczyła, że po drugiej stronie stołu stoi Clerfayt i obserwuje jej grę. Obstawiała jak Borys Wołkow i widziała, że Clerfayt to zauważył. Na przekór dalej obstawiała trzynastkę. Po sześciu rzutach wreszcie wypadła.

– Wystarczy – powiedziała, zgarniając żetony ze stołu do torebki. Wygrała, nie wiedziała nawet, ile.

– Chce pani już wyjść? – spytał Fiola. – To pani noc. Sama pani widzi. Nigdy się nie powtórzy.

– Ta noc minęła. Gdybyśmy odsunęli zasłony w oknach, blady poranek zamieniłby nas wszystkich w duchy. Dobranoc, Fiola. Niech pan gra dalej! Ktoś zawsze gra dalej.

Kiedy wyszli z Clerfaytem z kasyna, Riwiera ukazała się im taka, jaka była przed odkryciem jej przez turystów. Niebo lśniło w mosiężnym i błękitnym blasku i czekało na słońce; morze było białe na horyzoncie i przejrzyste jak akwamaryna. Na wodzie unosiło się kilka łodzi rybackich z żółtymi i czerwonymi żaglami. Plaża była cicha; na szosie żadnego auta. Wiatr miał zapach langust i morza.

Lillian nie rozumiała, skąd nagle powstała kłótnia. Słuchała Clerfayta i dopiero po chwili pojęła, o co mu chodzi. Otwarcie wybuchła jego zazdrość o Wołkowa.

– Co mogę zrobić? – usłyszała. – Muszę walczyć z cieniem, z kimś, kogo nie mogę pojąć, z kimś, kogo tutaj nie ma, lecz przez to tym bardziej jest tutaj, kto jest silniejszy ode mnie, ponieważ go nie ma, kto jest bezbłędny, ponieważ go tutaj nie ma, kogo się idealizuje, ponieważ go tutaj nie ma, kto ma potworną przewagę wynikającą z nieobecności, która daje mu tysiące broni przeciwko mnie, gdy tymczasem ja jestem tutaj i widzisz mnie, jaki jestem, tak jak teraz, nie panujący nad sobą, może nawet niesprawiedliwy, małostkowy, naiwny – a z drugiej strony wielki ideał, który nie może nic źle zrobić, bo nie robi niczego, bo milczy, i nic nie można na to poradzić, tak jak nie można nic poradzić na wspomnienie o zmarłym!

Lillian wyczerpana odchyliła głowę do tyłu. Jakie potworne bzdury w typowo męskim stylu wygaduje znowu ten człowiek?

– Czy tak nie jest? – spytał Clerfayt i uderzył dłonią w kierownicę. – Powiedz, czy tak nie jest! Czułem, dlaczego robisz przede mną uniki! Wiem, że właśnie z tego powodu nie chcesz wyjść za mnie! Chcesz wrócić! Dlatego! Po prostu chcesz wrócić!

Podniosła głowę. Co on mówi? Spojrzała na Clerfayta.

– Co mówisz?

– Czy to nieprawda? Czy nawet teraz nie myślałaś o tym?

– Myślałam teraz tylko o tym, jak okropnie głupi potrafią być najmądrzejsi ludzie. Nie odpędzaj mnie siłą!

– Ja ciebie? Robię wszystko, żeby cię zatrzymać!

– Sądzisz, że w ten sposób możesz mnie zatrzymać? Mój Boże! – Lillian ponownie odchyliła głowę na oparcie fotela. – Nie musisz być zazdrosny. Borys nawet by mnie nie chciał, gdybym wróciła.

– To nie ma nic do rzeczy. Chciałabyś wrócić!

– Nie odpędzaj mnie od siebie. O Boże, czyżbyś oślepł?

– Tak – rzekł Clerfayt. – Prawdopodobnie! Prawdopodobnie – powtórzył zdziwiony. – Ale nic już na to nie poradzę. Nie mam już wyjścia.

Jechali w milczeniu w kierunku Antibes. Naprzeciwko nich pojawił się wóz zaprzężony w osła. Na wozie siedziała młoda, niedorosła dziewczyna i śpiewała. Lillian w swym wyczerpaniu popatrzyła na nią z palącą zazdrością. Pomyślała o staruszce w kasynie, która będzie pewnie żyć jeszcze wiele lat, i spojrzała na roześmianą dziewczynę, a potem pomyślała o sobie, i nagle nastąpiła znowu jedna z owych chwil, kiedy wszystko było niezrozumiałe i nic nie pomagały wszelkie triki, kiedy ogarniała

ją przemożna rozpacz i wszystko w niej krzyczało w bezsilnym buncie: Dlaczego? Dlaczego właśnie ja? Co takiego zrobiłam, że akurat mnie musiało to spotkać?

Niewidzącymi oczyma patrzyła na cudowny krajobraz. Nad szosą unosiła się silna woń kwiatów.

– Dlaczego płaczesz? – spytał ze złością Clerfayt. – Naprawdę nie masz żadnego powodu do płaczu.

– Nie, nie mam.

– Zdradzasz mnie z jakimś cieniem – rzekł z goryczą. – I płaczesz!

Tak, pomyślała, ale ten cień nie nazywa się Borys. Powiedzieć mu, jak się nazywa? Ale wówczas zamknie mnie w szpitalu, a przed drzwiami postawi strażników miłości, żeby mnie zapielęgnowano na śmierć, za mlecznymi szybami, otoczoną zapachem środków dezynfekcyjnych, dobrej woli i mdłym smrodem ludzkich odchodów.

Popatrzyła na twarz Clerfayta. Nie, pomyślała, nie więzienie miłości, przeciw któremu nie można się zbuntować, tylko pozostaje ucieczka! Fajerwerk się wypalił; nie powinno się grzebać w popiele.

Samochód wjechał na dziedziniec hotelu. Jakiś Anglik w płaszczu kąpielowym schodził już na plażę, żeby popływać. Clerfayt pomógł Lillian przy wysiadaniu, nie patrząc na nią.

– Niewiele mnie już będziesz oglądać – powiedział. – Jutro zaczynają się treningi.

Przesadzał; wyścig miał być rozgrywany w mieście i trening był prawie niemożliwy. Ulice można było zamknąć dla ruchu tylko na

czas samego wyścigu; poza tym kierowcy musieli się ograniczyć do przejeżdżania trasy i zapamiętywania, jak zmieniać biegi.

Lillian widziała jak przez długi korytarz, co może jeszcze wydarzyć się między nimi. Był to zwężający się coraz bardziej korytarz, bez wyjścia. Nie mogła nim iść. Inni, którzy mieli czas do stracenia, mogli. Ona nie. W miłości nie było powrotów; nigdy nie można było zaczynać na nowo. To, co się stało, pozostawało we krwi. Clerfayt nigdy już nie mógłby być z nią tak blisko jak dawniej. Mógł z każdą inną kobietą, ale nie z nią. A tego, co było między nimi, nie dało się przywrócić tak samo jak czasu. Nie potrafiła tego sprawić żadna ofiara, żadna gotowość i żadna dobra wola, takie było mroczne, nieubłagane prawo. Lillian znała je; dlatego chciała odejść. Reszta życia była jej całym życiem – w życiu Clerfayta była to tylko bardzo mała cząstka. Dlatego wszystko zależało od niej – nie od Clerfayta. Proporcja była zbyt nierówna; to, co dla jego egzystencji będzie pewnie epizodem, mimo że jeszcze w to nie wierzył, dla niej było końcem. Nie mogła go poświęcić, wiedziała teraz o tym. Nie czuła żalu ani smutku, nawet na to miała zbyt mało czasu, ale czuła jasność przypominającą jasność poranka. I kiedy ona się pojawiła, zniknęła ostatnia mgła nieporozumień. Uświadomiła sobie małe, wyraźne szczęście wynikające z podjęcia decyzji. A wraz z nim – co dziwne – powróciła czułość, ale nie była już niebezpieczna.

– Żadne z twoich twierdzeń nie jest prawdziwe, Clerfayt – powiedziała zmienionym głosem. – Żadne! Zapomnij o tym! Wszystko to nieprawda! Wszystko!

Ujrzała, że jego twarz rozjaśniła się.

– Zostaniesz ze mną? – zapytał szybko.

– Tak – odpowiedziała. Przez te ostatnie dni nie chciała już żadnych kłótni.

– Rozumiesz wreszcie, czego chcę?

– Tak, rozumiem – odrzekła i uśmiechnęła się.

– Wyjdziesz za mnie?

Nie wyczuł jej wahania.

– Tak – powiedziała. Również to było jej teraz obojętne.

Wpatrywał się w nią uporczywie.

– Kiedy?

– Kiedy zechcesz. Jesienią.

Milczał przez chwilę.

– Wreszcie! – powiedział w końcu. – Wreszcie! Nigdy nie będziesz tego żałować, Lillian!

– Wiem o tym.

W jednej chwili zupełnie się zmienił.

– Jesteś zmęczona! Musisz być śmiertelnie zmęczona! Po co nam to wszystko było? Musisz spać, Lillian! Chodź, odprowadzę cię na górę.

– A ty?

– Ja pójdę w ślady tego Anglika, a później przejadę się ulicami, zanim zacznie się normalny ruch. To tylko rutyna, znam tę trasę. – Stał przy jej drzwiach. – Ale ze mnie idiota! Przegrałem więcej niż połowę z tego, co wcześniej wygrałem! Z wściekłości!

– Ja wygrałam.

Lillian rzuciła na stół torebkę z żetonami.

– Nie liczyłam ich.

– Jutro znowu wygramy. Pójdziesz ze mną do lekarza?

– Tak. A teraz muszę spać.

– Śpij do wieczora. Potem coś zjemy i z powrotem pójdziemy spać. Kocham cię bez granic!

– Ja ciebie też, Clerfayt.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Po raz pierwszy tak, jakby wychodził od chorej, pomyślała i wyczerpana usiadła na łóżku.

Okno było otwarte. Widziała, jak schodzi na plażę. Po wyścigu, pomyślała. Będę musiała się spakować i po wyścigu wyjechać, kiedy on będzie musiał przenieść się do Rzymu. Jeszcze tych parę dni, pomyślała. Nie wiedziała, dokąd się udać. Było to zresztą obojętne. Po prostu musiała odejść.

20

Okrążenie liczyło tylko niewiele ponad trzy kilometry, lecz trasa prowadziła ulicami Monte Carlo, przez środek miasta, dookoła portu, na górę z kasynem i z powrotem. W wielu miejscach była tak wąska, że ledwo pozwalała na wyprzedzanie, i składała się niemal wyłącznie z zakrętów, podwójnych wiraży, agrafek i zakosów. Do przejechania było sto okrążeń, przeszło trzysta kilometrów, co oznaczało dziesiątki tysięcy zmian biegów, hamowań, przyśpieszeń, zmian biegów i znowu hamowań i przyśpieszeń.

– Prawie karuzela – rzekł z uśmiechem Clerfayt do Lillian. – Coś w rodzaju akrobatyki cyrkowej. Nigdzie nie można rozpędzić wozu choćby do połowy maksymalnej szybkości. Gdzie siedzisz?

– Na trybunie. Dziesiąty rząd po prawej.

– Będzie gorąco. Masz jakiś kapelusz?

– Owszem. – Lillian pokazała trzymany w ręku słomkowy kapelusz.

– Dobrze. Dziś wieczorem będziemy jeść langusty w Pavillon d'Or nad morzem i popijać chłodne wino. A jutro pojedziemy do pewnego mojego znajomego; jest architektem i zrobi nam plany

przebudowy domu. Dom będzie jasny, z dużymi oknami i słoneczny.

Kierownik ekipy zawołał do Clerfayta coś po włosku.

– Zaczyna się – powiedział Clerfayt, zapinając pod szyją biały kombinezon. Wyjął z kieszeni kawałek drewna i postukał nim w samochód i we własną dłoń.

– Gotowe? – krzyknął kierownik ekipy.

– Gotowe.

Lillian pocałowała Clerfayta i odprawiła rytualne zabobony. Splunęła lekko na samochód i na kombinezon Clerfayta i wymruczała jakieś przekleństwo, które miało sprowadzić skutek przeciwny, po czym podniosła dłoń z dwoma rozstawionymi palcami w kierunku toru i pozostałych boksów – było to zaklęcie *iettatore* chroniące przed złym spojrzeniem. Włoscy mechanicy popatrzyli na nią w niemym uwielbieniu, kiedy przechodziła obok. Z tyłu słyszała już modlitwę kierownika ekipy:

– O, słodka krwi Jezusa i Ty, Matko Boleści, pomóż Clerfaytowi i Frigeriowi, i...

Przy drzwiach odwróciła się. Żona Marchettiego i dwaj inni kierowcy siedzieli już ze stoperami i kartkami papieru na swoich miejscach. Nie powinnam go opuszczać, pomyślała i podniosła rękę. Clerfayt roześmiał się i zasalutował. Wyglądał bardzo młodo.

– A wy, wszyscy święci, spalcie opony konkurencji mniej więcej dwa razy szybciej niż nasze! – modlił się kierownik ekipy, po czym krzyknął: – Gotowi do startu! Wszyscy nieuprawnieni opuścić boks!

Startowało dwadzieścia wozów. Po pierwszym okrążeniu Clerfayt jechał na ósmej pozycji; nie miał najlepszego miejsca na starcie i kiedy ruszali, był odrobinę za wolny. Trzymał się za Micottim, o którym wiedział, że będzie atakował. Przed nimi jechali Frigerio, Monti i Sacchetti; na czele znajdował się Marchetti.

Na czwartym okrążeniu Monti minął Sacchettiego na maksymalnych obrotach silnika na prostej wiodącej pod górę do kasyna. Clerfayt, który siedział mu na kółku, również przyśpieszył i wyprzedził Sacchettiego tuż przed tunelem. Kiedy wyjechał z tunelu, ujrzał, jak wóz Micottiego zaczyna dymić i zwalnia. Wyprzedził go i ruszył w pościg za Montim. Trzy okrążenia później w agrafce obok zbiornika gazu zbliżył się do niego i uczepił niczym terier jego tylnych kół.

Jeszcze dziewięćdziesiąt dwa okrążenia i siedemnastu konkurentów, pomyślał, kiedy zobaczył drugi wóz zatrzymujący się przy stanowisku obok Micottiego. Kierownik ekipy sygnalizował mu, żeby na razie nie atakował; prawdopodobnie Frigerio i Marchetti, którzy się nie lubili, walczyli z sobą kosztem firmy, zamiast podporządkować się dyscyplinie i jechać zespołowo, i kierownik ekipy chciał trzymać Clerfayta i Meyera III w rezerwie na wypadek, gdyby liderzy rozbili swoje wozy.

Lillian widziała stado przejeżdżające pędem obok trybun co niespełna dwie minuty. Kiedy się właśnie widziało samochody i odwróciło wzrok na moment, wozy były już znowu, w odrobinę innej kolejności, ale prawie tak, jakby nigdy nie ruszały się z miejsca. Wydawało się, jakby przesuwano tylko, do przodu i do tyłu, szklaną płytę jakiejś *camera magica*. Jak oni mogą policzyć sto okrążeń? – myślała. Potem przypomniała sobie modlącego się,

pocącego i przeklinającego kierownika ekipy, który wystawiał im tabliczki i chorągiewki, zmieniał je i wymachiwał nimi według jakiegoś tajnego kodu.

Po czterdziestu okrążeniach chciała już iść. Miała wrażenie, że powinna teraz, zaraz teraz, wyjechać, zanim wyścig się skończy. Perspektywa obserwowania jeszcze dalszych sześćdziesięciu okrążeń z niewielkimi przetasowaniami na torze wydała jej się podobnym marnotrawstwem czasu jak godziny przed odjazdem z sanatorium. W torebce miała bilet do Zurychu. Kupiła go rano, kiedy Clerfayt raz jeszcze objeżdżał trasę wyścigu. Bilet był na pojutrze. Clerfayt musiał wtedy polecieć do Rzymu. W dwa dni później zamierzał być z powrotem. Samolot odlatywał rano; pociąg odjeżdżał wieczorem. Wymykam się jak złodziej, pomyślała, jak jakiś zdrajca. Tak samo jak w sanatorium chciałam się wymknąć Borysowi. Potem i tak musiała odbyć rozmowę z Borysem, ale co to dało? Zawsze wypowiadano wyłącznie niewłaściwe słowa, zawsze się kłamało, gdyż prawda była zbędnym okrucieństwem, a na końcu była zawsze gorycz i rozpacz, że nie umiało się postąpić inaczej i że ostatnim wspomnieniem będzie tylko kłótnia, brak zrozumienia i nienawiść. Zaczęła szukać w torebce swojego biletu. Przez moment wydawało jej się, że go zgubiła. Ten moment wystarczył, żeby ją przykuć do miejsca. Siedząc w ciepłym słońcu, dostała dreszczy. Mam gorączkę, pomyślała i usłyszała krzyki tłumu dookoła siebie. W dole, obok niebieskiego miniaturowego portu z białymi jachtami, na których stali ciasno stłoczeni ludzie, przesuwała się stawka zawodników i jedno z aut, miniaturowych jak zabawki, przecisnęło się bokiem i wyprzedziło drugie.

– Clerfayt! – wykrzyknęła radośnie tęga dama obok niej, klepiąc się programem zawodów po grubych udach pod płócienną sukienką. – *The son of a gun made it*!

W godzinę później Clerfayt wysunął się na drugie miejsce. Z zimną krwią, bezlitośnie ścigał teraz Marchettiego. Nie chciał go jeszcze wyprzedzać – nie musiał się śpieszyć, mógł to zrobić po osiemdziesiątym okrążeniu, a nawet na dziewięćdziesiątym – chciał go tylko ścigać, aż tamten zacznie się denerwować, parę metrów za nim, utrzymując stały odstęp. Nie chciał jeszcze raz korzystać z możliwości nadwerężania silnika pracą na maksymalnych obrotach – wolał zostawić to Marchettiemu, i Marchetti rzeczywiście to zrobił bez żadnych konsekwencji dla silnika, ale Clerfayt czuł, że rywal, nic przez to nie osiągnąwszy, zrobił się niespokojny. Odtąd Marchetti zaczął blokować szosę i wiraże, żeby nie puścić Clerfayta przed siebie. Clerfayt kilka razy wykonał manewr, jakby go chciał wyprzedzić, w rzeczywistości nawet tego nie próbując; w ten sposób osiągnął tyle, że Marchetti bardziej uważał na niego niż na własną jazdę i zrobił się nieostrożny.

Zdublowali stawkę zawodników o jedno okrążenie, a niektórych kierowców o kilka. Spocony kierownik ekipy wystawiał tabliczki i chorągiewki. Sygnalizował Clerfaytowi, żeby nie atakował. Marchetti należał do tej samej stajni, i wystarczyło, że ścigał się już wcześniej z Frigeriem; Frigerio złapał przy tej okazji gumę i jechał teraz prawie minutę za Clerfaytem i pięcioma innymi wozami. Clerfayta z kolei ścigał Monti, ale nie siedział mu jeszcze na kółku. Clerfayt zresztą, szybciej pokonując agrafki, łatwo pozbywał się rywala.

Ponownie przejechali obok boksów. Clerfayt widział, jak kierownik ekipy wzywa wszystkich świętych, a jednocześnie potrząsa w jego kierunku pięściami, żeby nie trzymał się zbyt blisko Marchettiego. Marchetti dał mu wcześniej wściekły znak, żeby powstrzymał Clerfayta. Clerfayt skinął głową i pozostał w tyle o długość samochodu, ale nie więcej. Chciał wygrać ten wyścig, z błogosławieństwem kierownika ekipy albo i bez niego. Chciał dostać premię za zwycięstwo, a ponadto postawił też na siebie w zakładach. Potrzebuję pieniędzy, pomyślał. Na przyszłość. Dom. Życie z Lillian. Przez kiepski start stracił trochę, ale wiedział, że wygra; czuł się bardzo spokojny, w dziwnej równowadze pomiędzy koncentracją a odprężeniem, dającej człowiekowi świadomość, że nic nigdy nie może mu się stać. Było to swego rodzaju jasnowidztwo wykluczające wszelkie wątpliwości, wszelkie wahanie i wszelką niepewność. Dawniej często przeżywał ten stan, ale w ostatnich latach nieraz mu go brakowało. Była to jedna z rzadkich chwil czystego szczęścia.

Za kolejnym zakrętem ujrzał, jak samochód Marchettiego zaczyna nagle tańczyć, staje w poprzek drogi i z jękiem pękającego metalu uderza o przeszkodę. Zobaczył rozlaną szeroko na jezdni czarną kałużę oleju i dwa inne wozy, które już wpadły na siebie, kiedy jak pijane ślizgały się po oleju, zobaczył, niczym w zwolnionym tempie, jak wóz Marchettiego bardzo powoli koziołkuje, a kierowca szybuje w powietrzu i ląduje, sto oczu w nim wypatrywało na szosie jakiejś luki, żeby się przez nią przecisnąć, ale jej nie znalazło, szosa zogromniała i skurczyła się w tym samym momencie, nie czuł strachu, próbował tylko uniknąć zderzenia czołowego i uderzyć bokiem, w ostatniej chwili

wiedział jeszcze, że musi się pozbyć kierownicy, lecz ręce były zbyt powolne, wszystko uniosło się już w górę, nagle przestał cokolwiek ważyć, a potem nastąpiło uderzenie w klatkę piersiową i drugie w twarz, i ze wszystkich stron runął na niego rozpryśnięty świat, przez moment była jeszcze przerażona, blada twarz człowieka z obsługi trasy, a potem uderzyła w niego z tyłu potężna pięść, i pozostał tylko ciemny szum, a potem nie było już nic.

Samochód, który wpadł na niego, wyrwał lukę w łańcuchu sczepionych pojazdów, tak że następne miały znowu którędy przejechać. Jeden po drugim przemykały obok, niektóre tańcząc, zarzucając, ocierając się o wraki, metal zgrzytał o metal, jakby rozbite wozy jęczały. Pracownik obsługi z łopatą w ręku przeskoczył przez worki z piaskiem i jął zasypywać piaskiem kałużę oleju, odskakując, kiedy zbliżało się wycie silnika, pojawili się sanitariusze z noszami, wyciągnęli Marchettiego z niebezpiecznego miejsca, unieśli w górę i podali innym ponad barykadą z worków – nadbiegło paru ludzi ze znakami sygnalizacyjnymi, żeby ostrzec kierowców, ale stawka zawodników już przejechała, wszyscy minęli miejsce wypadku, a teraz zbliżali się znowu, jedni zerkając szybko w bok, drudzy ze wzrokiem skierowanym nieruchomo na tor.

Samochód Clerfayta nie tylko sam wpadł na inne, lecz także z tyłu najechał na niego Monti. Monti nie odniósł prawie żadnych obrażeń. O własnych siłach pokuśtykał na bok. Clerfayt wisiał w swoim wozie, który został wypchnięty do góry, a następnie rzucony na worki z piaskiem. Jego twarz była rozbita, a kierownica zgniotła mu klatkę piersiową. Krew ciekła mu z ust, był nieprzytomny. Niczym muchy przy kawałku okrwawionego

mięsa tłum zebrał się na skraju toru i gapił szeroko otwartymi oczyma na sanitariuszy i mechaników, którzy w pośpiechu zaczęli ciąć blachę, żeby wydobyć Clerfayta. Przed nim palił się inny samochód. Ludziom z gaśnicami udało się odciągnąć wrak i teraz próbowali go gasić. Na szczęście bak został rozpruty i dzięki temu nie doszło do eksplozji, ale benzyna paliła się, skwar był nie do wytrzymania, a pożar mógł w dalszym ciągu objąć inne pojazdy. Co dwie minuty przejeżdżały pędem pozostałe wozy. Ryk motorów zawisł nagle nad miastem niczym jakieś mroczne requiem i narastał, przechodząc w przeraźliwe wycie, kiedy wozy mijały Clerfayta, który wisiał pokrwawiony nad miejscem wypadku w swoim wypchniętym w górę samochodzie jak na jakimś palu, oświetlony bladym blaskiem gasnącego ognia w świetle jasnego popołudnia. Wyścig toczył się dalej, nie został przerwany.

Lillian nie od razu pojęła, co się stało. Głos w megafonie nie był wyraźny, wydawał się niezrozumiały przez własne echa. Spiker w zdenerwowaniu stał pewnie za blisko mikrofonu. Usłyszała coś o samochodach, które wypadły z toru i najechały na siebie, ponieważ z innego wozu wyciekł na trasie olej. Potem zobaczyła stado pojazdów przejeżdżających obok trybun. Niemożliwe, żeby było aż tak źle, pomyślała, w przeciwnym razie wyścig by przerwano. Szukała wzrokiem numeru Clerfayta. Nie znalazła go, ale mógł już przejechać, wcześniej nie zwracała na to tak bacznej uwagi. Przez megafon trochę wyraźniej zabrzmiał teraz komunikat, że na nabrzeżu de Plaisance doszło do wypadku – zderzyło się kilka wozów, jest kilku rannych, nikt nie zginął, dalsze informacje w następnym komunikacie. Aktualna

klasyfikacja: Frigerio z piętnastosekundową przewagą, potem Conti, Duval, Meyer III...

Lillian słuchała z natężoną uwagą. Ani słowa o Clerfaycie, a przecież był drugi. Ani słowa o Clerfaycie, pomyślała, usłyszała nadjeżdżające wozy i wychyliła się do przodu, chcąc wypatrzeć dwunastkę, czerwony samochód z numerem dwanaście.

Nie pojawił się, a pośród głuchej ciszy przerażenia, która zaległa w jej wnętrzu, zagrzmiał gruby głos spikera:

– Wśród rannych znajduje się Clerfayt; jest w drodze do szpitala. Wygląda na to, że jest nieprzytomny. Monti doznał obrażeń kolana i stopy, Marchetti...

To niemożliwe, pomyślało coś w Lillian. Nie w tym wyścigu miniaturowych aut, nie w tym mieście z miniaturowym portem i kolorową panoramą jakby ułożoną z klocków! To musi być pomyłka! Jego wóz zaraz nadjedzie, wyłoni się jak spod ziemi, tak jak wtedy podczas Targa Florio, może trochę spóźniony, pognieciony i poobtłukiwany, ale poza tym cały i bez szwanku! Ale kiedy tak jeszcze myślała, czuła już, jak nadzieja staje się próżna, jak się rozbija, zanim zdążyła okrzepnąć – nieprzytomny, pomyślała i uchwyciła się tej myśli, co to znaczy?

Mogło to znaczyć wszystko! Zauważyła, że nie wiedząc kiedy, opuściła trybuny i idzie do boksu; może tam go zaniesiono. Pewnie leży na noszach, ze zwichniętym barkiem lub ramieniem, jak podczas Targa Florio, i śmieje się ze swojego pecha.

– Odwieziono go do szpitala – powiedział spocony kierownik ekipy. – Matko Przenajświętsza, święty Krzysztofie, czemu akurat my? Czemu nie konkurencja albo – co? Chwileczkę!

Popędził na skraj toru, żeby przekazać kierowcom sygnały. Wozy przemknęły obok, z bliska wydawały się większe i groźniejsze, a ich ryk wypełnił całą przestrzeń.

– Co się stało? – zawołała Lillian. – Niech pan zostawi wreszcie ten przeklęty wyścig i powie mi, co się stało!

Rozejrzała się dokoła. Nikt na nią nie patrzył. Mechanicy zajęci częściami zapasowymi i oponami starali się nie podnosić wzroku. Kiedy się do kogoś zbliżyła, ten zaraz się odsuwał. Wyglądało to tak, jakby była zadżumiona.

Wreszcie wrócił kierownik ekipy.

– Clerfaytowi nie pomoże, czy zostawię ten przeklęty wyścig czy nie – powiedział ochrypłym głosem. – Zresztą pewnie nie chciałby tego. Chciałby...

– Gdzie on jest? – przerwała mu Lillian. – Nie chcę żadnych kazań na temat kodeksu honorowego kierowców wyścigowych!

– W szpitalu. Natychmiast odwieziono go do szpitala.

– Dlaczego nie ma przy nim nikogo, żeby mu pomóc? Dlaczego jest pan tutaj? Nie przy nim?

Kierownik ekipy spojrzał na nią nie rozumiejącym wzrokiem.

– Jak miałbym mu pomóc? Albo ktokolwiek stąd? Teraz to sprawa lekarzy.

Lillian przełknęła ślinę.

– Co mu się stało? – zapytała cicho.

– Nie wiem. Nie widziałem go. Wszyscy byliśmy tutaj. Musieliśmy zostać tutaj.

– Tak – powiedziała Lillian. – Żeby wyścig mógł toczyć się dalej.

– Tak to już jest – odparł bezradnie kierownik ekipy. – Wszyscy jesteśmy tutaj tylko pracownikami.

Podbiegł do nich któryś z mechaników. Narastający ryk silników zbliżał się znowu.

– Signorina... – Kierownik ekipy rozłożył ręce i spojrzał w kierunku toru. – Muszę...

– Czy on nie żyje? – spytała Lillian.

– Ależ żyje! Jest nieprzytomny. Lekarze... muszę niestety, signorina... – Kierownik ekipy chwycił leżącą w skrzyni tabliczkę i popędził dawać znaki kierowcom. Lillian słyszała, jak krzyczy: – Madonna, Madonna, czemu akurat mnie, przeklęty olej, cholerny, przeklęty olej!

Lillian odwróciła się powoli do wyjścia.

– Przyjdziemy... po wyścigu, signorina – szepnął jeden z mechaników. – Zaraz po wyścigu!

Czarny baldachim hałasu wisiał dalej nad miastem, kiedy jechała do szpitala. Znalazła tylko jedną dorożkę przybraną chorągiewkami i kolorowymi wstążkami, z koniem w słomianym kapeluszu na łbie.

– Potrwa to dłużej niż zwykle, mademoiselle – oświadczył woźnica. – Będziemy musieli zrobić duży objazd. Ulice są zamknięte dla ruchu. Wyścig, rozumie pani...

Lillian skinęła głową. Siedziała otulona w ból, który nie wydawał się bólem, tylko tępą katuszą, przytłumioną przez środki odurzające. Nic w niej nie funkcjonowało całkowicie, jedynie uszy i oczy, które słyszały silniki i widziały samochody, wyraźnie, niesamowicie ostro i ledwo do zniesienia. Dorożkarz bez przerwy gadał i chciał jej pokazywać punkty widokowe. Nic z tego nie słyszała; słyszała tylko silniki. Ktoś próbował zatrzymać dorożkę

i coś jej powiedzieć. Nie rozumiała, co mówił, więc kazała się zatrzymać. Myślała, że ma jakąś wiadomość od Clerfayta. Mężczyzna, Włoch w białym garniturze, z małym czarnym wąsikiem, zapraszał ją na kolację.

– Co? – zapytała, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – Co poza tym?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Może być coś więcej. To zależy od pani.

Nie odpowiedziała. Przestała go dostrzegać, jej oczy były już gdzie indziej. Nie wiedział nic o Clerfaycie.

– Dalej! – ponagliła dorożkarza. – Prędzej!

– Tacy dżentelmeni nigdy nie mają pieniędzy – wyjaśnił dorożkarz. – Dobrze pani zrobiła, odprawiając go. Kto wie, może jeszcze musiałaby pani zapłacić za niego. Starsi panowie są bardziej godni zaufania.

– Prędzej! – powiedziała Lillian.

– Bardzo proszę!

Jazda ciągnęła się bez końca, nim zatrzymali się przed szpitalem. Po drodze Lillian złożyła wiele ślubów i chciała wierzyć, że ich dotrzyma. Nie chciała już wyjechać, chciała zostać i wyjść za Clerfayta, byleby tylko żył! Czyniła owe śluby i pozwalała im iść na dno jak kamieniom w stawie, nie zastanawiając się nad tym.

– Pan Clerfayt jest w sali operacyjnej – powiedziała siostra w izbie przyjęć.

– Może mi pani powiedzieć, jak poważnie jest ranny?

– Żałuję, madame. Czy pani jest madame Clerfayt?

– Nie.

– Krewna?

– Co to ma do rzeczy?

– Nic, mademoiselle. Tylko tyle, że jestem pewna, iż po operacji wpuszczeni będą na chwilę najwyżej najbliżsi krewni.

Lillian wytrzeszczyła oczy na pielęgniarkę. Czy powinna powiedzieć, że jest zaręczona z Clerfaytem? Jakie to było absurdalne!

– Musi być operowany? – zapytała.

– Na to wygląda; w przeciwnym razie nie leżałby w sali operacyjnej.

Jedna z tych, które mnie nie znoszą, pomyślała Lillian z irytacją. Miała już doświadczenie z pielęgniarkami.

– Mogę zaczekać? – zapytała.

Pielęgniarka wskazała jej ławkę.

– Nie ma tu poczekalni? – spytała Lillian.

Pielęgniarka wskazała drzwi. Lillian weszła do pomieszczenia, gdzie stały zmęczone rośliny ozdobne, leżały stare czasopisma ilustrowane i muchy brzęczały wokół zwisającej nad stołem z sufitu muchołapki. Ryk silników słyszalny był nawet tutaj, przytłumiony niczym odległe, wściekłe werble, ale był...

Czas stał się lepki jak muchołapka, na której muchy umierały powolną śmiercią w męczarni. Lillian wpatrywała się w wystrzępione czasopisma, otwierała je i zamykała, próbowała czytać, lecz nie mogła, wstawała i podchodziła do okna, siadała znowu. W pokoju unosił się zapach strachu, jako skutek całego tego strachu, który wychodził tutaj z ludzi. Próbowała otworzyć okno, ale zaraz je zamknęła, ponieważ ryk silników natychmiast wdarł się do środka z większą siłą. Po jakimś czasie weszła

kobieta z dzieckiem. Dziecko zaczęło płakać, kobieta rozpięła bluzkę i nakarmiła je. Niemowlę mlaskało głośno, a po posiłku zasnęło. Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało do Lillian i zapięła bluzkę.

W parę minut później siostra otworzyła drzwi. Lillian wstała, lecz pielęgniarka nie zwróciła na nią uwagi; skinęła na kobietę z dzieckiem, żeby z nią poszła. Lillian usiadła z powrotem. Nagle wytężyła słuch. Coś się zmieniło. Czuła to w karku. Ustąpiło jakieś napięcie; coś się rozluźniło. Dopiero po chwili zorientowała się, że to cisza. Ucichł ryk silników. Wyścig się skończył.

W kwadrans później zobaczyła, że nadjeżdża i zatrzymuje się otwarty samochód z kierownikiem ekipy i dwoma mechanikami. Pielęgniarka wprowadziła ich do poczekalni. Stali z pospuszczanymi głowami.

– Wiadomo już coś bliższego? – spytała Lillian.

Kierownik ekipy wskazał na młodszego wiekiem mechanika.

– On był przy tym, jak go wyciągnęli.

– Krew mu ciekła z ust – powiedział mechanik.

– Z ust?

– Tak. Wyglądało to jak krwotok.

Lillian spojrzała na niego. Co za koszmarna pomyłka! Krwotok był jej domeną, nie Clerfayta.

– Jakim sposobem mógł dostać krwotoku? – zapytała.

– Kierownica wbiła mu się w klatkę piersiową – rzekł mechanik.

Lillian powoli pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Nie!

Kierownik ekipy podszedł do drzwi.

– Zobaczę, gdzie jest lekarz.

Lillian słyszała, jak prowadzi z siostrą głośną rozmowę. Ich głosy przebrzmiały i znów nastała gorąca cisza, w której obydwaj mechanicy oddychali głośno i brzęczały muchy.

Wrócił kierownik ekipy. Zatrzymał się w drzwiach. Jego oczy wydawały się nienaturalnie białe na tle opalonej twarzy. Kilka razy poruszał ustami.

– Clerfayt nie żyje – powiedział w końcu.

Mechanicy wytrzeszczyli na niego oczy.

– Operowali go? – zapytał młodszy. – Na pewno źle go zoperowali.

– Nie operowali go. Umarł wcześniej.

Wszyscy trzej spojrzeli na Lillian. Nie poruszyła się.

– Gdzie on jest? – zapytała wreszcie.

– Szykują go.

– Widział go pan? – zapytała z wielkim wysiłkiem.

Skinął głową.

– Gdzie on jest?

– Lepiej, żeby go pani teraz nie oglądała – odparł kierownik ekipy. – Jutro może go pani zobaczyć.

– Kto tak mówi? – zapytała Lillian zupełnie beznamiętnym głosem. – Kto tak mówi? – powtórzyła.

– Lekarze. Nie rozpoznałaby go pani. Lepiej, żeby pani przyszła jutro. Możemy panią odwieźć do hotelu.

Lillian przystanęła.

– Dlaczego bym go nie rozpoznała?

Kierownik ekipy milczał przez chwilę.

– Twarz – wyjaśnił w końcu. – Jest mocno pokiereszowana. Kierownica zgniotła mu klatkę piersiową. Lekarz uważa, że nic nie czuł. To nastąpiło tak szybko. Od razu stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Sądzi pani – powiedział głośniej – że nami to nie wstrząsnęło? Znaliśmy go dłużej niż pani!

– Tak – odparła Lillian. – Panowie znaliście go dłużej niż ja.

– Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o to, że zawsze jest tak, kiedy ktoś umiera: nagle go nie ma. Już nie przemówi. Przed chwilą jeszcze był, a potem nagle go nie ma. Któż to może pojąć? Chodzi mi o to, że z nami jest tak samo. Człowiek stoi i nie pojmuje niczego. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Tak, rozumiem.

– W takim razie proszę pójść z nami – powiedział kierownik ekipy. – Odwieziemy panią do hotelu. Wystarczy tego na dzisiaj. Jutro może go pani zobaczyć.

– A co ja będę robić w hotelu? – spytała Lillian.

Wzruszył ramionami.

– Niech pani wezwie lekarza, żeby zrobił pani zastrzyk. Silny zastrzyk, żeby spała pani do rana. Chodźmy! Tutaj nie może pani już nic zrobić. On nie żyje. Nikt z nas nie może już nic zrobić. Kiedy ktoś nie żyje, to koniec; nie można już nic zrobić. – Podszedł o krok bliżej i położył jej rękę na ramieniu. – Chodźmy! Znam to. *Porca miseria*, to dla mnie nie pierwszy raz! Ale, do diabła, to zawsze jest pierwszy raz!

21

Obudziła się z oparów snu. Przez chwilę nie miała kontaktu ze światem, potem poczuła ostre ukłucie bólu; w jednej chwili usiadła prosto na łóżku i rozejrzała się dokoła. Jak się tutaj znalazła? Z wolna przypominała sobie – późne, mordercze popołudnie, błądzenie po małym mieście, wczesny wieczór, szpital, obcą, pozszywaną twarz Clerfayta, głowę, leżącą trochę krzywo, dłonie, które nie pasowały do reszty, bo ktoś złożył je jak do modlitwy, lekarza, który z nią przyszedł – wszystko to była nieprawda, nie tak, jak miało być – nie Clerfayt powinien leżeć na szpitalnym łóżku, tylko ona, jedynie ona, nie on, to było koszmarne odwrócenie ról, ktoś pozwolił sobie na straszliwy, ponury żart.

Wstała i odsunęła zasłony. Do pokoju wpadło słońce. Bezchmurne niebo, palmy w pełnym świetle i jaskrawoczerwone grządki w ogródku hotelowym sprawiały, że śmierć Clerfayta wydawała się jeszcze bardziej niepojęta. To ja, pomyślała Lillian, to powinnam być ja, mnie była śmierć przeznaczona, nie jemu! Czuła się w jakiś dziwny sposób oszustką, kimś, kto pozostał jako reszta, jako osoba nadliczbowa, kto żył tylko przez niedopatrzenie,

za kogo zabity został ktoś inny i nad kim unosił się nieokreślony, szary cień morderstwa – jak nad przemęczonym kierowcą, który przejechał człowieka, choć mógł go właściwie ominąć.

Zadzwonił telefon. Przestraszona podniosła słuchawkę. Przedstawiciel jakiegoś instytutu pogrzebowego z Nicei polecał swoje usługi, co się tyczy trumny, grobu i godnego pochówku po przystępnych cenach. Na wypadek odstawienia zwłok do ojczyzny miał do dyspozycji trumny cynkowe.

Odłożyła słuchawkę na widełki. Nie wiedziała, co robić. Gdzie była ojczyzna Clerfayta? Czy tam, gdzie się urodził? Gdzieś w Alzacji-Lotaryngii? Nie wiedziała nawet, gdzie. Przeraźliwy dźwięk telefonu odezwał się znowu. Tym razem to był szpital. Co będzie ze zwłokami? Należało wydać dyspozycje. Najpóźniej po południu. Należało zamówić trumnę.

Lillian spojrzała na zegarek. Było południe. Ubrała się. Rytuał śmierci spadł na nią, hałaśliwy i pełen zawodowego zainteresowania. Powinnam sobie kupić coś czarnego, pomyślała. Zadzwoniła firma dostarczająca wieńce. Inna chciała wiedzieć, jaką religię wyznawał Clerfayt, żeby zarezerwować w kościele czas na wystawienie zwłok na marach. A może zmarły był wolnomyślicielem?

Lillian czuła jeszcze działanie mocnego środka nasennego. Nic nie było całkowicie konkretne. Zeszła na dół, żeby poprosić portiera o radę. Na jej widok podniósł się mężczyzna w granatowym garniturze. Odwróciła się; nie mogła znieść profesjonalnego współczucia na jego twarzy.

– Proszę zamówić trumnę – szepnęła do portiera. – Proszę zadbać o wszystko, co trzeba.

Portier poinformował ją, że należy zawiadomić władze. Czy życzy sobie obdukcji? Czasami jest potrzebna, żeby ustalić przyczynę śmierci. Po co? Z powodu roszczeń prawnych. Firma samochodowa może spróbować pociągnąć do odpowiedzialności organizatorów wyścigu. Poza tym należałoby pomyśleć o ubezpieczeniach; mogą też wystąpić inne komplikacje – najlepiej być przygotowanym na wszystko.

Wyglądało na to, że łatwo jest umrzeć – ale nie być umarłym. Czy chce, żeby Clerfayt pochowany został na tutejszym cmentarzu?

– Na cmentarzu samobójców? – zapytała Lillian. – Nie!

Portier uśmiechnął się wyrozumiale. Cmentarz samobójców to legenda, podobnie jak inne rzeczy w Monte Carlo. Mają też porządny piękny cmentarz, na którym grzebie się mieszkańców. Czy ma dokumenty Clerfayta?

– Dokumenty? Czy on potrzebuje jeszcze dokumentów?

Portier również tutaj okazał zrozumienie. Oczywiście, że potrzebuje dokumentów. Może są w jego pokoju, w przeciwnym razie trzeba by się o nie postarać. On sam tak czy owak zamierza skontaktować się z policją.

– Z policją?

Przy każdym wypadku należy natychmiast wezwać policję. Na pewno zrobiła to już firma i komitet organizacyjny wyścigu; jednak policja musi także zezwolić na zabranie zwłok. Wszystko to tylko formalność, ale nie można tego uniknąć. On weźmie to na siebie.

Lillian skinęła głową. Nagle poczuła, że musi wyjść z hotelu. Obawiała się, że zemdleje. Przypomniała sobie, iż od obiadu

poprzedniego dnia nic nie jadła; nie chciała jednak iść do restauracji hotelowej. Szybko opuściła hol i udała się do Café de Paris. Zamówiła kawę, a potem siedziała długo, nie pijąc jej. Obok przejeżdżały samochody i zatrzymywały się przed kasynem, przybywały tradycyjne autokary wycieczkowe i gromady turystów zbierały się wokół przewodników, z którymi potem grzecznie wędrowały przez sale kasyna. Lillian wystraszyła się, kiedy do jej stolika przysiadł się jakiś mężczyzna. Wypiła swoją kawę i wstała. Nie wiedziała, co robić. Próbowała wytłumaczyć sobie, że nawet gdyby nie doszło do wypadku, też byłaby jutro sama, w Paryżu albo w drodze do Szwajcarii. Nie pomogło; obok niej w ziemi była dziura, która prowadziła w bezdenną otchłań i nie dawała się przeskoczyć nawet w myśli. Clerfayt nie żył; to było coś innego, niż gdyby nie byli już ze sobą razem.

Znalazła ławkę, z której mogła patrzeć na morze. Miała uczucie, że musi załatwić wiele pilnych spraw; nie mogła się jednak zdecydować. Clerfayt, nie ja! – myślała bez przerwy. – Co za obłęd. To ona miała umrzeć, nie on. Cóż za potworna ironia!

Wróciwszy do hotelu, poszła do swego pokoju, nie rozmawiając z nikim. Przy drzwiach pokoju Clerfayta zatrzymała się. Uderzyła w nią fala martwego powietrza; nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wszystko w pokoju też będzie przesiąknięte zapachem śmierci.

Przypomniała sobie, że portier domagał się dokumentów Clerfayta. Nie wiedziała, gdzie są, i strach ją ogarnął na myśl, że ma wejść do jego pokoju. Wiedziała z sanatorium, że często trudniej patrzeć na zostawione przez zmarłego rzeczy niż na niego samego. Zobaczyła klucz w zamku i uznała, że pokojówka sprząta

akurat pokój. Lepiej już tak niż wchodzić samemu. Otworzyła drzwi.

Chuda kobieta w szytym na miarę popielatym kostiumie podniosła wzrok znad biurka.

– Czego pani sobie życzy?

Lillian pomyślała w pierwszej chwili, że trafiła do niewłaściwego pokoju. Potem jednak zobaczyła płaszcz Clerfayta.

– Kim pani jest? – zapytała.

– Sądzę, że ja pierwsza mogłabym o to zapytać – odparła ostrym tonem kobieta. – Jestem siostrą Clerfayta. A pani czego chce? Kim pani jest?

Lillian milczała. Clerfayt opowiadał jej kiedyś, że ma gdzieś siostrę, której nienawidzi i która jego nienawidzi. Od wielu lat nie miał od niej żadnej wiadomości. Musiała to być właśnie ta kobieta. W niczym nie przypominała Clerfayta.

– Nie wiedziałam, że pani przyjechała – rzekła Lillian. – Teraz, skoro pani już jest, nie mam tu nic do roboty.

– Bezsprzecznie – odparła chłodno kobieta. – Powiedziano mi, że mój brat żył tutaj z jakąś osobą. Czy to pani?

– Również to nie powinno już pani interesować – rzekła Lillian i odwróciła się.

Wyszła i wróciła do swego pokoju. Zaczęła się pakować, ale zaraz przestała. Nie mogę wyjechać, dopóki on jest tutaj, pomyślało coś w niej. Muszę zostać do pogrzebu.

Raz jeszcze poszła do szpitala; pielęgniarka w izbie przyjęć oświadczyła jej, że nie może już zobaczyć Clerfayta, na życzenie jednego z członków rodziny przeprowadza się właśnie obdukcję.

Potem ciało zostanie złożone w cynkowej trumnie i po zalutowaniu wyekspediowane.

Przed szpitalem spotkała kierownika ekipy.

– Dziś wieczorem wyjeżdżamy – powiedział. – Widziała pani tę bestię z wielkimi zębami? Jego siostrę? Kazała go pokroić. Zamierza skarżyć firmę i kierownictwo wyścigu o odszkodowanie z powodu niedbalstwa. Była już na policji. Zna pani naszego dyrektora. U niego też była. To człowiek, który nikogo się nie boi, ale był blady jak ściana, kiedy babsztyl wyszedł od niego po półgodzinie. Zażądała dożywotniej renty. Twierdzi, że Clerfayt był jej jedynym żywicielem. Wszyscy wyjeżdżamy. Niech pani też wyjedzie! Już po wszystkim.

– Tak – odparła Lillian. – Już po wszystkim.

Wędrowała bez celu ulicami; siedziała przy stolikach i coś piła, a wieczorem wróciła do hotelu.

Była już bardzo zmęczona. Lekarz zostawił jej środek nasenny. Nie musiała go brać, natychmiast zasnęła.

Obudził ją telefon. W słuchawce usłyszała głos siostry Clerfayta. Rozkazującym tonem oświadczyła, że pilnie musi z nią porozmawiać. Lillian miała natychmiast stawić się u niej.

– Jeśli ma mi pani coś do powiedzenia, proszę to zrobić teraz, przez telefon – rzekła Lillian.

– Przez telefon się nie da.

– W takim razie dziś o dwunastej proszę zejść do hotelowego holu.

– Wtedy będzie za późno.

– Nie dla mnie – odparła Lillian i odłożyła słuchawkę.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Spała czternaście godzin i w dalszym ciągu czuła się rozbita. Poszła do łazienki i pewnie nawet w kąpieli znowu by zasnęła, gdyby nie gwałtowne pukanie do drzwi pokoju. Włożyła płaszcz kąpielowy. Zanim zdążyła otworzyć drzwi, do pokoju wpadła siostra Clerfayta; Lillian nie mogła już jej powstrzymać.

– To pani jest miss Dunkerque? – zapytała kobieta w popielatym kostiumie.

– Może pani ze mną rozmawiać o dwunastej w holu hotelowym – odparła Lillian. – Nie tutaj.

– Na jedno wychodzi. Teraz jestem tutaj. Nie...

– Jest pani tutaj wbrew mojej woli – przerwała Lillian. – To mój pokój. Chce pani, żebym wezwała dyrekcję na pomoc?

– Nie mogę czekać do dwunastej. Mój pociąg odjeżdża wcześniej. Chce pani, żeby zwłoki mojego brata musiały czekać na gorącym peronie, aż będzie pani miała czas, by ze mną porozmawiać?

Lillian spojrzała na wąski czarny krzyżyk, który kobieta nosiła na szyi zawieszony na cienkim łańcuszku. Ta osoba nie cofnie się przed niczym, żeby przeprowadzić swoją wolę, pomyślała.

– Znalazłam tutaj – ciągnęła dalej siostra – wśród papierów mojego brata kopię pewnego dokumentu, którego oryginał jest prawdopodobnie w pani posiadaniu. Chodzi o przepisanie na panią domu na Riwierze.

– Na mnie?

– Nic pani o tym nie wiadomo?

Lillian ujrzała papier w kościstych palcach, na których widniały dwie obrączki. A zatem wdowa – nic dziwnego.

– Proszę mi pokazać ten dokument – rzekła Lillian.

Siostra zawahała się.

– Nie zna go pani?

Lillian nie odpowiedziała. Usłyszała, że woda w łazience leje się w dalszym ciągu, i poszła ją zakręcić.

– Czy właśnie to chciała pani tak pilnie ze mną omówić? – spytała, wróciwszy.

– Chciałam pani oświadczyć, że rodzina oczywiście nie uznaje tego zapisu. Będziemy się bronić.

– Proszę tak zrobić. A teraz proszę mnie zostawić, chcę być sama.

Kobieta nie ruszyła się z miejsca.

– Byłoby prościej i pewnie także taktowniej, gdyby złożyła pani oświadczenie, że nie uznaje pani tego zapisu, który mój brat zrobił, niewątpliwie ulegając pewnym wpływom.

Lillian wytrzeszczyła na nią oczy.

– Czy przypadkiem nie ułożyła już pani także tekstu tego oświadczenia?

– Tak zrobiłam. Wystarczy tylko podpisać. Tutaj! Cieszę się, że przynajmniej w tym względzie wykazuje pani zrozumienie.

Lillian wzięła oświadczenie i podarła je, nie czytając.

– A teraz proszę wyjść. Mam tego dosyć.

Siostra nie straciła panowania nad sobą. Patrzyła na Lillian przenikliwie.

– Powiedziała pani, że nic pani nie wiadomo o tym zapisie? W takim razie nie ma pani nic na piśmie?

Lillian podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Ustalenie tego pozostawiam pani.

– Tak też uczynię. Prawo jest po naszej stronie. W końcu jest jeszcze różnica między krewnymi a jakąś awanturnicą nie wiadomo skąd, która chce wyłudzić spadek i...

Na stole stał niski wazonik z fiołkami, które Clerfayt przyniósł przed dwoma dniami. Lillian chwyciła naczynie, nie wiedząc nawet, że to robi, i chlusnęła jego zawartością na kościstą twarz. Chciała tylko jednego: sprawić, żeby ten twardy, nieznośny głos umilkł. Kwiatki były już zwiędłe i wisiały we włosach i na ramionach siostry Clerfayta, jakby wygramoliła się z jakiegoś bajora.

Kobieta otarła wodę z oczu.

– Zapłaci mi pani za to! – syknęła.

– Wiem – odparła Lillian. – Proszę mi przysłać rachunek za fryzjera, za sukienkę z pewnością też, a prawdopodobnie także za pani buty, bieliznę, dalsze życie i przerażoną kamienną duszę! A teraz niech pani wreszcie wyjdzie!

Siostra Clerfayta zniknęła. Lillian popatrzyła na szklane naczynie, które trzymała dalej w ręce. Nie wiedziała, że zdolna jest do takich aktów przemocy. Bogu dzięki, że nie rzuciłam wazonem, pomyślała i nagle zaczęła się śmiać, i nie mogła przestać, a potem przyszły łzy, a wraz z nimi ustąpiło wreszcie odrętwienie.

W holu zatrzymał ją portier.

– Przykra sprawa, madame.

– Co znowu?

– Zleciła mi pani, żebym zamówił trumnę i miejsce na cmentarzu. Siostra pana Clerfayta natychmiast po przyjeździe też

zamówiła i kazała dostarczyć trumnę na koszt firmy samochodowej. Teraz pani trumna jest zbędna.

– Nie może pan jej oddać?

– Przedstawiciel firmy z Nicei mówi, że trumna była specjalnym zamówieniem. Może ją wziąć z powrotem, przez grzeczność, ale nie za tę samą cenę.

Lillian spojrzała na niego bezradnie. Nagle stanął jej przed oczami groteskowy obraz – że z pustą trumną wróci do jakiegoś sanatorium w górach, a tymczasem siostra Clerfayta w drugiej trumnie wywiezie jego pokrojone szczątki i złoży w grobowcu rodzinnym.

– Zaproponowałem tej pani, żeby wzięła pani trumnę dla pana Clerfayta – powiedział portier. – Nie chciała. Jest bardzo zasadnicza. Rachunek za hotel też kazała wystawić firmie samochodowej. Naturalnie z pełnym wyżywieniem, a wczoraj wieczór dwie butelki château Lafite 1929. Najlepsze wino, jakie mamy. Przedstawiciel firmy pogrzebowej wziąłby z powrotem trumnę za pół ceny.

– Dobrze – odparła Lillian. – I proszę przygotować mój rachunek. Dziś wieczorem wyjeżdżam.

– Bardzo proszę. Poza tym jest jeszcze sprawa miejsca na cmentarzu. Teraz pani go już nie potrzebuje, a ja z góry zapłaciłem za panią. Dzisiaj trudno coś zrobić w tej sprawie. Jest sobota. Do poniedziałku nie będzie w biurze nikogo.

– Czy w soboty i niedziele ludzie tutaj nie umierają?

– Umierają. Wówczas kupuje się groby w poniedziałek.

– Proszę dopisać cenę do mojego rachunku.

– Chce pani zostawić sobie miejsce na cmentarzu? – zapytał z niedowierzaniem portier.

– Nie wiem; nie chcę już o tym mówić. Niech pan dopisze, ile pan zapłacił, niech pan wszystko dopisze. Ale nie chcę już o tym słyszeć! Nie chcę! Nie rozumie pan tego?

– Bardzo proszę, madame.

Lillian wróciła do swojego pokoju. Dzwonił telefon. Nie podniosła słuchawki. Spakowała resztę rzeczy. W torebce znalazła bilet do Zurychu. Spojrzała na datę. Pociąg odjeżdżał tego samego wieczoru.

Telefon zadzwonił znowu. Kiedy umilkł, ogarnął ją paniczny strach. Wydawało jej się, jakby umarło coś więcej niż Clerfayt – jakby umarło wszystko, co znała. Borys też, pomyślała. Kto wie, co się z nim stało? Może i on od dawna już nie żył, i nikt nie mógł jej tego powiedzieć, bo nie znał jej adresu, lub po prostu nie chciał.

Chwyciła za słuchawkę, ale zaraz opuściła rękę z powrotem. Nie mogła zadzwonić do niego. Przynajmniej nie teraz. Nie zrozumiałby jej, sądziłby, że zadzwoniła do niego, bo Clerfayt nie żyje. Nigdy by jej nie uwierzył, że chciała opuścić Clerfayta. Nigdy zresztą nie zamierzała mu tego mówić.

Siedziała bez ruchu, dopóki szary zmrok nie wpełznął do pokoju. Okna były otwarte. Szelest drzew na zewnątrz brzmiał w jej uszach niczym gadanina sąsiadów pełna złośliwej satysfakcji. Portier powiedział jej, że siostra Clerfayta wyjechała w południe; także dla niej zbliżała się pora wyjazdu.

Wstała, ale wahała się. Nie mogła odejść, dopóki nie wiedziała, czy Borys jeszcze żyje. Nie musiała dzwonić do niego samego. Mogła zadzwonić do pensjonatu i poprosić go do telefonu, podając

jakiekolwiek nazwisko; jeśli gospodyni pójdzie go przywołać, będzie wiedziała, że Borys jeszcze żyje, i zdąży odłożyć słuchawkę, zanim on sam podejdzie do aparatu.

Zamówiła rozmowę. Po dłuższej chwili telefonistka zadzwoniła i poinformowała ją, że nikt się nie zgłasza. Zamówiła rozmowę jeszcze raz, pilną, z przywołaniem, i czekała.

Za oknem słyszała kroki na żwirowych alejkach w ogrodzie. Przypomniało jej to ogród Clerfayta. Zalała ją fala rozpaczliwej czułości. Zapisał jej w spadku dom, a ona nie wiedziała o tym. Ale nie chciała go mieć. Stałby pusty i powoli niszczał dalej wraz ze swymi stiukowymi ornamentami – jeśli nie skonfiskowałaby go siostra Clerfayta, uzbrojona w podwójną moralność jednostronnej sprawiedliwości.

Zadźwięczał telefon. Lillian usłyszała ożywione głosy francuskich telefonistek. Zapomniała wszystko, co postanowiła.

– Borys! – zawołała. – Jesteś tam?

– Kto mówi? – spytał jakiś kobiecy głos.

Lillian wahała się przez sekundę; w końcu wymieniła swoje nazwisko. Za dwie godziny opuści Riwierę i nikt nie będzie wiedział, w jakim kierunku; byłoby śmieszne, gdyby wcześniej nie porozmawiała jeszcze z Borysem.

– Kto mówi? – powtórzył głos.

Raz jeszcze wymieniła swoje nazwisko.

– Kto?

– Lillian Dunkerque.

– Pana Wołkowa tutaj nie ma – odpowiedział głos poprzez szumy i trzaski na linii.

– A kto mówi? Pani Escher?

– Nie, pani Bliss. Pani Escher już nie ma. Pana Wołkowa też już tutaj nie ma. Żałuję...

– Chwileczkę! – zawołała Lillian. – Gdzie on jest?

Hałas w słuchawce przybrał na sile.

– ...odjechał – usłyszała Lillian.

– Gdzie on jest? – zawołała.

– Pan Wołkow odjechał.

– Odjechał? Dokąd?

– Tego nie mogę powiedzieć.

Lillian wstrzymała oddech.

– Czy coś mu się stało? – zapytała w końcu.

– Nie wiem, madame. Odjechał. Nic innego nie mogę pani powiedzieć. Żałuję...

Połączenie zostało przerwane. Znów dał się słyszeć ożywiony szczebiot francuskich telefonistek. Lillian odłożyła słuchawkę. Odjechał – wiedziała, co to znaczy w kodzie używanym na górze. Tak brzmiała informacja, kiedy ktoś umarł. Nie mogło to zresztą znaczyć nic innego – dokąd bowiem miałby wyjechać? Nawet jego dawnej gospodyni już nie było.

Przez jakiś czas siedziała zupełnie nieruchomo. W końcu wstała i zeszła na dół. Zapłaciła rachunek i wsadziła bilet do torebki.

– Proszę przesłać moje rzeczy na dworzec – powiedziała.

– Już teraz? – spytał zdziwiony portier. – Ma pani jeszcze prawie dwie godziny. Jest za wcześnie.

– Już teraz – rzekła. – Nie jest za wcześnie.

22

Siedziała na ławce przed małym dworcem. Zapaliły się już pierwsze światła, podkreślając jeszcze bardziej ponurą nagość budynku. Opaleni turyści przesuwali się hałaśliwie obok niej i wsiadali do pociągu do Marsylii.

Przysiadł się do niej jakiś Amerykanin i zaczął monologować o tym, że w Europie nie można dostać porządnego steku czy choćby przyzwoitego hamburgera. Nawet parówki wiedeńskie lepsze są w Wisconsin.

Lillian siedziała otępiała, bez jednej myśli w głowie, w stanie swoistego wyczerpania, o którym nie wiedziała, czy to smutek, czy pustka, czy pogodzenie się z losem.

Zobaczyła psa, lecz nie rozpoznała go. Zwierzę okrążyło łukiem plac, obwąchało kilka kobiet, zatrzymało się, a następnie rzuciło w jej kierunku. Amerykanin zerwał się z ławki.

– Wściekły pies! – zawołał. – Policja! Zastrzelcie go!

Owczarek go ominął i skoczył na Lillian. Niemal zrzucił ją z ławki, lizał ją po rękach i próbował lizać po twarzy, skomlał, skowyczał i szczekał tak, że zaraz ich otoczył krąg zdziwionych ludzi.

– Wolf – powiedziała z niedowierzaniem. – Wolf! Skąd się tu wziąłeś?

Pies zostawił ją w spokoju i popędził w stronę tłumu, który natychmiast się rozstąpił. Podbiegł do mężczyzny, który zbliżał się szybkim krokiem, a następnie wrócił do Lillian.

Wstała z ławki.

– Borys! – powiedziała.

– A więc zdążyliśmy cię jeszcze odnaleźć – rzekł Wołkow. – Portier w hotelu powiedział mi, że jesteś już na dworcu. Jak się zdaje, był już najwyższy czas! Kto wie, gdzie musiałbym cię później szukać.

– Ty żyjesz! – szepnęła Lillian. – Dzwoniłam do ciebie. Ktoś mi powiedział, że odjechałeś. Myślałam...

– To była pani Bliss. Nowa gospodyni. Pani Escher ponownie wyszła za mąż. – Wołkow przytrzymał psa. – Przeczytałem w gazecie, co się stało; dlatego przyjechałem. Nie wiedziałem, w którym hotelu mieszkasz, w przeciwnym razie bym zadzwonił.

– Ty żyjesz – powtórzyła.

– I ty żyjesz, Duszo! Cała reszta się nie liczy.

Spojrzała na niego. Natychmiast pojęła, co miał na myśli – że cała reszta, wszelka zraniona duma, urażony egoizm, zostały wymazane przez ten jeden, pocieszający, ostatni fakt: że ukochany człowiek nie umarł, że jeszcze żyje, że jest tutaj i jeszcze oddycha, bez względu na to, gdzie są jego uczucia lub co się tymczasem wydarzyło. Borys nie przyjechał powodowany słabością czy współczuciem; przyjechał powodowany tą ostatnią, porażającą jak grom prawdą, jedyną, jaka mu pozostała, jedyną, jaka zawsze na

końcu pozostaje, która unieważnia wszystko i którą człowiek prawie zawsze uświadamia sobie za późno.

– Tak, Borysie – powiedziała. – Cała reszta się nie liczy.

Popatrzył na jej bagaż

– Kiedy odjeżdża twój pociąg?

– Za godzinę. Odjedzie beze mnie.

– Dokąd się wybierałaś?

– Dokądkolwiek. Do Zurychu. To obojętne, Borysie.

– W takim razie chodźmy stąd. Przenieś się do innego hotelu. W Antibes kazałem zarezerwować pokój. W Hôtel du Cap. Możemy dostać jeszcze jeden. Chcesz, żebym kazał odesłać tam twój bagaż?

Lillian pokręciła głową.

– Niech zostanie tutaj – powiedziała, nagle zmieniając postanowienie. – Pociąg odjeżdża za godzinę; wyjedźmy nim. Nie chcę tutaj zostać. A ty musisz wrócić.

– Nie muszę wracać – rzekł Wołkow.

Spojrzała na niego.

– Jesteś wyleczony?

– Nie. Ale nie muszę wracać. Mogę pojechać z tobą, dokądkolwiek zechcesz. I na jak długo zechcesz.

– Ale...

– Rozumiałem cię wtedy – rzekł Wołkow. – Mój Boże, i to jeszcze jak! Rozumiałem, że chcesz odejść.

– Dlaczego więc nie odszedłeś ze mną?

Wołkow milczał. Nie chciał jej przypominać, co powiedziała wtedy.

– A odeszłabyś ze mną? – zapytał w końcu.

– Nie, Borysie – odparła. – To prawda. Wtedy nie.

– Nie chciałaś brać ze sobą choroby. Chciałaś od niej uciec.

– Nie pamiętam już. Może tak było. To wszystko było tak dawno.

– Naprawdę chcesz jechać jeszcze dzisiaj?

– Tak.

– Masz miejsce w sypialnym?

– Tak, Borysie.

– Wyglądasz, jakbyś musiała coś zjeść. Chodźmy do kawiarni naprzeciwko. W tym czasie spróbuję jeszcze dostać bilet.

Poszli do kawiarni. Zamówił jej jajka, szynkę i kawę.

– Wrócę teraz na dworzec – powiedział. – Zostań tutaj. Nie uciekaj.

– Już nie uciekam. Dlaczego każdy tak myśli?

Borys uśmiechnął się.

– Kiedy się tak myśli, nie jest najgorzej. Znaczy to, że chce się, aby ta druga osoba została.

Spojrzała na niego. Jej wargi drżały.

– Nie chcę płakać – powiedziała.

Zatrzymał się jeszcze przy stoliku.

– Jesteś tylko wyczerpana. Zjedz coś. Jestem pewien, że to twój pierwszy posiłek dzisiaj.

Podniosła głowę.

– Tak źle wyglądam?

– Nie, Duszo. A nawet gdybyś wyglądała na zmęczoną, parę godzin snu zawsze ci pozwoli nadrobić wszystko. Zapomniałaś o tym?

– Tak. Zapomniałam o tylu rzeczach. Ale o niektórych nie.

Zaczęła jeść, lecz przerwała posiłek i wyciągnęła lusterko. Przyjrzała się sobie bardzo dokładnie: twarz, oczy, cienie pod oczami. Co powiedział lekarz w Nicei? Nim nadejdzie lato, a może wcześniej, jeśli dalej będzie pani tak żyć. Lato – tutaj już było lato, ale w górach przychodziło później. Raz jeszcze przyjrzała się swojej twarzy, po czym wyciągnęła puderniczkę i kredkę do ust.

Wrócił Wołkow.

– Dostałem jeszcze bilet. Pociąg nie jest wysprzedany.

– Masz miejsce w sypialnym?

– Jeszcze nie. Ale może coś się zwolni. Zresztą nie jest mi potrzebne – jadąc tutaj, przez całą drogę spałem. – Pogłaskał psa, który przez cały czas siedział przy Lillian. – Na razie, Wolf, musimy cię oddać do wagonu bagażowego, ale znajdziemy sposób, żeby cię stamtąd przeszmuglować.

– Mogę go wziąć do swojego przedziału.

Borys pokiwał głową.

– We Francji są tolerancyjni konduktorzy. W Zurychu zastanowimy się, co chcesz robić potem.

– Chcę wrócić – rzekła Lillian.

– Wrócić? Dokąd? – spytał ostrożnie Wołkow.

Milczała.

– Byłam już w drodze – powiedziała w końcu. – Nie musisz wierzyć.

– Dlaczego miałbym nie wierzyć?

– Dlaczego miałbyś?

– Kiedyś zrobiłem dokładnie to samo, co ty. Przed wieloma laty. Ja też wróciłem.

Lillian rozgniotła na talerzu okruch chleba.

– I nic nie da tłumaczyć to drugiemu wcześniej, prawda?

– Nic. Trzeba do tego dojść samemu. W przeciwnym razie człowiek by dalej wierzył, że ominęło go to, co najważniejsze. Wiesz już, dokąd chcesz się udać z Zurychu?

– Do jakiegoś sanatorium. W Bella Vista na pewno mnie z powrotem nie przyjmą.

– Oczywiście, że cię przyjmą. Ale wiesz z całą pewnością, że chcesz wrócić? Teraz jesteś wyczerpana i potrzebujesz spokoju. Możesz jeszcze zmienić postanowienie.

– Chcę wrócić.

– Z powodu Clerfayta?

– Clerfayt nie ma z tym nic wspólnego. Chciałam wrócić już wcześniej.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów. Teraz już ich nie pamiętam. Były tak słuszne, że zapomniałam.

– Jeśli chcesz zostać na dole – nie musisz być sama. Ja też mogę zostać.

Lillian pokręciła głową.

– Nie, Borysie. Wystarczy. Chcę wrócić. Ale może ty chcesz jeszcze zostać? Tak długo nie byłeś na dole.

Wołkow uśmiechnął się.

– Już to znam...

Pokiwała głową.

– Słyszałam. Teraz ja też to znam.

W Zurychu Wołkow zadzwonił do sanatorium.

– Ona jeszcze żyje? – spytał mrukliwie Dalajlama. – No dobrze, jeśli o mnie chodzi, może przyjechać.

Lillian została w Zurychu w hotelu Dolder jeszcze tydzień. Dużo leżała w łóżku. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Co wieczór pojawiała się wysoka gorączka. Wołkow poprosił o wyjaśnienie lekarza, którego sprowadził do opieki nad chorą.

– Od dawna powinna być w szpitalu – oświadczył profesor. – Niech pan ją tutaj zostawi.

– Ale ona nie chce zostać. Chce wrócić na górę.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy. Ale proszę wziąć sanitarkę.

Wołkow obiecał, lecz wiedział, że jej nie weźmie. Nie podchodził do życia aż z takim respektem, by nie wiedzieć, że nadmierna troskliwość może zabić chorego tak samo jak jej niedostatek. Traktowanie Lillian jak umierającej byłoby gorsze niż ryzyko jazdy z nią samochodem.

Kiedy wrócił, powitała go z pogodną twarzą. Odkąd objawy choroby się nasiliły, zrobiła się pogodna – jakby wymazane w ten sposób zostało nieokreślone poczucie winy z powodu śmierci Clerfayta. Ból po stracie kogoś, myślała z lekką ironią, stawał się znośniejszy, kiedy człowiek wiedział, że sam nie ma już przed sobą długiego życia. Nawet uczucie buntu przeciwko chorobie zniknęło po śmierci Clerfayta. Nikt nie mógł uciec, tak chory, jak i zdrowy, co dawało paradoksalną równość szans.

– Biedny Borys! – rzekła. – Co ci powiedział lekarz? Że nie zniosę trudów podróży?

– Nic w tym rodzaju.

– Wszystko zniosę. Choćby dlatego, że on prorokuje, iż będzie odwrotnie. I będę jeszcze żyła długo.

Wołkow spojrzał na nią zaskoczony.

– To prawda. Duszo. Ja też to czuję.

– Dobrze. W takim razie nalej mi wódki.

Podsunęła mu swój kieliszek.

– Ale z nas krętacze – powiedziała po chwili. – Mamy swoje drobne triki! Co innego mielibyśmy jednak robić? Skoro już człowiek się boi, może przynajmniej zrobić z tego strachu jakiś użytek. Jakiś fajerwerk, jakiś blef lub jakąś małą mądrość, która wkrótce się roztopi.

W bardzo łagodny, ciepły dzień pojechali na górę. W połowie wysokości przełęczy na agrafce napotkali samochód, który się zatrzymał, żeby ich przepuścić.

– Hollmann! – zawołała Lillian. – To przecież Hollmann!

Mężczyzna w drugim samochodzie podniósł wzrok.

– Lillian! I Borys! Ale...

Za nim zaczął trąbić jakiś niecierpliwy Włoch, który jechał niewielkim fiatem i myślał, że jest kierowcą wyścigowym Nuvolarim.

– Zaparkuję samochód – zawołał Hollmann. – Zaczekajcie na mnie.

Odjechał kawałek dalej, przepuścił Włocha i wrócił pieszo.

– Co się stało, Hollmann? – spytała Lillian. – Dokąd to pan jedzie?

– Mówiłem już pani, że jestem zdrowy.

– A samochód?

– Pożyczony. Jazda pociągiem wydawała mi się zbyt niepoważna, teraz, kiedy zostałem z powrotem zaangażowany!

– Zaangażowany? Przez kogo?

– Przez naszą dawną firmę. Wczoraj zadzwonili do mnie. Potrzebują jeszcze kogoś...

Hollmann milczał przez chwilę. Potem odgarnął włosy do tyłu.

– Torrianiego już mają; teraz chcą spróbować, czy i ja bym się nadał. Jak dobrze pójdzie, wkrótce będę jeździł w mniejszych wyścigach. Potem w dużych. Proszę trzymać za mnie kciuki. Cieszę się, Lillian, że mogłem jeszcze z panią porozmawiać!

Zobaczyli go raz jeszcze z położonego wyżej zakrętu, jak zjeżdża szosą w dół niczym niebieski owad, żeby zająć miejsce po Clerfaycie, tak jak Clerfayt zajął miejsce po kimś, a ktoś inny zajmie kiedyś miejsce Hollmanna.

Lillian zmarła w sześć tygodni później, w bardzo jasne, słoneczne południe, które było tak ciche, jakby krajobraz wstrzymał oddech. Zmarła szybko i niespodziewanie, i w samotności. Borys zszedł na krótko do wsi. Kiedy wrócił, zastał ją martwą na łóżku. Jej twarz była wykrzywiona; udusiła się w trakcie krwotoku, ręce miała kurczowo zaciśnięte w pobliżu szyi. Ale wkrótce potem jej rysy wygładziły się, a twarz stała się tak piękna, jakiej od dawna u niej nie widział. Wierzył również, że Lillian była szczęśliwa, jeśli człowieka można kiedykolwiek nazwać istotą szczęśliwą.

Nim nadejdzie lato

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
W serii
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21

22
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Der Himmel kennt keine Günstlinge*

Published by arrangement with Graal Ltd and Mohrbooks AG Literary Agency.
All rights reserved

DER HIMMEL KENNT KEINE GUENSTLINGE © 1961 by New York University, successor-in-interest to the literary rights of The Estate of the Late Paulette Goddard Remarque

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© H. Armstrong Roberts/ClassicStock/Corbis/Profimedia

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Nim nadejdzie lato, wyd. IV, dodruk, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-912-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl